

# Lubonie/całość

*Panu*  
BRONISŁAWOWI ZALESKIEMU  
w Paryżu.

Przypomnisz sobie może, kochany Bronisławie, rozmowę naszą o powieściach historycznych, które w roku przeszłym, będąc w myślach zajęty, spowiadałem ci się z trwogi i zapału, jaki one we mnie obudzały. Naówczas był to pomysł tylko jeszcze, który teraz, jak umiałem i mogę, przyprowadzam do skutku. Byłeś jednym z pierwszych, z którymi, przejęty cały zadaniem tém, mówiłem; myśl sama zdała ci się i dobrą i ponętą, przyjmijże jeden z pierwszych jój owoców. Czasy, które się tu malują, szare okrywają mroki, wrócić im cokolwiek życia, starać się je, z niemnogich skazówek i pomników odgadnąć, zaprawdę, trudnym było. Nie pochlebiam sobie, abym to dokonał tak jak to należało, ale uczynił pobożnym ku przeszłości sercem, jakem zdołał i umiał. Przyjm maluczką ofiarę, chętnie i pobłażająco.

Twój wierny  
*J. I. Kraszewski.*

D. 29 marca 1876.  
Drezno.

## I.

Wieczór był skwarnego dnia letniego, słońce zachodzić miało za lasy. Co żyło, ukryte w cieniach i zaroślach, czekało by powiał wiatr wieczorny, spadła rosa ożywcza i palące promienie dopiekać przestały. Milczało wszystko... stada w zaroślach się chroniły, ludzie po lasach, rzadko ptak przeleciał w powietrzu, które ziało ogniem. Noc miała przynieść ochłodę i wypoczynek po dniu, który zwarzył rośliny i wyszał z ziemi ostatki wilgoci po niedawnej pozostałe burzy. Tego dnia pod wieczór nawet nie zmniejszył się upał i na niebie chmurki żadnej widać nie było. Wypogodzone, rozpalone, bezbarwne, zwiastować się zdawało posuchę, bo tarcza słoneczna po nad lasami okryła się barwą krwi, i purpurowa, bezpromienna, dziwna i straszna, zwolna kłoniła się ku czarnemu pasowi puszcz dalekich.

W powietrzu unosiły się słupy muszek, podnoszące wysoko, wirujące obrotami jakiemiś samowolnemi, jakby je powiew jaki, którego czuć nie było, to w górę, to na bok odnosił, to przyciskał ku ziemi. Chmurą leciały tak muszki skrzydlate, po nad łąki i

poła, zdając się bawić i swawolić w rozpalonych ziemi wyziewach.

Na polach cicho było i pusto.

Wyschłe rzeczułki ciekły skryte głęboko, uciekając daleko od spieki, co je wypijała... Czasem w dali powiew, który nie dochodził tu i czuć się nie dawał, na piaszczystych rozłogach chwycił kurzu tumany i do góry je gdzieś unosił.

Na Krasnejgórze nad Wartą, we dworze Luboniów, tak pusto było jak wszędzie dnia tego, ludzie się od spieki gdzieś pochowali. I obyczajem starym wszystko stało otworem... dom, zagroda, wrota, nie strzegł nikt ich, bo się nikogo nie lękano.

Dwór stary wznosił się na pagórku nad rzeką, lasem wysokim otoczony z jednej strony, z drugiej do pola i łąk przytykający.

Jak wszystkie naówczas była to budowa drewniana, ale rozległa i krzepko z bierwion ogromnych wzniesiona. Wysoki dach z dymnikami okopcony i czarny panował nad nią. Dokoła opasywało ją podsienie na słupach rzezanych. Podwórze było rozległe i czyste, budynki wkoło proste ale nowe i schludne. Z rozmiarów dworu wnosić było można o wielkiej zamożności rodu, co tu zamieszkiwał; ze stajen i szop o trzodach i gospodarstwie; z ładu około domu, o pilności pana.

Już czas był, ażeby i ludzie i bydło pod dach wracało, choć upał się nie zmniejszał, słońce przynajmniej straciło siłę, patrzyło groźnie krwawym okiem, ale nie piekło. Koło dworu panował jeszcze spokój i cisza.

Od strony lasu w cieniu leżały psy stróże, na chłodniejszej ziemi powyciągane i jak martwe. Dwór stał otworem... drzwi i okna z poodsuwanemi okiennicami wpuszczały powietrze, lecz ono ziało jeszcze gorącem.

Ognisko w świetlicy było wygasłe i zarzucone popiołem, komory na rozcież poodmykane... nikogo nigdzie, żywej duszy... W podwórku kilka kur chodziło dziubiąc porozsypywane ziarna.

Wszystkie izby domostwa przejść tak było można, nie znalazłszy nikogo. Na tyle tylko od lasu, na ogromnym kamieniu, który leżał pod strzechą, siedziała bardzo stara niewiasta, zgarbiona wiekiem, z włosy siwemi, które z pod chust się wysuwały, siedziała i jakby na pół drzemiąc przędła.

Twarz jój opaloną, z pomarszczoną i posieczoną skórą, żółtą, pargaminową, mech starości pokrywał na policzkach i brodzie, oczu głęboko zapadłych dostrzedz prawie nie było można, z pod nawisłych powiek i brwi zarosłych bujno. Trzymała kądziel, ciągnęła nić bezmyślnie, zwolna i zatopiona w dumach jakichś, przędła nie przestając. Niekiedy palce przykładła do ust, aby je zwilżyć i nić

ciągnęła znowu, cienką, równą, gładką, choć bezsilne palce opierać się pracy zdawały.

Czasem wśród tego snucia zatrzymała się nagle, jakby jęć sił nie stało, potem przypomniawszy sobie kądziel, z pośpiechem znowu do niej powracała. Ubogo ubrana była starucha, nie mając na sobie nic oprócz płótna, a na nogach lipowych kurpi nowych, które je opasywały. Zapaska wełniana była ciemnej barwy, na szyi nawet żadnego sznurka i ozdoby widać nie było. Niewiasta długie już lata na świecie przeżyć musiała, jednak trzymała się jeszcze i nasłuchiwanie najmniejszego szelestu przekonywało, że ucho miała czułe.

Wśród ciszy psy, co nieopodal od staruszki leżały, popodnosiły głowy i jeden z nich rozpatrując się, niespokojnie zamruczał, jakby drugim dawał hasło. Wnet i reszta pozrywała się na nogi, wietrzyć poczęły, lecz stały niepewne... nic słyhać i nic widać nie było. Pokładły się znowu, ale głowy podniesione czyhały na szelest najmniejszy. Stara też od kądzieli na swych towarzyszów oczy zwróciła, jakby ich pytała o niepokój przyczynę. Ten, który pierwszy zamruczał, odzywał się jeszcze kiedyniekiedy, ale nie bardzo znać pewien siebie.

I długo tak nic słyhać nie było.

Słońce czerwone stoczyło się za lasy, a wnet i mrok szybko nadchodzić zaczął. Na północnej niebios stronie błada pokazała się pierwsza gwiazda, ku zachodowi jak złoty sierp stał wązki księżyc na młodziku.

W dali coś tętnieć się zdawało...

Staruszka wstała, zabrała kądziel i ruszyła się powoli ku dworowi, a idąc, obyczajem starych, mruzczała coś sama do siebie. Tuż i życie budzić się z zachodem zaczęło.

W powietrzu przelatywały dźwięki, bydło i owce biegły z pola. Klaskały pastuchów batogi, ryczały krowy i rżały konie, coraz bliżej słyhać je było. Starucha stanąwszy u płota wypatrywała je w dali i potrząsała głową, jakby panią była i gniewała się na niedbałe sługi.

W tém śmiechy i śpiewy tuż blisko doszły ucha staruszki i lice się jęć poruszyło, głowa podniosła, oczy skierowały ku dworowi. Głosy to były niewieście, wesołe, młode... Uśmiechnęły się też mimowoli usta stariej przadki i niespokojnie rozglądać zaczęła, wypatrując nadchodzących. Psy, które leżały spokojnie, skowycząc i podskakując się zerwały, jakby i ich uradowały te ludzkie głosy, po długiej ciszy. A w tém z lasu ukazała się cała gromadka dziewcząt w bieli.

Przodem szła najpiękniejsza, wysokiego wzrostu, smukła, ze śmiejącymi się oczyma, z ciemnym włosiem w kosy zaplecionym, z podniesioną raźnie główką, na której, oprócz rucianego wianuszka, niosła całą wiązanek świeżych leśnych kwiatów, aż na ramiona spadających. W białej koszuli i zapaskach, ze sznurami bursztynów i krasnych kamyków na szyi, przepasana czerwonym pasem, którego końce u boku spadały, szła tak jak leśna panna, królując widocznie tym co za nią biegły i w oczy jęć patrzyły.

Przed sobą w spódniczce podwiniętej miała pełno uzbieranych ziół i różnej leśnej zdobyczy. Dziewczęta też idące za nią niosły kobiałki na plecach, koszyki w

rękach, postrojone były w kwiaty jak ona, a lica im się wszystkim młodością śmiały i weselem.

Szły ku dworowi i śpiewały, ostatnia zwrotka piosenki skończyła się śmiechem, bo też i psy łaszac się ku dziewczętom przypadły.

Z drugiej strony becząca i wrzawliwie odzywająca się cisnęła do wrót trzoda. Cisza przed chwilą wielka zmieniła się w gwar życia pełny. Starucha patrzyła na dziewczynę z uśmiechem, a ta ku niej dążyła potrząsając uwieńczoną główką.

— O! udało się w lesie, udało — zawołała — całymi dzień prześpiewały w chłodzie, za grzybami chodząc i jagodami. Wszystkiego pełno... choć garściami garnąć... posucha w cieniu nic nie zwarzyła... Ptaszki nam śpiewały, a my im... i dzionek, babusiu, zszedł jak błyskawica...

— A jam tu go ledwie do końca doprzedła — rzekła złamanym z zaschłego gardła głosem stara.

— A ojciec?... — zapytało dziewczę — nie ma ojca?

— Ojciec do knezia jechać musiał... ale na noc powróci z Poznania... Niewielka to droga, a nocować tam nie ma po co... tylko go nie widać!..

Gdy tak gwarzyły i mówiąc się zwracały do dworu, dziewczęta z kobiałkami wyprzedzała ją zaczęły i śmiejąc się a swawoląc, do drzwi pędzić. Z drugiej strony od podwórza szli przeciw nim zaglądając parobcy, którzy z pola powracali, lecz zoczywszy ich całe to dziewcząt stadko, pobiegło się ukryć po komorach i głosy tylko młode słyhać było. Staruchę prowadziła zwolna dziewczyna, przymilając się do niej, a ta ją po twarzy ręką zmarszczoną gładziła.

U studni pośrodku podwórka ruch był wielki i wiadrom nie dawano spoczynku, czerpiąc chłodną wodę czystą, napawając się nią z rozkoszą.

Bydło tymczasem samo szło do swoich szop otwartych na spoczynek, a pastuszki i parobcy około koryta stojąc głośno śmieli się tak, jak to zwykło się wesoło rozkoszować, gdy pana w domu nie ma.

Ale na drodze tentent się dał słyseć i wielka ta wrzawa zaraz przycichła, psy biegły ku wrotom. Zdała na polu widać było jadący do dworu orszak cały, dosyć okazały, konnych i zbrojnych ludzi. Przodem na dobrym koniu jechał dorodny niemłody już mężczyzna pięknej postawy wojackiej, z ręką w bok, w krótkim płaszczu, a raczej sukni, zdjętej z rękawów dla gorąca i tylko na ramiona rzuconej. Miecz miał u pasa, nóż w pochwie za pasem, a u siedzenia na koniu młot wisiał nabijany gwoźdźmi złotymi i wyrabiany misternie, w skórzanęj objęty pochewce. Za nim kilku młodych jednako odzianych i zbrojnych dobrze jechało. Wyglądali wszyscy jakby z boju albo na bój się wybrali.

Poznać było łatwo, że do domu dążyli i obcymi tu nie byli, konie ich rżały niespokojnie, i oni oczy zwracali ku dworowi. Twarz jednak tego, co przodem jechał, nie rozjaśniła się na widok jego, poważny jechał i zamyślony.

Parobcy z pola przybyli postrzegłszy zbliżających się, podbiegli ku wrotom na ich przyjęcie. We drzwiach pod słupkami stało piękne dziewczę, tak jak z lasu

przybyło, uśmiechając się, a starucha rękę położywszy na jój ramieniu, drugą trzymając jeszcze swą kądziel, nie ruszyła się od jój boku.

Zdała już przybywający witał swe niewiasty, a one jego. Matka to była i córka, bo żony nie miał dawno.

Zsiadł tedy u progu gospodarz, konia zdając na parobka i pozdrowiwszy matkę, pogłaskawszy córkę, jak stał do świetlicy poszedł. I one ciągnęły za nim. A gdy na ławie za stołem siadł, kołpak zdejmując i czoło ocierając, stara z komory kubałek pełny napoju wyniosła.

— Pij synu — rzekła — na upał to jedyne... kwas brzozowy najlepiej gasi pragnienie... Słońce nas téż, jakby się gniewało, piekło cały dzień bez litości.

I patrzyły mu w oczy stara i młoda jakby myśli jego zgadywać chciały. Siedział posepny. Badać go nie śmiała matka, dziewczę było odważniejsze.

— Coś bo niewesoło od knezia Mieszka wracacie! — odezwała się — czyżby się co złego niosło?

— Co tam ma być! — rzekł Luboń — nie ma nic... Mieszek wojny patrzy i tęskni, gdy jój nie ma... Doma mu nudno...

Westchnął i popatrzył na córkę, która niewiedzieć dlaczego pod tém wejrzeniem ojcowskiem spłoneęła. Zaciężył jój wianek leśny, zdjęła go ze skroni i poszła z nim do komory. Dopiero po odejściu jój starucha się do syna zbliżyła i w oczy mu badając spojrziała.

— Licho nadało — zamruczał pocichu — zawsze mu się nasza dziewczka śni... ma żon sześć, a bez siódmej ani żyć... niechże jój szuka kędy chce, bo ja mojej nie dam... to darmo...

Pięścią o stół uderzył. Starucha w ręce plasnęła.

— Jeszczeby téż! — zawołała — jedyne oko w głowie, kneziowi dać na zabawkę... A co jój po tém... Tam szczęścia nie zazna, gdzie ich tyle... Dziewczynę co rychlój trzeba komu dać, aby mu ta chętką odpadła...

— Tak — dodał Luboń — matko droga... Gdyby ich u mnie dwie albo trzy było, i synów ze dwu dodatku, łatwoby dziewczynę zaswatać, ale ona u mnie córką i synem, a kto ją weźmie, ten mi dzieckiem być musi i następcą... Luboń ojcowizny nie spuści lada komu...

Głową potrząsł.

— Oj syna; syna mi żal! — westchnął.

— Serca sobie nie psuj — odezwała się baba łzę ocierając rękawem — oplakaliśmy go... i pogrzebli...

— A! gdybym go ja martwego widział i na stosie — mówił Luboń — nietyleby mnie serce bolało, jak myśleć, że on tam gdzieś niewolnikiem się obcym wysługuje z głową postrzyżoną... że niemcowi wodę nosi i drwa rąbie...

Zamilkli oboje; obojgu łzy się potoczyły, a słów nie stało.

— Nieszczęsna to godzina i dzień, kiedym ja go, dziecinę słabą, na nalegania i prośby z sobą na wyprawę wziął. Chciało mu się wojennój sprawy próbować zawczasu... Gdybyż padł od strzały... ale mi go z przed oczów niemcy chwycili... Jeszcze słyszę jego wołanie, jeszcze widzę go ręce wyciągającego ku mnie... a jam ranny, odcinając się sam trzem, w pomoc mu nie mógł pospieszyć... i

znikł mi z oczów... na zawsze...

Ręką uderzył po stole i sparł się na niój Luboń, a stara go po głowie głaskać poczęła płacząc.

Nie pierwszy to raz, ale setny może tak oplakiwali dziecko stracone, choć lat upłynęło wiele, jak o niém słychu nie było. W sercu ojca gniew i pragnienie zemsty rosły i gromadziły się z latami, a ile razy kneż Mieszko ciągnął na niemców, prosił mu się Luboń, aby téj krwi się napić, która mu jego krew zabrała.

Stał on za Odrę i Elbę do niemców z okupem, szukając jedynaka, a no już wszelka nadzieja była stracona, bo o dziecku wieści najmniejszej nie dostał, a lat kilkanaście od tego czasu upłynęło.

W milczeniu odstąpiła stara od syna, bo czas było myśleć, by sposobić wieczerzę, i choć dziewczęta już ją pewnie musiały nagotować, spojrzeć chciała stara gospodyni, co się tam działo. Luboń został tak sam z żalem swoim, na rękę podparty.

W tém psy u wrót ujadać zaczęły, i jeden z pachotków wszedł na próg.

— Co tam z psami? — zapytał pan.

— Podróżny o gościnę prosząc u wrót na koniu stoi... — rzekł pachotek.

— Co za jeden?

— Nieznajomy człek...

— A z wielu końmi?

— Sam jedzie.

— Zkądże się opowiada?

— Z nad czeskiej granicy.

— Prowadźcie go — odezwał się Luboń wstając — nie juści go od wrót odeślemy...

I pochyliwszy się u okno otwarte, spojrział. Podróżny niepozornie odziany, ze zmęczonego drogą konia zsiadał właśnie. Człek był młody, twarzy bladój, jakby przelekły i nieśmiały, broni przy nim żadnej widać nie było. Z odzieży trudno osądzić przyszło człowieka, bo się niczém nie odznaczał. Ciemną suknią był okryty, takiego kroju jak ją po niektórych ziemiach noszono, włos miał przystrzyżony krótko, czapkę lekką bez pióra.

Wyglądał ubogo, lecz wpatrzywszy się mu w lice, widać na niém było, że pod niém dusza mieszkająca nieleniwa. Oczy patrzyły mu rozumnie, młode czoło świeciło jakimiś myślami, a gdy do progu szedł, powagę miał jakąś i bezpieczeństwo dziwne, choć obcym tu był i nie wiedział, jak go przyjmą. I trwoga i wesele jakieś, i pomieszanie razem na twarzy się malowały.

Na próg wszedłszy, ujrzawszy naprzeciw siebie stojącego Lubonia, jakby mowy zapomniał.

— Szczęście i błogosławieństwo progom waszym, panie mój — odezwał się — podróżny jestem... do knezia jadę... tak... do Poznania — w tę stronę, noc mię zaskoczyła... o gościnę proszę.

Mówił jākając się i nieśmiało, a wciąż na starego spoglądał.

Luboń téż wpatrywał się w niego bystro, sam niewiedząc z kim miał do czynienia, bo do wojaka przybyły podobien nie był — i mowę miał choć swojską, ale skażoną.

— Przyjmuję was z ochotą — odparł stary — siadajcie

i odpoczywajcie. Wskazał na ławę, ale młody gość stał w progu i nierychło dopiero, pod oknem, zdala skromne zają<sup>[1]</sup> miejsce...

— Zkądżeście? i co was tu prowadzi — zapytał gospodarz — chleb podając do rozłamania na znak przyjęcia.

— Z daleka jestem, ojcze, — głosem cichym począł zwolna ciekawie się rozglądając podróżny — z daleka... z za gór, z za rzek wielu, bom wędrował dużo... Choć mi się język zepsuł, tutejszy jestem...

— Tutejszy? — podchwycił Luboń — zkąd?

Podróżny popatrzał się nań i zawahał się z odpowiedzią...

— Od Poznania jestem — wyjąkał głosem prawie drżącym — alem tu kilkanaście lat nie bywał...

I urwał.

Te słowa dziwnie jakoś w uszach zabrzmiały Luboniowi; siedział na ławie zdala, usłyszawszy je, powstał, i zbliżył się ku gościowi, wpatrując w niego pilnie. Przybylec siedział w cieniu, okienniczka była na pół zasunięta, Luboń ją otworzył, ale światła nie weszło wiele, bo na dworze mrok się robił. Klasnął w ręce o łuczywo na ludzi.

— Cóż to się z wami działo, żeście tu nie bywali tak długo, po obcych się włócząc ziemiach? — zapytał...

— Długoby to mówić było — wahając się jakoś począł gość. — Małém dzieckiem na wojnie, porwali mnie Niemcy od ojca...

Ledwie słów tych dokończył, gdy gospodarz skoczył oburącz go porywając za ramiona, i głosem, który dwór cały przeraził jak piorunem — krzyknął.

— Włast! tyś Włast!

Gość padł na kolana, za nogi go obejmował, i płakał...

Gdy dziewczyna weszła z łuczywem i postrzegła to, przestraszona rzuciła ogień i wybiegła, choć sama nie wiedziała co ją przeraziło.

W téjże chwili na krzyk Lubonia nadbiegła stara matka i córka... obie drżące i o Lubonia strwożone. Ujrzawszy nieznanego, który jeszcze klęcząc nogi jego ścisnął, a on głowę jego obejmował, okrywając pocałunkami — osłupiały.

— Włast! — zawołała stara.

I podbiegły ku niemu.

Jakże tu opisać to powitanie nieznanego po latach dwunastu... i tę radość osieroczonego ogniska, u którego nagle zjawilo się dziecię stracone i opłakane od dawna.

Luboń stary szalał prawie... staruszka drżała, a siostra nieśmiało temu młodemu mężczyźnie, który miał być jęj bratem, przypatrywała się zdala z ciekawością.

Sadzono go więc na ławie, a trzeba było napoić go i orzeźwić, bo i jemu wzruszenie siły odebrało.

Słaby téż i blady był, jakby znękany długą niewolą — a tu się pytania sypały, co się z nim działo, i jak przebył te lata. Ojciec nastawał szczególniej — a odpowiedzi syna ciemne jakieś były, niewyraźne i poplątane. I nierychło, jakby uspokoivszy się i myśli zebrawszy, rozpowiadać począł o sobie, jako w niewolę od ojca wzięty, przez Niemca zrazu do najtwardszych był posług zażywany, jak później go słabym uznawszy, dano nierycerskiemu panu jakimś za pacholę...

Z tym nowym panem dostał się Włast, któremu jak mówił, imię zmieniono na Matję — na dwór niemieckiego cesarza... potem do innych ludzi, którzy tylko Bogu służyli... a ci go nowych rzeczy nauczali, i z sobą zabrali do innej ziemi, na południe, kędy zimy nie było nigdy, i gdzie stał największy gród panujących wszystkim krajom na zachodzie. Tam na usługach różnych, i w spokoju bezorężne życie prowadził... i nie mówił by mu ono bardzo ciężko, tylko za domem i rodziną tęsknił zawsze.

Opowiadał Włast ojcu i swoim co się cisnęli, aby go widzieć, z obawą jakąś, wiele rzeczy połykając, o których znać wspominać im nie chciał, bo ojcu brwi słuchając się marszczyły. I nie mógł z niego dobać o wiele więcej nad to, że wojaczki całe zapomniał, obyczaju domowego zabył, języka się prawie oduczył, i że swoim stał się niemal obcym.

Smutno opowiadał to Włast, a smutniej jeszcze ojcu słuchać było, który, choć się cieszył z odzyskania syna — widział, iż z niego będzie musiał nowego uczynić człowieka, aby do siebie przystać mogli.

Gdy niejasne to, tęskne opowiadanie się skończyło, a wszyscy milczeli — Luboń chwycił go za głowę raz jeszcze i ucałował — rzekł:

— Dosyć, że cię mam — resztę sobie przypomnisz, gdy pobejdiesz z nami. Zasmakujesz w orężu i w dawnym życiu, a ja cię od boku mojego nie puszcę już więcej. I krew się w tobie odezwać musi.

Włast nie mówił nic, głowę z pokorą skłonił i zmilczał. A tu się sypały pytania, jak na tamtym świecie innym ludzi, miasta, wsie, wojna i pokój, i potęgi obce wyglądały.

Włast po troszę opisywał, skąpy był jednak w odpowiedziach, jakby go co za język trzymało, i łatwo dostrzedz było, że mu tam trochę serca zostało u ludzi, do których był nawykł, bo na obyczaj ich, wiarę i na życie z nimi nie narzekał, a wiele rzeczy chwalił, które tu były w ohydzie. Potęgę zaś cesarzów i kneziów tamtejszych malował wielką i straszną.

Luboniowi słuchać było nie miło i tęskno, ale ust synowi zamknąć nie chciał. Wieczór tak zszedł przy łuczywach, wesoło wprawdzie i dla Lubonia szczęśliwie, przecież nie tak, jakby był pragnął bo syna znajdował z obcych rąk wróconego, niemal sobie obcym, i co chwila ojciec i on się nie rozumieli. Naówczas Włast z pokorą mówić przestawał i powodował się staremu cierpliwie.

Późną już nocą starucha przyszła oznajmić, że dla wnuka gotowe było na sianie w szopie posłanie, gdzie go Jarmierz, starszy przy Luboniu nad jego seciną, miał zaprowadzić... Rozstali się więc jeszcze raz uściskawszy, i siostra przeprowadziła brata do proga.

Luboń został naówczas sam, ale stanąwszy u pościeli, zadumał się nie mogąc o śnie pomyśleć.

Radość w nim z jakimś strachem walczyła... lży niemieckie czuł na powiekach. Włast to był, jedyne dziecko, a nie ten i nie taki, jakim on by go mieć chciał. Cieszył się tém, że życie zamartemu powróci, wołał takiego mieć, niż żadnego, a wojak stary gryzł się razem, w synu

wojennego nie widząc ducha.

Żołnierzem naówczas był ziemianin każdy, a kto nim być nie umiał, ten niemal mężem i człowiekiem być przestawał. Więc kłął w duchu tych ludzi co mu na wzgardę dziecię bezsilne jakieś i kalekę oddali...

Więcej męztwa i ochoty bojowej było niemal w pięknej dziewczynie co się jego siostrą zwała.

Nie spał Luboń całą noc, a gdy świtać zaczęło, zmęczony na rosę wyszedł i powietrze, aby się orzeźwić.

Jarmierz, który z obowiązku o brzasku był na nogach, drogę mu zaszedł. Był to jego ulubieniec, którego jak syna kochał. Spotkali się u wrót, stary mu na ramieniu rękę położył.

— Cóż Włast?

— Jarmierz zmilczał. — Prawda — rzekł stary tęskno — Niemcy z niego babę zrobili — na moje dziecko nie wygląda.

Wojak jeszcze nie odpowiedział.

— Cóż robił wczora? — mówiliście z nim?

— Mało — odparł Jarmierz — uściskał mnie jeno, a sam zaraz na posłanie poszedł... Choć szopa ciemna, przypatrywałem się ciekawie co pocnie. Niewiem, czarnoksiężtwa chyba jakieś wyprawiał. Widziałem go, że poklął przy pościeli, złożył ręce i niemi dotykał czoła i ramion, w piersi się bił, głową o ziemię uderzał, aż mnie ogarnął strach. I szeptał sam do siebie dziwnie, jakby jęczał i płakał, skarżył się i prosił.

Trwało to długo... długo. W końcu znowu ręką pocałował czoła i ramion dotykać... i dopiero się udał na spoczynek. Jarmierz opowiadał cicho i z obawą. Luboń słuchał zadumany, ale nie rzekł nic — potem dotknął ramienia swojego sotnika i szepnął mu. Milcz o tém... Zabobony są niemieckie... ale my mu to z głowy wybijemy. Niech o tém nie wie nikt — prócz nas dwu w domu — rozumiesz. Skłonił się Jarmierz.

— Stanie się po woli waszój — odpowiedział — ale — źle jest.

— Źle — rzekł Luboń — przecie ja wolę o tém nie wiedzieć — tak mi łatwiej i lepiej będzie. Dać mu trzeba spocząć, niewolę niemiecką wydychać, do obyczaju swojego powrócić. Wy mu towarzyscie...

Śmiechem i weselem duszę mu rozgrzejcie... młody jest, prowadźcie go gdzie się młodzież zabawia. Oręż mu trzeba przysposobić, konia i zabawę wojenną... ja też nie zaśpię, ale ze starym trudniej się młody znajdzie, łatniej z wami.

— Jarmierz — ja tobie ufam.

Skłonił się sotnik, ale westchnął, znać nie bardzo sobie ufał... Luboń podwórko przeszedł raz i drugi... Pod słupami stała matka jego, którą też sen nie brał, stała zapatrzona gdzieś nie widząc nic i smutna.

Gdy Luboń zbliżył się do niej, pochyliła mu się do ucha.

— Nie nasz on — rzekła ponuro — nie nasz. Wiem co jemu jest, wiem... na swoją wiarę go nawrócili Niemcy, z oczów mu to patrzy...

Luboń sobie uszy zatknął rękami.

— Słyszeć nie chcę — wiedzieć nie chcę...

I nogą uderzył o ziemię...

— Nie! nie! nie — zawołał — brwi marszcząc...

Staruszka rękami powiała w powietrzu, spuściła głowę na piersi, założyła dłonie i sparszył się o ścianę nie mówiąc słowa, nie dając znaku życia, została tak martwą jak słup... i nieruchomą.

## II.

Radość i smutek razem przybyły ze Włastem do domu — cieszył się nim ojciec i niecierpliwiał prawie zniewieściąłem go znajdując, on nie śmiał się odezwać otwarcie, bo słowo jego sprzeczało się z myślami całej rodziny. Wszystkiego swojego między obcymi zapomniał.

Z serca odzywały się odżywione wspomnienia chwilami, rumieniło lice, i wnet jakaś obawa, wylanie się z uczuciem i poddanie mu wstrzymywała...

Luboń chodził niespokojny, stara babka podparta na dłoni mruczała, siostra nie śmiała przystąpić do brata, jakąś od niego odrzucana obawą.

Chrześcijańska wiara już naówczas nie była obcą nad Wartą, wcisnęła się do wielu rodzin, z cichymi apostołami co ją przynieśli, wielu było ochrzczonych i wyznających potajemnie Chrystusa, ale kryć się z tém musieli, gdyż tłum i lud zamieszkały po lasach i w głębinach kraju stariej wiary uparcie się trzymał.

Podejrzliwie patrzano na ochrzczonych i tych, co się od świąt i obchodów bałwochwalskich wyłączały.

Neofitów też wielu, choć ukryte krzyżyki nosili pod koszulami na piersiach, z obawy prześladowania, szli razem z innymi do ofiar na uroczyska, do świątyń i odbywali obrzędy zwykłe, mieszając z sobą dwie wiary, i zapominając z kolei to jednej, to drugiej. Duchowieństwa nie było stałego, coby w wierze utwierdzać mogło, przychodzili kapłani z Morawii, z Czech, z nad Łaby, apostołując pocichu i obawiając się osiedlić tu stale.

Na dworze Mieszka panował obyczaj pogański, a obok kneziowskiego grodu, stała tuż świątynia... i w niej stanice z postaciami bogów opiekunów. Nie jeden raz tam zaszła i wieść i apostołowanie nowej wiary, Mieszko słuchał sam nasam ciekawie opowiadań o potędze kneziów i panów co się ochrztili — ale czy się lękał, czy wzdragał surowości obyczaju chrześcijańskiego — do nawrócenia jeszcze nie okazywał ochoty.

Ci co się byli ochrztili, uchodzili za zdrajców i niemieckich przyjaciół, a lud niedowierzając im, stronił od nich i czyhał tylko na zrzecność pozbycia się jak wrogów. Niebezpiecznym było przyznać się do chrześcijaństwa, i głośno mówić o niem, bo krzyż w pojęciach tłumy jednoczył się razem z niemieckim panowaniem. Wszędzie też gdzie on wprowadzony został, dawna swoboda pogańska ustępowała miejsca surowej karności i władzy kneziowskiej jedynej.

Duchowieństwo przybywające z zachodu niesło także ideę postuszeństwa, i władzy wyższej... Nawykli do rządzenia sami sobą władcy i żupanowie, opierali się tej surowości, nowego prawa i znać go nie chcieli. Wszystka starszyzna wiejska i ci co razem w ręku mieli

patryarchalną władzę i kapłańską, z rąk jój wypuścić wzdrali się...

Nie tyle starych Bogów żalowano, co dawnego obyczaju...

Dziwne też pojęcie<sup>[2]</sup> o surowości bezlitosnej wiary Chrystusa krążyły, które też od niej odstręczały.

Zachowywanie postów, ściślejsze pilnowanie jednożeństwa — nadewszystko zaś ślepe posłuszeństwo starszynie duchownej — napełniały trwogą.

Wreszcie stara wiara z krwią oddawna w żyłach narodu płynęła, odzywała się we wszystkich najmniejszych życia czynnościach — wyrzec się jój zdawało się tak srogim, jak zaprzeczyć własnego żywota. Nieprzyjaciele wyznawali tę wiarę — przyjęcie jój było pobrataniem z nimi, poddaniem się ich panowaniu.

Wiedziano w słowiańszczyźnie, że wszyscy kneziowie i królowie pod jednym cesarzem zostawali, a wszyscy duchowni ich, pod najstarszym kapłanem, siedzącym gdzieś daleko na stolicy, z której rozkazywał światu. Do prawdziwych kłamliwe mieszały się wieści straszne, ciemnemu ludowi trudno było światło rzucić nowe, bo na nie gniewne zamykał powieki.

Z pewnych cech wiedzano już, jak chrześcian poznawać, krzyża znak, post, — zdradzały neofitów.

Stara Dobrogniewa matka Lubonia, pierwszego wieczora miała przeczucie, że Włast wracał nawrócony. Brak oręża, szata uboga, mowa, bojaźliwość, pokora, zaniepokoiły ojca i babkę.

Luboń wolał nie znać tego, niewiedzieć o tém. Spodziewał się dziecko powrócić do starego zwyczaju, babka jątrzyła się, gniewała, a że w jój pojęciach czarnoksięstwo łączyło się z religią nową i siłą wielką, zarazem się obawiała wnuka.

Hoża, siostra Własta patrzała nań z ciekawością niezmierną, nie widziała jeszcze nigdy takiego młodzieńca cichego i pokornego, tak niepodobnego do tych, co ją otaczali. Czują po niewieściemu, że to nie była niemoc, ale jakaś siła skryta i w sobie skupiona. I ona coś się domyślała — a dziwy jakie prawiono o wyznawcach Chrysta, nadzwyczajne w niej pragnienie obudzały i ciekawość.

Wszyscy zarówno czekali niecierpliwie, aby się Włast zbudził i wyszedł do nich.

Jarmierz w komorze ojcowskiej wybrawszy odzież nową, najlepszą i najokazalszą, czatował na przebudzenie. Lecz drogą i bezsennością, wzruszeniem samém znużony Włast spał długo, a gdy Jarmierz podpatrujący co chwila, wszedł później do szopki, znalazł go na kolanach, ze złożonymi rękami, modlącego się już znowu. Włast czy go spostrzegł, czy zatopiony w modlitwie nie posłyszał, ale nie ruszył się i nie powstał, aż modlitwę dokończył, i ziemię ucałowawszy, dopiero z pogodniejszą twarzą ku niemu się obrócił.

Jarmierz, który go sobie chciał pozyskać, udał że tego rannego obrzędu nie rozumiał znaczenia, pokłonił się wesoło i zapowiedział wskazując na odzież, którą we drzwiach trzymał gotową chłopak, że życzeniem ojca było, aby się Włast odział inaczej.

Jarmierz był przebiegły chłop i rozumny, wojak zręczny, człek śmiały — serce miał dobre, ale życie swobodne takie, jakiego używał, najlepiej mu przypadło do smaku i wszelka odmiana była wstrętną. Kochał on swojego pana Lubonia — jak ojca — któż wie, pochlebił sobie nawet może, póki dziecko cudownie odzyskane nie powróciło, że on je kiedyś zastąpi, ożeniwszy się z Hożą. Patrzył na ładne dziewczę, okiem gorącym, a staremu panu służył, krwi i potu nie żałując.

Pierwszy raz w życiu tej nocy, goryczą i kwasem zapłynęło mu serce. Wszystkie jego nadzieje w niwecz się obróciły, wszystka służba wierna marnie poszła. Syn powrócił. Patrzył nań z zazdrością jakąś i żalem Jarmierz i nieledwie się ucieszył, gdy dostrzegł, że chłopak był nieśmiały, a do serca ojcu wojakowi z trudnością mógł przypaść.

Uczucia więc jego dla przybysza, nie były bardzo życzliwe — miał doń żal, a jednak, ujmującego w sobie coś takiego miał Włast, że gdy się doń odwrócił i uśmiechnął, podając rękę na powitanie — Jarmierz uczył, sam niewiedząc, litość czy poszanowanie, a zazdrość na chwilę w nim wystygła.

— Ojciec wasz a pan mój, junoszo Włastie — rzekł — pokazując na chłopaka, który odzież składał przed nim, życzy sobie, abyście suknie zmienili, aby się i pamięć nie została dawniej biedy. Przyniosłem wam, co było najlepszego, będzie w tém lepiej, niż w stariej podróźnej siermiędze.

A i bez miecza, synowi pańskiemu być nie przystoi.

To mówiąc, śmiał się do niego. Włast stał patrząc w ziemię zmieszany jakoś i smutny.

— Jabo — ja... — rzekł — tak do tej sukni nawykłem.

— E! nie ma jój co żałować — śmiejąc się ciągle wesoło, mówił Jarmierz. — Tu u nas zobaczycie obyczaj inny, swoboda zdrowa, życie wesołe. Koniam dla was nagotował jak ogień, łuk, procę i oszczepkę.

Włast oczy nań podniósł bojaźliwie.

— Mój kochany Jarmierzu, ja się z tém obchodzić nie umiem! — odezwał się głosem drżącym.

— A cóżście wy tam między Niemcami robili? Nie jużście w spódnicyście chodzili, junoszo Włastie. E! toć trzeba tego pozbyć. Ja was pamiętam dawniej, bom mało co od was starszy — choć wy mnie może nie pamiętacie — wyście dzieckiem rwali się do dzidy i młota, ledwie mogąc go dźwignąć. Jakże się to stało, żeście tak odmienić się mogli?

Włast zmilkł — spojrzął na wesołego sotnika, i uśmiechnął się smutnie.

— Kiedyś to zrozumiecie — rzekł po namyśle...

— A wy tymczasem przypomnicie sobie młode czasy — zawołał Jarmierz. — Stary Luboń mi wam służyć kazał, zobaczycie, że wam dobrze usłuży. Będziemy się na koniach pędzali po lesie ze psy i oszczepami, aż się dusza rozraduje! Hej! hej! może się tam i inna zwierzyna nadarzy, białe dziewczę w wianusku, co ze śpiewką błądzi po lesie. I bez tego, bo wyżyć trudno.

Włast ręce zacisnął, załamał, zapłonął cały i powiódł przestraszonymi oczyma.

Przed nim leżała odzież przyniesiona, patrzył na nią z trwogą.

— Czyż koniecznie mam zrzucić moje odzienie? — spytał — czyż koniecznie?

— Stary tak kazał, a on nieposłuszeństwa nie lubi — odezwał się Jarmierz z cicha — tak — tak, i miecz trzeba przypasać do boku.

Włast zamilkł, zamyślił się nieco i leniwo ściągać począł odzienie stare. Gdyby w szopce nie było tak ciemno, Jarmierz ciekawymi oczyma dojrzałby był łez na jego powiekach. Mały węzełek, który wioził z sobą przytroczony do konia Włast, leżący teraz przy pościeli z niepokojem jakimś obejrzał — jakby się o niego zatroszczył.

— Powiedzcie mi, gdzie ja to mogę złożyć bezpiecznie? — zapytał.

— Jakto, bezpiecznie? — podchwycił Jarmierz zdziwiony. — Ja nie wiem jak tam u Niemców jest, a no u nas drzwi wszystkie otworem, leży każda rzecz gdzie chce, nikt jój nie ruszy. Jakem żyw, nie słyszałem, żeby sobie co kto przywłaszczył! Gdzie położycie rzeczy wasze, nikt ich nie będzie śmiał ruszyć.

Włast pomyślał chwilę.

— Prawda, tak i dawniej bywało! — odezwał się — ludzie u was dobrzy.

— To wiemy, że u Niemców na klody zamykają drzwi, wrota i skrzynie. U nas tego nie było i — nie ma, dodał Jarmierz. A no — rzekł — widząc, że się Włast nie spieszy, odziewajcie się, ojciec czeka.

— Dziś — mówił dalej — dzień jeszcze przejdzie spokojnie, jutro może, a potem toć uroczycie obchodzić musimy powrót wasz i sąsiady zaprosić i z pańskiego dworu z Poznania, pewnie starszyna się przysunie na stare miody.

Twarz słuchając, pobladła Włastowi, wdziewał tymczasem podane suknie opieszale i jakby ze wstrętem. Były one z cienkiego sukna i bramowane, barwy jaśniejszej, kroju pięknego i Włast też w nich całe się wydawał inaczej. Jarmierz sam mu mieczyk przypasał.

— O! teraz — zawołał — toście do ludzi podobni. Na drogę, do przekradania się dobra była sukmana ładajaka, a dla syna Władki Lubonia nie przystała.

Włast odziany był — mieli wychodzić, zakłopotał się jednak o swój węzełek znowu.

— Dajcie mi go, zaniosę Dobrogniewie do komory.

— Nie — nie, wezmę go sam — zawołał niespokojnie Włast, i z pewnym poszanowaniem, ujawszy swój węzełek, wyszedł z Jarmierzem z szopki.

We drzwiach dworu pod słupkami stała Hoża w wianku, zobaczywszy idącego brata i niosącego ciężar na rękach, uśmiechnęła mu się wesoło, z ciekawością zaglądając w oczy.

— Dobry dzień! — zawołała — dziś wam lepiej w sukni nowój. Ale cóż niesiecie?

— A! nic — odparł Włast — ot, różne podrózne moje rzeczy, które potrzeba w czystym gdzie miejscu złożyć bezpiecznie.

Dziewczę wyciągnęło ręce białe.

— Dawaj! — zawołała.

Zawahał się nieco Włast, lecz po chwili oddał je siostrze spokojny, a Hoża znikła z niemi.

Z za drzwi Lubonia, ale jakoś zasepionego widać było. Syn mu do kolan przypadł. Popatrzał nań i lice się rozjaśniło trochę, wdzięcznie też okiem rzucił na Jarmierza.

Weszli wszyscy do izby.

Tu stara Dobrogniewa pilnowała dziewcząt zastawiających obiad ranny na misach glinianych. Był to Piątek właśnie, ale poganie dni nie rozoznawali inaczej, tylko je licząc po księżycu zmianach.

Gdy Włast na stół spojrzął, lice mu żywym zapłonęło rumieńcem. Wahać się zdawał czas jakiś co pocznie, stał pomieszany, a ojciec już siadłszy, ręką go do siebie i jadła wyzywał.

Pierwszą próbę miał młody chrześcjanin do przebycia w domu. Był na nią i przez siebie i przez duchownych przygotowanym, ale od niego samego należało uznanie jak sobie postąpić był powinien. Po namyśle zasiadł z westchnieniem i dla niepoznaki razem z ojcem i Jarmierzem jeść zaczął, ale skromnie i zwolna.

— Gniewaliby się na mnie sąsiedzi i mieliby prawdę po sobie, żebym im nie dał znać, iż mi syn wrócił z niewoli, i jakby na nowo się narodził. Trzeba posłać po dworach z wesołą wieścią. Na ósmym dniu po nowiu niech się druhowie zjadą, aby objatę ze mną Bogom złożyli. Jarmierz pośle parobków, a wie kogo prosić.

Sotnik głową skinął.

— Na dwór ja do pana a knezia sam z nim pojedę — dodał Luboń — albo dziś lub jutro.

Włast nie śmiał nic rzec.

— Ale spocząć i orzeźwiać się trzeba junoszy — wtrącił Jarmierz.

— Do łaźni go weźmijcie — dodał Luboń — a potem się wyleży, wyśpi, i ta bladeść którą na twarzy przyniósł, zejdzie z niego.

Mówili tak — stara Dobrogniewa u drzwi stojąc z założonymi rękami, milcząc, we wnuka się wpatrywała, jakby czekała, żeby go chwycić i sam na sam z nim rozmówić. Zaglądała i Hoża, do ojca i do niego się śmiejąc, bo jój — dotąd jedynacze wiele wolno było, jak hodowanej ptaszynie, co siada kędy chce i szczebioce swą piosnkę niepytajac.

Wnet po strawie Jarmierz na konia chciał posadzić Własta, który mu się wyprosił, ojciec jechał na łowy, bo na przyjęcie sąsiadów dzikiego mięsa było potrzeba — ale synowi pozwolił doma zostać. Włastowi więc dano wolność — a gdy się rozeszli i on na przyźbę też powoli wysunął, poczuł za sobą idącą starą babkę.

— Włast — rzekła mu półgłosem, chodź ty za mną.

I skinęła nań wiodąc go w tę stronę domu ku kamieniowi, gdzie zwykle z kądzielą siadała w cieniu. Hoża też chciała za niemi iść, lecz stara jój znacząco ukazała na drzwi i dziewczęcę znikło.

Kądziel wzięwszy z pod ściany, bo bez tej się nie ruszała starucha, powlokła się na swe zwykłe siedzenie. Włast stanął nieopodal. Przysposabiając len i próbując wrzeczona, stara poglądała na niego; namyślając się co

mówić. Twarz miała czegoś posępną i jakby gniewną.

— Dwanaście lat — odezwała się — dwanaście lat, to strasznie długi czas — poczęła zwolna w pół do siebie, w pół do niego, jam się do reszty skurczyła i złamała — a z ciebie te niemcy krew wypili!

O! nie może być — westchnęła — aby dłużej niewoli u obcych nie zostało śladu, nie może być!

Popatrzała nań.

— Zarazić cię musieli swojemi czarami i zrobić niemca. Któż to nie wie, że ptak hodowany do leśnego niepodobny. Tak i ty. A cóż? a cóż? pewnie! Nie zapieraj się. Ja stara, mam już siwy włos, wiem wiele, przez oczy patrzę w człowieka.

Poczekawszy trochę, gdy Włast nic nie odpowiadał, ciągnęła dalej:

— Teraz to wszystko trzeba zapomnieć, a co zapomniane, odnowić — rozumiesz Włastek? — Ja ciebie na rękach nosiła? ja cię chodzić uczyłam, ja cię mówić zmusiłam, ty nasz, ty krew nasza, trzeba co tam było zapomnieć. Pokiwała głową starucha.

— Niby to my nie wiemy, co od niemców ludzie wynoszą. Swoje u nich Bogi zapominają, a my tu cudzych nie cierpiemy.

Wiesz Włast — tam na Pomorzu, przychodził jeden z nowym Bogiem do nich, to go zabili... I dobrze zrobili! Dobrze. Nasza ziemia do naszych Bogów należy, a cudzy tu nie będą panowali — nigdy! Posyłają przodem swojego Boga, aby im ziemię zawojował, a z nas niewolniki uczynił? Tak! my to wiemy.

Zamilkła trochę i nie poczęła wyciągać długą, a potem kręcić na kolanach wrzecionem, głową tylko potrząsając, czekała znać, aby Włast coś jej odpowiedział, ale wnuk milczał. Myśli mu różne chodziły po głowie, nie wiedział od czego ma rozpoczynać.

Starą to utwierdziło w przekonaniu może, iż winowajcę przed sobą miała i znowu mrucząc zaczęła.

— Słuchaj Włast — słuchaj — ojciec na ciebie wczoraj patrząc smucił się radując, boś ty nam odmieniony powrócił. Gdyś był dzieckiem, to cię z konia zsadzić nie można było i do izby napędzić. Pamiętam sama, żeś tak ciskał oszczepem, że nim ptaki biłeś, a teraz ty to potrafisz?

— Nie — odezwał się Włast — nie babo miła, teraz oszczepu w rękę nie trzymałem dawno — lecz, wiercie mi, nauczyłem się wielu innych rzeczy, które się u nas przydadzą.

— Mówże, czego? — spytała Dobrogniewa.

— Patrzałem jak tam około roli i ogrodów chodzą — jaki ład koło domów, jakie budowania kamienne.

Starucha ręką z wrzecionem zaczęła wywijać w powietrzu.

— My nie rolnicy, to chłopska rzecz — odezwała się, władki syn nie potrzebuje roli patrzeć. Jemu do tego nic — na to są parobcy i bartnicy, chleba stanie. Wasza rzecz koń, dzida i oszczep.

Włast zmilczał znowu.

Dobrogniewa poczęła mruczeć coś niewyraźnie, podniosła oczy na niego, zaczerwienione, jakby krwią zaszele i

przędła. Ze starą mówić nie było można, zmilczał wnuk i widząc, że ona też rozmowy nie rozpoczyna na nowo, byłby odszedł, gdyby niewyraźne jej mruczenie, znowu się w głośniejsze nie zmieniło.

— Zabili tego na Pomorzu! zabili! — mówiła do siebie niby — dobrze zrobili, zdrającą był, na niemców ich chciał nawracać, do niewoli. Włóczył mu pierś przebili. Kamieniem głowę roztrzaskali, dobrze zrobili. Ciało wilkom rzucili, dobrze uczynili! dobrze.

Oczy stariej zwróciły się ku miejscu, gdzie stał Włast nieruchomy, sądziła, że go ustraszy, ale na bladej twarzy wnuka, nie widać było najmniejszego śladu obawy. Uśmiechał się łagodnie.

Milczeli potem oboje. Włast jeszcze się wstrzymał i po długiemi wahaniami przybliżył do staruszki.

— Dziękuję wam za przestrożę — odezwał się — serce ją macierzyńskie natchnęło — ale babuś kochana, gdy tu szedł, po dobrej woli, wiedziałem co mnie czekać może i że na gody nie idę, ale na trudne życie. Tęsknota mię do was i miłość przyprowadziła i powinność. Więc jeszcze za przestrożę dziękuję.

Stara pogroziła mu palcem.

— My cię opłakali, myśmy cię kochali — ale niemca z siebie zrzucić, bo choć nasza krew, my cudzego tu nie zniesiemy nic!! Taka ja, a ja co? wiedźma stara — ale taki ojciec twój i tacy my wszyscy.

Domawiając tych słów, wrzecionem trzy razy uderzyła w ścianę, przy której siedziała. Na ten znak zaszeleściło coś i Hoża nadbiegła. Tej stara wskazała na Własta, jakby nakazując, aby go sobie wzięła i siostra skinąwszy nań, poprowadziła go na pierwsze podwórce.

Od wczora ledwie słów parę przemówili do siebie. Hoża była ciekawą, skorzystała więc ze swobody i na ławie z nim usiadła w przedsienu, wpatrując się w brata z zajęciem wielkiem. Włast nieśmiało patrzył na nią.

— A Włastku ty mój — poczęła zwolna się ośmielając, co tu za tobą łoż się wylało i przekleństw na niemców poszło! Biedny ojciec, jak on nigdy zapomnieć nie mógł, że ranny obronić nie potrafił porwanego. A któż nawet pomyślał, że ty kiedy powrócić możesz do nas?

Chyba mnie się to jednej czasem śniło. Ale mówże, mów, co się działo z tobą i gdzieś bywał, i jak cię oni męczyli! a mów! Wczoraj słuchałam podedrzwiemi, gdy cię ojciec pytał, i małoś co mu powiedział. A przedemną możesz wszystko a wszystko.

Włast z uśmiechem dobrotliwym patrzył na nią.

— Powoli to się wszystko wypowie — począł — odrazu trudnoby się zrozumieć, Hoża moja. Było mi zrazu bardzo źle, bo mnie jak niewolnika postrzygli i do ciężkiej pracy wzięli. A zem zręczniejszy był, choć nie bardzo silny, potem w piecu pana palił i u stóp jego łóżka sypiał. Czasem mi tarczę i oszczep nosić dawał. A coś z rok to trwało. Aż się na zamku zrobiła wrzawa wielka, że cesarz z obcej ziemi przyciągnie na wiosnę.

— A któż to jest? — spytała Hoża.

— Jest to pan nad wszystkimi panami, kneziami ich i królami i nad ziemiami wszystkimi, które on jednym odbiera, drugim daje jako chce. Na rozkazy jego stawia



się wszyscy i służą mu. I mój też zaraz ludzi zebrawszy, na święta do cesarza ciągnął, gdzie mnóstwo<sup>[3]</sup> ludu już było z dalekich ziem. Dostało mi się z nim też jechać, do noszenia tarczy i włóczni i odziami mnie na to, a ze dworem razem ciągnęliśmy do grodu, gdzie cesarzowi mieli kłaniać się i dary przynosić wszyscy. A żem w domu sokoła czasem nosił, który był bardzo piękny i mądry, przystroiwszy mnie pan mój, wraz z sokołem cesarzowi ofiarował.

Przeszedłem tedy z niewoli mojego małego pana, w niewolę wielkiego — a raczej w niewolę niewolników jego, ale tak chciał los mój. Tu krótko pobywwszy cesarz, obdarzywszy kneziów swych i markrafów i urzędników, nazad do południowej ziemi państwa swojego ciągnął i ja z sokołem i ze dworem.

Gdy Włast mówił tak, a Hoża sparszył twarz na rękach z uwagą mu się przysłuchiwała — doszedłszy do tego miejsca, wstrzymał się nagle, jakby przypomniawszy przed kim mówi. Pomilczawszy dopiero i myśli zebrawszy, dodał krócej zbywając siostrę.

— Tamem w tym kraju przebywał długo, ale mnie cesarz dał innemu panu, który nad świątynią tego kraju pewno starszym był. Więcem i u niego i przy niej służył, zapatrując się na ich obyczaje.

A potem — dodał zrywając i spuszczać oczy — darowano mnie wolnością, bo starzec u któregoś służył, dobry był i serca miłosiernego. Pozwolili mi iść kędym chciałem, dawszy na drogę odzież i suknię i co było potrzeba, a polecając mnie ze dworu do dworu dla bezpieczeństwa. I tak z panami jadącymi do niemiec, to z jednym to z drugim w ich orszakach, dobiłem się aż nad Łabę, tęsknica mnie za wami wzięła i przebiłem się aż tutaj.

Umilkł Włast, a ona jeszcze słuchała.

— Jestże to inny kraj niż nasz, ten w którym byłeś tak długo? — spytała.

Włast się uśmiechnął i westchnął.

— Nie ma w nim zimy — rzekł — cały rok zieloność trwa i kwiaty tam kwitną, a jeżeli czasem niebo się zachmurzy i z deszczem śnieżek popruszy, znika tak, że go chyba w powietrzu zobaczy. I dziwnie tam piękne niebo i słodkie powietrze i owoce smaczne.

— A ludzie?

— Ludzie? — powtórzył Włast — czarni i opaleni i gwałtownego serca, ale rozumni i wspaniali zarazem.

— A wieś?

— Domy i grody o jakich nam się nie śniło — rzekł Włast. — Po jakimś narodzie co tam panował, olbrzymie mury zostały, i nie ma domostw tylko kamienne a wysokie kamieniem wykładane drogi, a rzeki górą płyną w korytach ze skał kutyach.

Niedowierzająco dziewczę bratu w oczy spojrzało. — Włastowi świeciły źrenice i usta się śmiały.

— A! — mówił — więcej tam daleko cudów jest, niż moje usta wypowiedzieć mogą, a twoje serce uwierzyć. W kamiennych tych domach, skarby są zaczarowane, złoto i kamienie jasne i ze złota a kruszcu lane i rzezane postacie jak żywe.

Jakież to język wypowie? A któż opisze tego cesarskiego dworu wielkość i potęgę i tych wojaków w żelazo pookuwanych całe zastępy, któreby mogły świat zawojować! I przepych ich sukni, ich wozów, koni i mądrość ich kapłanów.

Nagle zamilkł Włast, a Hoża milcząc, zawsze jeszcze słuchała.

— A! — zawołała po cichu — jakże się tobie bracie wydadzą teraz lasy nasze, i drewniane dwory i puste kraje. Ty będziesz śnić i tęsknić za tamtymi! A nam — gdyby nam złote obiecywano góry i nie wiem jakie niebo — ach — jabym nie mieniała kraju bez zimy na nasze smutne nocy burzliwe!!

— I jabym nie mieniał — przerwał Włast — i nie zatęsknię ani za dworem, ani za złotem — ale za jedną zatęsknię rzeczą.

Głos mu cichł zwolna i ustał.

Siostra uśmiechając się patrzyła, a myślała, jaka ta jedna rzecz być mogła, za którą brat jój miał tęsknić. Rumieniec okrył twarz, serce uderzyło — myślała w duchu.

— Wiem! ale powiedzieć nie śmiała i twarz ukryła w dłoniach.

Włast też, jakby się domyślał czegoś, pokraśniał i zadrżał.

— Hoża moja — rzekł — za czém ja tęsknić będę, to ci kiedyś powiem nie dzisiaj, ale to wiedz, że ani za człowiekiem, ani za stworzeniem żadnym, ani za bogactwem, ani za skarbem żadnym ja tęsknić nie będę, tylko za czemś, co nad wszystkich ludzi, nad skarby wszelkie, nad życie nawet jest droższém. Ale dziś, to musi dla ciebie siostrzo moja, tajemnicą pozostać.

Zamilkł Włast. Hoża zbladła i nie odezwała się, sparta na rękę zadumała się głęboko, któż zgadnie o czém, o kraju bez zimy, o tém co nad skarby droższe, o brata tajemnicy, o innych ludziach i światach?

Od kilku już chwil stojący nieco opodal Jarmierz, patrzył na nich okiem ciekawém i zazdrosném, jakby ich chciał podsłuchać — przy nim stały dwa konie pokryte sukniem i do jazdy gotowe. Jeden z nich zarżał i Włast drgnął mimowolnie posłyszawszy głos jego. Spojrzył — Jarmierz dawał mu znaki — czas było po staremu na koń sięść i rękę do oszczepu wprawiać na nowo. Niechętnie wstał Włast — ale być musiał posłusznym.

### III.

Naznaczonego dnia na Krasnągórze zawczasu się zaczęli zjeżdżać sąsiedzi.

Na przyjęcie ich we dworze wszystko już było gotowém, lecz że się wielu spodziewano, a dwór acz obszerny, nie starczył dla tylu gości, dzień się zaś obiecywał pogodny, bo od rana białe tylko chmurki przebiegały po niebie, a wiatr chłodnawy powiewał ze wschodu; w lasku za dworem poustawiane były w cieniu drzew starych długie stoły z tarcic, ręcznikami sztytemi czerwono pookrywane. Do przyjęcia gości niewiele naówczas było potrzeba, gdy

wszyscy z jednej czerpali misy i z jednego krajali sobie mięsa nożami, które każdy miał u pasa. Proste kubki do napoju służyły, a z wytoczonej beczki nalewano do dzbanów, które po stole krążyły. Pańskie stoły tylko bogatszym kruszczem naczyń się różniły. Zamiast w kuchni, u ognisk na podwórku piekły się całe kozły, barany i dziki.

Cała służba niewieścia od rana w wielkim była ruchu, a stara Dobrogniewa, choć nie rzucała kądzieli, wlokła się często niespokojna zaglądać, co się z jej dziewczętami działo, zwłaszcza, gdy głośniejsze śmiechy od strony ognisk się rozległy. Naówczas wychodziła stara ze swojego zakąta i rękę z wrzecionem, którego nigdy nie puszczała z niej, podnosząc do góry, niemą tą groźbą zmuszała zbyt wesołą gawieź do chwilowego milczenia. Wkrótce jednak potem, gdy groźne widmo znikło z oczów, zaczynały się szept i gżenia, rosły, podnosiły, śmiech ogarniał znowu i zwyciężał strach, a rodził wrzawę.

Od rana Luboń w najpiękniejszym swym stroju z sukna cienkiego, sznurami szytym i taśmami, chodził rozglądając się około domu. Taką samą suknię jak sobie, na znak następstwa, kazał wdziać synowi, odziewszy go zupełnie jednak.

Mieczyk mu dobrano podobny i wszystek przybór, a przykazanie było, aby się od boku ojcowskiego nie oddalał.

Jarmierz stał na czele pachotków i służby. Żłoby dla koni wcześniej pozasypywano owsem, siano świeże zapełniało drabiny; pomyślano wedle praw stariej gościnności, aby i ludzie i konie i psy gościnne głodne nie były. Wielu bowiem jadąc psy z sobą zabierało, aby przez lasy i pola jadąc, nie próżnować.

Już kilku bliższych sąsiadów w podwórku z gospodarzem rozmawiało, na syna spoglądając a żaląc się nad nim, iż blade a mizernie powrócił do domu, gdy zatętniało i szybkim konia pędem wpadł na podwórze barczysty, zarosły, zasapany człek, wesołego oblicza, oczu wypukłych, rażny a butny, i z konia skoczył, mimo otyłości, jak młody chłopak, ale cugli jego z rąk nie puszczał, z nim razem podszedł do gospodarza.

Ten skinął aby mu konia wzięto, ale przybyły oddać go nie chciał.

— Ja zaraz powracam — rzekł — słowo tylko, szczęśliwy Luboniu, panie mój... Dobrą wam zwiastuję nowinę. Mieszko, pan nasz miłościwy zasłyszawszy, że u was gody, sposobi się też przybyć, choć nieproszony. Bałem się, abyście frasunku ztąd nie mieli, gdyby niespodzianie was zaskoczył... Wziąwszy więc konia na przełajem się puścił lasami... byście w gotowości byli na przyjęcie pana miłościwego...

Luboń pobladł trochę i czoło pocierał.

— Wielka to cześć dla domu mojego — rzekł — miłościwego pana gościć... anim wart...

— Miłuje bo was nad innych — odparł zasapany poseł. Luboń głowę skłonił pachotkowi, który stał niedaleko, miodu kazał podać, aby się przybyły pokrzepił, ale na twarzy więcej widać było zakłopotania niż radości.

Miód wnet przynieśli, a Stogniew, który był u dworu knezia starszym, pił za zdrowie gospodarza i syna jego.

Potem ledwie okiem rzuciwszy po podwórzu i zebranej drużynie, rękę podał i już na konia się sadowił, a tak rażno znów na grzbiet mu skoczył, iż się aż patrzący zaśmieli. Ręką ich pozdrowiwszy dokoła, do wrót nazad ruszał, ledwie za nie wyjechawszy, konia pocisnął i już tylko tuman kurzu zwijał się przez półko bez drogi ku lasowi.

Luboń też zaraz znikł. Szedł do znanego kamienia, na którym stara prządka siadywała.

— Matko — rzekł — licha nasza dola, choć cześć wielka... Knezia będziemy mieli, Mieszek przybędzie...

A nie co go tu prowadzi, ino Hoża, bo mu już świeżej trzeba... Niechże się schowa, aby jej nie było... bo kocha on mnie, kocha... miłuje i czci, ale córkę od studni chwycić każe, aby tylko mógł...

Potrząsł głową stary. Dobrogniewa też wstała biorąc kądziel z sobą i poszła zaraz wnuczki szukać.

Było w obyczaju że niewiasty gościom, zwłaszcza dostojniejszym, służyły, jadło i napoje przynosiły, sługi doglądały z daleka, chociaż do stołu z mężczyznami nie siadały nigdy. Sposobiła się więc i Hoża wystąpić jako gospodyn i przybierała właśnie w izdebce. Dwie skrzynie malowane stały otworem, a niewieście stroje porozrzucane leżały. Hoża tylko co lśniące kosy posplatawszy, wianuszek ruciany świeży miała kłaść na nie, gdy starucha z nieodstępną kądzielą na progu się ukazała.

— Hej! — rzekła — strojuby tego dosyć było... bo wam dziś rumianego liczka na gorące słońce nie wystawiać... Zaświeci nam tu takie, że spalić może i twarz i wianuszek zwarzyć... Niechaj Hożę główka boli... bezpieczniej w chłodzie przesiedzieć południe...

Dziewczę zdziwione patrzyło, gdy stara przystąpiła szepcząc.

— Mieszko kneź przybędzie tu... już o nim ojciec wie... i nie chce, byś się pokazywała.

Splonęło dziewczę i ręce jej od wianka opadły.

— Cóż ci? żal? — zapytała starucha. — Ej! czego znowu? Wleź na strych, a odsuń dranicę... będziesz wszystko widziała... a ojciec nie chce, aby na ciebie patrzano.

Hoża siadła na tapczanie i głowę zwiesiła.

— Wola pana a ojca... będąc posłuszna — ozwała się — ani mi tak bardzo żal... aleby mnie też nie zjadł oczyma! Dobrogniewa głową kiwała.

— Co ty wiesz? przepiórko ty młoda! — poczęła mrużyć — co ty znasz?.. Oczy jedzą! oj! jedzą oczy! a z kneziami dziewczętom nie żartować. Już on cię, prawda, napatrzył raz, już ślali od niego, że za siódmąby cię brał, a ojciec mu powiedział, tylko za jedną i jedyną ją dam... A no, cóż? wówczas syna nie było? tyś mu była córką i synem... teraz Własta ma, czemu by cię za siódmą nie miał kneziowi dać?.. Choć — ciszej mówiła stara — z tego syna, z tego Własta, nikomu nie będzie pociechy... niemiec w nim siedzi...

Widząc dziewczę zasmucone, stara się do niej zbliżyła, pogłaskała ją po głowie, usta do czoła przyłożyła,

westchnęła i powoli wyszła napowrót.

W podwórku i pod drzewami coraz zaczynało być ludniej i gwarniej. Przybywali z okrzykami przyjaciele, powinowaci, sąsiady zdaleka nawet. Każdy przynajmniej ludzi i koni z sobą miał dziesiątek, i czeladzi gromada jeszcze była większa niż gości. Za szopami, gdzie się to wszystko zbierało i gdzie już piwo stało, chleb i pieczone mięsa, wesołość i ochota też większa była, niż między panami. Śmiech kiedy z tamtej strony buchnął, to jak grzmot się rozlegał.

Już słońce się miało ku południowi, gdy posadzony na dachu sługa, aby zdała o kneziu znać dawał, począł wołać, że od Poznania tuman kurzu się toczy. Luboń tedy z synem i powinowatymi a rodem całym i przyjacioły wyszli za wrota z chlebem i powitaniem, aby pana przyjąć poczestnie.

Kneziowie już ówczesni całę inną niż dawni mieli władzę. Sto lat wojen z Niemcami i sąsiady łupieżcami, choć jednego rodu a niezgodnymi, zwiększyły potęgę wodza i urósł mu zastęp zbrojny co go otaczał, o wiecach dawnych, radach i swobodzie ledwie się kto śmiał odezwać. Jak czasu wojny kneź był już panem życia i śmierci, i majątności, a choć zważał na to, by ludzi nie drażnić i starszyznę czczył, nikogo o to nie pytał co chciał poczynać, a co chciał to poczynał i dokonał.

Piastów ród też niesrogi był, gdy złej woli przeciw sobie nie widział; pamięć w nim jeszcze żyła, że z ludu wyszedł i między kmieciami powinowatych miał. Ale przeciwieństwa pan znosić nie chciał i nie mógł, aby nieładu nie dopuścić. Lękano się więc knezia i szanować musiano, i była przy nim siła wielka, a może większa niż za onych czasów, gdy Pepeków zrzucano za srogość i ciemność.

Nim się orszak kneziowski ukazał, wszyscy goście z gospodarzem na czele już u bramy stali.

Mieszko dojeżdżając do Krasnogóry zwolnił koniowi kroku, i czas się mieli mu przypatrzeć, jak przodem na siwym koniu, w bok się wzięwszy, z pańską miną, głowę do góry wzniosłszy jechał, uśmiechając się wesoło.

Odziany był płaszczem lekkim, a na sobie miał odzież letnią, ale naszywaną bogato, i pas cały nabity złotem ozdoby i pióro białe u czapki. Miecz też u pasa w pochwie złotej wisiął, sadzonej kamykami drogiemi. Na koniu siedzenie było purpurowe, lice także w rękę. Poznać w nim łąco mógł każdy wojaka, tak na koniu bezpiecznie siedział i wiódł go, ani się nim troszcząc, choć siwy mu się rwał i zżymał. Mieszko w samęj był sile wieku, dorodny i urodziwy, brodę miał ciemną postrzyżoną, włos piękny, długi, spadający na ramiona, oko choć ciemne, szafirowym blaskiem jaśniało, zarazem siłę wyrażając i dobroć, i radowanie się życiu a wesele. Usta podobnie rumiane, wydatne, wyraz miały męskiej dobroci i zdały się stworzone, by smakowały we wszystkim, co im świat jako panu podawał. Choćby na sobie nie miał oznak dostojęstwa, poznałby już w nim każdy pana i władzę, nawykłego do rozkazywania, pewnego, iż mu wszyscy posłusznymi być muszą, a okraszającego swą siłą dobroduszością i miłością.

Piękna twarz Mieszka, rumiana, świeża, oko pełne, czoło białe, pociągały ku sobie, ale czuć było w nich, że gdy je oblał płomień gniewu, strasznie się zmienić mogły i stać groźnemi. W wejrzeniu też nie wszystko się wypowiadało, co było we wnętrzu, choć na pozór oko patrzyło niezmrużone, wprost na ludzi, czasem błysnęło ono jakimś ogniem z głębi, jakby płomień buchnął z duszy. I wnet uśmiechało się znowu. Tak samo usta, drgały czasem dziko i wracały do dobrodusznego wyrazu.

Kochali go ludzie, ale drżeli przed nim razem, a przyboczni wiedzieli, że choć się na nie<sup>41</sup> patrzeć nie zdawał, widział wszystko. Co dziwniejsza, były rzeczy, które odgadł jakby je widział, choć podpatrzeć nie mógł. W dzień wesela, jak dziś, gdy jechał Mieszko zabawić się u ziemianina swojego, wyglądał raczej na sąsiada dobrego niż na pana, ale gdy na wojnę konia dosiadł i do ręki miecz wziął, drżało przed nim co żyło.

I w zamku swym w Poznaniu, gdy ze starszyzną się rozrywał przy kubku, albo ze swojemi niewiasty żartował, zdał się miękki, a jakby do niewieścich tylko bałamuctw stworzony, bo się w nich lubował też bardzo; ale to trwało tylko dopóki nie zapalono wici i na wojnę iść nie trzeba było. Zmieniał się wówczas rozkoszny wódz na surowego wojaka, który ani głodu, ani chłodu się nie zląkł...

Ze swemi się zabawiając, można sądzić było, że tajemnicy żadnej nie miał, a otwarty był do zbytku; znali go przecie bliźcy, że więcej wiedział niż powiedział, i chytrym być potrafił, gdy tego nastąpiła potrzeba.

A z niemcami tak umiał być, iż go najbystrzejsi nie zbadali. Co w myśli miał, tego nigdy nikt odgadnąć nie mógł. Starszyzna co koło niego chodziła, co go mówiącego słuchała, nierazby była poprzysięgła, że jutro wypocznie, że na jutro o niczym nie myśli, a o świecie pan co wczoraj dziewczętom sobie śpiewać kazał, jakby o niczym nie myślał, konia dosiadał i na granicę biegł.

Nikt nie wiedział ni dnia, ni godziny, kiedy zawoła na koń... Ludzi swych miał niepozornych, odartych, co doń wchodzili i wychodzili dniem i nocą, na żebraków wyglądając, z temi się zamykał i kto wie, co im za rozkazy dawał, a co od nich za poselstwa odbierał.

Więc choć na pozór wesoły człek i pusty, Mieszko u wszystkich poważanie miał, bo nad nimi rozumem stał wysoko.

Za kneziem jechało dwóch powinowatych jego przybocznych i Stogniew, co był nad dworem, jego, i wojewodów dwu starych, i garść raźnej młodzieży. Wszyscy bogato poprzyodziewani i zbrojni pięknie.

Pan to był, co choć niewiele potrzebował dla siebie, wspaniałość lubił około dworu i ludzi.

Na widok Lubonia i orszaku jego, który stał z odkrytemi głowami, Mieszkowi twarz wesoła jeszcze się pięknie rozpogodziła. Konia wstrzymał, a podczas gdy Luboń do nóg mu się skłaniał, po ramieniu go uderzył pozdrawiając. Drugim też głową skinął, a ci się do ziemi zgiąwszy, pokłon mu oddawali. Pachotek już konia brał i Mieszko zrzęcznie z niego zeskoczył.

— Ojcie Luboniu — rzekł — nie prosiliście mnie na obchód wasz, a jam się wam sam zaprosił... Nie przyprowadziliście mi syna, więc sam go widzieć przybyłem. Na te słowa Luboń Własta przyprowadziwszy, paść mu kazał do nóg pańskich, co gdy się stało, a Mieszko się ciekawie chłopakowi przypatrywał, rzekł gospodarz stary.

— Syn mi w niemieckiej niewoli przywiądnął i zbiedniał, odżywić go chciałem nieco, nimby z nim przyszedł z powinna głową do stóp pańskich...

Mieszko po ramieniu dłonią poklepał Włastę, który milczący powstał, począł wiedziony przez gospodarza iść ku stołom w cieniu drzew ustawionym. Tu dla niego stolicę wzniesiono wcześniej, wyższą nad inne ławy, i Luboń całą ją okryć kazał sukniem, a nad głowami knezia także sztukę sukna rozwieszono na gałęziach dwóch drzew tak, iż go od słońca i wszelakiego powiewu lub spadających liści chroniła.

A gdy szli, mogli postrzedz wszyscy, iż kneź się bardzo rozglądał wszędzie, jakby kogoś szukał oczyma, i gdy pod drzewami zdaleka ukazały się stojące zdala w bieli niewiasty, które posługiwać miały, naprzód w tamtą stronę rzucił kneź wzrokiem i jakby zawiedziony, spuścił go prędko. Przez czoło jak pas przeszła marszczka jakaś i znikła.

Siadł tedy pan na wyższym miejscu, przed którym zaraz kubki i misy postawiono, aby wybierał co chciał, i gospodarz sam z synem mu posługiwali. Drużyna opodał na ławach miejsca zabrała.

Ochoczo po skwarze wychyliwszy kubek Mieszko, gdy misę i dzban podano a ręczniki, naprzód ręce umył i otarł, poczem chleb i mięso, i białe kołaczki, i wszelaką strawę przed nim ustawiono, aby pożywał jako chciał. Ani go prosić było trzeba, bo jadł rad i pił dobrze, a znali go Stogniew i inni, że długo się z jadłem zabawiać nie lubił. Głód zaspokajał prędko, pragnienie gasił powoli; potem zaś, gdy było z kim, rad żartował i powiadać sobie kazał co kto umiał i mógł. Był bowiem pan wszystkiego ciekawy, pamiętający cokolwiek kiedy w życiu słyszał i niegardzący rozumem niczym, chociaż swojego miał dosyć.

Gdy jadł jeszcze, a Luboń z Włastem przy nim stali, ozwał się zrazu do starego.

— A krasnej córki to waszój nam nie pokażecie?

— Chora mi jest od wczora — rzekł Luboń — na głowę leży... Upał znać jój poszkodził.

Na to nie dał pan odpowiedzi żadnej.

Począł się tedy we Włastę wpatrywać i pytać, co gdzie przez te czasy robił i bywał, zasłyszawszy zaś od ojca, iż na dworze cesarskim bywał, i do dalekich krajów na południe z nim jeździć musiał, poruszył się mocno, ciekawiej jeszcze wpatrując się w bladego młodzieńca i ciągle mu zadając pytania, na które ten krótko tylko i pomieszany odpowiadał.

Stogniew, który się też dowiedział o losach Własty, szepnął zaraz Luboniewi, iż kneź ciekaw niemieckich obrotów, pewnie syna jego na dwór zawezwie, aby mu o nich powiedział.

Nic nie odrzekł na to ojciec, bo mu się też serce ścisnęło. Tymczasem u stołów ochota, choć poszanowaniem dla knezia hamowana, powoli coraz się zwawszą stawała.

Na onych ogromnych misach i deskach, na których pieczone mięsiwa stały, widać już tylko było resztki kości poogryzanych, a i te rzucano psom, bo ich cała gromada, domowych i gościnnych, stoły otaczała.

Chwilami powstawała między nimi sroga walka pod stołami, którą ledwie panowie mogli pohamować.

Rosły z tego śmiechy nowe a bujne. Dziewczętom też roznoszącym przy stołach napój i strawę, dostawały się wesołe żarty, od których kraśnieć i oczy sobie musiały zakrywać.

I wesoło bardzo zrobiło się pod drzewy, a kto by był miał czas spojrzeć ku dworowi uważnie, dostrzegłby był może na dachu odsuniętej dronicy i czarnego oka, które przez mały otwór przypatrywało się wesołej biesiadzie.

Przed Mieszkiem tedy postawiono w ostatku jagody leśne i mleczyno, a stary miód Piastowe pamiętający czasy i obstała knezia gromadka starszych, a rozmowa pusta, wszczęła się zrazu o koniach i o łowach, ale wnet w inną drogę zбочzyła.

Mieszko postrzegł średnich lat mężczyznę, stojącego nieco na uboczu; zrazu jakby go nie poznał, wlepił w niego oczy i dumał, chcąc sobie go przypomnieć. Potem do Stogniewa się obrócił i palcem na tamtego wskazując, rzekł.

— Dobrosław ci to Wiotki, albo się mylę?

— On sam, miłościwy panie... — rzekł Stogniew.

— Co go tak długo widać nie było? — pytał kneź — kędyż się zadział... chory był albo zdziczał w lesie?..

Stogniew podstał do pana tak, aby nie mógł być od innych słyszany i szepnął mu.

— Na Czechy jeździł, gdzie sobie na dworze królowej Drahomiry, pokrewną jój dziewczkę zaswatał... A no... ludzie prawią, jakoby i ona inną wiary była... i on może dla niej na inną przystał.

Kneź nie odpowiedział Stogniewowi, na Dobrosława skinął.

Mężczyzna był w wieku Mieszkowym, dojrzały, wyrosły jak dąb i śmiały, otwartego oblicza. Znano go jako wojaka mężnego i otwartego słowa człowieka, który prawdę mówił i gotów ją był dłonią popierać. Ułękli się więc wszyscy, aby się biesiada nie zamąciła gniewem pańskim, bo Dobrosław na ostatnią wyprawę nad Łabę się nie stawił. Stogniewowi przykro się zrobiło, iż do tego powód dał. A Dobrosław na skinienie szedł śmiało bardzo, do nóg się skłonił, jak należało, ale prędko głowę podniósł i spojrzął w oczy kneziowi niezłękniomy wcale, oczekując co mu rzecze.

— Gdzieżeś to samopas tak długo gościł, Dobrosławie? — zapytał Mieszko — wołaliśmy was do boku i nie przyszliście...

— Darujcie, miłościwy panie, domam nie był... żonam sobie szukał... — począł otwarcie Dobrosław.

— Albo to doma jój znaleźć było trudno? — spytał kneź.

— O dziewczki u nas nie ma biedy — rzekł Dobrosław — alem do tych, które znałem, serca nie miał... Dwie żon

miałem z sąsiadów, obie mi pomarły... chciałem indziej szczęścia szukać...

— I kędyżeście bywali?.. — bez gniewu i spokojnie począł pytać kneź.

— Zabiłem się aż na Czechy i na dwór króla Bolesława... tamem żonę zaswatał.

Mieszko zmilczał, popatrzył na Dobrosława, i na tych co dokoła stali, głową potrząsał.

— Cóżście tam widzieli na tym dworze? pewnie co lepszego niż u nas? Oni tam już niemcom służą i sami do nich się stali podobni.

Dobrosław potarł brodę myśląc.

— Niemców tam nie widziałem żadnych, ni też niemckiego obyczaju — odezwał się — a dużom się przecie nauczył, miłościwy panie, bo oni, na to się do Niemców zbliżają, aby lepiej wiedzieli, jak ich pożyć...

— A królaście widzieli? — zapytał Mieszek chmurno.

— Jakby nie? na łowym z nim jeździł... i u dworom stawał nie jeden raz... napatrzyłem się go dosyć.

— I co o nim trzymacie? — wtrącił kneź mierząc oczyma Dobrosława.

Znów myślał nad odpowiedzią zapytany, a pochylił głowę i oczy w ziemię wlepił.

— Miłościwy panie — rzekł — mąż jest silny... tyle tylko wiem, mąż przebiegły wielce a władzy chciwy... lepiej go mieć druhem niż wrogiem... tyle tylko wiem — powtórzył.

Teraz Mieszko nie rzekł nic i z kubka popił, na mówiącego popatrzył długo.

— Jutro na łowy pojedę — ozwał się po namyśle — pojedziecie i wy ze mną Dobrosławie.

Ten głowę pochylił i ustąpił; trwało milczenie trochę, skinął pan na Lubonia.

— Syna mi przyslijcie na zamek do Poznania... przy dworze go chcę mieć.

Usłyszawszy to stary pobladł, zawahał się, mimowolnie ręce mu się splotły załamane.

— A! miłościwy panie! Jedynek on u mnie i tyle go lat nie było!..

I Luboń do nóg mu się chciał rzucić, gdy Mieszko ręką go za ramię chwyciwszy, śmiejąc się, wstrzymał.

— Odbierać go wam nie myślę! — zawołał — ale opowiedzieć mi musi, co u Niemców widział. Na to mi jest potrzebnym... Oddam go wam napowrót, nie bójcie się... A po coby mi się zdał zresztą? — dodał Mieszko — błądy i słaby... nie do miecza znać urósł, albo go tam tak tą niewolą wycieńczyli...

Luboń westchnął.

— Chciałem — rzekł — aby go tu odkarmiły baby moje i żeby biedę wydychał.

Kneź ruszył ramionami i nie odpowiadając już, na Stogniewa skinął, co on w lot zrozumiał, pacholkom zdala stojącym dał znak, aby po konie szli. Mieszko nazad się wybierał do domu.

A jak tu przybył wesołym i dobrej myśli, tak dostrzegli wszyscy, iż po rozmowie z Dobrosławem i Luboniem już mu na czoło sęp wystąpił i usta się krzywić poczęły. Może też spodziewał się najrzeć tu Hożę, którą dobrze

pamiętał, a tej mu nie pokazano...

Gdy z siedzenia kneź się ruszył, wnet wszyscy też z ław wstawać poczęli i cisnąć się ku niemu. On szedł nie patrząc na nikogo, prosto do wrót, gdzie już konie i poczet stał w gotowości. Tuż za nim kroczył Luboń z synem, Stogniew i inni przeprowadzając.

Więc gdy siwego podawano, gospodarz podszedł dziękować i za nogę ścisnąć pana, co też Włastowi uczynić kazał. Mieszko się trochę rozchmurzył.

— Nie skąpcież mi syna — odezwał się do Lubonia — przysyłajcie go, jeżeli nie jutro, bo na łowach będę, to trzeciego dnia... A nie obawiajcie się o niego, bo go głodem nie zamorzę i nic mu się złego nie stanie u mnie...

Nic nie odpowiedział Luboń, a Mieszko skinieniem głowy pozdrowiwszy otaczających, na plecy małego chłopaka, który je podstawił panu, jedną nogą się oparł i konia dosiadł raźnie. Inni też do swoich się brali, aby za nim nie pozostać i cały orszak książęcy z kopyta żywo od wrót popędził drogą, gdy zebrana drużyna przy Luboniu, czapki w górę podrzucając, okrzykiem go ścigała. Znikł już w tumanach pyłu kneź, a gromada stała jeszcze patrząc za nim. Luboń milczący zdawał się wolniej oddychać. Z panem oddalił się dwór cały, można było mówić swobodnie.

— Dobry pan — ozwał się Dobrosław — a no, patrząc nań, czujesz że pan, choć to kmiecia krew nasza...

— Ani być winno inaczej — dodał Luboń — bo po cóżbyśmy go nad sobą wysadzili, gdyby panem a wodzem nie umiał być?.. Niech się go ludzie boją, byle się też Niemcy lękali...

Na wspomnienie Niemców uśmiechnął się Dobrosław.

— Daleko nam do tego — rzekł — by się oni nas obawiać mieli, mnieby na tém było dość, abyśmy my się ich mogli przestać lękać... Patrzyłem ja na nich zbliżając... I nie dokończył. Czekali wszyscy zaciekawieni, lecz Dobrosław odstąpił kroków kilka i już mówić nie miał ochoty.

Gdy przed kneziem Mieszkiem Stogniew o nim opowiadał pocichu, stali nieopodal Luboń i Włast, a Włast usłyszał, iż go za wyznawcę nowiej wiary miano... Zarumienił się, spojrział ciekawie na niego i radość mu w oczach zabłysła. Teraz gdy Luboń do miodu i piwa gości swych prosił, a Dobrosław nieco na bok ustąpił, zbliżył się ku niemu Włast nieśmiało i rzekł cicho.

— Chcę mówić z wami... chodźmy sami...

#### IV.

Nie bardzo zważano teraz co się z gośćmi pozostałymi działo, szedł każdy gdzie chciał, jedni na żarty, gdzie biała pięć stała opodal na usługi gotowa, drudzy do kadzi... inni do psów, z którymi się chwalono, tamci do koni. Luboń starszych częstował. Miał więc sposobność Włast między drzewa wprowadzić Dobrosława, gdzie sami we dwu byli...

Ten, dawszy się wziąć, pierwszy pytać nie rozpoczynał

— czekał, wpatrując się w młodzieńca, idącego niespokojnie i widocznie niepewnego, jak ma zawiązać rozmowę.

Gdy już odeszli tak daleko od innych biesiadników, że im ich gałęzie zasłoniły — Włast poruszony, ze łzami niemal w oczach — żywo odpiął suknię na piersiach szczelnie zasłonioną, i ręką dobywszy z pod niej zawieszony na sznurku miał krzyżyk złocisty, ukazał go Dobrosławowi. Na widok znaku tego, niespokojnie obejrzał się Wiotki, zdumiony widocznie... chwycił to znamię, przyłożył do ust i pocałował...

Tak się dwaj bracia w Chrystusie, pośród pogan poznali. Włast schował natychmiast to godło, i uściśnął Dobrosław... ze wzruszenia mówić jeszcze nie mógł.

Stali obaj niemi, przejęci, strwożeni, ale szczęśliwi, że się zbliżyli i poznali.

— Zkąd wiedziałeś żeś ochrzczony? — zapytał Dobrosław...

— Musi to być wiadomem powszechnie — rzekł Włast... bo Stogniew o tém półgłosem kneziowi zwiastował...

Zamyślił się Wiotki smutno...

— Nie darmo mnie też wezwał jutro na łowy! — westchnął — co tam mnie czeka... Bóg wie jeden.

Włast uściśnął go drżący...

— Kneź by was miał prześladować? — zapytał.

— On? nie — odparł Dobrosław — ale się boi sam narodu, który w swoje bogi wierzy i przy nich stoi. Ciekawym, jest pewnie nowej wiary, wie, że ją czeszy panowie przyjęli... że ona i u nas i wszędzie zawładnąć musi — ale nim się to stanie, wyleje się wiele krwi! wiele krwi!

Zadumany powtórzył to kilka razy, wzdychając Dobrosław.

— Powiedz mi o sobie — dodał jakby przebudzony, idąc w las dalej — gdzie ciebie ochrzczono?

— Na dworze cesarskim... chrzcili mnie pan i biskup Rawenny... po chrzcie, przygotowali mnie na kapłana i — kapłanem jestem...

Gdy tych słów chłopak domawiał z pokorą spuszczać oczy, Dobrosławowi zajaśniały źrenice, załamał ręce, podniósł je nad głowę i o mało wielkim głosem nie krzyknął. Pochylił się zaraz sięgając po rękę Własta, którą pocałował z pokorą, a ten krzyż mu nad schyloną zakreślił głową...

— Tak — kapłanem jestem — mówił po cichu — i wróciłem dla tego, aby tę wiarę szczepić między swemi... a trwoga mnie ogarnia, jak tego co pada i nie ma gałęzi nad sobą, za którą by się uchwycił. Wy mi bądźcie tą gałęzią, miły bracie w Chrystusie... Radźcie mi...

Dni już wiele świętęj nie mogłem spełnić ofiary... wszystko co mnie otacza... odgaduje mnie i grozi mi się zdaje. Nie mam do kogo rzec z duszy słowa... Ojciec groźny, babka gniewna, zmuszają mnie do życia, którego prowadzić nie mogę... Co pocznę?

Zamyślił się Dobrosław długo.

— Ojciec mój — rzekł — bo cię ojcem, chociaż młodszego nazywać muszę — ja jedno tylko wiem, iż tu między narodem naszym, który Chrystusa nie zna,

wiele przebaczone tym, co przybyli nawracać... tak było w Czechach nim kościoły stawiać poczęto i wiarę wyznawać, za którą Waclaw zginął, a bratobójca ją trzymać musi, i pokutę odprawiać. Nas chrześcian... tu utajonych jest wielu, a dla ochrony życia, milczeć musimy i cierpieć.

— Jest wielu? podchwycił składając ręce jak do modlitwy Włast, mówicie iż wielu nas jest?

— Ale więcej jeszcze tych co na nasze czyhają życie — dodał Dobrosław, bądźmy cierpliwi, bądźmy ostrożni, a ufajmy Bogu naszemu, który cuda czyni... tak mnie w Pradze na Hradzie nauczano...

Mówili jeszcze gdy nadbiegł szukający Własta Jarmierz niespokojny, bo się ojciec o niego dopytywał i słał za nim, musieli się więc rozstać, aby podejrzania nie obudzać, i Dobrosław inną drogą udał się ku biesiadującym.

Jarmierz dziwnie jakoś popatrzał za odchodzącym. Między nim a Włastem, stosunek był i uczucia do określenia trudne. Dla dawnego ulubieńca pańskiego, który się przybranem dzieckiem być spodziewał, Włast nie był miłym. Jarmierz złego mu nie życzył, a nie mógł jednak wstrzymać się i pohamować zazdrości...

Usiłował zbliżyć się do niego od pierwszego dnia, Włast mu był przyjaznym, serdecznym, a jednak czuł Jarmierz, iż mu się całkiem nie zwierzał — i że między nimi stała jakaś zaporą, co ich dzieliła. Obawiali się jeden drugiego...

— Cóż to się stało, żeście z Wiotkim odeszli? zapytał Jarmierz.

— Pytać mnie chciał o niemcy, tak jak i inni — rzekł Włast — a mówiąc odeszliśmy w las, sami o tém niewiedząc.

I na tém zakończyła się rozmowa, syn do ojca pospieszał, bo go po jednym już odjeżdżającym sąsiedzi żegnali, a Luboń u boku swojego syna mieć chciał, aby z nim przyjaciołom dziękował...

Stary jak poprzedzających tak i tego dnia na oku miał syna, niepokoił się nim, Jarmierz mu o modlitwach jego i praktykach jakichś niezrozumiałych donosił, domyślał się w nim, jak stara Dobrogniewa, skrytego chrześcianina, i wiarę tę nową, wytepić w nim co najrychlej pragnął. A zdało się staremu, iż tego łatwiej niczem dokonać nie potrafi, jak dając mu żonę i nałamując go do obyczajów swojego, do łowów i wojny.

Właśnie tego dnia ze starym Słomką, powinowatym sobie Luboń się był przy kubku rozmówił na osobności. Słomka miał córkę Mładę, dziewczynę lat piętnastu, piękną bardzo, której wdzięki słyneły już na okolicę.

Jak inni tak i Słomka, obawiał się o swoją, aby mu ję na dwór do Poznania za siódmą czy ósmą dla Mieszka nie wzięto, bo baby latały po całym kraju, żon panu dostarczając... a krasa za posag stała.

Wzdychał Luboń, przyznając się przed powinowatym, iż się o Hożę lęka, co też i on wyznał, że ma strach o Mładę.

— O tę się bać nie masz co — rzekł rękę mu kładnąc na dłoni Luboń — daj mi ją dla syna. Poślę swaty... jak ję czepiec włożą — nikt nie będzie śmiał dotknąć, by

najpiękniejszą była. Daj mi Mładę dla Własta.

— Czemu nie? byle więcej nie brał już innych nad tę jedną — rzekł Słomka.

— Nie ma u nas tego zwyczaju — jeno u kneziów, u takich, których bujna krew każe zapominać o sromie...

Myśmy wszyscy po jednej mieli — mówił Luboń.

— I my z wieków — dokończył Słomka — a gdzie u ogniska ich dwie albo trzy, tam ni ładu, ni wstydu, ni pokoju...

Dam Mładę za Własta...

— Ścisnęli się za ręce.

— Ale starym obyczajem — ze swaty i obrzędem... a niech ją Włast choćby najrzy przódy, bo przeciw woli dziecka nie chcę ani dać, ani narzucać.

Luboń się uśmiechnął.

— Dwoje młodych, a czemu by woli ku sobie nie mieli mieć? — odparł. — Nasza tu, nie ich wola ma rządzić...

Poszeptawszy jeszcze z sobą, rozeszli się zgodni...

A gdy Włast do ojca przybył, aby z nim żegnać odjeżdżających, i Słomka przystąpił, Luboń mu się kazał do nóg synowi pokłonić, choć nie mówił dla czego.

— Stary druh i powinowaty nasz — zamruczał — jak ojca go pożegnaj. Włast posłuszny spełnił wolę jego. Jeden tak za drugim sąsiedzi, naprzód dalej mieszkający, potem bliżsi, rozjeżdżać się zaczęli, a ostatni już późną nocą, o młodym księżycu ruszyli.

I Hoża wyszła dopiero teraz z ukrycia swojego świeżem powietrzem odetchnąć.

Włast był znużony i na uboczu siadł spoczywać. Służba stoły zabierała, kubki po ziemi leżące, próżne kubły, dzbany i kadzie...

W dali słychać było śpiewy odjeżdżających, wieczór cichy, spokojny po dniu pełnym wrzawy nastąpił.

Luboń ze starą matką szepotali coś po cichu, gdy Włast, któremu już dano wolność, po krótkiej rozmowie z siostrą, do swojej szopki wysunął się na modlitwę.

Ale tu na niego Jarmierz czekał.

Miał czas się rozmyśleć, ciężyło mu to, że z Włastem szczerze się zejść nie mógł, chciał z nim pomówić otwarcie... We drzwiach szopki się spotkali. Jarmierz zwyciężył zazdrość i niechęć, jaką miał do dawnego towarzysza młodości i idącego za rękę ujął.

— Właście, — rzekł cicho — siadźcie tu trochę, ja z wami chcę jak brat pomówić — otwarcie. Pozwólcie.

— Owszem, bracie mój — mów... ja ci życzę dobrze.

— I ja wam — piorun niech mnie ubije — prawdę mówię, zapalczywie dodał Jarmierz<sup>[5]</sup> — Będę szczerym... Dwanaście lat was nie było... stary tęsknił do ostatka i przetęsknić nie mógł. Nie było kogo kochać, polubił mnie... jam Hożę pokochał...

Szło na to, że ja mu synem być miałem — teraz... powiedzcie, co teraz będzie...

Włast go uściskał.

— Jarmierzu mój — odezwał się — jeżeli cię Hoża kocha, a ojciec pragnie, czyż ja bym ci stanął na przeszkodzie?? Ja — wierz mi, bracie — ja... nic i nikomu nie odbiorę... nawet to, co mi po ojcu należy... ja ani pragnę mieć, anim zdolny tym władać. Widzisz mnie —

słaby jestem, nie wojak...

Spuścił głowę... Jarmierzowi żal się go zrobiło i uściskał w milczeniu.

— Ja też wam nie myślę ojcowizny odbierać — rzekł — ani bym mógł, ni chciał — pomóżcie mi tylko do Hożej, a bądźcie mi bratem. Przysiążmy sobie braterstwo... i służmy sobie, starym obyczajem — jak pobratymcy.

— A! mój Jarmierzu, bez innej wszelkiej przysięgi — odezwał się Włast — zawierz mi, bratem ci jestem i będę.

— A ja ci dam pierwszy dowód — odezwał się Jarmierz zniżając głos — że dobrze życzę i bratem jestem... Was stara babka i ojciec i — wszyscy posadzają, żeście wy nową wiarę przyjęli.

— A gdyby tak było? — cicho zapytał Włast — wzdychając.

— Niech to złe odejdzie od nas! — zawołał Jarmierz — nie mówcie tak, ani się przyznawajcie do tego, ani myślcie... Nie znacie stariej Dobrogniewy, strułaby was choć wnuka... nie znacie ojca... wyrzekłby się was jak wroga!

Głos mu się trząśł mówiąc, ale przestraszony zniżył go i kończył szeptem cichym.

— Nie mówcie tak, to być nie powinno i nie może... Luboń by na to nie pozwolił nigdy... Ale posadzają was... ja sam — może ja sam winienem temu... ja niewiem — pytali mnie — mówiłem, że jakieś dziwne przed nocą i rano odprawujecie obrzędy — przyznaję się — możem nie powinien był mówić o tém.

Włast milczał.

— A gdyby was tam i zepsuli — ciągnął Jarmierz — trzeba wróciwszy do domu do swoich Bogów powrócić. Zmuszą was do tego... Słyszałem dziś, Luboń się ze Słomką umawiał, dadzą wam za żonę Mładę...

Włast oczy sobie zakrył i jęknął.

— Nie mów mi tego.

— Cóż to pomoże? — kończył Jarmierz — Młada, widziałem ją raz w lesie z matką, piękna jak bogini Dziewanna... biała, smukła, wesola, z oczyma niebieskimi... Ona was, wy ją pokochacie...

— Bracie mój — po chwili posepnie odezwał się Włast — coście wy mnie mówili, poszło z poczciwego serca...

— I ja wam wyznam wszystko — tak... ja jestem chrześcianinem i nie przestanę nim być, choćbym za to umrzeć miał.

Nastąpiło milczenie długie... Jarmierz patrzył zdziwiony na niego i głową trząśł.

— Ojcu musicie być posłuszni.

— Tak, lecz mam ojca w niebiosach Boga mojego, któremu winienem większe jeszcze posłuszeństwo...

Mowa ta była już dla Jarmierza niezrozumiałą, pytać się nie śmiał, uściskał Własta... który odzyskiwał powoli przytomność po krótkim wzruszeniu, co mu ją było odjęło.

— Spokojnym bądź — odezwał się do Jarmierza — nasz Bóg opiekunem jest i cuda czyni — ale mu wiernym pozostać potrzeba. Bądź spokojnym. Jeśli ojciec mój ziemski ojca mojego niebieskiego zdradzić mi każe,

pójdę ztąd... zostaniesz ty sam, i będziesz staremu dziecięciem i pociechą.

— Jakto? porzuciłbyś wszystko? ojca? siostrę? dom — nas... bogactwa wasze? dla...

— Tak — odparł Włast. — Nie pytaj mnie dla czego i kogo. Ja ci więcej powiedzieć nie mogę dziś... ale ci przysięgam — porzucę wszystko, abym ocalił więcej niżeli to wszystko!!

Zadumany, przelękły prawie Jarmierz stał przed nim, słuchając i uszom niewierząc, patrząc i niewierząc oczom, bo twarz Własta zamiast być smutną i strwożoną, promieniała weselem i jakby dumą zwyciężką.

Dokończywszy tych słów, Włast uściskał prawie wesoło Jarmierza, i nie kryjąc się już przed nim, ukląkł wnet na modlitwę...

Ta także była dla poganina jakimś zdumiewającym zjawiskiem. Przy obrzędach pogańskich widywał szał i obłąkanie prawie, nie widział nigdy człowieka tak spokojnie, ze łzami, z mężstwem rozmawiającego z niewidzialnym duchem.

Czuł on, że to była rozmowa, że w ciemnościach tej nocy, dla oka niedostrzeżona potęga jakaś dźwigała tego tak słabego na pozór człowieka, dając mu siłę i mężstwo dziwne.

Wszystko co mu Włast powiedział, dawało do myślenia, napełniało trwogą, jak objaw nowy świata nieznanego...

Zamyślony Jarmierz stał tak patrząc na modlącego się Własta i dreszcz go przebiegał jakiś. Modlącemu mieniła się blada twarz, oczy jaśniały blaskiem dziwnym, piękniejszym się stawał, innym.

Jarmierzowi zdało się, że jakaś jasność otaczała głowę młodzieńca.

W cichości, na palcach z trwogą cofnął się z szopki i przystanął w jej progu, nie mogąc myśli własnych pochwycić wątku. Własta mu żal było, a ciekawość gorącą obudzała ta wiara jakaś tajemnicza, co taką dawała siłę, takie mężstwo słabój istocie, taką pogardę wszystkiego co człowiekowi najdroższe.

Stał u słupa wsparty, niemy, aż dopóki westchnienie i ruch nie oznajmiły mu, że Włast wstał i zabierał się do spoczynku. Naówczas i Jarmierz zwiłkł się na swe posłanie, nie mówiąc słowa, okrył opeciżą i nie mogąc zmrużyć oka, pozostał tak aż prawie do dnia brzasku...

Następnego dnia Luboń, który nalegał ciągle na syna, aby się przyuczał do mężkiej zabawy, kazał Jarmierzowi jechać z nim na łowy w las — sam po dniu wczorajszym czując się znużony... Zbudził więc towarzysz zawczasu Własta, który pomodliwszy się, posłuszny jechać z nim musiał.

Dodano im psy i kilku ludzi w pomoc, i nim rosa oschła, a we dworze żywszy się ruch rozpoczął, ruszyli z Krasnejgóry wprost lasami, do ostępów, w których zwierza się znaleźć spodziewali. Włast jechał milczący, jak gdyby jeszcze się modlił, Jarmierz za niego i za siebie łowów musiał dozierać, gdyż z próżnymi rękami powracających Luboń, sam łowiec doskonały, ścierpieć nie mógł. Granice puszczy naówczas nie były tak ściśle oznaczone jak później, a panującemu służyło prawo

łowów wszędzie gdzie chciał.

Byli właśnie w ostępie, wskazanym przez ludzi, w którym stado kóz na pewno znaleźć mieli, gdy Jarmierz przodem ciągle podążający, zawrócił się nagle ku Włastowi i znak mu dał, aby się zatrzymał; pacholcy też towarzyszący im, a z boku straż trzymający, cofnęli się nagle, jakby przestraszeni. Włast nie wiedział co by to oznaczać miało, gdy towarzysz nadbiegłszy, szepnął mu, że Mieszko właśnie w tej puszczy polował.

Musieli więc niezwłocznie uchodzić i szukać sobie gdzieindziej zwierza. — Jeszcze rozmawiali z sobą, gdy z za gęstwiny ujrzeli wychodzącego knezia, za którym Dobrosław kroczył. Oba zdawali się więcej zajęci rozmową niż myśliwstwem. Orszak łowiecki knezia pozostał był w tyle, a Mieszko uważnie się przysłuchiwał, co mu towarzysz opowiadał. Mieli już ustąpić, gdy kneź podniósł głowę i Własta zobaczył. Poznał go zaraz i po namyśle skinął nań.

Młodzieniec z konia zsiadłszy i zdjawszy z głowy okrycie, pieszo się zbliżył do knezia, który stał, lekki oszczep trzymając w ręku.

Dnia tego na łowach, odziany bardzo poprostu, mimo sukni szarój i czapki, jaką wszyscy nosili, bez żadnych oznak dostojności, Mieszko przecież tak pańsko wyglądał, że w nim władzącego krajem wodza poznać było łatwo.

Dobrosław też wojacką i piękną miał postać, ale gaś przy tym silnym i rozkwitłym bujnie mężu, który samym wzrokiem wrażał posłuszeństwo.

Na pytanie co w tym lesie poczynał, Włast rzekł, iż z rozkazu ojcowskiego na łowy jechał.

— Wyślijcież łowców swych, gdzie chcą — rzekł Mieszko — a sami gdy już tu jesteście, zostańcie przy mnie.

Choć nie bardzo rad rozkazowi pańskiemu, Włast szepnął słów kilka Jarmierzowi, który natychmiast ustąpił ze swemi, a sam za Dobrosławem stanąwszy, nie wiedząc, gdzie się podzieć ma i co czynić, pozostał, czekając dalszego rozkazania pańskiego.

Chociaż na łowach byli, nie zbierało się na żadne myśliwstwo, dwór pozostawiwszy za sobą, Mieszko szedł, jakby przechadzki używając, rozmową z Dobrosławem zajęty.

Ustała ona, gdy Własta postrzeżono, Mieszko stanął jakby namyślając się, wiszący na ramieniu róg mały do ust wziął i parę razy się ozwał.

Zaszumiały wnet gąszcze z obu stron i liczna gromada nadbiegła. Kneź zawołał do siebie Stogniewa. Stali właśnie na małej łączce, zewsząd drzewami ocienionej. Mieszko się obejrzał dokoła. Ziemia była wilgotna. Kazał z koni zdjąć sukno, posłać je na trawie i legł na niem. Przyniesiono kobiałkę z pieczoném mięsiwem i barylkę miodu, którą przed kneziem ustawiono. Dobrosław i Włast stanęli opodal nieco.

— Stogniew — rzekł kneź — wy poprowadźcie łowy, ja spocznę. Dobrosław i Włast Luboniów zostaną przy mnie. Jeśli na nas napędzicie zwierzyne, tém lepiej, a nie...



Ruszył ramieniem i skinął ręką.

Zrozumiawszy wolę knezia, Stogniew skoczył do ludzi, co się zdala byli kupą ścisnęli i począł wydawać rozkazy. A nim krótka upłynęła chwila, kneź sam pozostał z towarzyszami dwoma.

Oczyrna zmierzwszy bacznie dwór swój, który spieszenie i wrzawliwie w las pędził, Mieszko popatrzał na Włastę, jakby go okiem chciał wybadać i zbliżyć mu się rozkazał.

— Tyś był między chrześcianami? — zapytał. Długo?

— Dwanaście lat, miłościwy panie — odparł Włast.

Poruszył głową Mieszko.

— Znasz więc ich dobrze?

— Lepiej niż teraz mój własny kraj — odezwał się zapytany.

Zdawało się, że jeszcze pytanie jakieś na ustach knezia krążyło, z trwogą Włastę myślał o tém co pocznie, jeśli go spyta, ażali i on chrześcianinem nie został?

Sumienie nie dozwalało mu zaprzeczyć się Chrystusa, a wyznając wiarę, nie miałże, jak ci o których mu opowiadano w Rawennie, cierpieć za nią męczeństwa i śmierci? Myśl ta przeleciała błyskawicą i zrodziła w nim raczej dumę niż trwogę!

Ale kneź, którego warga się już poruszyła — zamilkł — nie zadał mu tego pytania. Przytomny Dobrosław, pobladał był, spoglądając na Włastę.

Nie można było odgadnąć co myślał Mieszko o chrześciaństwie.

Obok zamku wszakże stała kontyna pogańska Jessego i kneź chadzał do niej, wyroczeni pytał, wieszczków słuchał, obyczaj zachował stary. Wiedzano jednak od ludzi, że ilekroć trafiło się obcego spotkać i takiego co z chrześcianami i chrześciaństwem obcował i mógł je lepiej poznać, kneź troskliwie się dopytywał, badał, szczegóły sobie opowiadać kazał, a potem zamyslał dziwnie. Lecz w naturze miał to Mieszko, że do czynu skorszy był niż do słowa, i nie mówił, ani się zwierzał nigdy nikomu, co miał począć, wręcz rozkazy dając bez namysłu. Myśli téż jego odgadnąć nie śmieli nawet najbliżsi, Stogniew przyznawał się, że ilekroć domyślać się chciał, omylił się zawsze.

Po tém pytaniu, które na wardze umarło, Mieszko, pomilczał chwilę, Włastę kilkakroć oczyma jeszcze przemierzył z ciekawością, i obrócił się do Dobrosława.

— Mów — rzekł — jak ci się zdało!.. są oni więksi i silniejsi od nas na Hradzynie. Bolesławy te czeskie? są oni bogatsi? są oni nam straszni?

A gdy Dobrosław z odpowiedzią się ociągał — dodał.

— Tak jak niemcy jedną głowę mają cesarza i jedną stolicę, tak naszej mowie trzeba jednego pana i jednej ręki, inaczej nas niemcy zjedzą.

Maż Bolesław tę siłę, aby nas zagarnął wszystkich i mnie? — mruknął Mieszko, ostatni wyraz prawie niedosłyszany wymówiwszy głosem.

— Mów, a nie kłam mi pochlebstwem. Tych co mi nogi liżą, mam dosyć. Dobrosław oczy trzymał w ziemię wlepione.

— Miłościwy panie — odezwał się z wolna cedząc słowa — jeżeli siłę na setki i tysiące wojowników liczyć mam,

tom ich nie rachował, nie wiem — jeżeli na rozum, to mi Bolesław nie zdaje się mędrszym nad innych, przecież on jedno wie, iż niemców pobić, trzeba się u nich uczyć samych. Dla tego od nich nie stroni, często się łączy z niemi, kłania się im, ale tylko dla tego, aby ich zmógł lepiej.

— I przeto przyjął ich wiarę? — spytał Mieszko, w oczy patrząc Dobrosławowi.

Na odpowiedź nie rychło się zebrał zapytany i rzekł.

— Nie wiem...

Milczeli trochę, a kneź jadł i popijał, uśmiechając się jakby sam do siebie.

— Gdyby nas dwu poszło w zapasy z Bolkiem o lepszą — zaczął — jak ci się zda, ktoby z nas został powalony?

— Kto losy wojny może zgadnąć? — odparł Dobrosław — ale po cóż wojnę poczynać?

— Hm? wojna się sama począć może? niepoczynana przez nikogo?

— A co tam o nas trzymają?

Dobrosław zawsze z wolna zbierał się na odpowiedzi.

— Wiedzą, że miłościwy pan silnym jesteś? ale oni — kto się do chrześcian nie liczy, groźnym nie sądzą.

— A dawnoż oni do nich przystali? — zawołał Mieszko szydersko...

Drahomira matka Bolkowa i on, jeszcze się oboje kłaniali swoim bogom... Alboż Bolko chrześcianinem jest? — dodał Mieszko — albo brata co nim był, za to że nim był, nie zabił?

— O tém na dworze knezia mówić nie wolno a szepczą różnie — rzekł Dobrosław. — Waclawa zamordowali dworscy Bolkowi, sądząc, że na ich pana życie nastawał.

— A Ludmiłę? — podchwycił Mieszko szydersko.

— Spraw tych nie wiem dobrze — odezwał się Dobrosław — ale to wiem, com na swe oczy oglądał, że Bolko do świątyni nowej na Hradzynie chodzi i wiarę swą trzyma.

Mieszko nieco podniósł głowę i zwrócił ją ku Włastowi.

— A ty? — zapytał — powiedzże mi ty, co chrześcian znasz, jaka ta wiara ich jest? ciężka? straszna?

Niespodziewanie pochwycony pytaniem tém, Włastę oniemiał zrazu — nie wiedział co rzec ma, modlił się w duchu o natchnienie i sam niewiedząc prawie jak, odezwał się z zapalem.

— Miłościwy panie — wiara to jest, co zaprawdę człowieka szczęśliwym czyni, zbroją mu jest, karmią mu jest, światłem i siłą!!

Słyszając te słowa Dobrosław pobladał, ale z poszanowaniem spojrzął i z trwogą niemal na natchnionego młodzieńca.

Kneź téż, niespodziewając się odpowiedzi tak śmiałej oniemiał na chwilę, oczyma przelekkami zmierzył mówiącego i mruzczał coś sam do siebie. Włastę stał, gotów choćby na męczeństwo.

— Mówią — odezwał się — że człowieka ona dręczy i morzy i wzbrania mu wszystkiego? prawda li to jest?

Młodzieniec, który już raz czując się natchnionym z góry, ważył się choćby na życia utratę — nie mierzył ani ważył słów swoich.

— Miłościwy panie — począł — gdy dzikiego konia bierze z pola człowiek, albo sokoła z gniazda, aby go nauczył rozumu i dał mu siłę, musi go morzyć głodem bezsennością i znużeniem — tak wiara ta czyni z człowiekiem dzikim, aby z niego zrobiła istotę nową na obraz Boży.

Mieszko zmarszczył brwi, powtarzając dziwnym głosem.

— Na obraz Boży! — na obraz Boży! coś ty rzekł...

— Tak uczy ta wiara! powtórzył Włast.

Kneź oczy spuścił i zadumał się. Zdawało się, że zapomniał na czas jakiś, kędy był, z kim i co go otaczało. Milczał zatopiony sam w sobie. Włast stał, przestraszony razem i sobą dumny.

— Na obraz Boży! — powtórzył raz jeszcze Mieszko, więc ta wiara daje człowiekowi siłę nadludzką?

— Tak jest, miłościwy panie — rzekł Włast.

— I zwycięstwo i potęgę i panowanie — mówił Mieszko.

— Daje, gdy człowiek na nie zasłuży.

— A czémże je kupić może? — pytał Mieszko.

Włast milczał nieco.

— Miłościwy kneziu — rzekł — nie w kilku słowach da się zamknąć ta wiara pełna tajemnic i cudów, ani ją usta ludzkie wypowiedzieć zdołają łatwo. Cuda ona sprawia, lecz na nie ciężko pracować potrzeba?

— Ale je za skarby téż i bez pracy kupić można? — rzekł kneź.

— Nie — odparł Włast — złoto i skarby są tam rzeczą pogardzoną i marną.

Mieszko przestał pytać. Zdawało się, że się lękał oczów zwrócić na śmiałego chłopca. Wzrok skierował ku Dobrosławowi znowu.

— Zaszataliście sobie dziewczkę na dworze Bolkowym, mówią ludzie — odezwał się nieco zniżając głos. — Musi to prawdą być? Pojedziecie do Pragi, na Hradszyn? — Czyżbyście miłość wasza mi zabronili tego? spytał Dobrosław.

— Nie bronię — rzekł Mieszko — owszem, posłem chęć was mieć. Jedźcie do Pragi, ale nikt o tém wiedzieć nie ma, co rzeknę.

Zwrócił się do Własta, dając mu znak, by i on milczał.

— Ani mówcie, żem ja was posłał na zwiady — kończył kneź — ale od siebie na dworze pytajcie, ażaliby nie radzi mnie tam byli? Ażaliby Bolko z Mieszkiem nie podali sobie rąk i nie połączyli się przeciw wspólnemu wrogowi. Mówcie od siebie nie odemnie, bo się nie godzi, abym ja prosił, mnie tylko rozkazywać przystało. Zrozumiejcie ich. Gdybym przybył do nich, jakby mnie oni przyjęli? Wzrokiem dokończył kneź.

— Rozum miejcie — dodał.

— Uczynię wedle rozkazania — z radością prawie, odezwał się Dobrosław.

— I nikt o tém wiedzieć nie ma! — powtórzył kneź.

Tych słów dokończywszy, podniósł się rzezko Mieszko, stanął, podparł w boki i uszu nadstawił.

Od kilku chwil już psów głosy na ostępie słysząc było i zdało się, jakby się one zbliżały coraz. Mieszko oszczep wziął do ręki i nakazał milczenie.

Las grał zdala ogarów gonem. Z okiem zaognioném kneź

pospieszył kroków kilkanaście naprzód. Rozmowa, którą toczył przed chwilą, zdawała się już zapomnianą, cały był w łowach, nie patrzył nawet na Własta i Dobrosława, którzy za nim pozostali czekając rozkazów.

Coraz wyraźniej słysząc było pogoń za zwierzem, chrzęst gałęzi i okrzyki. Mieszko za grubym pniem dębu stał z niecierpliwością namiętnego myśliwca.

W tém w krzakach chrapanie i łomot się dał słyszeć tuż prawie, stary dzik ze spienionym ryjem wypadł, dysząc z gęstwiny wprost na knezia i w téjże chwili oszczep jego tkwił już głęboko, ciśnięty silną dłońią, w zakrwawionój bestyi, która rzuciwszy się wściekła, biegła na Dobrosława.

Miał i on oszczep w rękę i uskoczywszy nieco uderzył nim na dzika. Włast ustąpił, nie wiedząc co ma czynić, lecz tuż nadbiegali kneziowscy ludzie, którzy rozjuszone stworzenie chwycili i przytrzymali, psy téż rzuciły się na pastwę i dzik legł zwyciężony na ziemi.

Radosny okrzyk ozwał się po lesie. Kneź zdala patrząc obojętnie, Stogniewowi kazał konie podawać i łowy na ten dzień były skończone.

Już na konia wsiadłszy, Dobrosławowi rzekł kneź, aby do domu wracał, a Włastowi za sobą jechać polecił i cały orszak zebrawszy się w gromadę, milcząc posuwał się ku grodowi do Poznania.

## V.

Gród wznoszący się na prawym brzegu Warty nad Cybiną nie odznaczał się na oko wspaniałością wielką, ale rozległy był dosyć i warowny, choć mógł się nie lękać napaści, bo go samo oddalenie od nieprzyjaciół broniło. Wysoki wał opasywał go zdala, ostrokoły i tyny obejmowały drugiem kołem, domostwa jednak w nim zawarte wszystkie były z drzewa, i stołbu nawet murowanego nad nim nie było widać. Ziemny usyp obejmował razem kneziowskie dwory, świetlice, komory, stajnie, swirnie, odryny, szopy i nieopodal od rzeki odosobniono stojącą świątynię Jessego, którą maleńki gaj prastarych drzew otaczał tak, iż jój zdala prawie z pośrodku zielonych gałęzi widać nie było. Zbudowana wzorem innych kontyn, opierała się na słupach rzeźbionych i malowanych, między któremi sukienne opony ściany zastępowały. Za niemi dopiero był przybytek osobny kapłanom tylko dostępny, drewnianemi ściany zamknięty. W pośrodku chowano stanicę wojenne, noszone na wysokich tykach Bogów posążki, które miasto chorągwi służyły; tu wróżbici i gęslarze będący na straży, przyszłość opowiadali zapomocą ognia, wody i ziemi.

Nie rozkazywał tu nikt okrom samego pana, który razem był władczą świątyni i zamku. Pod jego rozkazami stali ci wróżbici, wieszczkowie, śpiewacy i wszystka posługa przy chramie. Gaj święty, który go dokoła otaczał, stanowił granicę, której swawolnie przekroczyć nikomu się nie godziło. Świątynia była zarazem skarbcem wojennym i książęcym. Przy niej straż stała, dzień i noc, przemieniając się nieustannie.

Od niej na gród i dwór Mieszków nie było daleko. Zalegały domostwa pańskie przestrzeń znaczną, a pobudowane były wszystkie na kamiennych podkładach, z drzewa grubego ciosanego i wyrzynanego misternie, malowanego w barwy kraśne. Gdzieniedzie wyrobiona dziwnie głowa potworna jakiegoś zwierzęcia, wznosiła się u dachu i przyczółków.

Od przodu dworu były izby i komnaty rozleglejsze, z ławy i stołami dla zgromadzeń większych przeznaczonymi, w każdej z nich na stopniu podwyższonym stało siedzenie pańskie, czyli stolica kneziowska, suknem krasnym okryta.

Wielka w niektórych sprzętach prostota łączyła się z przepychem i bogactwem dziwnie od niej odbijającym. Tam gdzie zwykle biesiadowano w dnie uroczyste, kute jakby od siekiery i młota leżały i stały mnogie naczynia ciężkie, ze srebra a nawet złota, niektóre kamieniami ledwie oglądzonymi nasadzone. A ktoby był zajrzał do tego skarbcu, gdzie łupy wojenne składano, zdziwiłby się mnogości niezmierniej na stosy zrzuconych naczyń, blach i sztab kruszców drogich. I na orężu też nie zbywało, jeżeli nie dla całych zastępów, to dla pańskiej drużyny, zdobytych w części na pobitych Niemcach, lub przybyłym ze wschodu i zachodu. Spotykały się tu razem rzymskie oręża dawne i wschodnie z Azji przyniesione, kaftany łuskami naszywane gdzieś ręką wprawna i kawały blach zbroi miedzianych a żelaznych, łuki z nad Czarnego Morza, topory normandzkie, siekiery nadreńskie, miecze z krajów, których imienia nikt tu nie znał, wyroby północy i południa, włoskie i scytyjskie, z czasów różnych, z światów wielu, drogami handlu i wojny zwleczone na kupę.

Dwór książęcy był liczny, bo stanowił przyboczne wojsko jego. Co najlepsi wojacy stać tu musieli zawsze pogotowiu, tak jak po innych grodach, przy żupanach i starostach inne oddziały czekały ciągle na zawołanie, z panami swemi. A gdy na wojnę iść było potrzeba, skinął tylko Mieszko, wychodząc ze swojemi, aby inni za nim szli, i ciągnęło się co żyło. Liczba tych pułków co roku rosła i zwiększała się, ale co roku też i niebezpieczeństwo od Niemców, już panujących za Łabą po Odrę, powiększało się i mnożyło. Z markgrafami u granicy, wdzierającymi się we wnętrze, walka była nieustanna.

Serbowie nadłabiańscy coraz się bronili słabiej, wiele plemion znękanych przystało do wrogów i z niemi chodziło przeciw swoim na łupieżę; cała wkrótce waga niemieckich sił, sprzymierzonych z Czechami, na Polanach i Mieszku miała zacieżyć.

Czuł kneź, że się tu ważyły teraz losy ludów jednego rodu i języka, i że on albo miał je obronić od zagłady, albo paść z niemi.

Najeżdżane też miry polańskie wszystkie już nie o starych swoich swobodach myślały, ale o własnej obronie, i choć kneziowska moc rosła, wołały jej ulegać, nie w jarzmo iść niemieckie.

Na rozdartych ziemiach Słowian działo się różnie, walka wrzała ciągle. To się Niemcom poddawano z haraczem, to się burzono i opierano, szli jedni hołdować i chrzest

przyjmowali, drudzy się łączyli ku obronie. Pokoju godziny nie było. Samopas większa część plemion ratowała się jak mogła, w kupę się zebrać nie umiejąc. Każdy z małych wodzów chciał wielkiej władzy. Ze starych czasów pozostały właśnie graniczne między jedнопlemiennymi, które teraz w wojnie z wrogiem odżywały. Gdy Morawy i Czechy już się były zwały w państwo jedno, naprzeciw nieprzyjaciółom, chytrą siłą walcząc z niemi, Polanów dopiero Mieszko skupiał, aby szli razem, sięgając i po dalsze rozbite plemiona.

Od lat już wielu nad Cybiną stało to ognisko, w którym się wszystko przygotowywało, co gdzie dokoła lub zwłaszcza między Wartą a Odrą dziać się miało. Na osobnych gródkach siedzący kneziowie mniejsi poddali się władzy Mieszka, bo ich karcąc do tego przymusił.

Na samym grodzie i poza wałami jego, w szopach i chatach, w chizynach i dworach, szeroko rozłożonych nad Wartą, u prawego jej brzegu, mieszkał żołnierz kneziowski, sotnicy i tysiącnicy. Obok niego ci co rzemiosło na zamku potrzebne sprawiali, lud od stróży, od posług, od posyłek, od łowów i od wszelkich powinności pańskich, niewolnicy i parobcy. A choć miasto było niepozorne i szare od ścian drewnianych postarzałych, zajmowało już przestrzeń znaczną. Na targi też tu przybywali kupcy z towarem różnym zdaleka, ze wschodu i zachodu. Ludność się na tysiące liczyła, cała grodowi pańskiemu służąc i podlegając.

Starszyzna wojskowa dalej też siedziała w lasach, po dworach swych i gródkach, nad brzegami rzek i jezior osadzonych.

Przyboczny dwór pański równie był mnogi, dla okazałości i wygody. Co najdoborniejsza młodzież stała u boku knezia, mieszkając w podwórzach grodowych. W głębi oddzielone od tej części, pod pilną strażą i zawarciem, siedziały żony pańskie i służba ich niewieścia.

Życie tu wiodło się obozowe więcej niż dworskie, wojacze, bo każdej godziny wszystko pogotowiu być musiało siadać na koń i lecieć, gdzie o niebezpieczeństwie od nieprzyjaciela znać dano.

Czasem też, gdy wieść przyniesiono, że Niemcy się nad Łabą pospali, albo na Pomorze bezpiecznie wtargnąć było można, gdy jaki wódz a książętko przywlokło się o pomoc prosząc i prowadzić obiecując, z dnia na dzień ruszało z grodu co żyło, ledwie w nim garść na obronę zostawiwszy. Dniem i nocą bieżono nad granicę, za rubieżę dla łupu i postrachu.

A powracano różnie, raz z łupem i radością wielką, z niewolnikami w łyka powiązanymi, czasem nocą w garści małej, pokrwawionej, za którą się zawstydzone kupki wlokły powoli.

Bywało różnie, chociaż za Mieszka lepiej się szczęściło, bo był i mężny i przebiegły wielce, na lada się<sup>[6]</sup> posłuch nie kwapił, dobrze ważył nim się porwał.

Pan był milczący, ale gdy dobył głosu a krzyknął, drżało co ten głos usłyszało, i biegało co żyło.

Tego wieczora, gdy z łowów nad Cybinę powrócono, a z orszakiem pańskim błady i niepozorny Włast nadciągnął, zebrała się w podwórzu kupka koło niego niemała, bo go

tu nikt jeszcze nie widział i odgadnąć nie umieli, po co go tu ściągnięto.

Nie wyglądał ów gość na wojaka, ani na możnego władzę, odziany był niepocześnie, patrzył na ludzi nieśmiało. Któż mógł zgadnąć, na co się on tu zdał.

Stogniew ciekawej gawiedzi gęby pozamykał przecie, szepnąwszy, iż był synem Lubonia, że długo u Niemców w niewoli przesiedział, więc i wszystkie ich tajemnice znał, a tём się mógł przydać kneziowi.

Własta zdał Mieszko na ręce Stogniewowi, poleciwszy by o nim pamiętał. Niemniej jednak, w pierwszej chwili, gdy kneź poszedł do swych niewiast jeść i spoczywać na drugie podwórze, a Stogniew dworem rozrzucił miał, Włast został sam na przedsieniu pod słupami, siadł na ławie, rozglądał się i niebardzo wiedział, co miał czynić. Gawiedź się była wszystka rozeszła. Kilka psów siadłszy naprzeciw niego, obcemu się przypatrywały pomrukując. W tём od wałów wolnym krokiem przywłócił się człeczyna, który nieznanego zoczywszy na ławie, przybliżył się do słupów prawie, by mu się pilnie przypatrywał.

Własta tём mógł on zaciekawić, bo nie wyglądał jak drudzy, a odgadnąć było trudno, co na kneziowskim dworze robił.

Pięknym wcale nie był, krępy bardzo i zsiadły, nogi miał trochę krzywe, łeb duży, kręcącym się czarnym włosom pokryty. Z ust dobywały mu się dwa kły, dziwnie wyrosłe, tak że wargi ich przysłonić nie mogły, nawet gdy gębę zaciskał, sterczały z niej żółte kości, nadając twarzy niby wyraz dzikiego śmiechu. Ogromne ręce, silne, grube, pięści jak młoty, kark krótki i żyłasty, pierś wydatna szeroka, wszystko mu jakąś zwierzęcą nadawało cechę. Czoło tём miał bardzo niskie, a ślepia świecące jak u kota.

Dłonie, które ściśnięte trzymał, nie przymykały się zupełnie, bo ogromne rysie pazury nie dawały się im stulić. Sterczały one długie, pozawracane, śpiczaste, ostre, jak oręż do obrony.

Prosta gunia okrywała ciało obrosłe włosom, na nogach miał grube płócienne spodnie i nędzne wykoszlawione chodaki. Takie potworne stworzenia chowali wówczas radzi panowie do posług, tak samo jak oswojone niedźwiedzie i przyłaskawione wilki.

Gdy psy siedzące u słupów zobaczyły go zbliżającego się, ogony wzięwszy pod siebie uszły mu zaraz z drogi i pokładły się dalej, jakby go się lękały. Dziki człek, bo na takiego wyglądał, podszedł tuż do Własta i zuchwale ze wszech stron począł mu się przypatrywać.

— Coś ty za jeden? he! — zamruczał wreszcie — ty? jakiś?..

Spokojnie i łagodnie młodzieniec się zwrócił ku niemu.

— A ty? — spytał.

— A ja?.. Toć widzisz... jestem od psów, od padła, od stryczka, od gnoju i od śmiecia... nazywają mnie Psiajuchą... a ciebie?

— Cóż ci przyjdzie z nieznanego nazwiska?.. Daj mi pokój! — odparł Włast — nic nie masz do mnie...

— E? a kto wie? Zkądżeś ty?

— Z Krasnejgóry.

— To przecie nazwisko nieobce... — odezwał się Psiajucha. — Ty musisz być Luboniów sługa.

— Lubonia syn.

— Oho! oho! — rzekł pacholek i skłonił się szydersko.

— Tylko bieda, że Luboń syna nie ma.

— Nie miał go — rzekł cierpliwie Włast — ale mu on powrócił.

Chciał się pozbyć natręta, trudno to było, Psiajucha stał z założonymi rękami i wpatrywał się uparcie.

— Chuderlawe to — począł mruzczyć jakby sam do siebie — blade, mizerne... po co się tu zda? komary go zadziubią... a chleb będzie żarł tak jak drudzy...

Włast spójrzył nań; obrzydły pacholek ani się ruszał.

— Nie będzie tu z niego pociechy żadnej... ani babom nawet, bo to wymokłe... oneby się gzić rade... a to ledwie dysze... Po co to tu wzięli... Ja go do pomocy nie przyjmę...

— Hej! — ozwał się głośnie, pełniąc swój obowiązek błazeński — miłościwy Luboniów synu, władko... nie wiecie po coście tu przybyli?

— Z panem miłościwym przybyłem — odezwał się Włast, choć miał wstręt do tём rozmowy.

Posłyszawszy to pacholek, mruknął i oddalił się. Nie było go dosyć długo i już Włast sądził, że się go pozbył zupełnie, gdy z wolna przywłócił się napowrót Psiajucha, stanął naprzeciw niego i w milczeniu przypatrywać mu się zaczął znowu.

— Toś to ty u Niemców w niewoli przez dwanaście lat był? — ozwał się nagle — he?

— A byłem — sucho odparł Włast.

— O! i pewnie nową wiarę u nich wzięłeś — dodał pacholek — a z nią tutaj pójdziesz na gałęź! na gałęź! na gałęź!..

Włast mu na to nie odpowiedział.

Psiajucha wykrzywiwszy się strasznie, obie pięści nastawił, zębami zgrzytnął i jeszcze parę razy powtórzywszy: Na gałęź... nogami aż tupać zaczął.

Nie postrzegł tego, że Stogniew oddawna go widząc dokuczającego przybytemu, wysłał chłopaka z biczem, a ten z tyłu zaszedłszy, smagnął go parę razy z całej siły po nogach. Zrazu chciał się nań porwać Psiajucha, ale postrzegłszy Stogniewa, odwrócił się, zaskowyczał, zęby mu pokazał, kłapnął niemi parę razy i uciekł. Psy ruszyły się i ujadać za nim zaczęły.

Takie było pierwsze na dworze pańskim Własta przyjęcie.

Pozostał potem długo zapomniany w przedsieni, dopóki go Stogniew nie zabrał z sobą do izby, gdzie wieczorny zastawiono posiłek. Znalazło się ich tu trzech starszych ze dworu, którzy razem do stołu zasiedli. Włast najpokorniejsze miejsce zajmując siedział milczący. Spoglądano nań niemal z politowaniem jakimś i pogardą.

W mężczyźnie, za tych wieków wojen i siły, pierwszą była zaleta — siła pięści i zrećność, a że Włast słabowito wyglądał, nie budził tём poszanowania dla siebie, choć wiadano, że był synem możnego człowieka. Stogniew i towarzysze jego, Rosław pański podczaszy i Mislaw

sotnik od straży, spojierali nań ze wstrętem, wiedzieli, że długo był z niemcami, mieli go niemal za wroga. Dziwno im było, że kneź na dworze go chciał mieć.

— A no — ozwał się w końcu, jakby ulitowawszy milczącemu Stogniew — jakże wam po niemieckiej niewoli u nas się wydaje?

— Nie wiem ci ja widział jeszcze oprócz domu pana rodzica mego — rzekł Włast.

— Widzieliście tam u nich murowane grody kamienne — odezwał się drugi szydersko — musi wam po nich być tęskno... Ale te gnuśniki w ciepłym kącie siedzieć lubią i ryją się po norach... a my, dziś tu, jutro tam... nam drewnianej chałupy dosyć...

— Prawda, grody u nich piękne są — rzekł Włast — dostatek wielki... ale choć wygodę lubią, oni też wojować umieją.

— Lepiej od nas? — podchwycił Mislaw prawie gniewnie.

— Jam nie wojak — odparł Włast — na tém się nie znam.

— A na czémże wy się znacie? — zapytał Stogniew.

— Byłem w niewoli — odezwał się Włast ośmielając się i ciągle spokojnie mówiąc — będąc w niewoli czyniłem po niewoli to co mi kazano, służąc i sokołom, i koniom, i ludziom.

— Jakżeście się na swobodę dostali?

— W końcu widząc, że się im na niewiele przydał, dali mi ją sami... — mówił zapytany — użyłem jęj, aby do domu powrócić.

— A doma? — dodał Stogniew — doma u was trzeba takiego jak Luboń wojaka... cóż wy tam robić myślicie?

— Co mi pan rodzic każe...

Pokora ta i spokój, z jakim odpowiadał na nieco szyderskie pytania syn Lubonia, ton, do którego ci ludzie nawykli nie byli, czynił na nich dziwne wrażenie.

Rosław i Mislaw śmieli się uzuchwalać, a widząc takiego bezbronnego, słabego człeka, który się nawet zagniewać nie umiał, Stogniew czuł nieco litości.

Półgębkiem czynione żarciki z biednego chłopaka wywoływały mu rumieniec na lica, cierpiał ale milczał. Posiliwszy się nieco, już chciał wstać by odejść i uwolnić się od tych towarzyszków, gdy komornik książęcy, sługa izdebny, wszedł pozywając go do Mieszka.

Zmieniło to nieco usposobienia dwóch butnych wojaków, a Włast żywo i z wielką ochotą, pokłoniwszy się im, z izdebnym pospieszył.

Mieszko był jeszcze w drugiem podwórzu, gdzie niewiasty jego mieszkały i sypialnię miał, w której odpoczywał. Pierwszy dziedziniec wewnętrzny pełen psów i wrzawy przeszedłszy, przez wrota zawsze zamykane, u których straż stała, wprowadził go komornik na drugie podwórze. W pośrodku jego był ogródek zielony i drzewa. Tu zaledwie zaskrzyptały drzwi, z otwartych okien w lewo ujrzał Włast powychylane głowy w białych chustach młodzieuchnych niewiast, z uśmiechem przypatrujących mu się ciekawie i dających znaki prowadzącemu go komornikowi. Chichotania stłumione dały się słyszeć; kilka strojnych dziewcząt wyrwało się ze wnętrza, aby się znać

obcemu przypatrzeć lepiej. Komornik prędko wskazał mu drogę na prawo, pod słupami, które podsienie dokoła podpierały. Przez wielką sień potem weszli do obszernej izby, w której na ławach siedziało i leżało kilkunastu, tak jak ten, który Własta prowadził, przyodzianych komorników, a oprócz tego straż się znajdowała zbrojna. Izba na słupach drewnianych sparta, które ją na dwoje dzieliły, okopcona od dymu, z ogniskiem ogromném, wygasłém teraz, cichą była i milczącą.

Przeszedłszy ją i drugą mniejszą pustą, w której stał oręż przy ścianach, a na nich wisiały łuki, obuchy, proce i tarcze... uchyliły się drzwi do komory Mieszkowej.

Kneź leżał wyciągnięty na skórach niedźwiedzich, z rękami pod głowę założonemi, na wpół uśpiony. Zwrócił oczy ku wchodzącemu i nie wstając dał mu znak, aby się przybliżył.

Komornik drzwi zamknawszy zniknął.

Jakiś czas panowało milczenie. Mieszko westchnął parę razy, podniósł się z wolna, siadł na łożu i rzekł, przypatrując się Włastowi.

— Tęj nowęj wiary niemieckiej jestem ciekawy... Ty ją znać musisz... Mów mi o niej. Wszak Bóg ich Chrystus się zowie?

— Tak, miłościwy panie — począł Włast z wolna (pytanie to rozradowało mu duszę). — Tak, Chrystus był Bogiem na ziemi, i powrócił do niebios, z kąd zstąpił na nią. Zszedł on, by nowe prawo przyniósł z sobą i zaszczepił go krwią swoją pomiędzy ludźmi...

— Tak... wiem... był zabity... zameczony... — rzekł Mieszko.

— I zmartwychwstał!.. — dodał Włast.

Kneź usłyszawszy to, podniósł nań oczy z wyrazem niedowierzania i przestachu.

— I czynił cuda wielkie? — zapytał cicho.

— I czyni je ciągle... — dokończył Włast.

Mieszko, jakby własnego lękając się głosu, oczy zwrócił na mówiącego i odezwał się cicho bardzo.

— Tyś chrześcianin?

Serce silnie uderzyło Włastowi.

Pomimo że głos ten nie był, a przynajmniej nie wydawał mu się groźnym, nie mógł być pewien, czy przyznając się, nie wyda na siebie wyroku śmierci. W tej chwili osłabienie ducha na myśl mu przyszło, jakby dla uniewinnienia kłamstwa, trzykrotne Piotrowe zaparcie się Mistrza... drgnął, odpychając to jak pokusę nieczystą i wnet mężnie, zwyciężając niemoc i obawę, rzekł.

— Jestem nim, miłościwy panie! jestem nim! Choćbym za to cierpieć miał i życie utracić, zaprzeczyć się nie mogę Boga mego...

Zdumiony Mieszko, milcząc długo się w natchnionego młodzieńca wpatrywał.

— I... nie lękasz się śmierci? — zapytał.

— Nie, panie... bo mnie po niej czeka żywot wieczny i wieczna szczęśliwość.

— Żywot wieczny! — mruknął kneź wstając — jesteście ty pewnym?

— Miłościwy panie — zawołał Włast nabierając coraz więcej odwagi — Bóg nam go przyrzekł.

Z dziwnym wyrazem twarzy napół szyderskim, pół trwożliwym, kneź rzucił się na łożo i zadumał głęboko. Milczenie przykre trwało długą chwilę.

— A cuda ty umiesz czynić? — zapytał.

— Nie, panie, bo ich żaden człowiek nie czyni — rzekł Włast — tylko Bóg, a ten, przez kogo Bóg czyni cuda, musi być godnym jego łaski. Jam jój nie godzien.

Tego Mieszko nie zdawał się rozumieć dobrze.

— Przecież są tacy chrześciance, co czynią cuda? — odezwał się.

— Są, miłościwy panie, ludzie święci, przez których Bóg nasz je czyni.

Znów długo Mieszko się zadumał, położył na swoim postaniu i zdawał zupełnie zapominać o Właście. Młody chrześcianin z bijącym sercem stał i czekał. Nie mógł rozpoznać z twarzy pana, czy był gniewnym i miał go odepchnąć, skazać na więzienie, na śmierć, na chłostę, czy bezkarnie go puścić. Widocznym tylko było, że kneź z podbudzoną ciekawością go słuchał.

Od chrześcian przeszedł nagle do cesarza.

— Cesarz niemiecki... silny on jest? — zapytał.

— Nie wiem, czy kto nad niego silniejszym jest na świecie — odparł Włast — nawet ten drugi siedzący na stolicy dalekiej nad morzem... Panowanie jego rozciąga się od kraju zimy aż do tego, w którym jój nie ma nigdy... Ma pod sobą królów i kneziów i panów moc niezliczoną, wojska niezmożone... skarby ogromne... A! panie! potęga jego straszna...

Mieszko uśmiechnął się znowu z niedowierzaniem.

— A przecież — odezwał się — dotąd jego markgrafowie i książęta nas Serbów, Polan, Wendów, zmódz i podbić nie mogą!.. — zamruczał jakby sam do siebie.

— Nas, cośmy rozbici i podzieleni.

Czechy mają, ale ich zdradzą Czesi, gdy chwilę upatrzą... Poszli z niemi, bo Ugrów złamać trzeba było, co się nam wpili pod trzewa...

Zaczął potem pytać o zamki, o zbroje, oręż i szyki wojenne, i o wszystko co w obcych ziemiach inne było. Włast odpowiadał powoli i z rozwagą — opisując co widział, stare grody z ich murami wielkimi, zamki na gór wyżynach, żelazne uzbrojenia rycerzy, bogactwa cesarskiego skarbu, wspaniałość pałaców i świątyń. Nie przerywając mu, tylko nowymi pytaniami, kneź dał mówić tak długo jak starczyło wieści. Dumając posepnie przysłuchiwał się, to z ożywionym zajęciem, gdy szło o sprawy wojenne, to z lekceważeniem gdy mowa była o złocie. O wojskach i wojennych szykach Włast mało co powiedzieć umiał, chyba co mu samo w oczy wpadło. Myśli Mieszka trudno było odgadnąć, wszelako na twarzy malować się zdawała raczej nadzieja jakaś i niecierpliwość niż zwątpienie, jak gdyby szukał środków dorównania téj sile, wcale się nią nie trwożąc.

Gdy w końcu Włast znużony, wyczerpawszy wspomnienia, zamilkł.<sup>[7]</sup> Mieszko popatrzawszy w okno, rzekł zwolna głos niższy.

— Patrzaj, abyś się ze swym Bogiem nowym przed ludźmi nie chwalił! Gdyby cię obwiniono, żeś wiarę niemiecką przyjął — ukarać bym musiał. Ojca mi żal

twojego. My czcimy naszych starych bogów, innych u nas ludzie nie znają — nic wspólnego z wrogiem mieć nie będziemy. Nie!

Włast chciał go żegnać, gdy kneź dorzucił.

— Od dworu cię nie puszczam. Musisz tu zostać! Mnie przystało znać tych wrogów, z którymi się o każdą piędź ziemi mojej, coby ją zagarnąć pragnęli, nieustannie drżać potrzeba. Stogniew ci da miejsce. Gdy cię puścić zechcę — powiem. Na zawołanie mi być i milczeć!

Z tém odpuścił kneź Własta, nie okazując mu większego gniewu, a gdy ten wychodził na pierwsze podwórze, aby sobie szukać przytułku, Mieszko się położył na pościeli i zadumał jak wprzód.

Przez okno od podwórza wpadały śpiewy niewieście, krzyki a ujadania wrzawliwe i śmiechy szyderskie a złośliwe. Ustawoło to czasem, jakby siłą i rozkazem tłumione — ale wnet kłótnia wracała znowu.

W tém drzwi osłonięte oponą, otwarły się i w progu stanęła niemłoda niewiasta, wysokiego wzrostu, przybrana bogato, cała obwieszona łańcuchami i kolcami, jakby jój szło o to, aby się okazała piękną i młodą. Z pod białego rąbka, który jój głowę okrywał, dobywały się włosy ciemne, ale już posrebrzone. Z dawnéj piękności, zostały jój zaledwie czarne oczy iskrzące się jeszcze i usta małe, zaciśnięte z wyrazem gniewu.

Od progów postąpiła kroków kilka, wyciągnęła ręce białe ku panu i pokłon oddawszy, zdawała szukać wyrazów, od których by poczęła. — Dłonią niecierpliwą to przegładzała włos, to poprawiała na sobie szatę.

— Cóż mi powiesz Różana? — zapytał kneź — spoglądając na nią roztargnionemi oczyma.

— A co zawsze, co zawsze, miłościwy panie! że ja tu ze zgrzyoty z temi twojemi niewiastami życie stracę — albo mnie z nich która zielem struje jakim, bo to wszystko złe — zazdrośne jędze.

— Cóż się znowu stało? — spytał śmiejąc się Mieszko.

— A to, to, co się tu dzień i noc dzieje, jak się tylko pobudzą te wasze bogunki! Jedzą siebie i mnie — czyby sobie powydzierać rade. Słyszycie wrzawę, miłościwy panie, gdy jedna śpiewa, druga płacze, gdy się cieszy która, zaraz inna się wścieka. Nie pomaga nic. Ja tam starszą jestem a porządku utrzymać nie mogę. Nocy nie dośpię, a nie upilnuję.

Założyła ręce na piersiach i stanęła naprzeciw knezia, jakby błagając o ratunek.

— Cóż to? nie macie siły i władzy? żeby sześciu głupim młododycom nie dać rady? — krzyknął Mieszko.

— Prędjéj sobie Stogniew da rady ze stu pachotkami, niż ja z tém utrapieniem, z temi gąsienicami.

— Cóż więc począć z niemi?

— Co? co? — mruzczała stara Różana — rozpędzić to na cztery wiatry, poodsyłać do domów, ja nie wiem, ale ja ich już nie zmoję.

— A któraż najgorsza z nich? — spytał kneź.

— Zawsze ostatnia, ta którą najlepiej lubisz, miłościwy panie — ta co wam najmilejsza, a której palcem nikt tknąć nie śmie. Ta na mnie i niepatrzy, nie żeby mnie słuchać miała, ta grozi i mnie i drugim.

— Któż? Lilja?

— Dziś Lilja — a jutro będzie ta, co po nią przyjdzie — mówiła głową potrząsając zrozpaczona Różana. Dobre one wszystkie.

— A cóż mam na to uczynić? co? — począł żartobliwie kneź.

— Wszystkie odpędzić — odpędzić.

— To nie może być — nudno by mi było — rzekł Mieszko. Kto wie? zmienić się to może jeszcze, ale nie zaraz. Różana, miej cierpliwość — trzymaj je ostro, moc masz nad nimi, zagroź w moim imieniu.

Rozpaczliwie niemal rękami rzuciła Różana, gdy szelest się dał słyszeć za oponą i piękna, młoda niewiasta, zuchwale, śmiało wpadła do komory książęcej.

Dziewczę było, nie mające lat dwudziestu, z czarnymi pięknymi oczyma i długimi kosy czarnymi, zręczne i gibkie jak łania, silne i odważne. Na czole, w oczach i ustach malowała się ta pewność siebie, jaką daje piękność i młodość. Z pogardą i gniewem spojrzała na Różaną, która się nie cofnęła przed nią, minęła ją i postąpiła do Mieszka.

— Miłościwy panie! — słyszałam ja wszystko — stałam za oponą. Co wy tej stariej jędzy wierzycie? Zła jest na wszystkich, bo jej młodość pełnie z włosami, bo ma już zmarszczki na twarzy i Stogniew ją dla młodszej porzucił.

Różana zacisnęła pięści, Lilja zaczęła się śmiać.

— Myśmy winne, bośmy młode, bośmy wesołe, kiedy ona już ani krasną, ani młodą być nie może. Tak! tak! powtórzyła, widząc, że Różanie się oczy paliły i usta drżały.

Tak! miłościwy panie — chciałyby abyśmy u kądzieli siedziały cały dzień, a ona sobie mogła spokojnie starszyzną na miód zwabić do siebie.

— A ty gadzino! — krzyknęła Różana — w gniewie, powstrzymać się nie mogąc.

Mieszko śmiał się z kłótni, która się go bawić zdawała, lecz zarazem czoło coraz mu się groźniej fałdowało. Lilja uśmiech wywoływała na usta, usiłując pana rozbroić.

Niedość było na tych dwu zapaśnicach, drzwi się otwarły głośno, wpadła trzecia jeszcze. Było to dziewczę równego może wieku z Lilją, ale do niej niepodobne, drobne, wątłe, białe, z włosami złotawymi z oczkami szaremi, jakby do płaczu stworzonymi. Na pozór słaba i bezbronna, mała Barwina, więcej może miała dumy i siły w obliczu, niż te dwie co ją uprzedziły. Z jakąś powagą dziwną, zbliżyła się, główkę podnosząc do knezia.

— Ta Lilja — rzekła. — Kropiwa nie Lilja. — Ona wszystkiemu winna! Ona mnie i żadnej nie daje spokoju! Jam przecież starsza od niej i mam prawa moje! Ja jestem żupana córka, mój ród kneziowski, my Lechy, a ona kto? Ojcem jej niewolnik... dziecko po rabie... porabka jakaś i śmie...

Lilja nie dając jej dokończyć, przyskoczyła z gniewem i groźbą tak straszną, że Różana zapomniawszy własnej urazy, stanęła co żywiej między nimi, aby walki nie dopuścić.

Mieszko śmiał się jeszcze, ale twarz pańska coraz się

stawiała straszniejszą, brwi i czoło marszczyły się. Sparty jedną ręką na łożu, drugą wyciągnął ku zwaśnionym.

— Barwina i ty Liljo! kto wam wchodzić pozwoli! Do izby! nazad, tej chwili.

— Panie! Lilja cię zdradza! — zawołała mała Barwina.

— Kłamiesz! ty sama masz kochanka ty! ty! czerwieniąc się cała, krzyknęła Lilja.

— Różana, prowadź je do izby... Precz! natychmiast! Rozeznam sprawy wasze i ukarzę.

Stara chwyciła za rękę wyrwijącą się Barwinę i podstaąpiła z nią ku drzwiom. Lilja znać pozostać chciała, aby skorzystać z ich odprawy, lecz Mieszko ręką drzwi jej wskazał także i posłuszna niewiasta głowę spuściwszy, powoli, gniewna, zapłoniona, musiała wyjść za Różaną.

W sieni słychać jeszcze było głosy kłótniwe, które się powoli oddalały i zmieniły w gwar niewyraźny. W tej chwili Stogniew się ukazał w progu. Spojrzał na pochmurne pańskie oblicze i nie śmiał ust otworzyć.

— Na Peruna! — zawołał Mieszko. — Całe chyba to stado precz rozegnać potrzeba, zamiast pociechy i spoczynku, waśń tylko i męka z nimi.

Ręką groźnie zamachał w powietrzu.

— Do Peruna! te białogłowy z ich językami! powtórzył. Stogniew zdawał się czekać na rozkazy, ale Mieszko się zadumał, i zbył go posępnym wejrzeniem.

## VI.

Właśc pozostał na dworze Mieszka, chociaż, mimo iż mu kneź twarz okazywał łaskawą, inni nań koso patrzali. Domyślano się w nim znać tego czém był w istocie — chrześcianina — a tu to znaczyło tyle, co niemiec i wróg. Spokojna i pokorna postać młodzieńca nie przypadła zresztą do butnego i rycerskiego dworu, który ciąglą od dychał wojną lub zabawiał się łowami i zapasami siłaczy. Ściągano nieustannie i zbrojono, a przysposabiano ludzi, jakby nazajutrz wojna miała wybuchnąć — bo na granicy nigdy spokoju nie było. Ztamtąd przychodziły wieści, dniem i nocą, szczególnież o czynnościach srogiego nieprzyjaciela Słowian, markgraфа Gerona. Mieszko, jeśli się osobiście nie mieszał do drobnych tych utarczek, podsycał je, wywiadywał się, pomagał potajemnie. Kneź sam i wszyscy co go otaczali, mieli już to przekonanie, że do niego należała władza i panowanie nad wszystkimi plemionami bratnimi, aż do morza, aż za Wisłę, że Szlązko téż i Chroboty powinny były, prędzej, później Czechom być odebrane i do Polanów jedności włączone. Wszystko co Gero zdobywał nad Łabą, co zdradą odpadało od bałwochwalstwa i słowiańskiego przymierza, Mieszko uważał, jakby sobie wydarte. Pomagał mu w tém brat po ojcu, choć nie po matce, starszy od niego Sydbór, z ulubienicy Ziomomysłowej zrodzony, przed zaślubieniem Górki, matki Mieszkowej, wojak z lat młodych, który żył tylko wojną.

Po matce, która była prostą dziewczyną z lasów kędys wziętą, Sydbór wziął naturę dziką, upodobanie w życiu swobodnym, pod gołym niebem, na zasadzkach, w

walce i napadach. W Mieszku szlachetniejsze górowały instynkta, pragnienie panowania, przemyślne poszukiwanie środków — chęć dorównania narodom, które więcej mogły i umiały.

Sydbór był prostym zapaśnikiem, który chciał się tylko bić i miał upodobanie w rzezi a krwawych walkach. Litości u niego prosić było próżno, nie prosił jęj dla siebie, nie miał dla drugih.

Mieszko dawał mu dowództwo nad niesworniejszymi oddziałami, najtrudniejsze do wykonania polecenia, używał go nie dając mu tchnąć. Sydbór był rad i więcej nie pragnął. W wyznaczonej sobie dzielnicy, którą mu brat puścił, nie siedział nigdy prawie, domu dotąd nie miał, rodziny nie pragnął, koczował z oddziałem swym konnicy na wiecznych czatach, włócząc się po nad granicą i gdziekolwiek można było napaść z nienacka, łupu zagarnąć siła i ludzi nabić mnogo. W boju śmiał się i całą krwią obluźgany szalał zwycięstwem. W Poznaniu zjawiał się wołany, często niespodzianie, ale miejsca nie zagrzał. Drugiego dnia już go piekło w pole. Czasem nieopowiedziawszy się kneziowi, ruszał i niewiedziano nawet dokąd. Ruchawy ten i przedsiębiorczy brat byłby może niepokojem nabawiał Mieszka, gdyby w nim dostrzegł jaką chęć samoistnego panowania, ale Sydbór zdawał się nic nie pragnąć nad to życie, które prowadził. A srogi ten, nielitościwy kat na ludzi, którego znano z tego, iż żadnej winy nigdy nie przebaczył i miłosierdzia nie miał nad nikim, kochał przecie i szanował Mieszka, a nadewszystko czcił i przywiązany był do siostry, która nosiła toż imię co matka jęj — i zwała się Górka.

W osobnym dworze na zamku nad Cybiną, mieszkała ona, pod knezia opieką; miała swą służbę oddzielną i żyła odosobniona. Niewieście towarzystwo żon kneziowskich nie przystało jęj, trzymała się od niego zdala. Mieszko zdawna za mąż wydać ją pragnął, lecz lada komu dać nie chciał.

Górka też nie wyrwała mu się na świat. — Była ona najmłodszą z rodzeństwa, a gdy Ziomomysł umierał dzieckiem ją zostawił. Doszła lat dwudziestu, wychowując się ze starymi niewiastami, które niegdy matce jęj służyły, wśród wrzawy wojennej dworu brata, mając upodobania prawie męzkie i charakter Mieszkowemu podobny. Górka była teraz piękną ciemnowłosą dziewczyną, silną i śmiałą, któraby jak owe czeskie dziewczęta chętnie poszła na wojnę, gdyby jęj pozwolono. Wszystko co Mieszko sobie poczynał, obchodziło ją mocno, rozumiała go i zgadywała, choć go pytać nie śmiała, a jak jemu marzyło się szerokie panowanie nad zjednoczonymi plemionami, tak jęj też zaślubienie jakiegoś knezia, któryby Mieszkowi z orężem stanął do boku.

Kneź szanował siostrę i lubił ją, ale niczem było jego przywiązanie do nięj, przy cześci a uwielbieniu dzikiego Sydbóra, który ile razy nad Cybinę przybył, zawsze tęj siostrze musiał dań jakąś przywieźć, a najszcześliwszy był, gdy go do nięj dopuszczono. Górka z tym przyrodnim swym czyniła co chciała, a gdyby mu najdziwniejszy rozkaz wydała, spełniłby go nieochybnie, o niebezpieczeństwo nie pytając.

Nazajutrz po przybyciu Własta, rano nadciągnął właśnie Sydbór, a jeszcze do wrót nie doszedł, gdy już na grodzie panowało poruszenie wielkie i wszyscy biegli widzieć go nadciągającego. Wyszedł i Włast... W przedsieniu stał Mieszko otoczony dworem, czekając także na zapowiedzianego gościa, gdy zdala od wałów pokazał się orszak jego. Nie był on zaprawdę świetny, ale dziwnie wyglądał. Stu może ludzi konnych, na żwawych mierzynach prowadził z sobą Sydbór... Sam on jechał przodem — istny wódz dzikich, czerwony, czarny, zarosły, w odzieży jaskrawej i naszywanej blaszkami a świecidły, w czapce z pióropuszem nieco oszarpanym, obwieszony bronią wszelkiego rodzaju, której miał tyle ile się jęj u pasa, na ramionach, przy koniu, w rękach mogło zmieścić. Jeden miecz wisiał u pasa, drugich dwa tkwiło za nim, młot miał pod ręką, łuk na plecach, procę na ramionach, dzidę i oszczep poczepiane misternie. Komu innemu ta mnogość narzędzi więcejby przeszkadzała niż dogadzała. Sydbór ich z taką zręcznością umiał używać, iż nic zbytecznym dlań nie było. Tarcz zwykle miał uwieszoną tylko przy koniu i mało jęj używał.

Ludzie jego mieli wszyscy grubo kute pancerze łuskowe i blachy, niektórzy kaftany, dzidy, szable krzywe, oszczepy, i odziani byli jednakowo, co naówczas wielki przepych stanowiło. Jak Sydbór, tak jego drużyna cała wyglądała strasznie. Nie było jednego całego... twarze porąbane, ciała sińcami okryte, oręże poszczerbione, na wszystkim krwi i pyłu pełno.

Pomimo to szli butnie, rażno i z twarzami wesołemi, jakby w tryumfie. Tłumaczyło się to tępem, że w pośrodku orszaku ich, szło jakby stado ludzi powiązanych sznurami, poczepianych z sobą, starców, młodzieńców, kobiet i dzieci.

Sydbór napadł na osadę niemiecką pod gródkiem nad Odrą nie dawno założoną, i wszystko co znalazł zagarnął, wieś puściwszy z dymem. Zabrane konie i bydło, pędzili osobno ludzie, którzy się wolniej ciągnęli...

Wszyscy ci niewolnicy, odarci i pobici, na których twarzach i ciałach rany ledwie pozasychały, przerażający widok przedstawiali, niemęj a wścieklej rozpaczy. Jak tylko orszak ten stanął w podworcu, kilka niewiast padło spoczywać na ziemię, a kilka zwalwszy się nie powstało już więcej. Kupka dzieci nagich, z włosami rozczochranemi jęczała i płakała, a wojacy je dla uspokojenia smagali.

Z wrzawą, jękiem, śmiechem i płaczem przyciągnął tak Sydbór przed Mieszka, pokazując mu na zdobycz swoją, i z konia jeszcze rozpoczynając opowiadanie o wyprawie. Mowę jego jękliwą, trudno było zrozumieć, ale to co wiódł z sobą wymownem było.

Na widok ten i Mieszkowi oczy się zaśmiały. Śmiech i radość były usprawiedliwione, bo tak samo i gorzej w pętach prowadzono słowian branych nad Odrę — a margraf Gero nietylko mieczem, ale zdradą tępił to plemię, któremu nie mógł dać rady.

Zbiegło się co było ludzi na grodzie, po części niewolnikom, w części znanym wojakom Sydbóra się przypatrywać i rozpytywać kędy bywali. Zagładano do



niemców, dopatrując w nich ludzi zdrowych do pracy i posługi. Niewolnik wówczas był drogi i pożądany...

Zdała patrzeć i Włast... a twarz mu pobladła nagle na widok siwego odartego staruszka, który zaledwie łachman mając na sobie, obnażony, wychudły, do ran prawie skrępowany sznurami, ze spuszczoną głową stał ledwie się mogąc na nogach utrzymać. Krótco ostrzyżone włosy, a na wierzchu głowy wygolona korona, która pośmiewiskiem była dla pacholków Sydbóra — dały w nieszczęśliwym poznać chrześcijańskiego kapłana.

Włast mimowolnie załamał ręce, szczęściem nim postrzeżono ten ruch, zdradzający politowanie, miał czas się opamiętać.

Po tym okazie łupów i zrzuconiu przed Mieszkiem różnego naczynia, oręża, szat pobranych na kupe, wśród której Włast dostrzegł srebrny kielich kościelny i dwa lichtarze... gdy ludzie jedni zabierali do skarbcza zdobycz, a kneź brata schylonego przed nim po ramieniu klepał, drudzy z gromadą niewolnika, powoli odciągnęli ku szopom dla wypoczynku.

Kneziowie oba weszli do dworu, służba, komornicy, gawiedz pozostała rozwiadując się o wyprawie, śmiejąc i pokrzykując wesoło.

Włast, którego widok ten przejął litością jako chrześcianina i kapłana, jako długi czas w niemczech i z niemcami żyć nawykłego... stał osłupiały, myśląc coby mógł począć, aby starca, którego znał, mógł z niewoli srogiej wydobyć.

Przychodziło mu na myśl rzucić się do nóg kneziowi, gdy doń przypuszczony zostanie, i prosić go o darowanie staruszka, który bezsilnym będąc, mało na co komu mógł się przydać.

Stał tak jeszcze zamyślony, gdy poczuł, że go ktoś za rękaw pociągnął. Obejrzał się i zobaczył za sobą staruszkę obwinętą płachtami białymi, która coś po cichu szeptała mu do ucha... Nie mógł jęć zrazu ani zrozumieć, ani się domyśleć, czegoby od niego chcieć mogła. Stara odwiodła go na stronę, i odezwała się.

— Wy to jesteście Luboniów syn? coście dwanaście lat przebyli w niemieckiej niewoli...

— Tak — rzekł Włast — ja nim jestem.

Stara popatrzała nań długo...

— A pamiętacie wy Srokichę?

Włast, któremu się wspomnienia młodości zatarły w pamięci, zaledwie to imię mógł przypomnieć.

— Tak nazywali u nas w Krasnej-górze, poczciwą niewiastę, co mnie po śmierci matki swoją piersią karmiła. Staruszka objęła mu kolana, a potem prędko podniosła oczy i zażawione razem, i rozpromienione.

— Gołąbku mój! dziecko moje! Toć to ja jestem Srokichą... Ojciec twój darował mnie do dworu kneziowi, bom umiała leczyć i zamawiać. Dali mnie do kniehini, do Górki... siedzę przy niej, biedną dziewczynę zabawiając jak umiem. Gołąbku mój! dziecko moje! A! cóż to z ciebie niewola zrobiła... Jam myślała karmić ciebie, że jak dębczak wyrośniesz, a tyś jak leszczyna wiotki i wątły.

Włast przypatrywał się staruszce... z rozrzewnieniem,

powoli na myśl przychodziły mu lata młode, które zawsze urok wielki mają. Łza mu się kręciła w oku. Chciałby był czémś obdarzyć staruszkę, mamkę swoją, nie miał nic. Nie widać też po niej było ubóstwa i potrzeby, odzież miała dostatnią, płótno białe i cienkie, a ręce niezpracowane okazywały, że wczasu używała.

— Gołąbku mój — powtórzyła cicho Srokicha — chodź ze mną, ja cię kniahini<sup>[8]</sup> mojej pokażę... bo ty tak jak dziecko moje. Krew w tobie żupanów i władków, ale mleko też moje płynie.

Ocieriała łzy stara i pragnąc i nieśmiejąc głąskać swojego wychowańca, który się jęć smutnie uśmiechał.

— Chodź — dodała — kniehini<sup>[9]</sup> dobra pani, piękna pani, miłosierna. Sama jedna, męża nie ma, nudno jęć w świecie, bawić ją trzeba to śpiewami, to gadkami — niechajże się pobawi słuchając o twojej niewoli. Ja cię do niej zaprowadzę.

Włast stał nie bardzo rad zaproszeniu, ale stariej nie śmiejąc się opierać, myślał przy tém, że jako chrześcianin i kapłan, winien był zbliżyć się do ludzi, aby choć probować nawrócenia.

Stara wiodąc go za sobą, przeszła część podwórza, aż do drugiego dworu kniehini, otworzyła sobie wrotka boczne i niemi Własta wpuściwszy, zaraz je za sobą zasunęła.

W podwórku niewielkiem cicho było — i zielono. Całe ono jakby ogródek bujno zarosły stanowiło... W pośrodku była lipa stara rozłożysta, po rogach w plecionych z łożyny klatkach świergotały zamknięte ptaszki. Maleńka sarenka chodziła gryząc trawę swobodna, a gdy ujrzała wchodzącą Srokichę, stanęła, podniosła główkę z oczkami czarnymi i nóżką tupnęła... a za nią postrzegłszy obcego pierzchnęła w drugi koniec podwórza.

Stara kazała się Włastowi zatrzymać, ławę mu pod ścianą pokazując, aby sobie na niej spoczął, a sama poszła do kniehini.

Z okien na podwórze wychodzących, kilka głów wyrzało, przypatrując się oczekującemu i znikło... przypatrywała mu się i hodowana sarenka, to przybliżając, to uchodząc, a nad głowami ptaszki szczebiotały.

Po dosyć długim oczekiwaniu, ukazała się wreście Srokicha, i dała znać Włastowi, by szedł za nią.

W trzeciej izbie z oknami zwróconemi na podwórze, przeszedłszy dwie puste pełne niewieściego sprzętu, znalazł Włast Górkę.

Stała spodziewając się go, w pośrodku komory, całej przystrojonej w kwiaty i kobierce; z rękami na piersiach założonemi, w postawie prawie mężkiej, piękna, ale surowej twarzy kniehini.

Była tak podobną do Mieszka, iżby ją za siostrę jego wszędzie poznać było można. Piękniejszą była nie inną, ten sam rozum i zadumanie miała w twarzy i dumę tę samą.

Ubrana w suknie krasne, z wianuszkami na głowie, którego dziewice nigdy naówczas nie zrzucały — oczyma bystremi od wnijscia zaraz zmierzyła Własta ciekawie...

Stara sama jęć do kolan przypadłszy, jemu też paść do nóg pani kazała, co Włast dopełnić musiał. Nim on otworzył usta, Srokicha za niego mówiła już o dwuna-

stoletniej niewoli jego, skarżąc, że tak ona go znękała i wysuszyła. Kniehini stała długo milcząca... patrzyła, i nierychło dopiero głosem męzkim, rzuciła pytanie, czy go bardzo niemcy męczyli.

— Miłościwa kniehini — odpowiedział Włast — żadna niewola rozkoszą nie jest, lecz i między niemi są ludzie litościwi.

Górka potrząsnęła głową...

— Daleko was pędzili? — zapytała.

Włast tedy rozpowiadać zaczął, jako był na dworze cesarskim, a z nim w tej ziemi, która nie zna zimy, i w której cuda prawie widzieć można, tak piękną jest i ludną.

Wspomnienie o cesarzu, o tych krajach oddalonych, o cudach żywo dopiero zajmować zaczęło kniehinę i pytała już, a przysłuchiwała się bacznie. Opowiadanie, którego Srokicha też słuchała bardzo chciwie, byłoby długo może trwało, gdyby hałas w podwórzu nie zwiastował gościa nowego. Nim stara rozmyśliła co z Włastem uczyni, wparł się już Sydbór do siostry... otworzył drzwi, i przypadłszy do niej bił jej czołem, całując kraj szaty, śmiejąc się i ryhocząc, że ją mógł widzieć.

Górka mu rękę swą białą położyła na ramieniu, i uśmiechnęła się nie jak bratu, ale jak słudze, pytając kędy bywał, i z czém powracał.

— Miłościwa Kniehini — bełkotał dziki wojak, ciągle się śmiejąc i patrząc jój w oczy — byłem daleko, wpadłem aż do niemieckich wsi w granicy, dwie ich spaliłem, niewolnikom nabrał, bydła i koni, i bab i dzieci... a oto dla ciebie kniehini — bo ja o was nigdy nie zapominam... wybrałem co najlepszego.

To mówiąc wskazał jój, aby nastawiła ręce... Górka podniosła nieco poję sukni... a Sydbór począł wyjmować z zanadrza, sypać jój śmiejąc się na nastawioną poję, pierścienie, kolce złote, i ozdoby kobiece. Przy jednym z kolców, trzymała się część ucha oderwanego z niim razem, ale nikt nie spojrział na to.

Sydbór śmiał się chwaląc łupem, kniehini zdawała też nim cieszyć... lecz dziękowała bratu, bez wielkiego zapału. Po chwili wszystkę tę zdobycz oddała starój Srokisze do schowania, a wojak począł opowiadać jak palił i zabijał.

Włast stał jesze<sup>[10]</sup>, lecz nie miał już tu co robić, nikt nań nie patrzył, pokłoniwszy się więc, dał znak starój, ażeby go wypuściła.

Wyszła ona za nim — a w komorze kniehini słysząc już było tylko dzikie śmiechy Sydbóra. Wypuszczając dziecko swe stara szepnęła mu, gdzie i jak znaleźć ją może, jeśliby czego potrzebował. W istocie ona to go najwięcej widzieć i cieszyć się nim potrzebowała.

Wyszędłszy ze dworu kniehini, Włast, któremu na pamięci stał ciągle obraz starca niemiłosiernie skrepowanego — choć nie wiedział gdzie go miał szukać, postanowił iść dowiedzieć się o niewolniku, aby mu być jaką pomocą.

Lecz na grodzie obszernym, szop i budowli tyle było różnych, żem<sup>[11]</sup> w nich łatwo mógł się obłąkać. I byłby długo musiał szukać jeńców, gdyby tłum gawiedzi

dworskiej, otaczający ich, nie wskazał mu gdzie byli. Starszyzna wojskowa gromadziła się tu, wcześniej sobie upatrując ludzi, których zamianą, darem lub za zapłatę dostać sobie mogła do usług. Brańcy i branki leżeli tu na ziemi, pędzeniem długim i nielitościwym znużeni, pospierani jedni na drugich.

Ponieważ lękano się, by z długiego nie pomarli głodu, rzucono im chleba suchego i postawiono wiadro z wodą. Niektórzy chciwie gryzli spleśniałe okruchy, inni pili — większa część bezmyślnym snem ujęta, nie lękając się już ani razów, ani śmierci, leżała jak martwa.

Włast z trudnością się mógł przecisnąć przez ciżbę... szukając oczyma staruszka... On jeden siedział nie pijąc, nie jedząc, nie mogąc usnąć, ze spokojną rezygnacją człowieka czekającego na śmierć. Mógł się jój spodziewać, bo sił do pracy nie miał, stary był, a karmić go darmo, niktby nie chciał może. Wzięto go z tłumem, przy rabunku kościoła — nie ubito na drodze, ale zbliżała się chwila, gdy ich przebierać miano.

Zwolna obchodząc jeńców, Włast się zbliżył do starca tak, że oczy jego błędzące bezmyślnie po tłumie, na nim się zatrzymały.

Poznał go, prawie przerażony... chciał się ruszyć, lecz więzy nie dawały. Wśród gwaru panującego do koła, łatwo do siebie przemówić mogli.

— Ojcie Gabryelu — rzekł Włast — jakżeście się tu dostali?

— Ojcie Matia? — odparł niewyraźnie starzec — zkąd wy tu?

— Jam powrócił — musiałem.

— Jam schwycony — jam w niewoli — mówił starzec — wola pańska... gotówem na męczeństwo. Patrzałem na kościółek mój splugawiony, na świętokradstwo... o Boże! los własny mnie nie obchodzi.

— Ale mnie on na sercu leży — ojcie Gabryelu — i jeśli potrafię — ja was uwolnić muszę.

— Po co? — zapytał stary — kościół mój spłonął i obalił się — owieczki rozbite... pasterz nie potrzebny.

I głowę na piersi pochylił.

— Ojcie Gabryelu — bądźcie dobrej myśli — idę prosić za wami.

— Proście za sobą, ojca miłosierdzia — odezwał się staruszek — aby wam dał wytrwać w wierze... Bóg niech was błogosławi.

Związaną ręką krzyżyk zrobił staruszek...

Nie miał już tu Włast co więcej czynić — wysunął się więc co najrychlej i spieszył nazad do dworca książęcego. Lecz tu docisnąć się teraz ani pomyśleć było można.

Jakieś kneziątko Obodrytów, z gromadą Lutyków przybyło właśnie, i do Mieszka wpuszczone zostało.

Wrzawliwa narada odbywała się z niemi w wielkiej izbie. Mieszko siedząc na stolicy swój, otoczony dworem licznym i zbrojnemi ludźmi przyjmował ich uroczyście. A że po kilkakroć doświadczył ich niewiary i krzywoprzysięstwa, łajał więc i bezcześcił przybyłych, którzy go na kolanach przebłagać się starali i posiłki sobie a opiekę wyprosić. Przez otwarte okna od podwórza widać było tę scenę we wnętrzu... klęczących starców brodatych, i z

siedzenia swego groźno im odpowiadającego Mieszka. Groził im nawet śmiercią, ale zwoła gniew się uśmierzać zaczął, i łagodniejsza zaczęła umowa. Trwało jednak długo spieranie się z ludźmi do niesfornego krzyku nawykłymi, którzy więcej narzekali niż tłumaczyli się, a prostymi słowy powiedzieć nic nie umieli. Kilkakroć zrywał się ku nim kneź, jakby wpaść chciał i rozgromić, wstawali oni i klękali, bili czołem o ziemię — wreszcie zgodą się skończyło wszystko — i miód przyniesiono, a potem stół im zastawić kazano.

Nadejście Sydbóra, wracającego od siostry, nie ułatwiło zgody, bo dziki kneź nastawać począł, na Lutyków zwłaszcza, i ledwie się dał ukoić.

Cały ten dzień prawie zszedł na takich sprawach, Włast musiał czekać zbliżenia się do pana, nie mogąc o nic prosić.

Wieczorem dopiero pozwał go Stogniew do knezia. Składało się nad spodziewanie szczęśliwie. Mieszko kazał iść Włastowi ze Stogniewem razem, dla przebrania niewolnika i rozpytania go, bo mało kto język ich dobrze rozumiał.

Mieszko, baczny we wszystkiem, kazał roz badać czy między jeńcami rzemieślników nie było, szczególniej płatnerzy, kowalów i tych, co około oręża chodzić umieli. Chwycił się tej zręczności Włast i do nóg pokłoniwszy się Mieszkowi, opowiedział mu, iż między niewolnikami znajdował się starzec mu znajomy, który niegdyś dobrze się z nim w czasie pobytu jego wśród Niemców obchodził. Prosił więc uniżając się, aby go mógł dostać.

Zamyśliwszy się nieco kneź, skinieniem głowy zezwolił na to, i dał rozkaz Stogniewowi, by starca Włastowi dano. Podziękowawszy za tę łaskę, szedł weselszy już spełnić dane rozkazy. Jeńców znaleźli leżących tak kupą na ziemi i powiązanych jak przybyli. Włast sam podbiegł porozcinać sznury staremu ojcu Gabryelowi i opończą go przyniesioną okrył...

Posadziwszy go pod szopką, począł potem obchodzić wszystkich, pytać i rozdzielać. Wnet część jedną dano na chaty do miasteczka, do rzemiosł różnych, innych rozebrała starszyzna, dzieci też rozdzielono różnie... często osobno od matek. Dwa czy trzy trupy, i kilka dogorywających zostało na placu, około których Psiajucha się kręcił, bo ci do niego należeli.

Wieczór był późny, gdy rękę podawszy osłabłemu starcowi, Włast, który sam liche miał pomieszczenie w ciasnej izdebce ciemnej bez okna, gdzie tylko posłanie się mieściło, poprowadził do niej ojca Gabryela, sam wybierając się do Srokichy, aby dłoń dostał posiłek jaki, i czémby wycieńzonego mógł pokrzepić. Ciepła noc letnia, jemu dozwalała i u drzwi tej ciupki na twardej ziemi położyć się na spoczynek.

Ocalony kapłan, jak posłuszne dziecko, poszedł za swym oswobodzicielem, czyniąc co mu było rozkazano. Włast sam go nakarmił, układał, poobwiązywał rany od sznurów, i okrywwszy na noc, ucałowawszy rękę starca, cofnął się, aby na straży pozostać u progu.

## VII.

Uplętnęło dni kilkanaście podobnych do pierwszych, które Włast spędził na dworze księżęcym. Nie zmieniło się nic. Kilka razy prosił, aby go do Krasnejgóry do ojca kneź raczył odpuścić, ale na to nie otrzymał zezwolenia. Razem z oswobodzonym O. Gabrielem, który leżał chory i ruszyć się nie mógł, pilnując go i karmiąc z pomocą starej Srokichy, niebardzo chętnej dla Niemca, Włast pozostać musiał wśród nieprzyjaznego dosyć dworu. Patrzano nań zawsze niechętnie.

Kilka razy w wolniejszych godzinach kneź kazał go pozyskać do siebie, zawsze zwracając rozmowę to na wiarę nową i ostrość jej, to na Niemców i ich cesarza a jego siły. Włast ośmielił się nieco i czuł się w obowiązku jeśli nie nawracania knezia, to przynajmniej do oswojania go z chrześcijaństwem i jego potęgą. Pomagało mu do tego wiele, iż najpotężniejszy naówczas władca ziemi czeskiej, Bolesław, którego państwo rozciągało się od Wełtawy do Styru, obejmując Chrobacę, Ruś, Szlązko, kraje niezmiernie rozległe, pomimo wstrętu, jaki czuł on i matka jego ku chrześcijaństwu, mimo popełnionego na pobożnym a świętym bracie morderstwa, sam wreszcie musiał przyjąć tę wiarę i ocalił Czechy, wchodząc w przymierze z cesarstwem.

Mieszko tłumaczył to sobie grozą najazdów węgierskich, przeciw którym Czechy się obronić nie mogły; lecz nowa wiara płynęła z zachodu z siłą tak nieprzepartą, iż nie pozostawało i jemu nic nad to, by albo ją przyjąć dla ocalenia lub paść w walce daremnej.

Kilka razy w ciągu tych dni kneź posyłał i pytał niecierpliwie o Dobrosława, wyprawionego do Pragi, przychodziły mu na myśl posadzenia nawet, iż mógł go zdradzić i nie chciał powracać, gdy jednego rana zjawił się pożądany poseł.

A chociaż dnia tego znowu wyprawiano ludzi na Pomorze, których Sydbór wiodł dla pomszczenia jakiegoś napadu, choć byli posłowie od Łużyczan i Dulebów, Mieszko natychmiast powołać do siebie kazał Dobrosława i sam na sam się z nim zamknął.

— Mów — rzekł — mów mi wszystko co widziałeś, coś słyszał, co mi przynosisz.

Czarne oczy knezia, pałające ogniem niespokojnym, nagliły Dobrosława do jak najspieszniejszej odpowiedzi. A człek, co miał tak niecierpliwie oczekiwane przynieść wiadomości, był powolny, rozmyślny i ważący mowę swą a wyraz każdy; niepewny siebie, jeśli nie bojaźliwy, to do zbytku rozważny. Zbierał więc myśli, gdy Mieszko posadzający go, że się ociągał tak, bo nic mu dobrego nie przynosił, płonął już gniewem przedwczesnym. Pierwsza myśl, jaka mu się nasnęczyła, była, że Bolesław teraz gorliwy chrześcianin, mógł mu tak wzgardliwie odpowiedzieć, jak Świętopełk Morawski ochrzczony poganinowi Borzywojowi, przybyłemu doń w gościnę, gdy do stołu zasiąść mieli.

— Niegodzieneś się przy mnie... ze psami usiądź i jedz na ziemi...

Spostrzegłszy Dobrosław ognistą twarz pana, strwożył

się wielce.

— Miłościwy panie, pozwólcie mi powiedzieć jako umiem, to com widział i co słyszałem, złego nie przynoszę nic, ani słowa wzgardy, ani niechęci, owszem pokój, zgodę i przyjaźń od knezia Bolesława...

Twarz Mieszka się rozchmurzyła, odetchnął.

— Strasznyż ten Bolko Luty, ten zwierz okrutny?.. — zapytał.

— Czasy te minęły, gdy Bolko był tak okrutnym — mówił Dobrosław. — Ze śmiercią i ucieczką Drahomiry, dawno zmieniło się wszystko. Bolesław zestarzał, osłabł... pokutuje dobrowolnie za przelaną krew... on i jego dzieci... Strachkwas, ten syn co się narodził w dzień zabicia Wacysława, jest duchownym chrześcijańskim, Młada, córka jego, zamknięta w klasztorze u św. Jerzego... zabity brat za świętego jest poczytywany i po śmierci czyni cuda.

Mieszko się rzucił z dziwnym śmiechem. Dobrosław zamilkł.

— Co uczynił z bratem — rzekł kneź — wiedział dlaczego... państwo podzielone być nie mogło... Ale mógł mu oczy kazać wylupić, niechby żył... A że książątek nieposłusznych nabił dużo... dobrze uczynił — dodał — inaczejby nie panował i nie obronił się. Srogi jest, ale rozumny... przebiegły...

Dobrosław milczał.

— Mów, silny on jest? — zapytał.

— Siły jego nie znam, lecz wiem to — począł Dobrosław — iż go i cesarz szanuje, a ma za sprzymierzeńca... i Niemcy się go boją, i Ugrowie siedzą cicho...

— Rozumny jest! i ja szanuję go — odezwał się Mieszko — i dlatego chcę jechać do niego, rękę mu podać, a powiedzieć, bądźmy jako dwaj bracia... a nie zapotrzebujemy cesarza ani Niemców, ni ty ni ja... i będziemy silniejsi od nich... Ziemię to nasze, język nasz... nie damy ich... Panujmy we dwu...

Zamilkł chwilę i cicho mruknął do siebie.

— Potem, gdy bezpieczni będziemy od Ugrów i Niemca, zobaczymy, między nami komu dane ma być panowanie... Ziemię naszą ciągną się szeroko... a to co nam wydarł cesarz, odbierzemy... Co on mówi? — spytał Mieszko — co myśli o mnie?

— Miłościwy panie — odparł Dobrosław — kneź Bolko Luty mógłby równie nazwać się Milczącym jak Sierdzistym... nie mówi on nic, a głosu dobędzie wówczas chyba, kiedy miecz chowa... Rzekł mi tylko: Ze chce przybyć Mieszko, rad mu będę. Chce bym go uczcił jak brata, uczynię to... zapragnię, abym go wrzekomo nie znał, udam, jakoby nie wiedział kto jest...

Kneziowi oczy zajaśniały.

— Dobrześ sprawił twe poselstwo — rzekł — a powiedzie się li podróż moja, do której wnet gotować się każę, otrzymasz nagrodę i łaskę moją mieć będziesz...

Nie skończyło się na tym badanie, ponieważ Dobrosław nie po raz pierwszy na dworze pragskim przebywał, a dzieje tamtejszych książąt znał; pytał o nie Mieszko i o wszystko, co zasłyszal... o krwawych przygodach rodu tego, dziś pokutującego za krew przelaną, pytał o stolicę

i gród, i o kraj, czyli ochrzczony był cały, i jak lud nową wiarę przyjmował, a jak go do porzucenia dawniej skłonić umiano.

Wreszcie o całym rodzie Wratisławiczów dopytując Mieszko, jął badać, czyliby dziewczki kneziowskie niepoślubione były i dlaczego mężów nie znalazły?

Jął tedy Dobrosław opowiadać, iż jedna z nich Bogu życie swe poświęciła, zką dziewicę za mąż nie wychodzą; a druga, dojrzała już, Dubrawka, wolną była.

— Widziałeś Dubrawkę tę? — zapytał kneź ciekawie.

— Obyczaj chrześcijański nie zakazuje się pokazywać niewiastom i zamykać ich nie zmusza, przychodzą one i obcują wraz z mężczyznami... Na dworze więc Bolka Lutego — mówił Dobrosław — widziałem Dubrawkę. Dziewica jest urodziwa, dorosła i dojrzała, wesoła i śmiała jak na kniehinie przystało... Śpiew i płasy lubi... odwagę ma mężką prawie, a rozum też jak niewiele niewiast miewa...

Zamilkł zamyślony Mieszko, lecz nie odpuścił jeszcze Dobrosława, pytał znowu, jaki był na dworze porządek i dostatek, jak tam jechać przystało i okazać się, skromnie czy pańsko. Wielkiego pocztu z sobą prowadzić wskroś przez Łużyce i czeską ziemię nie było podobna, w kilku się przekradać dla knezia nie przystało. Dobrosław w kilkadziesiąt koni radził wyruszyć i obiecał prowadzić tak lasami, wymijając gródki łużyckie i czeskie osady, idąc za biegiem Łaby i Wełtawy, iż niepostrzeżeni prawie do Pragi samęj przybyć mogli, jakby na łowy się wybrawszy.

Nie chciał też Mieszko, aby u niego w domu ktokolwiek wiedział o celu podróży, ani było we zwyczaju oznajmywać o tém. Zaraz nazajutrz do drogi sposobić się miano, wybierając do orszaku zaufanych ludzi, najlepszą zbroję, najpiękniejsze konie, najświetniejsze szaty, a dla knezia Bolka wspaniałe dary. Stogniew, który nigdy nie odstępował Mieszka, Dobrosław i Włast, dlatego że oba chrześcijanami byli i za tłumaczyw służyc mogli, oprócz tego komornicy najulubieńsi, którym nie mówiono dokąd kneź jechał, wyznaczeni zostali. Włast, przypomniawszy starego O. Gabriela, którego chciał uwolnić, odważył się prosić za nim, by i on mógł kneziowi towarzyszyć. Zmarszczył się na to kneź, ale zezwolił, nakazując tylko, aby starego jeńca ludzie między siebie wzięli. Nie chciał aby widocznym był i dał odgadnąć drogę, którą się udać mieli... Włast miał potajemną nadzieję, iż raz między chrześcijan się dostawszy, uwolnić go potrafi.

Gdy Mieszko, wydawszy Stogniewowi rozkazy, obu ich nareszcie odpuścił, Dobrosław i Włast wyszli razem. Na grodzie z sobą mówić nie mogli, lękając się, by ich nie podsłuchano, wyszli więc za wały, w pole nad rzekę i tam sam na sam siedli.

Dobrosław nie mógł się powstrzymać, by z radości nie uściskał Własta.

— Rozradowane serce moje! — zawołał w uniesieniu — stało się o co prosiłem Boga... Mieszko nasz jedzie do Bolka... a rozumny pan, ujrzy tam, że nic mu nie pozostało ino wiarę tę przyjąć, bez której my ocaleni być nie możemy. Z nią do nas przyjdzie wszystko... i

ziemia nasza zakwitnie, a niemcom odjęty będzie pozór przesładowania... Jeśli się nie mylę, Mieszko chce być chrześcianinem, ale się lęka...

— On? a kogóż lub czegożby się miał trwożyć?.. — zapytał Włast.

— Dwanaście lat nie byliście z nami — począł Dobrosław — nie znacie co się u nas dzieje... Starą wiarę, którą lud żyje i oddycha, w której się narodził, urósł, niełatwo wytepić... Policzmy, ile nas tu jest chrześcian, a ilu nieprzyjaciół?.. W chwili, gdy przyjmie chrzest pan nasz, wszystko co mu służy dziś, obróci się przeciwko niemu...

— Lecz siłę ma? — rzekł Włast.

— I ta siła stanie po stronie ludu... Mruczą już teraz i odgrażają się... Patrzą na nas groźnie, choć tylko posądzają...

— Nie przetoż — rzekł Włast — ulęknąć się potrzeba i w błędzie pozostać... Bóg pomoże...

— Tak — dokończył Dobrosław — ale krwi wiele się przeleje...

I westchnął smutnie.

Gwarzyli tak długo jeszcze, gdy wreszcie Włast, który kneziowi nazajutrz miał towarzyszyć i potrzebował nad to od ojca pozwolenia i wyprawy, pożegnawszy Dobrosława, na koń siadł, aby jechać do Krasnogóry, z kąd nocą mu powrócić było potrzeba.

Droga była mu dosyć dobrze dawniej znaną, oddalenie niewielkie, sam jeden więc, konia wziąwszy puścił się, aby przed wieczorem stanąć u ojca. Więcej niż on sam, koń go do domu i żłobu prowadził. W Krasnejgórze znalazł ten spokój, jaki tam zostawił, wybiegła przeciw niemu Hoża, szczebiotaniem go witając, ukazała się z za węgła z nieodstępną kądzielą stara prządka, twarzą pochmurną dosyć zwracając się do wnuka, naostatek wyszedł Luboń stary, ucieszony syna powrotem, i Jarmierz, który wraz z nim sądził, że Własta kneź puścił do domu.

Skłonił się ojcu do nóg syn i oznajmił, że po wyprawę tylko przybył i dla opowiedzenia się, bo kneź nazajutrz jechał w drogę (zakazano mówić dokąd) i kazał mu być w swym orszaku. Nachmurzyła się twarz Lubonia, ale wola książecka musiała się spełnić. Jarmierzowi kazano wydać co potrzebował Włast, aby wstydu ojcu nie uczynił.

Wszystko co żyło w domu, zbiegło się do przybyłego, który o dworze opowiadać musiał, co widział tam i słyszał. Stara Dobrogniewa milcząc przysłuchiwała się także, ale z twarzą pośepną. Wolałaby była mieć na oku wnuka, zwłaszcza że podejrzania jój co do chrześciaństwa nabrały teraz większej jeszcze wagi. Po odjeździe Własta, stara potajemnie rozwiązała zostawione przez niego sakwy i znalazła w nich kielich srebrny, patynę, ampułki, wyszywane przybory do odprawiania mszy św. służące, co wszystko za czarodziejskie jakieś narzędzia chrześciańskich wieszczków mając, wnuka już zgubionym sądziła. Ona jak Luboń nie widzieli innego ratunku, tylko ożenienie go i trzymanie na oku. Pobyt na dworze nie był im na rękę. Gdy oprócz innych rzeczy Włast i

swojego zostawionego węzełka zażądał, stara wydała go wprawdzie mrużąc, ale zasępiła się więcej jeszcze.

Tymczasem dobywano szaty i uzbrojenie, wyprowadzono innego konia i Jarmierz się krzątał pilno około wyprawy syna pańskiego. Luboń napróżno dopytywał, dokąd jechali i na jak długo, i nie zdziwił się, gdy syn mu odpowiedzieć nie umiał, gdyż nie było w obyczaju knezia, naprzód oznajmować o sobie. Stary ojciec tém się pocieszał, że wyprawa cel musiała mieć wojenny i że syn się zaprawi do oręża.

Zciemniało już nieco, gdy się przygotowania skończyły i na koniu objuczonym, Włast, pożegnawszy swoich, nazad ku Cybinie wyruszył. W pierwszej swój jeździe z Poznania miał za przewodnika konia, teraz choć drogę mu rozpowiedziano i on sam ją sobie przypominał, gdy w las wjechał, niebardzo jednak sobie umiał poradzić. Dróg wielkich nie było, gdzieniegdzie lasem i zaroślami prowadziła mało wybita ścieżka. O zmierzchu niedobrze ją było można rozeznąć. Puścił się więc kierując mniej więcej w stronę, w której gród, jak mu się zdało, leżeć musiał.

Noc nadchodziła szybko, pusto było dokoła. Włast niecierpliwym zwracając się raźnie podług swój myśli, w końcu się zupełnie obłąkał. Las coraz był gęstszy, zarośla niedostępniejsze, a mrok we wnętrzu jego trudno rozpoznać dawał drogę i kierunek.

W gęstwinie żadnego głosu i znaku życia nie było, wreszcie z koniem się przez nią przedzierać coraz stawało trudniej. Zsiadłszy więc z niego, dla lepszego rozpoznania ścieżek i prowadząc go w rękę, szedł Włast, nie wiedząc dobrze co pocnie.

Dosyć już długo błądził tak, coraz mniej mogąc zmiarkować, w którą się miał kierować stronę, gdy w głębi lasu zdala postrzegł światło.

W miejscu tém podnosiło się nieco wzgórze lasem zarosłe i ogień rozpalony był na jego wierzchołku; kłęby czerwonego dymu wiły się wpośród drzew i płomienie oświecały wysokie pnie starych dębów. Włast zbliżając się dostrzegł jakby gromadę ludzi, z których jedni stali, drudzy siedzieli dokoła ogniska. Uszu jego dochodziły stłumione i zmieszane głosy.

Niepewien będąc na kogo trafił, i lękając się, aby go samotnie jadącego nie odarto, przywiązawszy u dołu konia do pnia sosny, sam pieszo poszedł pocichu na zwiady. Ostrożnie się przedzierając przez krzaki zwolna zbliżył ku wierzchołkowi wzgórza, tak że mógł już ukryty za kłodą obaloną dojrzeć i słyszeć, co się tu działo.

Płaszczynę wzgórza okrywały rzadko rozsądzone drzewa olbrzymie. W pośrodku najogromniejszy z nich stał dąb rozłożysty, którego gałęzie wielką przestrzeń ziemi osłaniały. U pnia jego głaz mchem obrosły, napół w ziemię wpadły, widać było przy ognisku. Kilkunastu ludzi z brodami długimi, z dzidami i kijami w rękę, stało nieopodal, kilku siedziało. Naczynia gliniane na kamieniu rozstawione były.

Z kolei starcy ci głos zabierali.

Niektórzy mówili tak cicho, że ich posłyszeć nie było

można, inni podnosili głos. Włast, który w ciągu pobytu na grodzie zbliżał się przez ciekawość nieraz do świątyni, postrzegł tu też same twarze, które tam widywał.

Byli to wieszczkowie i gęślarze od kontyny, a z niemi i inni jacyś ludzie. Miejsce musiało być ofiarne, co kamień zdawał się oznaczać. Rozpoznawszy nieco ludzi i twarze, Włast przysunął się bliżej. Tu mógł już słyszeć co mówili i wyraźniej widzieć starych, co ołtarz otaczali.

— Z Niemcami — mówił jeden — i z ludźmi co u nich żyli, obcuje ciągle, nami on gardzi..! Pieśni posłuchać nie chce, a trafi na nią, to się śmieje i ramionami rusza. Ponawracali na swą wiarę Lutyków i Obotrytów wielu, wzięli Czechów... przysła kolój na nas... Biada nam... ten nas zgubi... ten, nie kto... z oczów mu to widać...

— U niego na dworze — rzekł drugi — najlepsi ci, co zdradę od nich czuć... Do kontyny po wróżbę nie pośle, gdy idzie na wyprawę, nas nie pyta... wieszczby żadnej nie chce... niewolnika jak nie zabito na ofiarę, lat już wiele...

— Bojan niech powie — przerwał inny — czy kiedy on albo siostra poszli się pokłonić do gaju, albo złożyli obiatę... nigdy...

Szemrano coś niewyraźnie.

— Czuć u nas to co było w Czechach... kontyny obalą... drzewa wytną... — krzyknął jeden, a Niemców zaprowadzą...

— Niedoczekanie ich! — ozwał się potężny głos z ziemi — nie da się lud... obroni bogów swoich... Pilne na niego mamy oko... Stogniew, który ucho jego ma i od boku nie odstępuje nigdy, pierwszy wstanie przeciw niemu... wstaną kneziowie inni, kmiecie wszyscy... uczynią mu co zrobili z Leszkami... Znajdziem wodza innego...

— Lud zbrojny ma w ręku...

— Nie pójdzie z nim na nas... — rzekł siedzący — nie pójdzie...

Gwar powstał znowu.

— Gdy tylko zdrady znak da, ubiją go... — mówił jeden.

— A Sydbór? — zapytał ktoś z tłumu.

— O! ten mu służy jak niewolnik, i uczyni co każe...

— Na co nam Sydbora... mamy innych...

Zaczęli po imieniu liczyć nieznanym Włastowi władcyków i kmieci. Niektóre tylko w pamięci utkwić mu mogły.

Na ziemi u kamienia siedzący wywoływał tych, którym ufano.

— Zawist, Nadek, Sulin, Staniec, Radosz, Besior, Sulenta...

W tém z boku krzyknął ktoś imię ojca jego, Luboń...

— Nie — zaprzeczył drugi — Luboń mu nogi liże...

Gwar i sprzeczka powstała, a ktoś Stogniewa o zdradę zaczął obwiniać. Inni go bronili mówiąc, że pewni byli, iż wiary dotrzyma i swoją ręką gotów ubić pana, gdyby chciał z Niemcami trzymać i ich wiarą.

Dość długo trwała rozmowa coraz gwarniejsza, przerywana cichemi szeptami, aż pieśń jakąś starą zawodzić poczęto.

Przerwała ona radę i spory.

Włast już dłużej słuchać nie mógł i nie chciał, dosyć

mu było tego co pochwycił, nazad więc zszedł do konia, którego znalazł z zaplątanemi cuglami u drzewa, siadł nań i na los już puścił się, nie kierując wcale. Noc była nadeszła, gwiazdzista, pogodna ale ciemna, koń instynktem szukając drogi łatwiejszej, wyprowadził go na łąkę. Zrozpaczywszy by na noc mógł się dostać do grodu, chciał na niej obozować do dnia Włast, gdy cień idącego człowieka dostrzegł nieopodal się przesuwaną. Ozwał się doń nawołując. Człek stanął. Zbliżywszy się ujrzał zbłąkany starca o kiju, znać jednego z tych, którzy na wzgórzu byli na radzie, powracającego do chaty. Zawołał nań o drogę do grodu pytając.

Przypatrzawszy mu się bacznie, stary wskazał ręką kierunek, dodając.

— I ja tam idę. Z boru prędko wydostaniemy się, a za borem widać gród, traficie doń sami.

Na zapytanie, zkądby jechał, odparł Włast, że z Krasnejgóry, nie znając drogi się zbłąkał, a do grodu mu było pilno.

— A wyście tu obcy? — spytał stary idąc powoli koło konia.

— Obcy nie jestem — rzekł Włast — alem tu nie bywał dawno.

— Wojowaliście?

— Nie — począł spytany — w niewoli byłem u Niemców.

— Psie syny — mruknął stary — wszystkich nas oni pobiorą i wpręgą do pługa... pobrali już braci naszych nad Łabą, nad Odrą, poburzyli kontyny, powycinali gaje... Zdradzili nas knezie nasze i sami do nich poprzystawali... starszyna nas sprzedała... ale przyjdzie czas i na starszynę i na nich... Dosyć my się łez napili, drudzy krew pić będą musieli...

Umilkł chwilę stary, ale idąc mruczał jakby przeklinał, a że Włast mu nie wtórował i nie odzywał się, umilkł wkrótce.

Z tych słów i z tego co podsłuchał na wzgórzu, mógł się przekonać Włast, jakie było usposobienie między Polany.

Z lasu wyjechawszy, już widać było zdala rozrzucone światła i ogniska nad Cybiną.

— Jedź — odezwał się stary — wam pilno... ja pójdę pieszo powoli... ze starym się wlec młodemu nudno...

I spuściwszy głowę na piersi, pokazał mu ścieżkę wiodącą do grodu. Włast konia popędził i wprędce stanął u okopów, gdzie straż przy ogniskach leżała.

Nie wstrzymał go nikt, wjechał więc do uśpionego zamku i zabrawszy sakwy swoje, postawiwszy konia, pospieszył do O. Gabriela.

## VIII.

Piękny był wieczór kończącego się lata, poza którym już nieco nadchodzącą jesień czuć było. Przeszły lipcowe skwary, noc zaczynały być orzeźwiająco i chłodno, drzewa wpród powarzone upałami zdawały się odżywać nanowo.

W blaskach popołudniowych, w świeżej tej zieleni drzew

zwieszonych koronami nad Wełtawą, jak gdyby wody jęj pić chciały; cudnie wydawała się okolica Pragi, ze wzgórzem Hradszyna, którego mury widać było sterczące wysoko.

Gromadka z kilkudziesięciu ludzi złożona, zbrojnych i dostatnio poprzybieranych, zatrzymywała się właśnie w gaju nad rzeką, dla spoczynku i narady o dalszym pochodzie.

Miasto już ztąd widać było.

Podróżni przybyli z dalekiego znać kraju, konie mieli zdrożone i suknie pyłem okryte. Niektórzy ocierali pot z czoła i zsiadali z wierzchowców, aby się po męczącej wyprostować jeździe.

Wybrano na to ustronny, cienisty kąt nad rzeką, aby ludzie i konie przed wjazdem do obcego miasta, oczyszczone i przybrane, lepiej wydać się mogły.

Orszak, mimo że ucierpiał w podróży, okazał się wydawał, składająca go młodzież była urodziwa i silna, konie piękne i okazałe, opony na nich z sukna cienkiego, broń jednakowa u wszystkich doborna i droga. Sama liczba ludzi towarzyszących panu, który właśnie pod drzewem spoczywał, mówiła o jego znaczeniu, kneziem po drodze mianowali go i ci co go nie znali, czołem mu bijąc nisko.

Z juk na luźnych koniach zdejmowano właśnie co było potrzeba włożyć na konie i ludzi, aby nie ladajako się pokazać u obcych.

Tymczasem gromadka wojaków wesoło się rozpierchła po okolicy, szukając cienia, pragnąc wody.

Orszak ten stojący chwilowo obozem pod Pragę należał do Mieszka, Ziomomysłowego syna.

Widać było w pośród niego Dobrosława, Wiotkiego, Własta syna Lubonia i starego jeńca O. Gabriela, którzy razem na uboczu się trzymali. Oprócz nich nikt, gdy wyjeżdżali z grodu nad Cybiną, nie wiedział dokąd jadą i po co. Domyślał się może bystrzejszy Stogniew z tego, co wieźli z sobą, że nie na wojnę się wyprawili. Prowadzeni przez Dobrosława drogami mu znajomymi, na pozór bez żadnego drogi śladu, górami i lasami gęstymi, przedzierali się podróżni, idąc za biegiem Łaby i Wełtawy, aż do stolicy czeskiej, do Pragi. Zręcznie musieli unikać i wymijać gródki nad rzekami, osady w parowach i kupki włóczących się za łupieżą Serbów, Niemców i różnych rabusiów zbrojnych. Ale w tym przedzieraniu się cichem, do którego wdrożeni byli, na męztwie i przebiegłości nie zbywało ludziom Mieszkowym. Dobrze zbrojni, silni, byłiby się i dwakroć większej nie ulękli gromady. Na czeską ziemię wszedłszy już śmieliej posuwać się mogli, bo Dobrosław miał słowo książęce... Bolko Luty wiedział o odwiedzinach Mieszka i rad mu był bardzo, różne rachuby wiązały się z tym zbliżeniem dwu kneziów sąsiadujących z sobą. Polański pan i czeski oba pono liczyli na siebie; obu się marzyło może, Bolkowi szczególnie, który potężniejszym się czuł i o cesarstwo opierał, że pobratyma hołdownikiem, podległym sobie uczynić potrafi.

Zwycięstwo nad Ugrami odniesione wzbijało Bolka w dumę, a podległość cesarstwu czasowa nie upokarzała. Z

tój mógł się on wyzwolić, kiedy chciał, a do tego wszak i Mieszko mógł mu być pomocnym.

Przodem wysłany Dobrosław wyrozumiał dobrze, iż tu zdrady nie knują, bo z niejby nie mieli korzyści.

Mieszko jechał też w głowie coś obmyślając, przez całą podróż zadumany i chmurny. Raz z noclegu chciał zawrócić nad Cybinę — potem Dobrosława badał znowu, a gdy stanęli na ziemi już ochrzczonej, niepokój zwiększył się jeszcze. Kneź się wszystkiemu przypatrywał z ciekawością chciwą — czasem z trwogą prawie.

Tu już panował wszędzie ten Bóg wielki, jedyny, potężny, któremu on jeden — poganin nie kłaniał się jeszcze. Gdzieniedzie spotykali po drodze, ślady świeżego jeszcze nawrócenia, powycinane gaje święte, obalone ołtarze stare, u krynic pozatykane niedawno krzyże drewniane, ściany rozwalonych kontyn, zielskiem porośłe, wśród których też sterczały już znaki nowej wiary.

Na widok tego zniszczenia, wydającego mu się świętokradztwem, Mieszkowi twarz płonęła gniewem, niedowierzająco spoglądał na spokój, który te miejsca otaczał, dziwiąc się, iż starzy bogowie krzywdy swęj nie mścili. Mimowolnie rodziła się wątpliwość o ich sile?

Każdy krzyż obawą go napełniał. Spoglądał nań z zabobonną trwogą ażali nie pozna on w nim obcego i wroga. Z temi w duszy wrażeniami niepokojącymi, Mieszko przybył aż pod Bolesławową Pragę.

Dobrosław, jakby odgadując myśli jego, dodawał mu ducha, ręczył i zapewniał o gościnnem przyjęciu.

Kneź słuchał i milczał.

Komornicy przynosili mu właśnie bogate ubranie i płaszcz czerwony złotem szyty, który miał wdziać na siebie, Włast podawał kołpak, drugi miecz przypasywał, gdy zdala nadbiegł Stogniew z twarzą dziwnie rozpromienioną i wesołą.

— Miłościwy panie — zawołał — zanim na hrad pana Bolesławowy przybędziemy, zaprawdę warto się przyjrzeć tutejszym niewiastom — ja się im już nieopstrzeżony tu przypatrywałem! Krasne stworzenia! oto tu, nieopodał nad rzeką, przybiło ich kilkanaście czółnami, czy dla kąpieli, czy dla zabawy. Usadowiły się na łące w gaju i śmieją się, płaszają a śpiewają i pieśni zawodzą. Muszą być chyba z pańskiego dworu, bo pięknie strojne i wyglądają jak królewny.

To mówiąc na zarośla ukazywał.

A chociaż mówił dosyć cicho, komornicy pańscy coś o dziewczętach posłyszeć musieli i kilku z nich zaraz biedz poczęło w stronę ukazaną — ale Stogniew pogroził im, wstrzymał i cofnął, aby nie spłoszyli pierzchliwych.

Mieszko porwał się spieszenie i począł iść za Stogniewem, który go poprzedzał, na Dobrosława też skinąwszy, aby mu towarzyszył.

Za łąką na której odpoczywali, gaj się w tej stronie poczynał podszyty, i gęstwiną można się było podkraść do miejsca, ku któremu Stogniew prowadził. Do koła osłaniały kawał zielonej murawy u brzegu, stare drzewa z pospuszczanemi w dół gałęzmi. Cicho było w tej ustroni i chłodno od oczów ludzkich zakryto, a Wełtawa mruczając, myła zwieszona nad nią trawy i kwiaty. Na falach jęj, tuż

u brzegu kołysało się czółen kilka, okrytych sukniami, z tych właśnie reszta gromadki postrojonych, kraśnych dziewcząt wysiadała poskakując, wiosła rzuciwszy na nie.

Temu co znał czeskie podania wydać się mogło, że Własta z grobu wstała ze swojemi towarzyszkami, i jakaś Lumirowa pieśń ze słowa w widmo się zmieniła.

Dziewczeta wszystkie prawie jednako były poubierane, w wianuszkach dziewiczych na głowach, z kosami w krasne wstęgi wplecionymi, w białych cienkich gźlach, szytych wzorzysto i malowanych zapaskach. Niektóre z nich były bose, inne stapały w chodaczkach wyszywanych z czerwonymi około nóg poplatanymi sznurkami. Biegały po łączce, jakby sposobiąc się do jakiejś zabawy. Śmieszki rozlegały się wesole, ale tłumione jakby poszanowaniem i trwogą, którego pobudkę odgadnąć było łatwo.

Wśród tego wieńca dziewczątek, od lat piętnastu do osiemnastu, dobranych jakby do wieku i miary, stała urodziwa dziewczica, którą po stroju i twarzy poznać było można za panią.

Głową całą, wzrostem bujnym przechodziła towarzyski swe, a postawą poważną i dumną wszystkie je gasiła. Z wianku i kos znać w niej było dziewicę — nie dopiero rozkwitła, ale w pełnym młodości kwiecie. Starszą była znacznie od swych towarzyszek, zdawała się też mieć zwierzchnią władzę nad niemi.

Dziecko pańskie, krew rycerską, potomstwo jakiejś Libuszy czuć było w pięknej pani. Silna jój dłoń biała nieulekła by się znać miecza, ani cugli szalonego konia, na twarzy nieco smagłej, w czarnych oczach ognistych, pałało nieustraszone męztwo, ale razem z niem swobodna panowała wesołość. Nie zbywało jój na wdzięku niewieścim w ruchach zręcznych, ale mężka śmiałość z nim się łączyła.

Taką niewiastę — panią nie łatwo było spotkać i zobaczyć, gdy one wszystkie sługami były — i Mieszko, ujrawszy ją, wlepił oczy ciekawe, oderwać ich niemogąc od tego zjawiska, wydającego mu się czémś czarodziejskiem, wyższem i doskonalszém nad to co widywał w życiu. Wśród kilkunastu młodszych i piękniejszych, ona ciągnęła oczy jak królowa.

Na pierwszy rzut oka otaczające ją dziewczęce twarzyczki, gasiły, ale po tamtych oko przebiegało, a od tój wzrok oderwać się nie mógł.

Rysy twarzy ostro się znaczyły i dobitnie — coś męskiego miały w sobie, ale niewieści urok okraszał je uśmiechem, białe zęby, wśród ciemnych ust różowych, jak dwa sznury pereł jaśniały.

Siłą, wzrostem, urodą wśród tój gromadki, nieznanoma pani zajmowała pierwsze miejsce.

Wszystkie dziewczeta patrzyły jój w oczy, czekały skinienia, zdawały się chcieć zgadnąć myśli.

Dziewica mianując je po imionach: Młada, Hodka, Swatawa, Radka, Wratka, Czastawa, jakby z pieśni pożyczonych, wyznaczała im miejsca na łące, stawiała kołem przy sobie, kazała się brać za ręce, i płasnąwszy w dłonie białe, dała znak.

Razem ze wszystkich ust odezwała się piosnka rzewna jakaś na pół, na pół wesoła, dziewczęta w takt jój się poruszyły i śpiewając poczęły płaś obracając się około pani.

Ona stojąc w pośrodku ich, słuchała z widoczną rozkoszą, nucąc z cicha, pochylając głowę, niekiedy przyklaskując w dłonie, lubując się skokom i pieśni.

Widok tój zabawy dziewiczej poruszył knezia i zajął niewymownie, oczy mu zabłyśły i usta się śmiać poczęły. Ukryty w zaroślach wpatrzył się tak, że o wszystkim co go otaczało i czekało zapomniał, gdy, Dobrosław zlekka potrąciwszy go, szepnął mu do ucha.

— Kniehini Dubrawka.

Była to w istocie córka Bolesławowa, jedyna po wnijściu Mładěj do klasztoru. Dubrawka, która dotąd nieznałszy sobie małżonka, i nie szukając go, pędziła życie swobodne przy ojcu, nie bardzo o przyszłość się troszcząc.

W jój pięknych rysach na pół męzkich, widać było bujną krew tego rodu Przemysławów, który we złém i dobrém nie znał miary, córkę Drahomiry Lutyckiej, co nad miłość własnego dziecka przeniosła chęć panowania; córkę Bolka Lutego, co nad sobą starszemu nie chciał dać przewodzić, synowicę Waclawa, co pobożnością stał się niemal kapłanem, cnotą doszedł świętości, pogardą życia męczeństwa — krew rodu pańskiego, wojowniczego, stworzonego do królowania i dowództwa.

Ojciec jój był jednym z kneziów czeskich — a został jedynym...

Co mu nie ulegało — pościślał.

Takiej niewiasty mężnej i silnej wśród ówczesnych pokornych i bojaźliwych — bo ją do tego z dzieciństwa wdrażano — Mieszko nawet nie marzył. Znał je trwożliwemi tylko, zuchwałemi w gniewie, a rozplywającemi się we łzy na skinienie, płochemi i płochliwemi. Ta niewiasta jakby stworzona dla wojaka zachwycała go.

Zapomniawszy się czy umyślnie, Mieszko gaszcz, która go zakrywała przebił i — stanął na widoku, aby się swobodnie przyjrzeć tój królownie i pięknym jój towarzyszkom.

Lecz zaledwie się ukazał, kilka dziewcząt spostrzegło tę strojną postać mężczyzny nieznanego, obcego, nagle zjawiającą się, jakby czarem z ziemi wyrosłą — i pieśń zmieniła się w okrzyk przestrochu. Zakrywając oczy, rzuciły się strwożone i pobiegly do czółen, szukając w nich schronienia.

Jedna Dubrawka, nie ulekła się wcale, choć niewiedziela jeszcze co ten strach wzbudziło i odwróciła się śmiało a groźno spoglądając w tę stronę, gdzie stał Mieszko.

Zadziwił i ją też zapewne człowiek nieznanany, który śmiał tak podejść na zabawie — i podpatrzeć.

Z brwią namarszczoną spojrzela groźno na Mieszka, który stał uśmiechając się.

Groźna twarz dziewczicy wcale go nie przeraziła, dopiero wpatrzywszy się w nią, gdy postrzegł na szyi wiszący krzyżyk — pochmurniał. Znak ten spotykał wszędzie — nawet... na tój pięknej kniehini.

— Kto wy jesteście? co tu robicie? — donośnym głosem



zawołała Dubrawka.

— Piękna kniehini — rzekł ośmielając się Mieszko — jestem wojak podróżny... szukam służby do wojny, może wy mnie przyjmiecie?

Dubrawka popatrzała nań długo, z dźwięku mowy do czeskiej tak podobnej, a trochę różnie brzmiącej, starając się odgadnąć, z kądby ten przybysz pochodził — suknia bogata świadczyła o nieprostego stanu człowieka. Płaszcz miał na sobie książęcy.

Żartobliwie jakoś zaczęły się jój uśmiechać usta.

— Hej! — rzekła biorąc się w boki — nie proście wy się na służbę do mnie, służba ciężka, spokoju nigdy nie ma, nie wydołalibyście u mnie! Wojaków moich głodem morzę, a gdy się popsują, policzkami naprawiam. Nie zdrowo służyć u mnie!

— Jednak mi jakoś nie strach tój grozy — odparł swobodnie przybliżając się ku niej Mieszko — a cóż wy sługom płacicie piękna pani?

— Ho! różnie! — poczęła wesoło Dubrawka — czasem kijami, czasem różgami, niekiedy ciemnicą o chlebie i wodzie. Jabym was tóż do służby nie przyjęła, boście już musieli wielu takim panom służyć! — a no — choć nie mój sługa, ukaraniaście godni. Kto wam tu się wkraść pozwolił? Radzę wam uchodźcie, bo moim dziewczynom każę na was uderzyć, a to wszystko Własty wnuczki i wojaczki z Dziewina!

Mieszko rozśmiał się głośno.

— A no! piękna kniehini — wydawajcie do wojny rozkazy — kiedy wojna, to wojna... Gdy mi ją wypowiecie, na was pierwszą uderzę.

Słyszając to wyzwanie, dziewczęta na pół w czółnach pochowane, ośmielone żartobliwą rozmową, głośno się śmiać poczynęły i chichotać. Niektóre groźnie wiośla podniosły.

— Jam tu tóż może nie sam i nie bez obrony — rzekł Mieszko — a jak klasnę w ręce i moich zawołam, weźmiemy wszystkie do niewoli.

Dubrawce żarty te podobać się musiały, patrzała na nieznanego z coraz większym zajęciem.

— Wieluż tam was jest na wojsko moje? — macie tam choć dwie sotnie? — odezwała się śmiejąc.

Wtém wiszący na sznurku rożek wzięła w rękę i pokazała go kneziowi.

— W tym rożku u mnie więcej żołnierzy na obronę, niż wy mieć możecie do napaści.

I wskazała ręką ku Hradszynowi.

— No, to zawrzyjmy pokój z sobą, piękna kniehini — odezwał się Mieszko — dajcie mi jeno okup — choćby wianuszek wasz — to was puszcze całą.

— Kto? ja? wam? okup? Wianuszka wam się zachciało? Chyba wy mi się wykupicie, gdy was życiem daruję.

— No — zgoda — okup! przyjmiecie okup odemnie? — zapytał kneż.

Milcząc popatrzyła Dubrawka na mówiącego, jakby odgadnąć pragnęła, kto był, uśmiechała mu się bez gniewu.

Mieszko miał na palcu pierścień stary, który z domu wioził, aby go komu dał jako zapłatę lub podarek.

Siedział w nim spory kamień czerwony, grubo złotem w plecionkę okuty... nie mówiąc nic, zdjął go z palca i podał Dubrawce.

Kniehini spojrzawszy nań, zarumieniła się mocno, ale nie gniewnie, nie wiedziała sama czy go ma przyjąć lub odtrącić. Milczała.

— Chcieliście odemnie okupu — rzekł Mieszko — oto go macie, nie wielki on jest, ale i wina nie straszna.

To mówiąc zbliżył się o krok jeszcze do kniehini i gdy się najmniej spodziewała, w twarz ją zuchwale pocałował... Właśnie w tój chwili, jakby na próbę przez ciekawość, pierścień na palec kładła.

Z krzykiem i gniewem popchnęła knezia od siebie Dubrawka, tak silnie, że Mieszko się zachwiał, i pierścień zostawując w jój rękach, natychmiast w gąszczy uszedł śmiejąc się wesoło.

Tu, czekającym nań Stogniewowi i Dobrosławowi dał znak, aby za nim spieszyli do koni. Stały one już w gotowości na łące i na dany znak, wszyscy posiadali na nie. Naówczas Stogniew orszak podzielił i ustawił w porządku...

Dobrosław samoszost jechać miał na zamek przodem z oznajmieniem i pokłonem do Bolesława, z prośbą, aby w gościnę był przyjęty, nie jako pan polańskiego kraju, ale jako kneż z nad granicy.

Wysłaniec miał poprzedzić orszak pański, który wolnym krokiem zwrócił na drogę ku Hradszynowi.

Jeszcze się wszyscy ustawiali na łące, w środek biorąc konie juczne i niepokaźną czeladź, Stogniew ludzi dobierał i szykował, gdy śmiała Dubrawka, puściła się sama w pogoń za uciekającym nieznanym, i z gąszczy miała czas się przypatrzeć Mieszkowi gdy na koń siadał, z całym swoim orszakiem.

Chciała zrazu zawołać nań, aby sobie pierścień wziął nazad, nie będąc rada zuchwałemu podarkowi, lecz zobaczywszy, że Mieszek otoczony był znacznym orszakiem, zawstydziała się i zachowała go na palcu, nie wątpiąc, że ktobykolwiek był ów nieznanomy, musi się zjawić na zamku, nie gdzie indziej jak tam zmiierzając. Zgadnąć ktoby to był, trudno jój było, jednakże z rysów twarzy szlachetnych, z butnej postawy, z wielkiej tój śmiałości człowieka, domyślała się kniehini równego sobie stanu jakiegoś pogranicznego pana... Mowa świadczyła, że nie należał do niemieckiego plemienia.

Zadumana stała tak dosyć długo spoglądając za odjeżdżającymi, aż dopóki jój z oczów nie znikli. Kierunek, w którym odjechali upewnił ją, że do Pragi dążyli. Zabawa była już przerwana i popsuta, wnet więc dziewczęta na czółna siadły i Dubrawka z niemi popłynęła do stóp wzgórze, na którym Hradszyn się wznosił.

Od wjazdu na czeską ziemię, spotykając ciągle krzyże i oznaki chrześcijaństwa, Mieszko nękany był tą myślą jak on, poganin, przyjęty zostanie przez pobożnych teraz i surowych Przemysławiczów. Owo podanie o Borzywoju, któremu ze psy na ziemi jeść dano, przychodziło na myśl nieustannie, i burzył się na przypuszczenie podobnej obelgi, którejby był nie ścierpiał, choćby tam miał życie położyć. Jadącemu więc przodem Dobrosławowi —

powiedział raz jeszcze.

— Oznajmijcie bratu Bolkowi, że poganinem jestem, zem nie chrzczony, ale przez to zniewagi sobie uczynić żadnej nie dopuszczę.

Jeśli jako brata dla pogaństwa mego znać mnie nie chce, od wrót jego precz wołę odjechać.

Ani też myślał Bolesław dać poznać Mieszkowi, iż go przez to niższym od siebie czuł — pragnął go zyskać nie narazić... Oba byli wzajem potrzebni sobie.

Zwolna drapiąc się po przykrój i stromiej drodze na górę, orszak Mieszków zbliżał się ku wałom opasującym gród Bolesława.

Zdała już widać tu było inny kraj i obyczaj, większą potęgę i umiejętność, przyniesioną z zachodu. Kamienne ściany otaczały do koła warownię, po nad niemi widać było dachy malowane, a wyżej nad nie sterczał krzyż wielki, na kościele św. Wita, którego widok przejął znowu Mieszka trwogą i niepokojem.

Był tu pod panowaniem krzyża. Nad głowy wszystkich, nad dwór książęcy, nad góry i lasy, w obłoki wzniesiony królował ten znak tajemniczy, który już całym prawie władał światem i jednoczył świat cały.

Wlepiwszy weń oczy jechał Mieszko. Nie trwożyło go tu nic, oprócz tego wysoko wyniesionego krzyża, któremu królowie i kneziowie co żyło podlegało — krzyż ten już stał nad polańską granicą — uznać tego Boga poganinowi, zdało się przejściem ze swobody i bezkarności do niewoli i posłuszeństwa. Wydał mu się nieprzyjacielem ten znak wysoko, dumnie świecący ostatnimi zachodzącego słońca promieniami na niebiosach.

Dobrosław pospieszywszy przodem, znacznie przedźję stanął na zamku w Hradzynie, opowiedział się u bramy, poznany został i wpuszczony, a starszy od dworu Bolesława, poprowadził go do knezia.

Spoczywał Luty Bolko, gdy mu o gościu znać dano, ale wstał wnet, choć ociężały był już i osłabły wiekiem.

Twarz jego nasepiona, blada, od zmarszczek poorana, oczy niespokojne biegające pod nawisłemi brwiami, zaciśnięte usta, czyniły oblicze jego groźnym, choć lata i wspomnienia przeszłości znacznie srogość dawną złagodziły. Dzikiego coś zawsze pozostało w rysach tego władcy, na którego ramionach ciężyło niezmyte znamię kaimowskiej zbrodni, i niezliczona moc krwawych zapasów, któremi się dobijać musiał panowania nad zjednoczonym państwem swoim. Długa pokuta, ofiara dwojga dzieci nie zgładziła jeszcze tego piętna bratobójczego, którego pamięć odżywiały cuda grobu Wacesława. Krwawy ów poranek dnia św. Kuźmy i Damjana, w przedsieniu kościoła w Bolesławiu, po wielu latach stał w oczach starca do dziś dnia.

Gdy Dobrosław stanął przed nim, schylając się do kolan i oznajmując przybycie pana swojego, starzec poruszył się żywo z widoczną radością przyjmując nowinę.

Wnet kazał podać sobie suknię wierzchnią bogatą, kołpak książęcy, przypasał miecz i ująwszy w dłoń laskę zawołał na dwór i komorników, na starszyznę by mu towarzyszyła. Posłano po młodego Bolka, syna

książęcego, dorodnego i dojrzałego już męża i na jego ramieniu spierając się, otoczony mnogim dworem, zszedł stary kneź w podwórzec zamkowy.

Ale tu jeszcze dobrą chwilę stać musieli, nim we wrotach ukazał się na siwym koniu jadący Mieszko. Ujrzawszy gospodarza i orszak jego, wnet z konia skoczył przybywający i stała się w nim zmiana, na którą ci co go znali, patrzyli ze zdumieniem, nie sądząc by do niej był zdolnym.

Dumny kneź, stał się na widok Bolesława, niemal pokornym, z uśmiechniętą i łagodną twarzą przybliżył się ku niemu i pochylił nisko głowę, kołpak zdejmując.

— Sąsiad do sąsiada, pobratym do pobratymca — rzekł — przybywam do was, miłośniwy panie z braterstwem i pokojem.

— A ja wam jako bratu rad jestem! — zawołał Bolko obejmując za szyję.

W tej chwili, wśród tego uścisku — Mieszko mimowolnie wspomniął brata Wacława i kneź sam drgnął przypomniawszy dzień Kuźmy i Damjana. Po chwili milczenia wskazał na syna.

— Dziecko to moje, bądźcie mu też druhem, ozwał się głosem cichym. Nie rzekłszy więcej, pod ręce się wzięwszy, weszli do obszernego gmachu murowanego, który Mieszkowi nawykłemu do drewnianych dworów, wydał się okazałym nad miarę i prawdziwie królewskim. Inaczej też wyglądały budowy na Hradzynie, niż u Polan na ich grodach. Tu już prawie zupełnie, stare owe rzezane i kraszone słupy, ozdoby z drzewa misterne i ciesielska robota, wedle starego słowian obyczaju znikły. Kamień je zastępował i stropy tylko ozdobne z drzewa przypominały dawniejsze czasy. Gruby mur z ciasnymi oknami otaczał izby nie wesołe, ciemne, prawie więzienne. Wszędzie pełno było wśród tego mroku świecących, pozawieszanych zbroi, rynsztunków różnych, a na stołach naczyń kruszcowych i kunsztownych wyrobów.

Ściany gdzieniegdzie osłaniały szyte opony kwieciste i kobierce. Oznaki nowej wiary wszędzie uderzały w oczy. Duchowieństwo, które otaczało Bolesława, którego wychowawcą był syn jego, starało się o to, aby nowo nawróceni mieli na oczach ciągle obrazy przypominające im ich obowiązki. Nie było jednej izby bez wizerunku Zbawiciela na krzyżu, ze straszliwym realizmem wyrzeźbionego wyraziście i nieforemnie. U każdych drzwi wisiało naczynie z wodą święconą, na ścianach obrazki w tłach złocistych, których Byzancium dostarczało.

Przedmioty te, których znaczenia Mieszko się tylko mógł domyślać, równie go niespokojnym czyniły jak ów krzyż, który ujrzał w obłokach nad Hradzynom. Na pamięć przychodziły cuda o których słyszał i których się lękał.

Gospodarz i gość po chwili siedli razem na ustroniu, we wgłębieniu muru, z którego okno wychodziło ku Pradze. Dwie ławy kamienne, okryte wezgłowiami bogatemi, jakby dla ustronnej rozmowy przeznaczone się zdawały. Stary Bolko ręką wskazał Mieszkowi na stolice, która u stóp jego się rozciągała.

Nigdy równie pięknego obrazu nie widziały oczy Mieszka, do równin polańskich i lasów nawykłe. Z okna tego widać było wesoło płynącą wśród zielonych drzew i zarośli rzekę. Z głębin tej zieleni sterczały wybijając się do góry dachy domostw licznych, rozsypane szeroko i krzyże kilku kościołów.

Zielona wyspa zarosła także drzewami, jak kosz kwiatów pełny, śmiała się zdając kołysać na srebrnych wodach Wełtawy.

W milczeniu patrzali czas jakiś oba na ten widok — w oczach starego Bolka, jakby ła się zakreśliła, choć one do niej nie były nawykłe. Może niedaleki zgon przeczuwał i rozstanie z tym pięknym krajem, okupionym tak drogo.

W owych wiekach i w spotkaniu podobnym, rozmowa wcale inną być musiała, niż dwu panujących późniejszych wieków. Oba ci ludzie nie umieli słowem obracać, byli mężami czynu nie języka, oba całej myśli swęj wypowiedzieć ani chcieli, ani mogli, a wybadać się pragnęli. Skierowali ku sobie oczy. Instykt uczył ich, że wejrzenie mówi w jednym błysku więcej, niż na dnie przeciagniona rozmowa.

Mieszko w oczach starca znalazł co przeczuwał, żelazną wolę i nieugiętą siłę, Bolko ze wzroku knezia polańskiego, o którym mało słyszał, niedobadał się nic. Pierwszy z nich wiedział, że pokornym być musiał, aby go sobie pozyskać, drugi wcale nie był pewien tego, co gość przynosił z sobą — słabość czy siłę, ale poczuł jedno, że z przebiegłym miał do czynienia. Patrzali tak na siebie, wzajem się uśmiechając sobie, jak dwaj zapaśnicy, co walkę rozpocząć mają.

Mieszko krótkim miał tu być gościem, nie miał czasu do trawienia na długich rozmowach. Czeski pan wiedział też o tém. Położył mu pomarszczoną dłoń na kolanie.

— Zapóźno — rzekł — przychodzisz do mnie, Bolko już nie ten co był. Patrz, czoło mi się zmarszczyło, dłoń drży, oczy świata mało widzą, głos osłabł. Do grobu idę, o śmierci myślę.

— Będziecie żyli długo i panowali — odrzekł Mieszko. Macie spokój w domu i siłę, a syna który wam stoi u boku i sprzymierzeńców potężnych.

Bolko ręką rzucił.

— Sprzymierzeńcy we wrogów się mieniają, — mruknął.

— A czemuż wy ich tam, gdzie ja nie szukacie?

Mieszko spojrział bystro, ale nic nie odpowiedział.

— Niemców nam nie pożyć — dodał stary — trzeba mir z nimi robić, aby w domu się zagospodarzyć. Do tego miru, bracie mój, wy wiecie co trzeba.

Mieszko zadumał się.

— Lud przy swoich bogach stoi twardo — rzekł.

— Macie waszych wojaków i siłę... zmusić trzeba.

Nic nie odpowiedział Mieszko i Bolesław, popatrzawszy nań bacznie, przestał nalegać zrazu.

Z kolei polański pan rozmowę począł.

— Miłościwy panie — rzekł — nie darmo przybył do was, jeden u nas język, jedna krew, chcemy niemca pożyć, dajmy sobie ręce.

Bolko pomyślał.

— Jakże to może być, jeśli przy swoich bogach stać będziecie? — odezwał się.

— Wszakci niemce się nieraz z Wilkami, Obodryty i Lutykami łączyli, choć ci poganami byli jeszcze — rzekł Mieszko.

— Niemcom wszystko wolno! — westchnął kneź — siła przy nich. Cesarz i papież rzymski władną dziś światem. Ten, co króluje w Byzancjum, nie wiele już znaczy.

Uczyńmy przymierze Mieszku, uczyńmy, ale chrzest przyjąć trzeba.

Spuścił głowę kneź i umilkł.

Bolko uderzył go znowu po kolanie, jakby obudzić chciał.

— Myście ino o tém, wszystko zatém pójdzie.

Wyrazów tych domawiał stary, gdy Wok, który nadedworem po kneziu miał pierwszą władzę, starzec poważny, z łańcuchem złotym na szyi, przyszedł z pokłonem oznajmując, że chleb i sól czekały. Wieczera już oddawna była gotową, bo kneź wydał rozkazy i polecił, aby wspaniała była...

Cały więc liczny dwór, cały niemal skarbiec stołowy ściągnięto do wielkiej izby, w której się już paliły pochodnie. Ogromne stoły dla panów i dworów ich, ponakrywane czekały. Pod ścianami rzędem stali pacholki, jedni trzymający światło, drudzy misy, nalewki srebrne i ręczniki szyte. Dla dwu kneziów zgotowane były przy osobnym stole, dwa obok siedzenia, pąsowem sukniem okryte.

Tu Bolko powiódł, po umyciu rąk gościa swego i po prawej ręce go posadził. Osobne misy postawiono przed niemi.

U drugiego też stołu za ojcem siedł młody Bolesław, za nim kilku duchownych z krzyżami na piersiach. Tych oczy zwróciły się ciekawie na Mieszka, który spojrzeć na nich nie śmiał. Za niemi siedzieli dostojnicy dworu, Wok, Sławnik z Libic i wielu innych w kaftanach bogatych, łańcuchach i sukniach paradnych.

U osobnego stołu, przyjmowano dwór Mieszków i starszyznę jego.

Gdy u słowian w pogaństwie jeszcze żyjących, niewiasty tylko jako sługi i gospodynie przy biesiadach się ukazywały, tu już obyczaj chrześcijański i rycerski zaprowadzonym był i przedniejsze niewiasty a panie, wespół z rodziną zasiadały. Prawo to, choć nie wszędzie zaprowadzonym było, po dworach książęcych już ze czcią dla niewiast wchodziło razem.

Gdy z jednej strony Bolko wiódł polańskiego księcia do stołu, z drugiej wchodziła gromadka niewiast skromna, wśród których znalazł Mieszko tę, której szukał.

Nie myślał jednak wcale dać poznać Dubrawce, iż pamiętał o niedawnym spotkaniu nad Wełtawą, udał jakby ją pierwszy raz zobaczył. Kniahini mniej trwożliwa, uśmiechała się patrząc na gościa i mierząc go śmiałemi oczyma, poniżej miejsce swe zajęła.

Ojciec wskazał gościowi córkę, której dwie starsze panie towarzyszyły. Oczyma tylko jednak rozmawiać mogli kneź i Dubrawka, gdyż stary Bolko, zajmował się gościem mocno. Miód i wino podawano obficie, pić

było potrzeba, a starzec po pierwszym kubku, rozgrzany poweselał widocznie. Cicho się plotła rozmowa otwarta i rażna a rubaszna, obyczajem wieku.

Bolko spytał gościa o żonę.

Zmilczał zagadnięty.

— Mnie już wszystkie razem ile ich jest niewiasty zobojętniały — rzekł — patrzę na nie, jak na wodę kozioł, gdy się napije.

Mieszko w téj chwili spoglądał na Dubrawkę, która mu się bardzo jawnie wdzięczyła.

— Wam się ożenić potrzeba z chrześcianką — dodał Bolko — najlepiej ona i wiary nauczy i zachęci do niej.

Mieszko spojrział w oczy staremu, trzymali kubki w rękę. Któż wie, może Dobrosław potajemnym był swatem.

— Dajcie mi córkę! — odezwał się Mieszko — śmiejąc się — wezmę ją.

Zmarszczył się trochę stary.

— Nie radbym ją dać mimo jój woli, a gdyby chciała, któż wie? Jest tam u was ich kilka, teć by trzeba precz wygnać chyba.

— Nie będzie mi ich żal — rzekł Mieszko.

Zamilkli nieco, kneź czeski nie opierał się, Mieszko otuchy nabrawł. Tymczasem kubki się napełniały i gwar podnosił wesoły.

Młodzież mówiła o łowach i wojnie, o strzelaniu i o koniach, wyzywając się i przechwalając. — Czesi polanów na próbę jutrzejszą powoływali, Stogniew ze swemi nie wzdragał się.

Biesiada przeciągała się długo, ale już o swatach mowy nie było. Rzucone słowa zdawały się zapomniane, choć i Bolko i Mieszko dumali nad niemi...

W końcu gdy misy były powypróżniane, a niewiasty znikły niepostrzeżone, po ostatnich kubkach stary Bolko synowi kazał gościa do przeznaczonych mu izb odprowadzić.

## IX.

Niczém było przyjęcie dnia pierwszego obok tego, co nazajutrz zgotowaném było. Trzeciego potem rana Mieszko się nazad wybierać począł, stary kneź więc niewiele miał czasu na pochwalenie się ze swém bogactwem, mocą i gościnnością. Gościowi téż niewiele godzin zostawało, by zamiar powzięty doprowadzić do skutku. Myśl zaślubienia Dubrawki, z którą z domu wyjechał, musiała lub być porzuconą, albo stanowczo objawioną. Dobrosław wieczorem jeszcze wysłany został z prośbą o rękę kniehini.

Przeczuwał ją, albo raczjéj wiedział o niej zawczasu Bolesław, ale zbyt posła odraczając do jutra.

Jak świt powołał kneź do siebie ojca duchownego, świątobliwego kapłana Prokopa. Nie zajmował on żadnego widocznego w hierarchii duchownej i wyższego stanowiska, bo go nie pragnął. Apostołował, modlił się i wiódł życie ascety, zamknięty w ciasnej celce na zamku. Resztki dawnjéj wiary po całych jeszcze Czechach, pod rozmaitemi postaciami się kryjące, trzebił kapłan

niezmordowany, nauczał, nawracał, gromił, a miał tę apostołską odwagę, iż potędze ziemskijéj z prawdą wiekuistą odważnie stawał w oczy. — Sam Bolko, któremu nieraz inni ulegali duchowni, a któremu ks. Prokop mówił prawdę śmiało, szanować go musiał i upokarzać się przed nim. Grubą suknią z prostego sukna odziany, w obuwiu wieśniaczém, z twarzą wychudłą i ogorzałą, z głową przedwcześnie osiwioną i wypełzłą, mąż boży stanął przed starym księciem ze spokojem ducha, który go nigdy nie opuszczał.

— Ojciec mój — odezwał się kneź żywo — rady twjéj potrzebuję.

Starzec skłonił głowę w milczeniu, mówił zwykle mało.

— Wiecie kogo mam gościem?

— Poganina upartego i żyjącego w grzechu —<sup>[12]</sup>

— Tak jest... ażaliż nie byłoby zasługą dla mnie i rodu mojego, gdyby przezeń on i naród jego na wiarę świętą Chrystusową się nawrócił...

— Dałby to miłościwy Bóg! — zawołał Prokop ręce podnosząc do góry i oczy wlepił w starca.

— Mieszko prosi o Dubrawkę za żonę...

— Ze chrztem razem... — dodał ksiądz.

— Nie odmawia go on... lecz z pogany swemi musi się wprzódzy zabezpieczyć... Mam mu ją dać?

— Jeżeli przez nią światło i zbawienie wnijdzie na te kraje... a! dlaczegóżbyście dziecka dla Boga poświęcić nie mieli? Daliście mu już jednego syna i córkę... dajcie drugą, a przebłagacie gniew i pomstę Bożą...

— Dziecka nie chciałbym zmuszać — odezwał się kneź — jedno mi pozostało! jedno tylko!.. Idźcie ojciec mój, przygotujcie ją, ośmielcie, a gdy to uczynicie, ślijcie ją do mnie.

Ksiądz Prokop wyszedł natychmiast. Kneź pozostał sam, w oknie sypialni siedząc. Ztąd widok był na obszerny podwórzec, a na nim już młodzież się uganiała z oszczepami, wśród której Bolko i Mieszko téż zabawiali się.

Lat niemal trzydzieści ubiegło od pamiętnego poranku dnia śś. Kuzmy<sup>[13]</sup> i Damjana, gdy pobożny Wacław także o świcie gonitwy sprawiał przedśmiertne... Widok téj zabawy przypomniął Bolkowi brata, teraz, znowu i drgnął!.. Pokuta, ofiary, żal, wszystko to jeszcze zatrzcć nie mogło pamięci tego straszego poranka. Łzy mu popłynęły z oczów i dłonie zwarły boleśnie. Drżącemi wargami począł odmawiać modlitwę, a wlepione w podwórzec oczy nie widziały już nic.

I nie czuł ani wiedział, ile czasu upłynęło od wyjścia ks. Prokopa, gdy drzwi się otworzyły i Dubrawka, już strojna, cała we wstęgach, łańcuchach i kolcach, z twarzą rozpromienioną, weszła do izby ojcowskiej, przypadając do ręki starego, która się ku niej wyciągnęła.

Zdziwił się widząc ją tak wesołą, a uląkł niemal, że Prokop powiedzieć chyba jój nie śmiał, z czém go posłał. Kniehini się uśmiechając patrzyła nań śmiało.

— Dubrawka — rzekł kneź — a widzieliście Prokopa?

— Idę od niego miłościwy ojciec i panie.

— Mówił on z wami?..

Dubrawka pokraśniała spuszczać zrazu oczy, potem nagle je na ojca podniosła.

— Mówił...

— Cóż wy na to? czy chętnie pójdziecie niosąc krzyż między pogany?..

— Chętnie... z ochotą! tak! — zawołała Dubrawka — czuję w tém rozkaz Boży...

— I nie masz obawy?

— O! nie! — śmiejąc się zawołała Dubrawka — mam odwagi dosyć. Kneź Mieszko strasznym mi się nie wydaje...

Bolko widząc, z jaką łatwością córka wybierała się go porzucić, rozstać z rodzeństwem, iść w nieznany kraj, na losy niepewne, uląkł się niemal i posmutniał.

— A nie żal ci będzie Hradszyna i Pragi? — zawołał — i mnie ojca starego i siostry i braci?..

— O! żal, okrutny żal!.. — przerwała Dubrawka — ale nie mówionoż nam, iż przeznaczeniem niewiasty iść za mężem?.. Jam jak Młada nie stworzona do klasztoru... ja wolę inne życie... mnie cisza cięży...

Mówiąc jakby zawstydzona spuściła trochę oczy, ale półuśmiech krążył jój po ustach.

Podeszła do ojca, w rękę go całując, stary milcząc w głowę ją pocałował i westchnął.

— Idź — rzekł — niech Bóg cię błogosławi... idź... i mnie czas do gościa...

Jeszcze raz ucałowawszy rękę ojca Dubrawka, żywo z izby wybiegła.

Stary kneź klasnął na sługi.

I on także szedł w podwórze przypatrywać się zapasom młodzieży.

Tak się ten dzień rozpoczął od igrzysk w podwórzu, przy których i Mieszko mógł popisać się z niepospolitą siłą i zręcznością. Trzaskano włócznie, rzucano oszczepy, biegano pieszo i konno.

Uznojeni i gwarząc wesoło siedli potem wszyscy do uczyty, bo obiad naówczas w ranniej dawano godzinie. Znowu tedy dwaj kneziowie siedli razem, ale weselszą wiedli i poufalszą rozmowę. Bolko niemal już jak syna gościa uważał.

Dubrawka przybyła do stołu ubrana wytworniej jak wczora z twarzą figlarnie rozweseloną. Spojrzał Mieszko na nią.

— Miłościwy panie — odezwał się pocichu — gdybym się wam naprawdę do kolan o córkę pokłonił... cobyście rzekli...

Stary pochylił mu się do ucha.

— Weźcie ją sobie... i niech Bóg wam błogosławi... Chrztę przyjąć musicie.

— Gdy będę mógł... wierzcie mi i ufajcie, zostanę chrześcianinem...

— Mówcie z nią sami.

Zaledwie od stołu wstawać poczęto, już się Mieszko nie wahał wprost przystąpić do Dubrawki.

Wszyscy jeszcze byli w izbie i patrzali, jak się zbliżył do niój i odwiódł ją, lekko za rękę wzięwszy ku oknu, wszystkich téż oczy ciekawe zwrócone na nich były. Dubrawka szła śmiało i nie udając wstydlivosti niewieściej, która kniehini, wedle jój przekonań, nie przystała.

— Piękna kniehini — rzekł Mieszko — my poganie

wierzmy w dolę i losy. Od wczorajszego wieczora wierzę i ja, że mnie was dola i los przeznaczyły za małżonkę... Kłaniałem się ojcu waszemu, chcieli mnie za syna... odesłał do waszój miłości. Cóż mam rzec... Chcecie mnie za męża?..

Dubrawka mu w oczy spojrzała uśmiechając się.

— Choćbym was i nie chciała, toć muszę wziąć, kiedyście mi jeszcze wczora wasz pierścień narzucili, a u nas pierścień zaślubiny znaczy... Cóż mam czynić nieszczęśliwa? wyszłabym z niesławą, gdybym przyjąwszy pierścień, nie dała zań wianka?.. A no... czekajcie, nie dziękujcie — dodała widząc, że kneź się zabiera znowu ją w twarz całować, nie zważając na oczów tyle — a no, czekajcie. Mówiłam wam wczoraj, że u mnie służba ciężka. Myślicie że ja na gród pojedę, gdzie niewiast pełno i że siódma czy dziesiąta siądę z niemi?.. Jam przecie Bolesławowa córka i chrześcianka, a u nas obyczaj jedną żonę daje mężowi, jednego męża żonie...

— Nie będzie na grodzie nikogo, miłościwa kniehini... oprócz was a służby waszój.

— Pierw chrzt... potem wesele... — dodała Dubrawka. Mieszko się schmurzył.

— Weźcie mnie poganinem — rzekł — i nawróćcie na wiarę waszą. Nie wzdragam się jój, przyjąc ją ślubując, ale moich ludzi i naród muszę w garść wziąć, abym i ja i wy nie nałożyli głową... Jeżeli ufacie mi, pójdziecie za mną...

Spojrzał jój w oczy, westchnęła i kładąc rękę w jego dłoni, odezwała się.

— Wierzę wam... i pójdę za wami!

Gdy tych słów domawiała, popędliwy Mieszko w pót ją pochwycił i w czoło pocałował.

Na widok tego zuchwałstwa cała izba zatrzęsła się oklaskami i okrzyki, Dubrawka wyrwała się i uciekła. Mieszko poszedł w ramię starego ojca pocałować, a w twarz brata.

Podano miód stary i wesołość się wzięła taka, że nawet smutny kneź Bolko rozruszał się i oczy mu zapalały wesoło. Na całym grodzie téjże godziny wiedziano, że Dubrawka kneziowi polańskiemu przyrzeczona. Śpiewy, uczta, okrzyki rozległy się na Hradszynie, a z niego popłynęły na miasto.

Wśród téj wesołości i zajęcia nikt nie dostrzegł, co się działo z gromadką ludzi przybyłych z Mieszkiem, nikt nie widział, jak wszyscy oni niemal posmutnieli i pomieszani stali na boku, jakby zawstydzeni czy strwożeni. Stogniew, najzręczniejszy z nich, najlepiej w sobie ukryć umiał co czuł, ale w nim się poganina starego krew zburzyła cała i musiał na chwilę wyniść z izby, aby ochłonać z gniewu. Za nim pociągnął Wojsław koniuszy książęcy, druh jego i jednej z nim myśli człek. Oba wybiegli niepostrzeżeni w podwórze i spojrzawszy w oczy, ręce tylko sobie podali milczący.

— Jam się tego spodziewał — zawołał Stogniew odwołując Wojsława na stronę — jam jechał tu wiedząc co nas czeka... ale... wiem téż, co jego czeka... — dodał pięść ściskając.

— Gdy te Dobrosławy i Własty zaczęły nam się kręcić u

dworu, czułem, co z nimi idzie... niewola niemiecka... Bóg niemiecki...

Rozśmiał się Stogniew.

— Niedoczekanie ich — rzekł — wracajmy... nie trzeba po sobie dać znać nic... naradzim się w drodze, a w domu wiedzieć będziem co robić...

Wojsław i on, jak zwierz w klatce zamknięty, przeszli się w ciasnym kółku kilka razy, rzucani myślami gniewnemi; spojrzeli sobie w oczy, podali znowu ręce, Stogniew twarz ułożył i wrócili napowrót do izby, gdzie też Mieszko oczyma ich szukał.

Jak skoro zobaczył wchodzących, szepnął Stogniewowi, by przygotowane dary przyniesiono. Były one bądź co bądź przeznaczone dla Bolesława, inne na wypadek dla Dubrawki. Posłuszny Stogniew skinął na komorników i wyszedł.

Nie upłynęło pół godziny, gdy we drzwiach gwar się zrobił, szli Mieszkowi ludzie, ze Stogniewem na czele szeregiem, każdy z nich niósł naczynie, zbroję, kosztowny klejnot jakiś. Postrzegłszy ich kneź wystąpił przed Bolka, pokłonił mu się nisko i przemówił prosząc, aby miłościwie dary od niego przyjąć raczył. Szli potem z kolei wszyscy, przyklękając i u nóg knezia składając co który niósł.

Kołem stał dwór, na którego twarzach malowało się niemałe zdumienie. Nie wyobrażano sobie, ażeby w pogańskim kraju mogło się znaleźć bogactw tyle, które tylko z zachodu zwykle przychodziły. Kupcy od wschodu przywozili naówczas do Polan wyroby, które mało nawet na zachodzie Europy były znane. Niektóre z nich z wielkim kunsztem wykonane obudzały podziwienie, inne nieznanie wcale osobliwością swą zastanawiały. Koberce, opony, srebrne ozdoby, brązowe sprzęty, emalie wschodnie... wszystko to na kupę u nóg Bolka złożone zostało. Ludzie do rąk biorąc dary te oglądali je ciekawie.

Prosił zatem Mieszko, aby mu wolno było dary złożyć Dubrawce, i powtórnie wysłał komorników ze Stogniewem po nie. Pobiegł brat po siostrę, aby ją samą do przyjęcia ich przyprowadził, i przyszła Dubrawka zasiąść przy ojcu.

Ten sam obrzęd odbył się powtórę z tą tylko różnicą, że dla kniehini niewieście przybory, futra, tkaniny i ozdoby do stroju przyniesiono, niemniej bogate i piękne.

W ten sposób niemal uroczyście odbyły się zrękowiny, wobec dworu całego, gdy ich inaczej i z obrzędem kościelnym nie można było odprawić z powodu, iż Mieszko ochrzczonym nie był.

Ku wieczorowi uczta i śpiewy przedłużały się jeszcze, przy których już Dubrawka swobodnie z narzeczonym swym mówić mogła.

Gdybyśmy te rozmowy żartobliwe, rubaszne, w duchu owych wieków powtórzyć śmieli, nadto by się one dziwne wydały. W obcowaniu z niewiastami ton ten wesoły był niemal obowiązkowym.

Mieszko zajęty tém co się z nim działo, radosny z powodzenia, ledwie miał czas zobaczywszy Dobrosława uderzyć go po ramieniu i powiedzieć, że mu daje szeroką

ziemię i lasy, dla niego i potomków.

Włast przez cały ten dzień się nie okazywał, a nie był też potrzebny. Jako kapłan z wieczora zaraz zapukał do księży przy kościele św. Wita, ich prosząc o gościnę. Ze zdumieniem i radością go tu przyjęto, wraz ze starym ojcem Gabrielem, który złamany drogą legł zaraz do spoczynku.

Włast a raczej ojciec Matja, bo tak się tu syn Lubonia nazywał, z niecierpliwością wyglądał następnego poranka, w którym po tak długim od ołtarza oddzieleniu, miał znowu niekrwawą odprawić ofiarę.

Wieczór cały spędził na modlitwie, wstrzymując się od pokarmu, legł spać z myślą pełną tego jutra i wcześniej nim się igrzyska poczęły na podwórku, on już stał drżący przed ołtarzem i zapłakany. Przy drugim mszę świętą odprawiał O. Gabriel, dziękując Bogu za cudowne niemal ocalenie.

Dobrosław klęczał zdala.

O. Matja tę ofiarę tak upragnioną poświęcił w duchu za nawrócenie rodziny swój i narodu. Lecz myśląc nad trudnym dziełem tém, nad ofiarami, jakie kosztować miało, płakał.

Przypomniało mu się co słyszał nocą na wzgórzu, wracając z Krasnejgóry, co znalazł we własnym domu. O. Prokop przyniósł mu tu spędzającemu cały dzień przy kościele i z braćmi, wiadomość o zaswataniu Dubrawki. Była to wieść radości wielkiej i nadziei. Padł na kolana O. Matja, modlił się i płakał znowu.

Imię Stogniewa słyszane w nocy na myśl mu przyszło. Czuł się w obowiązku kneziowi stać na straży, a w razie najmniejszej oznaki zdrady, w oczy Stogniewowi zadać ją i wyzwać, by się oczyścił lub usuniętym został. Z Mieszkim wszakże, gwałtownym i porywczym, trudna była sprawa, a i z rodziną własną nie wiedział, co pocnie nawrócony. Wszystko jednak co go spotkać miało ofiarując Bogu, gotował się młody kapłan, choćby na męczeństwo.

Dobrosław był daleko lepszej myśli, ufając, że Mieszko poczynać sobie będzie tak, aby się na niebezpieczeństwo nie narażał. Lecz napróżno starał się dodawać otuchy Włastowi, który milczał zaszepiony, spoglądając na radość powszechną, lękając się, aby ona zawczasie w krew i łzy się nie zmieniła. Twarz Stogniewa, chociaż ją układać się starał, mieniła się dziwnie i strasznie, oczy mu pobłyskiwały. Włast odgadywał a raczej przeczuwał, co się działo w jego duszy. Trwoga go ogarniała. Odwiodł na stronę Dobrosława nieznacznie i pokazał mu tych ludzi.

Mogli tu niepostrzegani przez nikogo pocichu rozmówić się z sobą i Włast wyznał Dobrosławowi, co słyszał w lesie, jak się tam odgrażano i imię Stogniewa wymieniono. Z narady to tylko wyszło, iż należało mieć się od niego na baczności, nie donosząc o niczym kneziowi, boć dowodów żadnych winy nie było, a z posądzeń Stogniew łatwo się oczyściwszy, na przyszłość tylko mógł się stać baczniejszym.

Jak wprzódy już czasu podróży, tak i tu Wojsław, Stogniew i większa część ludzi z orszaku Mieszka,

okazywała dwom chrześcianom niechęć i pogardę. Nie mówiono do nich chyba gdy to było koniecznym, odwracano się i rzucono ich samych. Dobrosław napróżno się starał zbliżyć do Stogniewa, który go unikał milczący.

Gdy się tak wieczór wśród śpiewów i uctowania zbliżał do końca, a Mieszko to przy starym księciu siadał, to z Dubrawką żartobliwie rozmawiał, dwór też częstowany podochocił sobie. Pomimo to starszyzna Mieszkowa pozostała niewesołą i do Czechów mało się zbliżała. Zapito jeszcze zrękowiny, kneź zapowiedział, iż nazajutrz powracać musi do kraju swego i przed północą wszyscy się rozchodzić poczeli.

Młody Bolko znowu przyszłego brata odprowadził do jego izby i tu go w twarz pocałowawszy, odszedł.

Mieszko pozostał sam ze Stogniewem i kilką komornikami.

Teraz dopiero spojrzawszy na twarz swojego ulubieńca, dostrzegł w niej ponury wyraz zamiast radości. Stogniew jednak odzywać się nie śmiał.

— Kniehinie mieć będziecie! — odezwał się do niego Mieszek — wielkiego rodu i możną panią... Podaliśmy sobie z Bolkiem ręce, abyśmy oba silniejsi byli...

Stogniew spuścił głowę.

— Nie radujecie się? — zapytał kneź.

Zmilkzał zapytany. Mieszko też nie odzywał się doń więcej. Wydał rozkazy i odprawił. Po odejściu jego Dobrosława przywołano. Kneź pacholców odprawiwszy dziękować mu znowu począł.

— Miłościwy Panie — rzekł przybyły cicho — cieszę się ja, żem panu memu mógł usłużyć, ale się drudzy pono burzą i nie wszystkim to sprawia radość...

Nie wymienił nikogo. Kneź też unikał pytania.

Zmarszczyła mu się brew, błysnęły oczy, ale ze słowem nie zwykł był spieszyć. Nierychło dopiero poszedł ku Dobrosławowi rękę mu kładnąc na ramieniu.

— Ty i Włast, i co was jest chrześcian, gotujcie mi drogę i pomagajcie — odezwał się cicho. — Wielki jest Bóg ich... ale niełatwo od swoich odstać... i nową odziać skórę, gdy ta, z którą człek na świat przyszedł, do ciała przyrosła... Tych co się opierać będą, zmożę... ale gromadkę wierną mieć muszę, by przy mnie stanęła... Mów — dodał — mów Dobrosławie, jako wiesz... wielu chrześcian naliczysz w ziemiach naszych?... Wiem, iż byli oni już za ojca i dziada mojego... ale się kryli z wiarą swoją...

— Miłościwy kneziu — odezwał się Dobrosław — jest nas rozsianych po wielkiej przestrzeni niewiele... Strach niejednego odwiódł już od krzyża... kapłanów trzeba jak Włast... aby szli między lud i nauczali... a pilnego oka na to, aby starszyzna, wieszczkowie i gęslarze nie burzyli go... Co kneź Bolko uczynił u siebie, czemużby się też u nas dokonać nie miało?..

Kneź się zadumał nieco i z tym Dobrosława odprawił, by Czechów nawróconych, jacy się znaleźć mogli do Polan zaciągnął.

Nazajutrz rano już konie stały w podwórku, gdy w izbie jeszcze obiad podawano na pożegnanie. Wyszła i kniehini do narzeczonego, aby mu dobre słowo dać na

odjeźdném, cały dwór Bolesławów dla uczczenia gościa był na nogach i dziesięciu jezdnych dodano do orszaku, by przeprowadzali Mieszka do granicy łużyckiej.

Tak się w druźbie i weselu rozstali, z miłością wielką, i cały poczet ruszył z Hradszyna uroczyście, przy okrzykach, które się jeszcze z murów grodu długo słyszeć dawały.

Ani Dobrosław, ani Włast nie śmieli potem już rzecz słowa kneziowi, aby w podróży baczny był na tych, co go otaczali. Do granicy też czeskiej, dopóki dodani Bolesławowscy ludzie im towarzyszyli, nie było niebezpieczeństwa.

Gdy ich obdarzonych odprawiono z pozdrowieniem do Pragi, a kneź sam z orszakiem swoim pozostał, przypadł spoczynek w lesie dla skwaru, który tego dnia panował, i wszyscy się do snu pokładli.

Włast też szukając cienia, odszedł opodal od gwaru i w zaroślach się gęstych położył. Leżał tu już czas jakiś, nie mogąc zasnąć jeszcze, gdy szelest się dał słyszeć w pobliżu i szepty. Pomimo iż go dostrzedz trudno było w trawie i krzakach, z miejsca swego mógł widzieć, że Stogniew z Wojstawem stali, potajemnie się naradzając z sobą. Zrazu słów ich usłyszeć nie mógł, lecz natężywszy ucha i podpełznawszy ostrożnie, pochwycił wyrazy Stogniewa.

— Dziś na noclegu... czego więcej czekać mamy? Jawna rzecz, że nas niemcom zaprzędają...

— Czekajmy do domu — mówił Wojstaw — Sydbora namówim z nami.

— Aby zdradził? — rzekł Stogniew. — Nie potrzeba nikogo. Śpiącemu oszczep w piersi wrażeń i nim się przebudzi, ducha wyzionie. We dwu im trzem po kolei radę damy. Dobrosław go prowadził... Lubonia syn jawnym chrześcianinem jest, widziałem go do ich kontyny idącego i obcującego z czarnymi wróżbitami.

Sprzecjali się jeszcze pocichu czas jakiś, lecz Stogniew na swém postawił i z zarośli wyszli umówiwszy się, iż spać nie będą, a gdy wszyscy zasną, wstaną, aby ich wymordować z kolei. Stogniew miał pewnych ludzi kilku do pomocy.

Zaledwie się oddalili, zimnym potem okryty wstał Włast i pobiegł szukać Dobrosława, aby mu o niebezpieczeństwie oznajmić.

Unikać musiał oczów i tak to dopełnić, aby żadnego nie obudził podejrzenia. Księciu też potrzeba było powiedzieć o tém, co się gotowało, aby obmyślił co miał czynić.

Dobrosław chodził około konia swojego w miejscu, gdzie nikogo nie było, łatwo więc przyszło Włastowi natychmiast mu rozmowę podchwyconą cudem, powtórzyć.

Mieszko na wysłaném suknie pod dębem zasypiał bezpiecznie, budzić go nie śmiał Dobrosław, ale stanął na straży, by się zbliżyć natychmiast, gdy ze snu wstanie. Włast poszedł krążyć zdala, aby innych przed czasem nie dopuścić.

Znużony drogą kneź spał prawie do wieczora, szczęściem rzenie koni sen ten głęboki przerwało, a gdy

oczy przecierać zaczął, znalazł się przy nim pierwszy Dobrosław i nie tracąc chwili, rzekł mu:

— Miłościwy panie, Włast podsłuchał rozmowę, zmówili się Stogniew z Wojsławem, aby cię w pierwszym śnie zamordowali...

Słyszając to Mieszko, wcale nie okazał poruszenia. Kazał sobie powtórzyć prędko wszystko, co Włast usłyszał, i wstał ręką odprawiając precz Dobrosława, słowa więc nie rzekłszy.

Wnet dano znak, aby na konie siadać. Stogniew się zbliżył po rozkazy. Mieszko nie dał poznać po sobie, iżby go miał w podejrzeniu. W zwykły sposób zagadał doń i szykować ludzi rozkazawszy, sam siadł na koń z twarzą pogodną. Zdumiał się Dobrosław sądząc, że mu chyba wiary nie dawał, lecz przystąpić już nie mogąc, trzymał się w pobliżu wraz z Włastem.

W drodze aż do nocy przez gęste przedzierając się bory, Mieszko nie okazał też najmniejszej po sobie trwogi. Późnym już wieczorem, w lesie na polanie, między skałami, które nad nimi ścianę wysoką tworzyły, na nocleg kneź zatrzymać się kazał. Tuż z drugiej strony stromo ścięty brzeg wprost do Łaby spadał. Przez stojące tu rzadko drzewa widać było łąkami w dali płynącą rzekę i lasy piętrzące się ławami jedne nad drugimi, z pośrodku których gdzieniegdzie szare ściany kamienne wyglądały.

Kazano ogień rozpalić, zwierzynę w drodze ubitą piec i konie na paszę wypuścić. Kneź pod starą sosną, na czystym miejscu postanie sobie przygotować kazał, głośno zapowiadając Stogniewowi, ażeby wcześniej wszyscy do snu się kładli, gdyż z pierwszym brzaskiem ruszyć miano. Dobrosław z niepokojem przypatrujący się Mieszkowi, najmniejszej w obejściu się jego nie dostrzegł zmiany. Stogniew chodził widocznie niespokojny i chmurny.

Po rozdaniu jedzenia wprędce ludzie się pokładać zaczęli, straż opodal postawiwszy; ognisku dano wygasnąć i czarna noc z milczeniem posepnym ostoniła obozowisko. Dobrosław i Włast z miejsc swoich podpełzli bliżej, aby być panu z pomocą na skinienie. Cisza panowała długo, gdy Mieszko silnie chrapać zaczął.

W chwilę potem usłyszeli w krzakach zaczajeni, jak niedaleko śpiący Stogniew i Wojsław wstali pocichu i skradać się poczęli ku miejscu, w którym kneź spoczywał, chrapiąc coraz mocniej. Noc była tak ciemna, iż zaledwie poruszające i skradające zcicha postacie dwu morderców dostrzedz było można.

Stanęli oni oba już przy Mieszkowi, gdy nagle stłumiony krzyk się dał słyszeć. Dobrosław, który się zerwał i nadbieżał, spostrzegł jak kneź uchwyciwszy Stogniewa, gdy się ten najmniej spodziewał, obalił go, przygniótł, oburącz za gardło ścisnął i — udusił. Wojsław, który stał zrazu przelękły, umknął natychmiast i biegł w las naosłep.

Nim Włast i Dobrosław przybiegli, Stogniew już ducha wyzionął, w rękach knezia, który wnet krzyknął, aby ognia rozpalono. Gorzały jeszcze węgle pod popiołem, od których łatwo było suche zażedz gałęzie. Pobiegli pachołkowie, Mieszko tymczasem stał spokojnie nad

trupem, oglądając się, czy drugiego napastnika nie zobaczy.

Gdy ogień błysnął, a służba w pierwospy zbudzona nadbiegła, strach ogarnął wszystkich, słowa nikt nie śmiał rzec...

Mieszko skinął na ludzi, aby trupa ściągnęli i z góry go rzucili do rzeki. Stało się w jednej chwili jak przykazał, nikt pytać nie śmiał ani spojrzeć panu w zagniewane oczy. Posłano szukać Wojsława, lecz nigdzie go nie znaleziono... Ucieczka sama o winie świadczyła.

Gdy Stogniewa ciało z hałasem toczyło się po skałach, Mieszko ognia kazawszy naniecić, słowa nie mówiąc legł nazad na postanie, sparł się na rękę i drzymać począł. Ludzie przerażeni wrócili na miejsca swoje. Tak doczekano ranka.

O świcie dowództwo nad ludźmi objął Dobrosław, siedli wszyscy na konie i w milczeniu jechali w dalszą drogę ku domowi.

Z pocztu kneziowskiego nikt o Stogniewie wspomnieć nie śmiał, a wjeżdżając na gród nad Cybiną, towarzysze pańscy na pytania odpowiadali milczeniem.

## X.

Już w podróży przez Dobrosława miał sobie oznajmionem Włast, że mógł się udać do Krasnejgóry do ojca — z tém tylko, by na każde zawołanie się stawił. Przybywszy więc na zamek natychmiast się wybierał, gdy stara Srokicha dowiedziała się o powrocie i do swojego dziecięcia przybiegła.

Zaledwie godzina upłynęła jak na zamek wjechali, służba zdawała się nie mówić słowa oglądając się bojaźliwie — przecież cały niemal już dwór wiedział i z kądem wczem powracano...

Śmierć Stogniewa przeraziła wszystkich. Na twarzach widać było postrach i smutek. Jawnie nikt się do nikogo nie zbliżał, ale po kątach, za węglami szeptali ci co wracali, z temi co pozostali.

W niewieścim dworze już płacz słyhać było i narzekanie; popłoch panował wszędzie, kniehinie Górka czekała wyglądając na brata, nie mogąc się go doczekać.

Mieszko natychmiast wysłał gońca po Sydbóra do Gniezna, aby nie tracąc chwili, do niego przybywał.

Sześć mil miał konny ubiedz tak, aby przed nocą wezwany, był nad Cybiną.

Dobrosław wydawał rozkazy i nad dworem miał zwierzchnią władzę... Srokicha pochwycając Włast, pieszczoty macierzyńskie, wnet rozplakała się i wypytując natarczywie zaczęła, niedając mu odetchnąć. Po dworze chodziły już wieści straszne.

Strwożeni byli wszyscy. Włast, któremu nakazano milczenie, nic powiedzieć jęć nie mógł. Nie było już tajemnym, że do Pragi jeździli, lecz nadto nie wiedział nic. Srokicha niedowierzająco potrząsała głową.

— Gołąbku mój — mówiła płacząc — straszne dni na nas przyszły. Nie darmo wy do Pragi téj, do Czech jeździli. Groza idzie na nas i niewola, zginiemy wszyscy...



Nasi starzy przyszłość wróżą krwawą.

Próżno Włast się jęć wyrwał — Srokicha ścisłała go, jakby się lękała utracić i zalewała się łzami...

Chciała go zaprowadzić do swęj pani, ale Włast się wyprosił. Wycalowaławszy go i wygłaskawszy, puściła wręście staruszka, tém niespokojniejsza, iż nic od niego dowiedzieć się nie mogła.

Unikając pytań podobnych Włast poszedł po konia swojego, aby za dnia jeszcze zdążyć do Krasnej-góry... Pocięchą dlań było, że z Pragi wioził dane mu do mszy świętej wino i opłatki, których w domu upiec nie miał sposobu.

Wino naówczas było w kraju rzadkością prawie nie do nabycia, a duchowieństwo chleb téż do mszy świętej używany, chciało mieć z nadzwyczajną pieczony troskliwością. Ś. Wacław sam zżynał kłosa pszenicy, sam wybierał i wyciskał grona, z których wino i chleb do świętej ofiary użyte być miały.

Z równem poszanowaniem i inni kapłani przygotowywali się do niej. Włast długo pozbawiony téj kapłańskiej pocięchy, sposobił się teraz, choć potajemnie, gdzieś na ustroniu w lesie odprawiać mszę, aby w niej zaczerpnąć siły i znaleźć pocięchę. Gorliwym był jak człowiek, długim głodem zmorzony — a gdy o rodzinie swęj myślał, zalewał się łzami, rozpaczając prawie, aby mógł ją nawrócić. Nie wiedział sam jak ma to wielkie rozpocząć dzieło, lecz czuł święty obowiązek. Ze wszystkich dusz jakie chciał ocalić, los tych najbliższych, najmocniej go obchodził.

W tych myślach zbliżył się do Krasnej-góry, i już widział dwór zdaleka, a serce mu biło niespokojnie gdy wracając konno z pola nadjechał Jarmierz, witając go serdecznie.

— Pan nasz ucieszy się wam wielce — rzekł — bo niecierpliwie czeka powrotu...

— Jam téż spieszył jak mógł, alem był pod rozkazami. Zdrowi wszyscy? — spytał Włast.

— Dobrogniewa zaniemogła trochę, przecie się włóczy o kiju.

Luboń dla was już Mładę zaswatał, ani dnia wam nie da spocząć i jechać będziecie musieli z nim a do wesela się gotować.

Włast zbladł i zadrzał, nieodpowiadając nic, jechał dalej. Ani na chwilę nie zawahał się nad tém, co miał począć. Jeśliby go ojciec przymuszać chciał, postanowił paść mu do kolan, wyznać wszystko i znieść cokolwiekby go spotkać mogło.

Rozmawiając zbliżyli się ku dworowi, a tentent koni wywołał sługi, które o nadjeżdżającym wnet w domu oznajmiły...

Pierwsza wybiegła Hoża na spotkanie, za nią szedł stary Luboń z brwią namarszczoną. Na widok syna rozchmurzył się wnet. Gdy ten mu do nóg przypadł, uderzył go ręką po ramieniu i zamruczał.

— Przecie kneź się ulitował nademną<sup>[14]</sup> — Gdzieście byli? Jeździłem do grodu, mówiono mi, że kneź wziął was z sobą? Czy polował na wilków.

— Do Czech jeździliśmy — odparł Włast.

— Do Czech? — chmurno się odezwał stary — a po co?

łup przywieźliście?

— Myślę, że chyba przymierze lepsze od niego.

Stary się trząsł i nie pytał więcej.

Wyszła i babka, chmurném okiem, jak zawsze mierząc chłopaka.

Nie pytano go więcej. Luboń téż nie oznajmił mu o niczém, tylko, że jutro bierze go z sobą, że jechać muszą. Włast wiedział już co zamierzał, lecz dopytywać nie było wolno, czekać musiał, aż mu oznajmi ojciec swą wolę.

Jedna Hoża swą wesołością cały dom ożywiała, krzątając się, śmiejąc się i śpiewając. Stara mruczała przy kądzieli. Po wieczery zwołano i inne dziewczęta do śpiewu, bo stary Luboń rad słuchał pieśni i do późnej nocy, przesiedzieli tak u ognia przy łuczywie.

Dobrogniewa drzemała nad swą kądzielą, wrzecziono wypadło jęć z rąk — ale do snu nie szła.

Późno już było, gdy Luboń z ławy wstawszy, naprzeciw syna stanął i odezwał się.

— Jarmierz ci na jutro odzież da nową i ogarnąć się trzeba czysto, jedziemy w swaty. Dobrałem ci dziewczynę piękną, młodą i posażną, czas życie zaczynać i do gospodarstwa się nałożyć.

Włast westchnął — zbliżył się do ręki ojca i ucałowaławszy ją, rzekł cicho, ale śmiałym głosem...

— Ojczy a panie miłościwy, nie mogę tego uczynić, abym niewiastę brał... Przyszedł czas, gdy ci całą prawdę objawić muszę, oto ślubowałem chrześcijańskiemu Bogu i przyjąłem wiarę nową, a poprzysiągłem, że nigdy niewiasty znać nie będę.

Wyznanie to, wśród głuchego milczenia wyrzeczone, przerwał krzyk staręj Dobrogniewy, która kądziel rzucając na ziemię, przypadła do wnuka z pięściami zaciśnionymi. Luboń zuchwalstwem syna osłupiał, jakiś czas przemówić nawet nie mógł.

Z ust jego wyrwało się coś jakby ryk dziki i rękę podniósłszy do góry, z całej siły uderzył syna, który padł na ziemię.

Skrzoń jego uderzyła o twardą nogę stołu i krew trysnęła z niej. Ból, przestrasz, znużenie sprawiły że omdlał.

Hoża, którą krzyk ojca zwabił, widząc obalonego i skrwawionego brata, klękała na ziemi, chwytając bładą jego głowę i zaszła się wielkim płaczem.

Luboń stał wcale nieporuszony tém co uczynił.

Zwolna otwarły się oczy Własta, poruszył się, usiłował powstać, i z pomocą siostry, ocierając skroń, na nogi się podniósł, oparłszy o stół.

— Psie ty niewierny — krzyknął Luboń — myślisz, że ja ci dam czynić co zechcesz przeciwko méj woli?

Nad dzieckiem mojem mam prawo życia i śmierci, słuchać musisz i uczynić co każe...

Dobrogniewa oczyma i ruchem rąk potwierdzała mowę ojca — Włast milczał.

— Kajaj mi się zaraz, a bądź posłusznym — chrześcijaninem ci nie być... Szczenie wolę przybrać za dziecko.

— Ojczy a panie — odezwał się Włast — usłucham rozkazu twojego we wszystkim, lecz wiary się nie wyrzekę, a co mi mój Bóg każe, uczynię choćbym miał życie dać.

Luboń w krwawą twarz dał mu bezlitośny policzek... W téjże chwili poczuł na dłoni ciepłą tę krew własnego dziecięcia, i wzdrygnął się. Hoża obejmując brata rękami płakała... Stary z gniewu drżał i rzucał się, babka pięściami ciągle wnukowi groziła i powtarzała:

— Sobaka!

Włast stał na nogach się chwiejąc — milczący, z głową spuszczoną.

— Będziesz posłusznym — wołał Luboń — lub zginiesz psie niewierny.

— Czyń co ci się podoba ze mną — odparł Włast — jestem w mocy twojej...

W pierwszej chwili Luboń z gniewu chciał zawołać na pacholków i sieć nieszczęśliwego, już bełkocząc poczynął dawać rozkazy, gdy Hoża do nóg mu się rzuciła. Popchnął ją zrazu, ale mu się uczepliła mocno. Krzyk i płacz rozlegał się po dworze, ludzie pobudzeni zbiegli pod okna, do sieni i stali patrząc a nie rozumiejąc co to znaczyło. Niewiasty łamały ręce i płakały. Jarmierz stał w progu.

Opamiętał się stary w gniewie.

— Związać go!.. — krzyknął — na strych w swirniu posadzić i nie puszczać... suchy dać chleb i wodę... niech mrze głodem...

Jarmierz chcąc ocalić Włastą, odezwał się, że w swirniu strych był zajęty.

— Do jamy z nim! do jamy! — zawołał Luboń — łyka mi daj... związać go... sprzedam jak niewolnika, ubiję jak psa...

Napróżno córka błagała jeszcze, zwracając się to do ojca to do Własta, aby uległ woli jego. Włast milczał, ojciec zapalał się gniewem coraz większym. Jarmierz wreszcie lękając się, aby stary nie porwał się znowu do dziecka, wołał już spełnić polecenie i przyniósł łyka.

— Do jamy z nim... — powtórzył Luboń.

Jama ta była wygrzebaną w ziemi i służyła na schowanie w zimie, często za więzienie w lecie. Spuszczano do niej winowajców, a wnijście zawałano drzwiami, na których kładziono kamienie.

Włast szedł posłuszny. Hoża zakrywszy sobie oczy, upadła na ziemię. Milczenie było w izbie, tylko oddech wzburzonej piersi Lubonia i mruczenie stariej je przerywało.

— Będziesz posłusznym?.. — krzyknął stary, widząc już syna w progu.

— Ojcze... nie mogę... Bogu posłusznym być muszę...

To mówiąc zwrócił się do Jarmierza i rzekł mu spokojnie.

— Prowadź mnie.

Ta odwaga i stałość słabego na pozór chłopaka, któremu się urągano, iż męztwa nie miał, dziwne uczyniła wrażenie na wszystkich. Stara Dobrogniewa wściekała się, Hoża płakała. Luboń stał drżący z gniewu. Jarmierz był przerażony.

— Prowadź do jamy! — krzyknął stary.

Włast ruszył się posłuszny nie mówiąc słowa i przestąpił próg, przeszli sieni, znaleźli się w podwórku.

— Poddajcie się ojcu... jamy wy nie wytrzymacie długo... — szepnął Jarmierz — poddajcie się! co czynicie!..

— Prowadź mnie — rzekł Włast — niech się stanie wola jego, śmierci się nie lękam...

W progu jeszcze zjawił się rozjuszony ojciec, krzycząc na Jarmierza.

— Do jamy!

Nie było już ratunku.

W głębi dziedzińca znajdowała się ta studzienka wilgotna. Jarmierz odwalił drzwi i litość chwyciła go za serce; puścił sznur, który trzymał w ręku.

— Uciekaj! — szepnął.

— Dokąd? — odparł Włast — czyń co ci kazano... Uciekać nie mogę i nie chcę...

Trzeba więc było spełnić nakaz surowego ojca. Jarmierz wskazał jamę i pomógł Włastowi się w nią spuścić. Sam siadł nad nią i podparty na rękach został tak na straży, nie wiedząc co począć z sobą. Luboń tymczasem rozpędzał czeladź, która się była zgromadziła, rozkazując jej iść precz na barłogi... W trwodze rozpierchło się wszystko i znikło.

Głuche milczenie nastąpiło we dworze. W świetlicy stara stała ręce założywszy przed ogniem, a Hoża płakała leżąc na ziemi.

Noc była późna, pierwsze kury piał zaczynały. Stary ojciec zamiast iść na postanie, siadł na przyzbie przed dworem, sparł głowę na rękach i pozostał tak dysząc gniewem do rana.

Brzask dnia znalazł go tam siedzącym jeszcze. Jarmierz na ziemi legł nad jamą i tam go sen ujął nad ranem. We dworze było cicho i ciemno. U zgasłego ogniska stara Dobrogniewa drzemała mrucząc, snem niespokojnym. Hoża zwlóklszy się na ławę, z głową na stole usnęła.

Dzień się robić zaczynał i parobcy wstawali do pojenia koni, gdy Luboń ruszył się z przyzby, poszedł nad jamę, nogą budząc śpiącego Jarmierza, kazał mu drzwiami otworzyć przyrzucić i poszedł.

Gdy zakładając drzwi spojrział w dół Jarmierz, chcąc słowo pociechy rzucić biednemu, w głębi zobaczył go klęczącego i modlącego się spokojnie. Powoli zasunął ciężkie wrota i odszedł zadumany.

Dzień cały upłynął bez zmiany, spuszczone tylko chleb i wodę Włastowi. Jarmierz chciał przemówić do niego, ale zdala stojąca z kądzielą Dobrogniewa pogroziła mu.

Luboń nie wyjechał ani na łowy, ani wyszedł w pole, w chacie przesiedział dzień nieruchomy prawie, a gdy mu jedzenie przyniesiono, popchnął je od siebie. Wodę pił tylko.

Nad wieczór przywłókl się do wrót starzec z gęślą na plecach.

Był to gość częsty we dworze Luboniów, znany całej okolicy śpiewak, wróżbit i znachor, który przez rok cały zwykł był obchodzić dwory i chaty, karmić się, spoczywać i płacić za gościnność śpiewem i wieszczbą. Zwano go Wargą. Z siwą rozczochraną brodą, z rozwianym włosem, w szarej opończy, z kijem białym w ręku, z sakwami na plecach, stary Warga wchodził jak pan do każdego domu, siadał na najlepszym miejscu, kazał sobie podawać co mu się podobało, łajał czasem najmożniejszych i słuchano go z pokorą, a niemal trwogą. Uchodził

za straszego czarownika. Nawet podobni dziadowie wróżbici cześć mu jak głowie swęj oddawali. Słowo jego ważyło wiele.

To téż gdy na wyprawę iść trzeba było z ludem, a wajakom dodać serca, nikogo do wróżenia z ziemi, patyków i ognia nie wołano, tylko jego. Śmiały i silny choć stary, nocami chodził jak we dnie nie obawiając się niczego, ani zwierza, ani człowieka.

Wedle obyczaju swojego Warga wejrząwszy w podwórze, wrota sobie otworzył śmiało, oczyma poszukał kogoś, do kogoby się odezwał i nie postrzegłszy żywej duszy, prosto kroczył ku dworowi. Tu znalazł Lubonia jak odretwiąłego na ławie.

— Co tobie stary? — zawołał — choroba?

Gospodarz głowę podniósł, popatrzył oczyma obłąkanymi i nic nie odpowiadając, podparł się znowu na dłoń. U drzwi Warga kij postawił, sakwy zrzucił na ławę i postąpił bliżej do niego, biorąc go za ramię.

— Co tobie stary? mów!

— Nie mogę mówić! — szepnął Luboń.

Bystre oczy długo w niego wlepiając gęślarz, głową potrząsał, nareszcie na ławie naprzeciw niego przysiadł.

— Powiesz ty mi, co tobie jest? — mruknął.

W tém Dobrogniewa wyszła z kądzielą z komory.

Co wam? co się w waszym domu stało?..

Dobrogniewa rzucać głową poczęła.

— Syna miał, wnuka miałam... straciliśmy go... wrócił po dwunastu latach niewoli... psem niemcem... niewiarą... trzeba go było zamknąć wczoraj do jamy jak wściekłego. Warga uderzył ręką po stole.

— Dwanaście lat go nie było! opłakaliście... zapomnieli... a co gorszego dziś?

— Niechby nie żył!.. — krzyknął Luboń.

— To go zamórz głodem... — rzekł Warga. — Z chrześcianina ty pociechy mieć nie będziesz... darmo... Umieją oni człowieka przerobić, że się zaprze rodzonej matki i ojca... czarowniki te!.. Skosztował on ich chleba, naszego nie będzie jadł więcéj...

Tu Warga zniżył głos.

— Co twoje dziecko jedno — rzekł — nam wszystkim oni nóż prędko przyłożą do gardła... Już kneź wacha się z chrześcianami i jak inni pójdzie z niemcami, aby nam na kark jarzmo włożyć. Co im!.. Jeździli do Czecha... tam mu żonę swatają... biada nam!.. biada nam!..

Luboń głowę podniósł.

— Stogniewa w drodze Mieszko udusił, że mu się sprzeciwił! wydusi nas, jeśli o sobie nie pomyślimy... wydusi...

Warga westchnął, śmiały jego głos płacziwym począł się stawać.

— A wy! baby bezsilne... ścierpicie to!.. — zawołała nagle Dobrogniewa.

Głową począł Warga potrząsać.

— Do kądzieli, stara — mruknął gniewnie — do kądzieli... precz... co wam do naszej sprawy?

Dobrogniewa spuściwszy głowę, powoli, posłuszna, nie śmiejąc odpowiedzieć nic, odsunęła się do kąta, siadła na kądzieli i poczęła nić wyciągać. Warga sparł się oburącz

na stole i patrząc w oczy Luboniowi potrząsał głową smutnie.

— Prawda to, że do Czech jeździli po kniehinie? — spytał Luboń — Mieszkoby nas miał sprzedać za jedną dziewczkę?..

— Za dziewczkę nie — odezwał się Warga — ale za to, by nas mógł z niemi gnębić... obróci w niewolniki, jak niemcy swoich... pójdzie reszta kmiecych swobód z bogami naszemi... pójdzie...

— Jeśli my się mu damy — mruknął Luboń.

Warga przysunął się ku niemu, popatrzył na siedzącą zdala Dobrogniewę i zaczął mu coś szeptać do ucha. Z twarzy i oczów widać było, że to co mówił, gorącym było i poruszało go mocno. Oczy mu to się świeciły, to pod zmarszczone chowały czoło, zaciskał dłonie, targał Lubonia za ramię, podnosił ręce, bił o stół niemi, rzucał się, śmiał i krzywił, a gdy wreszcie umilkł, Luboń wstał jakby w niego nowe życie wstąpiło.

Była to pora wieczery; wniesiono misy, chleb, strawę i piwo, a Warga zgłodniały rzucił się na nie chciwie. Luboń pił tylko a szeptali ciągle. Noc już była, gdy tentent się dał słyszeć, głosy u bramy, a wkrótce potem wszedł do izby opończą osłonięty mężczyzna, od progu naprzód wpatrując się, kogo zastanie. Dopiero upewniwszy się, że Luboń sam był z Wargą, wsunął się i twarz odsłonił.

Był to Wojsław koniuszy Mieszka, który zbiegł w las, gdy Stogniewa kneź pochwycił. Dawny Lubonia znajomy i powinowaty, przychodził widać żądać u niego przytułku. Gospodarz, który o niczém nie wiedział, nawet o losie Stogniewa zasłyszał ledwie i sądził przybyłego zawsze Mieszkowym sługą, przyjął go po stariej družbie.

— Cóż mi tam niesiecie? — spytał — pewno was kneź posyła? byle nie po syna...

Wojsław strząsnął się nie odpowiadając i usiadł na ławie milczący, popatrzył na Wargę.

Stary włóczęga myśl jego zdawał się odgadywać.

— Co wy patrzycie mi w oczy, jakbyście Wargi nie znali? Przy mnie śmiało mówić możecie, co serce poda do gęby...

Luboń ciekawie wpatrywał się w wybladłego i na twarzy zmienionego krewniaka.

— Coś ty nie swój jesteś? — rzekł.

— Nic nie wiecie? — zapytał Wojsław schryptym głosem.

— Cóż mam wiedzieć, siedzę w domu...

— Gdzie syn twój? — zapytał Wojsław.

Na to pytanie zmarszczył się Luboń, od rana już postanowił był nie przyznawać się przed ludźmi do tego sromu, że dziecko mu nie chciało być posłusznym, do téj doli, że mu chrześcianie je odebrali, cicho więc odparł.

— Synam wyprawił w swaty... żenię go...

— Doprawdy? — zapytał Wojsław. — Toście go zmusili chyba... Przecie go widziałem w Pradze, że z chrześciańskimi wróżbitami w ich kontynie odprawiał tam jakieś obrzędy... a tym, co do nich należą, żenić się nie wolno...

— Tak jest — dodał porywczo Luboń — zmusiłem go do porzucenia téj wiary niemieckiej... zagroziłem mu... musiał być posłusznym.

— Nic wam nie mówił o naszej podróży? — pytał dalej Wojsław.

— Nie pytałem go wiele... — odezwał się Luboń jakby zbyć się chciał rozmowy — co tam z gołowasem takim rozhowory prowadzić?!

Machnął ręką.

— Nie będziecie wy z syna mieli pociechy... — rzekł Wojsław — nie... Dobrze żem ja z jego przyczyny nie nałożył głową... a Stogniewa śmierci nikt nie winien ino on. Widzieli go pachółkowie, jak w krzakach leżąc podśluchiwał nas na rozmowie i wydał przed kneziem...

— A cóżeście mówili? — spytał Luboń zdziwiony.

Wojsław z ławy powstał poruszony mocno.

— Co mam kłamać! Mieszko nas niemcom sprzedaje. Do Pragi jeździł się o naszą skórę targować. Jawna to rzecz. Starą dziewczkę mu daje Bolko i dobre wiano... swoją przyjaźń i cesarską łaskę... Myśmy to ze Stogniewem widzieli, a mieliśmy czekać, aż nam na kark włożą obrecz?..

Reszty można się było domyślać. Wojsław jój nie dopowiedział, i po chwili kończył.

— Gdyśmy nocą przyszli do niego, już nas, przez twojego syna ostrzeżony, czekał... Stogniewa zdusił jak chrząszcza!.. Jam życie uniósł... tułam się.

Milczenie nastąpiło długie. Wojsław przeszedł się po izbie, Warga pilno nań patrzył, Luboń stał zamyślony.

— Dacie mi przytułek? — zapytał Wojsław.

— Właśnie to go tu szukać!.. — krzyknął Warga — człowiecze... pod bokiem knezia, gdzie cię każdej godziny może zajrzeć i ludzie cię znają!.. Pójdziesz ze mną... ja ci dam schronienie, w którym będziesz bezpieczny... Schowam cię do chramu, gdzie nikomu dostąpić niewolno... Takich ludzi jak ty nam trzeba...

Odwrócony ku starcowi Wojsław słuchał.

— Pójdziesz ze mną! — powtórzył Warga.

— Ja ci też w lesie na pasieczysku chatę dać mogę — rzekł Luboń.

— Byłem gdzie tego twojego syna psią wiarę nie spotkał — odezwał się Wojsław — bo choć on was posłuchał i dziewczkę bierze, a ja mu nie ufam... Zdradzi on ją, i was, i mnie, gdy będzie mógł... a wiary tej nie puści, co gdy raz przylepnie do człowieka, trzyma się jak smoła...

Zamyślony, z okiem wlepionym w ziemię, stary Luboń powtarzał ciągle pocichu.

— Stogniewa udusił!..

— Własnymi rękami — rzekł Wojsław popijając chciwie z kubka, który stał na stole. — Czekał na niego... schwycił za gardło... i krzyku mu nawet wydać nie dopuścił... Ciało potem zrzucić kazał z góry do Łaby i położył się znowu, jakby mysz nogą rozcisnął... Nikomu słowa nie rzekł... Dobrosławowi oddał po Stogniewie władzę, wrócił nad Cybinę, posłał po Sydbóra i już się pewnie do wesela sposobił... Taki on jest!.. Co jednemu uczynił, tak samo stu zrobi nie zmarszczywszy się... Na Sydbóra my rachowali, on ma dużą siłę w ręku... ale to pies też, co się nawykł łasic i nogi mu lizać będzie... z nim gadać nie ma po co...

— Albo innych nie ma? — podchwycił Warga — czy to

wam kneziów zabraknie?..

— Kneziów nie! — zaczął Wojsław — a no... ludzi... Dawne męztwo wytepiły te Piasty... porobili z nas niewolników... serc nie ma... trwoga we wszystkich... pójdą gdzie im każą, zrobią co im powiedzą, choćby na ojców rodzonych!..

— Nieprawda! — zawołał Warga poruszając się za stołem — źle ty sądzisz o narodzie... jeszcze on nie cały w pętach i kagańcach... jeszcze po lasach stary obyczaj i stara swoboda... miry wiecują jak dawniej i pędzić się nie dadzą jak trzody...

Poczęli tedy rozprawiać o swój doli i o tém, co groziło, Luboń tylko najmniej się odzywał. Noc ich tak zaszła, aż Warga wstał z za stoła.

— Noc ciemna, ale ja drogi znam... nocą wam i mnie najlepiej iść... chodźmy ztąd... nocleg sobie znajdziemy... Ruszyli się więc oba, gdy Luboń im u drzwi drogę zaszedł.

— Znacie starego Lubonia — rzekł — ja z wami! Nie zważajcie na to, że mnie Mieszko zechce ciągnąć ku sobie, że mu się pokłonię... Trzeba będzie dłoni do roboty, ja i moi ludzie z wami będą...

I dłoń podał Wojsławowi.

— Syna miej na oku! — mruknął wychodzący.

— Nie bójcie się... bezpiecznym o niego...

Wywiódł ich w podwórze, do wrót, siadł na koń Wojsław, Warga poszedł przodując, i znikli oba w ciemnościach.

## XI.

Gdy z pola znikły kopy i żniwa zostały skończone, obchodzono zwykle uroczystość jesienną, weseląc się i dziękując bogom, a składając im obiady. Nie było na to oznaczonego dnia, a w każdym mirze i osadzie, po dworach dobierano sobie wedle upodobania i możliwości, porę do obchodu wesołego, gdy dostatek zawitał do chaty. Warzono piwa, sycono miody, młodzież często przy tej zręczności wypatrywała sobie dziewczęta, bo i wesela zwykle na jesieni się odprawiały, gdy roboty pilnej około roli nie było, a zasiew też został skończony. Obyczaj ten i na kneziowskim dworze zachowywano, sprawiając pod ten czas dla czeladzi i młodzieży ucztę połączoną z wróżbami przy kontynie i obiatami bogom.

I w tym też roku, wcześniej niż zwykle. Mieszko, który po sobie nic poznać nie dawał, co zamyślał, choć po całej już ziemi mówiono o przyszłych jego zaślubinach, przez Sydbóra i dietskich swych, wcześniej zwoływał na dwór starszyznę z ziemian znacniejszych.

Nie było we zwyczajach na to święto ją powoływać, lecz Mieszko zapowiedział, że na niemców i przeciw margrafowi Geronowi może ciągnąć przyjdzie, więcby rad ze starszyzną o tém pomógł. Dzień naznaczono przed pełnią i komorników rozesłano po dworach, po kmieciach i Leszkach co możniejszych, aby na gród nad Cybinę ciągnęli.

Zwołano co przedniejszych z Jaksów, Leliwów, Porajów, Grzymałów, Godziembów, Kaniów i innych starych

rodów.

Na grodzie od przybycia Mieszka z Pragi, nie wiele się lub nic prawie nie zmieniło. Nie odprawił kneź żon swoich, owszem siódmą sobie wziął jeszcze, dla niepoznaki i Lilja ustąpić musiała ślicznej Lubaszce, córce zamożnego kmiecia, ledwie wyszłej z dzieciństwa, rozkwitłej jak na pół otwarty pączek różany. Stogniewa miejsce zajmował Dobrosław, dużo się jakichś obcych ludzi płałało po dworze, ale w pocztach straży i w wojsku nie zmieniło się nic — kneź jeszcze dla swoich wojaków szczerzejszym był i widocznie ich sobie jedna. Parę razy zajrzał do kontyny i pogadał ze stróżami przy niej siedzącymi. Obiady do chramu, jak zdawna było, posyłało ze dworu, po obyczaju odwiecznym. To też ci co z nich korzystali, nie dozwolali mówić ani posadzać Mieszka, ażeby miał wiarę odmienić. Lecz były też oznaki inne, mniej widoczne, że się coś knuło po cichu. — Z Czech kilku ludzi jakichś niewojennego rzemiosła na dwór przybyło i siadło. Ci często do knezia się przekradali.

Nim na owe Dożynki zwołano starszyzną, Mieszko czy z naprawy Dobrosława czy sam, jednego dnia o Własta się upomniał i wysłał za nim do Krasnejgóry.

Trzymano go ciągle w jamie, ale o tém w domu nie wolno było mówić, przed obcemi Luboń kłamał, że syna osadził z młodą żoną, na ziemi którą miał w lasach, o mil dziesiątek. Gdy komornik przybył od Mieszka, upominając się o Własta, stary mu też odparł, że syn gospodarzy na nowosiedlinach i że go ściągnąć nie łatwo. Namyslił się jednak po daniu téj odpowiedzi i przybrawszy się zaraz sam z komornikiem na dwór pański pojechał.

Gdy przybywszy pokornie do nóg się kłaniał Mieszkowi chytry starzec — spytał go wnet kneź:

— A Włast wasz kędy?

Stał przy tém Dobrosław i słuchał.

— Miłościwy panie — odezwał się Luboń, nie dobrze udając wesołego, Włastam ożenił i na gospodarstwo wyprawił, bom stary i pomocy potrzebuje.

Mieszko zdumiał się bardzo i popatrzał na Dobrosława, który znać musiał wprzód opowiedzieć o powołaniu jego i kapłaństwie. Wprawdzie naówczas żenienie się duchownym wzbrownionem nie było, ale Włast wdział był suknię mniszą, o czém Dobrosław wiedział dobrze, a zakony zawsze ślubowały beżeństwo.

Zdumienie na chwilę usta zamknęło wszystkim. Luboń poczuł, że mu nie bardzo wierzą.

— Miłościwy panie — rzekł — przed wami nie godzi się nic ukrywać. Syn mi powrócił przez niemców zepsuty i na ich przeklętą wiarę przeciagnięty — nie chciał ani żony, ani gospodarstwa. Lecz zmusiłem go, aby mi był posłuszny, a dałem młodą śliczną, przy której zapomni o czém inném.

— I ożeniliście go? — podchwycił Dobrosław widocznie zdumiony razem i przelękły, ożenił się dobrowolnie?

— Trochę mi się opierał — odezwał się Luboń — ale przeciem ojciec i mam władzę, zresztą niewiastka go do rozumu przywiedzie. Stary się rozśmiał dziwnie —

Dobrosław zmilczał, Mieszko też nie odezwał się zaraz — ale chmurno na starego Lubonia popatrzał.

— Dawnoż się to stało? — spytał.

— Zaraz po powrocie, gdyście go miłościwy panie odesłali do mnie. Nie dałem mu długo się rozmyślać.

Mieszko który zwykle dla Lubonia był łaskaw bardzo, tym razem nie okazał mu wcale życzliwości swój, posepnie zbył go kilką słowy — i odprawił.

Co kneź myślał, z tego się nikomu nie zwykł był zwierzzać, ale Dobrosław, któremu się zdało, że na wiarę i gorliwość Własta mógł rachować, rażony był, zasmucony razem i przybity. Nie mógł pojąć, by pobożny młodzian, co zdawał się na męczeństwo gotowym, tak łatwo uległ pokusie.

Chciałby go być zobaczyć — lecz na to nie widział sposobu.

Mieszko, który chciał starego Lubonia wraz z innymi na zjazd do grodu wezwać, po krótkiej rozmowie z nim, nie rzekł mu już nic. Luboń, wiedząc że innych powołano, poczuł to mocno, lecz zmilczał i do domu odjechał.

Dzień naznaczony do zjazdu nadszedł wreszcie. W wigilją już Sydbór był z ludźmi swemi na grodzie i wojska zebrano dosyć. Przygotowania na przyjęcie kilkudziesięciu znaczniejszych kmieciów, Leszków, władyków, ziemian, wcześniej były uczynione. Umiał Mieszko przyjmować po królewsku i pokazać moc swoją. Dnia tego od rana podwórce, miasteczko, pole pod wałami pełne było pocztów Sydbóra i innych dowódców. Ludu liczone na kilka tysięcy, jakby się na wyprawę zbierano. Dla tych woły zarzynano i pieczono, i kadzie z piwem stały od rana.

Na kneziowskim dworze występowało też jakby najdostojniejszych spodziewano się gości. Izba wielka na dole przyrządzona była na przyjęcie wspaniale, wszystkie ławy sukniem szkarłatnym pookrywane, na stołach dzbany srebrne, na ścianach zbroje i tarcze odpolerowane świeżo. Zapach smółki rozchodził się wszędzie. W podwórku pieczono zwierzyne i barany, niewiasty warzyły kasze różne z miodem i mlekiem, beczki z napojami stały pogotowiu, by z nich stągwie napełniać było łatwo. Sam kneź od rana suknie włożył paradne i miecz przypasał złocisty, a czapkę wdział czarnym połyskującą włosem z północy przywiezionego zwierzęcia, za którą dał niewolnika. Twarz też na ten dzień rad był włożyć wesołą, ale mimo starania, marszczki na niej widać było. Zawsze się panowie ściągać poczeli, z pocztami piękniemi, bo każdy był rad przed kneziem wystąpić możnie i schludnie.

Więc Jaksy, Kaniowy, Grzymałowice, Rolici, Godziembowie, każdy w kilkanaście lub kilkadziesiąt koni, kołpaki piękne, suknie zawiesziste, miecze kowane, na niektórych zbroje niemieckie, stawili się u progów dworu, gdzie ich dwór i służba witała, a do izby wiodła. Kneź siedział na podwyższeniu i łaskawie wszystkich przyjmował twarzą, jak mógł wesołą.

A był to pan, który gdy chciał umiał się srogim, ale i łaskawym okazać, więc dnia tego z kolei witając ziemiany, każdego wiedział o co spytać, czém mu pochlebic,

aby dobrej myśli był. Tuż też cześnicy stali i stolnik, z kubkami i dzbany, a na stole jadło dymiło. Sadzał kneź podle i wesoło rozmawiał. Gdy około południa zjechali się wszyscy wezwani, izba niemal była pełną i panował w niej gwar a ochota wielka. Miód coraz rozwiązywał języki.

I Dobrosław i brat pański Sydbór i inna mnoga starszyzna, urzędnicy dworscy nalewali a przymuszali pić i jeść, bo taki był zawsze obyczaj gościnności słowiańskiej, iż przymusem ujmowano wstrzemięźliwych przez grzeczność gości.

Gdy więc tu zawzięto się mocno na ochotę i wesele, Mieszko wstał, jako dobry pan mięszając się między swych ziemian. Czy z umysłu, czy trafunkiem, kilku do siebie najstarszych ściągnawszy, o wojnie począł mówić naprzód, i rozmawiając z nimi wywiódł ich do bliższej komory, której okna w podwórze wychodziły.

Tu też ławy były do koła i stolica dla knezia. Sama się jakoś zebrała starszyzna, sędziwe głowy, dwóch braci Jaksów, Czarny i Biały, Rolita z obcięta ręką bez palców, bo mu je w potyczce Niemiec odsiekł, Kaniowczyk, którego zwano Leszczycem, Grzymała Laskonogi i Godziemba zwan Krzywoogębą, choć pod wąsami mu nic widać nie było. Byli to najmożniejsi Leszkowie i kmiecie polańscy.

— Wojnie końca nie ma — mówił kneź do nich — Niemcy się zmagają, z Czechami przymierze uczynili, Ugrów przepędzili do ich łożysk, teraz nam całą siłą na karki siedą.

— Słyszeliśmy, miłościwy panie — odezwał się Jakso Czarny — żeście do czeskich kneziów jeździli — azaliż i my z nimi pokoju mieć nie będziemy?

Milczenie się stało wielkie.

— Byłby pokój i przymierze — odezwał się głos niższy Mieszko — ale cóż? Chrześcianami są i z nami trzymać nie mogą.

Wszyscy posępnie usta zamknęli.

— Dziś, czy jutro — odezwał się wolno, cedząc wyrazy kneź — nowa wiara wnijdzie i do nas. Weszła ona już, wchodzi codzień, opierać się jęć trudno — pokój by nam przyniosła.

— Przebaczenie miłościwy knezi — począł Krzywoogęba, z dalekiego końca, na którym usiadł, przebaczenie. Pokój by może ona przyniosła od margrafów, gdybyśmy im nogami dali się deptać, ale doma by nie było pokoju. Nasze serca przyrosły do bogów naszych i obyczaju, lud prosty i władcy zarówno, jedno wierzą i trzymają. — Gdyby starszyzna poszła w jedną, a lud w drugą stronę, mielibyśmy wojnę nie tylko w domu, ale w izbie i na ławie i na posłaniu naszym.

Szmer cichy zdawał się potwierdzać te słowa.

— A nie także samo było w Czechach, gdy ratując się, wiarę nową przyjmowali? — rzekł Mieszko. — Dziś przecie już nie czuć i nie widać tam, aby się kto burzył i opierał. Ludowi po lasach zostawić trzeba czas, a starszym poczynać, od nich poszło tam coraz głębiej, i... Spojrzał Mieszko po starszyźnie zaszepionej mocno i posmutniał.

— Nikomu, dodał zmieniając mowę, nie wesoło się ze skóry odzierać, rozstawać z tém, co ojcom i dziadom służyło, ale nóż na gardle mamy. Niemcy coraz głębiej idą i zawojują nasze ziemie. Od ujścia Łaby po Odrę, wszystko to nasze, codzień kawałek wydrą nam, jakby żywego mięsa, damyż sobie najlepsze ziemie i lud zabierać? Po dobrej woli nie poddali się Lutyki, Obodryty, Wilki, Pomorcy, to im chramy popalono i połamano i poszli w niewolę.

— Bić się trzeba! bić się, wtrącił Laskonogi, bić dzień i noc, napadać i mścić.

— Siła stokroć od naszej większa, nie zmożemy ich — przerwał Mieszko — a i swoi z nimi idą. Co począć?

Na to pytanie długo nie było odpowiedzi, Jakso Biały który dotąd milczał, ruszył się, po nad głowę rękę podnosząc.

— Siedzę od serbskiej granicy — odezwał się — patrzę na niemieckie roboty, zdrajcą nie byłem i nie będę — ale Niemca złego nie zmożemy siłą ino chytrą. Ściga nas jako pogan, udajmy że Chrześcianami być chcemy, abyśmy wypoczęli i stali z nim na równi. Nie ma co czynić, ino to, nie ma co poczynać tylko Czech chytrego naśladować. Wówczas wilk ten krwi naszej chciwy Gero i Wigmany i wszystkie złe duchy ich, odstąpić będą musieli, przymierze uczynić aby ich w nie jak w matnię zaplątać...

Śmiało i żywo to wypowiedziawszy, spuścił głowę Biały i zamilkł... Mieszko po kolanach swych dłońmi uderzył...

— Jakso mój — zawołał — złote mówisz słowa... Złote słowa twoje!

Rozumu się u ludzi i z cudzego doświadczenia uczyć trzeba... Nie wszystko żelazo robi i siła... chytry zwycięża... a Obry pijane od Krasnopanków giną!

Inni coś mruzczyli, ale nie oburzając się.

— Jedno powiem wam — odezwał się Mieszko — choć mnie o słowo trudno, języka nie mam jako drudzy — jedno rzeknę — co bądź poczynać będę, co zrobię i gdzie pójdę niechaj was serce nie boli — nie gwoli złemu uczynię — ale gwoli temu, aby nam i plemieniowi było dobrze... Szerokie ziemie nam należą... Czech? Czech nam Chrobaty wziął, Czech nam Szlązko zajął... hen! dalej po Wisłę, za Wisłę, nasz to język, ziemia nasza, po morze do Łaby... za Odrę... wszystko to nasze... wszystko weźmiemy rozumem wprzód ważąc, a potem miecza i krwi nie żałując...

Cesarz na zachodzie... na wschodzie my być powinni Cesarstwem. Nie ja — syn — wnuk może... ale to musi być!! to będzie.

Wstał mówiąc — słowa zdawały mu się mimowoli rwać z ust, aż nagle, jakby się opamiętał, że za dużo rzekł, zamilkł.

Jakso Biały a za nim drudzy wstali z ław, ręce popodnosili do góry i — mimowoli wyrwało się im z ust...

— Tak będzie! tak będzie!!

I Jakso dodał — Miłościwy panie! nie pytaj — czyń! — Tyś pan, tyś Kneź<sup>[15]</sup>, masz siłę, masz wolę — niech gawiedz mruczy! ty idź i czyń...

— Idźcież ze mną i za mną!

Uderzył się w piersi.

— Pójdziemy! zawołali głośno wszyscy...

We drzwiach komory na okrzyk ten zjawilo się kilku z pierwszej izby, ci niewiedząc nawet dlaczego wołano i co chciano, okrzyk powtórzyli w progu, od progu dostał się za stół... Powstawali ziemianie wołając... Mieszko żyw i zdrów niech będzie! na długie lata! na długie lata...

Czarne oczy knezia zapalały, stał drżący jakimś zapałem, odwagą, nadzieją — trwało to chwilę — pokłonił się ręką od ust dziękując — i siadł...

Tak krótka ale stanowcza skończyła się narada, nastąpiło ucztowanie...

Znowu Stolnicy i Cześnicy szli nalewać i zachęcać — i, mimo przytomności knezia, wrzawa i śmiechy rozległy się w izbie. Toż samo działo się w dziedzińcu, i na całym grodzie. Młodzież biegła z oszczepami, ścigała się końmi, pasowała na gołe dłonie... Strzelała z luków i rzucała kamienie... Podochoceni wojacy, komornicy, dwór, pacholki, dokazywali pod oczyma starszyny, która też podweselona, nie myślała powszechnego zakłócać wesela...

Około gaju świętego dopiero panowała cisza i spokój, bo do tego nikt się zbliżyć nie śmiał. Na skraju jego pod drzewy widać było kilku starców stojących gromadą w milczeniu, i zdala przyglądających się ciekawie temu co około dworu się działo. Zwykła straż chodziła u ścian kontyny... W progu jej siedział znajomy nam Warga z rozwianą brodą na ręku podparty, słuchając dolatujących doń okrzyków i dumał. Kilku podobnych mu dziadów z białymi kijami przechadzało się po gaju.

Warga zdawał się tu czekać na kogoś. Obracał się czasem ku dworowi napróżno, podglądał pod gałęzie... nikt nie przychodził...

Nad wieczór, goście się zwolna rozjeżdżać zaczęli, ludzie znużeni kładli się po szopach, na grodzie uspokajało się, kiedy niekiedy tylko okrzyk lub śmiech doleciał z daleka... Zmierzchało już gdy około gaju ukazał się niepewnym krokiem, bojaźliwie krążący człowieczek, niepocześnie odziany. Poznać w nim jednak było można kogoś ze sług mniejszych dworu, tego dnia w barwę jednostajną przybranych... Ostrożnie wsunął się między drzewa, obejrzał i podbiegł ku kontynie... Na widok jego Warga wstał z progu, zbliżył się doń, odciągnął w drugą stronę, i u pnia starego dębu się zatrzymał.

— Słyszałeś co? mów? rzekł.

— Wszyscy ziemianie z nim zajedno trzymają, odezwał się zadychany sługa. Co tylko zechce, to zrobi...

— Kto był? licz? spytał Warga pochylając się ku małemu człowiekowi, aby odpowiedź lepiej usłyszeć.

Sługa wyliczać począł, przypominając sobie, pomagając na palcach i powtarzając...

Warga pytał pomagając mu... odbierając to przeczące, to potwierdzające odpowiedzi; lecz gdy przyszło do powtórzenia tego co mówiono i nad czym obradowano... sługa nie umiał zdać sprawy z podsłuchów. Jedno wiedział na pewno, iż Mieszkowi wszyscy posłuszeństwo ślepe ślubowali. Warga głowę na piersi spuścił, na kiju

się sparł i milczał... Ręką odprowadził sługę i przywołał nazad...

— Był Luboń? spytał.

— Nie było go... Parę dni temu słano za nim — Kneź<sup>[16]</sup> mówił krótko i odprowadził.

Odszedł nareście donosiciel, a Warga podniósłszy opone, wsunął się do ciemnej kontyny... Na ławie u wnijścia siedziało dwóch na pozór uspijonych ludzi. Spozrzegłszy Wargę, ruszyli się.

— Teraz idźcie — rzekł — wiecie dokąd i po których dworach... nie zapomnijcie o Luboniu... pojutrze na uroczysku Lelowém... jak świt...

— Pojutrze na uroczysku Lelowém jak świt! powtórzyli machinalnie dwaj starzy... a Warga jeszcze raz toż samo im wtórował.

— Pojutrze na uroczysku Lelowém jak świt...

Podniosła się opona świątyni ostrożnie, Warga wyszedł oglądając się, a za nim dwaj jego posłowie... Każdy w inną kierując się stronę...

Uroczysko Lelowe, położone było wśród lasów, na pół drogi do Gniezna... Odwieczny dąb spruchniały, omszony, przyschły już, zajmował środek łąki, która wierzch wzgórza okrywała, niską a gęstą trawą leśną porosła... Tu i owdzie jakby kołem, wsiadłe w ziemię leżały głazy szare, opasując go wieńcem... Niektóre z nich ukryły się już prawie w niej, inne sterczały jeszcze nad powierzchnią. Pomiędzy nimi a olbrzymim dębem mnóstwo glinianych małych miseczek stało w nieładzie, przypruszonych gałęzmi, poprzysypywanych ziemią. Między nimi gdzie niegdzie wywrócony dzbanuszek leżał i potłuczone małe bliźniaki...

Z jednej strony popiół zgasłego ogniska szerokiemi kołami znaczył miejsce w którym spoczywano. Na dębie wisały płachty deszczem wymyte, zczerniałe od wilgoci... Okrywały one część pnia i gałęzi... Te które wiatr pozrzucał walały się na ziemi. Sam dąb miał, rzecz można jakąś postawę własną, która go od innych różniła... Niezmierniej grubości od dołu, okryty szczyrbami i garbami, dziwacznie poorany spływającą wodą i piorunami co weń biły, podnosił się do góry jakby w męczarniach wijąc i dzieląc na kilka potwornie grubych konarów... Te także nie rosły prosto i bujno, i one łamały się dziwnie to strzelając do góry, to spadając ku dołowi, to podnosząc znowu zwycięzko... niby pasując z jakąś niewidzialną siłą. Całe drzewo zdawało wiekami wyrosłe w niewysłowionych, powolnych, tajemnych męczarniach... Czyniło ono wrażenie potęgi wiekowej stworzonej na walkę, zwyciężkiej, lecz noszącej na sobie widome znamiona, przeżytych bojów i męki... Majestatycznie dalej dźwigały się wysoko po nad stary las gałęzie, jedne zielone i gęsto liśćmi okryte, drugie obnażone, strupieszale, zjedzone przez mchy, rozpadające się próchnem... Spojrzawszy na tego milczącego, nieruchomego wkućto w ziemię szeroko, jak szponami niezmiernymi olbrzymia, mimowolnie przejmowało poszanowanie jakieś i groza. Był on świadkiem tysiącletnich może dziejów, burz, ciszy... przemian na ziemi... Cały świat swój miał stary pan puszczy, z jego soków

żywiły się mchy, na ich trupach rosły trawy, w dziuplach kwitły leśne kwiatki schronione od zimna i słoty. Grzyby i pleśnie ssały mu nogi, na jednej gałęzi wił się chmiel dziki oplatając ją z rozpaczliwą jakąś chciwością. Wyżej pomiędzy gałęziami słały gniazda ptaki w wiecznym boju z sobą. Na każdej z nich tulił się inny lasu mieszkaniec... Dąb, jak uroczysko, zwał się Lelowym dębem. Miejsce było poświęcone, tajemne, cudowne, tu szli chorzy zawieszając chusty, z którymi zdejmowali bole swoje, niewiasty, prosząc Lela o potomstwo, chciwi wróżby, przemiany pociechy...

O brzasku trzeciego dnia, jeszcze dąb okryty był poranną rosą jesienną, lśniącą jakby już mróz niosła z sobą, gdy z głębi lasu przywłókł się pierwszy Warga. Obejrzał się dokoła, rozszuchał i siadł na jednym z kamieni. W lesie słychać było dzięcioła, który kuł drzewo i zdala krakanie wron ulatujących nad lasem.

Głos ich nieprzyjemnie rozbudził starca, któremu się usta krzywiły; podniósł głowę, po nad nią leciało stado czarne zniżając się, jakby chciało usiąść na starym dębnie, zakreśliło się nad nim i puściło dalej krzycząc długo.

Z krzewów wyszedł stary Luboń, odziany w prostą sukmanę, z twarzą posepną. Pozdrowili się pocichu. Nim mieli czas zacząć rozmowę, ze wszech stron zjawiać się zaczęli, jakby z ziemi wyrastający starzy ludzie, w tak prostej odzieży ubogiej jak oni.

Szli milczący i stawali kołem u kamieni pod dębem, na swych kijach pospierani. Luboń ich naliczył wkrótce kilkunasu. Starsi zaczęli siadać na ziemi, niektórzy z zanadru wyjąwszy mieszki, przed sobą je stawili. Milczenie panowało uroczyste. Na wszystkich tych powiedłych twarzach jeden wyraz smutku i gniewu się piętnował.

Gdy starcy zajmowali miejsca obok Wargi, innych kilku butniejszych twarzy, choć odzianych w sukmany, przysunęło się do Lubonia. Widocznym już było, że z dwu jakichś żywiołów miało się składać to zebranie.

Dzień był mglisty, ale słońce zaczynało z za gęstych opon wyzierać, promień jego zaświecił na górnych dębu gałęziach. Wietrzyk je poruszył i drzewo jakby obudzone zaszumiało poważnie. Nie drgnęła jednak żadna z jego gałęzi, liście tylko drżały i kołysały się. Kilka ptaków wypędzonych z gniazd uleciało w powietrze.

W tém siedzący za dębem starcy pieśń cichą nucić zaczęli. Wyrazy jęj nie dochodziły do uszów tych, co stali na przedzie, nuta była tęskna, żalosa, a głosy szły jakby z piersi rozbitych, ponure i stłumione. Po każdej zwrotce pojedynczy głos powtarzał coś o Lelu i zdawał wzywać bóstwa pomocy.

Warga nie śpiewał, słuchał zadumany, czoło marszczył. Śpiew też trwał bardzo krótko i obumarł z ostatnim wykrzyknikiem. Westchnienia słychać tylko było. Około Lubonia gromadzili się ziemianie, za niemi kołem stali i siedzieli wróżbici, gęślarze i ludzie od kontyn i chramów; jedni spoglądali na drugich, jakby się pytali: Co począć? — W tém z gąszczy Wojsław się zjawił, spojrzął na zgromadzonych i wystąpił przed nich.

— Co będziecie czynili? — spytał półgłosem. — Na

naszą starą wiarę idzie zguba z góry... wytepią ją... Żadna się kontyna nie ostanie... żaden kamień święty... żadnej uroczystości postaremu obchodzić nie będzie wolno... żadnemu gęślarzowi śpiewać, żadnemu staremu powróżyć, popędzą nas jak bydło w niewolę... Co czynić! co czynić!..

Warga nań patrzył.

— Jak jeden człowiek może tyła narodu zmusić? — zapytał. — Jak nagniem karku, jarzmo włożą...

— Nie jeden — odparł Wojsław — jest ich wielu... a broń mają w rękę i siłę... porywać się na nich? wyginemy i z nami wiara nasza.

— Głupi się tylko rwie, gdy nie pora — odezwał się Warga. — Milczeć trzeba, przypaść, czekać... Znajdzie się chwila, gdy albo knezie się z sobą zajedzą, albo wróg ich przydusi... Czekać trzeba!..

— A tymczasem kontyny wywróca! — rzekł Wojsław.

— Albo drzewa nie ma, by drugie wystawić? — począł Warga — niech lepiej ściany giną niż ludzie. Przyjdzie pora, gdy będzie siła... Pójdziemy w lasy na uroczyska, będziemy po nocach obchodzili święta i ofiary składali... Puszczę nas nie zdradzą... Czekać trzeba...

— Inaczej mówiliście niedawno... — odezwał się Luboń. — Bom nie wiedział co się dzieje... Kneź ma dużo zbrojnego ludu... Czechy mu w pomoc przyjdą, ba i niemcy... na co ma się krew przelewać, kiedy wiarę potajemnie chować można!..

Wojsław ręką zamachnął w powietru<sup>[17]</sup>.

— Tak tchórze gadają — rzekł — ulegniemy dziś, jutro nie pora będzie... Za rok, za dwa w każdej chacie się znajdzie chrześcianin... Dostyc ich jest i tak... ale dziś oni się tają przed nami, jutro my będziemy musieli przed niemi... Zguba i zatracenie...

Warga wstał z ziemi z oczyma zaognionemi.

— Wyście mnie nazwali tchórzem, a ja was nazwę gębaczem... — rzekł. — Słowa nie kupić... a o ręce trudno...

— A po osadach, po chałupach, po dworach nie możecie iść i ludzi ścigać? — zawołał Wojsław — nie możecie zebrać tysięcy i z niemi wprost na gród iść a śmiało rzec: nie chcemy nowej wiary! nie chcemy odstać od ojców i obyczaju!..

— Pójdziecie z nami? — spytał Warga.

— O jednego człowieka nie idzie — przerwał Wojsław — jak tysiące będą, znajdę się i ja...

Starzy poglądali po sobie.

Odezwał się któryś mrukliwie.

— Nie te to czasy, gdy na wiece ojcowie zwotywali i ogniste palono wici! Popatrzcie u chramów, mało kto idzie, mało kto pyta... Nowa wiara ciśnie się wszędzie, a my ze starą... w puszcze i lasy chyba!..

— Wojaki kneziowskie żadnej wiary nie mają — wtrącił inny. — Na święto idą dla piwa, dla miodu i dziewcząt, a żaden stariej pieśni nie umie!

— Nie, nie... — przerwał drugi — nie Drohoto, nie! Wy koło grodów się kręcicie i nad granicą, gdzie śmiecie splywa... Pójdźcie w lasy, w głąb, hen, dalej, za Wartą ku Wiśle... tam nasze Bogi stoją całe i lud czołem im



bije, ofiary niesie, pieśni nie zabył, obyczaj chowa... A trzeba będzie stać zań, pójdzie wszystek...

Rozśmiał się Drohota i niedowierzająco ramionami ruszył Wargę. Pomiedzy starcami jedni trzymali z niemi, drudzy z Czarnym Buranem.

Wojśław podniósł głos.

— Niech ino kneź zobaczy, że lud stoi przy swych Bogach, niech głos posłyszycie, nie będzie śmiał...

— Co, nie będzie śmiał? — przerwał Wargę — silniejszy on od was i chytrzejszy... Inna moja rada... zmilczcie i ugiąć się... a wiernie swego trzymać i czekać... przyjdzie pora. Albo to czas teraz?

— A kiedy będzie czas? — zapytał Wojśław.

— Gdy my wam powiemy!.. — odezwał się Wargę.

— Co wy znacie dworacy? co wy wiecie Wojśławie? Schowaliście się na dworze, nie znacie narodu. Mocny on może być, gdy przecierpi, gdy zboleje, gdy mu do serca ściagną dłoń. Dziś my jój jeszcze nie poczuli... darmo wołać... Zbierze się kupa pijanych, zahuczy, rozpędzą ją i strach padnie na wieki na wszystkich... Tegoby jemu trzeba, żeby mocniejszym się stał, ale my tego uczynić nie damy!..

Drohota powtórzył.

— Nie damy!..

Inni starcy nie sprzeciwiając się zamilki<sup>[18]</sup>, Wargę widocznie ich zmógł i przekonał.

— Wywrócą kontyny? jest w lasach miejsca dosyć! Każą się kłaniać nowemu Bogu? pokłonim się... Było ich dosyć... jeden więcej?.. Dlatego naszych starych nie opuścimy... Nasza doła czaić się, cierpieć i czekać... przyjdzie nasz czas, przyjdzie nasza godzina... wybiją na wojnie starszyznę, dwory zostaną puste...

Wargę nie dokończył. Luboń ze swemi poglądali po sobie nie mówiąc nic.

— Po cóż nas i wołać było? — odezwał się gniewnie Wojśław — nie mamy tu czego słuchać. Że cierpieć trzeba, tośmy wiedzieli i bez was...

Uśmiechnął się Wargę.

— Jeszcze my się bojemy stracha, co nie przyszedł... nie trzeba go uprzedzać, zobaczymy, gdy on się zjawi... zobaczymy. A zebrać się i radzić było trzeba, bo niech tu dziś wiedzą, że groza idzie i od zimy nagotują kozuchy... Po tośmy się zesłali...

Usiadł stary na swoim kamieniu, a inni mrużeniem dawali poznać, że z nim trzymali.

W tém Czarny Buran podniósł rękę i rzekł.

— Ja jedno powiem... O kim wiadomo nam, że chrześcianinem jest, choć tajnie... zabić go... pójdzie groza po drugich... Niech jeden ginie, aby my nie poginęli wszyscy...

— Dwory im podpalić! — dodał inny — Dobrosława naprzód...

— A Ligoń? i ten nie lepszy...

— A Zreba?..

Inni wymieniać poczęli różne nazwiska. Wargę się nie przeciwiał i milczał.

— Czyńcie z tém jak chcecie! — dodał obojętnie.

Niektórzy starcy uśmiechali się już jakby im ta zemsta

smakowała. Luboń zbladł wspomniawszy na syna i milczał.

Gwar się wszczął między gromadą i rzucanie słowami bezładne, gdy dziwnie zaszumiała dąbrowa i zdawało się jakby łomot gałęzi, a konia chód. Wszyscy zamilkli przysłuchując się, chociaż myśleli, iż spóźniony może jeden z ziemian przybywa. Wojśław stał za Luboniem wpatrując się w tę stronę lasu, z której szedł głos, przechylił się ku ziemi, aby po pod gałęziami dojrzeć coś lepij i nagle, jakby przerażony, skuliwszy się w pół, rzucił w krzaki. Ucieczka ta przstraszyła i drugich, ale uchodzić nie była pora, bo za starym Lelem już konia i jeźdźca widać było.

Luboń, który stał na widoku, pierwszy zobaczył i poznał Mieszka.

Kneź jechał sam jeden, z twarzą dumną i spokojną; ubrany jak do łowów, z rogami na sznurze uwieszonym przez ramię, z sulicą w rękę, łukiem na plecach.

Zobaczywszy starców i ziemian zebranych u dębu, nie okazał wcale zdumienia, konia trochę strzymał, stał i patrzył.

Wróżbici i geślarze osłupieli z trwogi i przerażenia. Niektórzy z ziemian cofali się w las, inni stali jak w ziemię wryci. Ze starych niektórzy, nawykli do poszanowania, zwolna podnosić się zaczęli.

Mieszko stał i oczyma mierzył wszystkich, dostrzegł zdawało Lubonia, poznawał i innych wróżbitów, których przy grodzie widywał. Po chwili namysłu, zwolna z konia zsiadł, wziął cugle i do oniemiałych zbliżył się z twarzą wcale niegniewną, ze wzrokiem jasnym. Ci, ku którym podchodził, zapomniawszy o odgrózkach, chylili mu się do kolan i pokłony bili.

— Cóż to za wiec u was, geślarze? — zapytał — i czemuście się to tak głęboko w lasy z nim skryli?.. albo to gajów świętych nie ma przy chramach?

— Miłościwy panie — odezwał się chytrzejszy od innych Wargę, nisko się kłaniając — u nas to obyczaj stary, u dębu za urodzaje Bogom dziękować i wróżyć, co zboże da i co zima przyniesie. My tu na tém uroczysku schodzili się co roku...

— A no! wróćcie i śpiewajcie... niech i ja posłucham a popatrzę, a z mądrości się waszję co nauczę... — rzekł Mieszko spokojnie rozglądając się po starcach.

I słowa te kończąc obejrzał się aby sięść. Kłoda omszona leżała poza kołem wróżbitów, przysiadł na niej. Milczenie panowało między staremi. Wargę, który się tak zrzęcznie wytłumaczył, szepnął Drohocie.

— Wróćcie...

— No... co nam ta zima obiecuje? — rzekł kneź — mówcie...

Drohota zawezwany, musiał wedle zwyczaju postąpić; przywołał Wargę i Burana, usiedli na ziemi i końcami kijów swych białych w milczeniu ziemię odgartywać zaczęli, szukając jakieby w niej znalazły się znaki.

Ziemia leśna, wilgotna, nie miała w sobie nic zrazu, oprócz przegniłych liści. Drohota kopał głębiej i dobył — kostkę jakiegoś zwierzęcia.

Wargę, on i wszyscy głowami potrzęśli znacząco.

— Kość... — rzekł Drahota — kość znaczy śmierć i zczehnięcie.

— Komu? — zapytał kneź.

Milczeli obracając głowami. Drahota począł kopać dalej; dobyli węgla kawałek. Węgiel znaczy stos i zgliszcz — śmierć!

— Śmierć! — rzekł Warga.

— Komu? — powtórzył Mieszko.

Mówić nie śmieli, poglądali po sobie.

— Śmierć wrogom naszym! niemcowi!.. — zawołał kneź.

Warga pokręciwszy głową, począł grzebać głębiej jeszcze... czarny robak okazał się wśród poruszonej ziemi i zwolna w szczelinę jęj wsunawszy zniknął.

— Wróżcie śmiało! — odezwał się Mieszko — jeśli znacie przyszłość.

— Śmierć i zniszczenie złemu — począł Warga.

— Wrogowi — szepnął Mieszko.

— I tym, co z wrogiem trzymać będą — rzekł Buran ponuro. — Robak co pełnie znaczy nieprzyjaciela co się skrada... Uszedł nam w jamę, zły to znak.

Warga grzebał kijem po swęj stronie.

— Wróżcie — odezwał się wśród milczenia Mieszko — wkrótce nam na Wigmana iść będzie trzeba, przeciw Geronowi... dobrze wiedzieć, co nas czeka...

— Rzućmy losy! — rzekł Drahota.

— Rzućcie — potwierdził wstając i zbliżając się Mieszko.

Drahota z torby dobył siedem kawałków drzewa, rozłupanych na poły, tak że wierzchnia ich część czarną korą była okryta, a wewnętrzna biała, zebrał je w garść, począł coś mruzczyć i cisnął na ziemię.

Wszyscy się pochylili spoglądając ciekawie, drzewo padło tak, że sześć kawałków czarnych było, a jeden tylko biały.

Milczeli starcy.

— Czarno nam jutro wróży!.. — odezwał się Warga.

— Rzucimy raz drugi — zawołał Drahota, zbierając patyki po ziemi i wznosząc je powtórę z szeptem jakimś i zaklęciem.

W milczeniu oczy wszystkich się zwróciły na padające drzewa, wszystkie czarnym bokiem leżały...

Spojrzeni po sobie starcy i nic nie rzekli, Drahota na trzecią i poślednią wróżbę zbierał kawałki.

Mieszko stojąc z twarzą spokojną, spoglądał na nich z góry.

Po raz ostatni ciśnięte patyki tak jak pierwszym razem, ledwie jednym białym upadły.

— Czarne jutro nasze! czarne! miłościwy panie... — westchnął Drahota.

— Czarne... — wtórował Warga.

— Czarne!.. — chórem szepłali wszyscy — trzeba ofiary Bogom nieść, aby odwrócili gniew i groźbę... Krwi Bogowie pragną!..

— Pójdziemy jęj niemcom utoczyć — odezwał się kneź głośno — ta im smaczniejszą będzie, niż gdybyśmy kozła zarznęli... Niech tylko idą za mną wszyscy, gdzie im wskaże, niech się biją raźno, a mężnie, a wróżba się na

wrogów obróci...

To rzekłszy i spojrzawszy naokół po milczących dziadach, dodał.

— Niech każdy sprawnia co do niego należy, ja się będę bił, wy obiady nieście i śpiewajcie... A nauczcie młodych, aby za wodzem szli posłuszni... Tém niemcy silni, że słuchać umieją! tém my słabi, że zgody u nas i posłuchu nie ma... Ale tych i ja nauczę!..

Rzekł i zwolna koniowi cugle ściągawszy, skoczył nań, popatrzawszy jeszcze na wylekłych wróżbitów, ujął róg w rękę, trzy razy zatrąbił i w gąszcz wjechał napowrót.

Luboń i wszyscy w głuchém milczeniu nieruchomi pozostali długo i odetchnęli dopiero, gdy kneź zniknął im z oczów.

Koniec tomu Igo.

1. ↑ Błąd w druku; powinno być – *zajął*.
2. ↑ Błąd w druku; powinno być – *pojęcia*.
3. ↑ Błąd w druku; powinno być – *mnóstwo*.
4. ↑ Błąd w druku; powinno być – *nic*.
5. ↑ Błąd w druku; brak kropki lub następny wyraz (*Be-de*) winien być małą literą.
6. ↑ Błąd w druku; powinno być – *się*.
7. ↑ Błąd w druku; zamiast kropki winien być przecinek.
8. ↑ Błąd w druku; powinno być – *kniehini*.
9. ↑ Błąd w druku; powinno być – *kniehini*.
10. ↑ Błąd w druku; powinno być – *jeszcze*.
11. ↑ Błąd w druku; powinno być – *że*.
12. ↑ Zamiast pauzy winna być kropka.
13. ↑ Błąd w druku; powinno być – *Kuźmy*.
14. ↑ Brak kropki lub następny wyraz (*Gdzieście*) winien być małą literą.
15. ↑ Błąd w druku; powinno być – *kneź*.
16. ↑ Błąd w druku; powinno być – *kneź*.
17. ↑ Błąd w druku; powinno być – *powietrzu*.
18. ↑ Błąd w druku; powinno być – *zamilkli*.

I.

Włast, już drugi miesiąc na dnie jamy wilgotnej modlił się i cierpiał. Jarmierz i siostra, mimo wiedzy ojca i jego najsurowszego zakazu, mimo oka pilnego nietościwój babki, przynosili mu jedzenie, skradali się na rozmowę,

prosil go i błagali, aby ojcu był posłusznym. Odpowiadał im, że tego uczynić nie może. Im dłużej pozostawał w tym dole, zamiast słabnąć na duchu, dziwnym sposobem rozgrzewał się i stawał silniejszym. Nie mając już nic do stracenia, cichym głosem, klęcząc nucił pieśni kościelne, które mu z dawnych czasów na pamięć przychodziły i łzy mu płynęły z oczów. W tej ciemnej jamie, na ścianie, z dwóch kawałków drewna łykiem związanych, zrobiwszy sobie krzyż i umocowawszy go, większą część dnia Włast spędzał przed nim na rozmyślaniu i modłach.

Hoża i Jarmierz, ciekawie nieraz uchyliwszy wrota, wpatrywali się w niego, przejęci trwogą jakąś na widok tej wytrwałości i męstwa.

Parę razy przyszedł Luboń stary i kazawszy sobie odwalić wrota, łajał syna, zmuszał aby wolę jego spełnił. Z pokorą wielką Włast podnosił oczy i ręce ku niemu i odpowiadał, że uczynić tego nie może. Z przekleństwem na ustach odchodził stary Luboń i gniewem długim wrzał często godziny całe, tak, że się doń nikt zbliżyć nie śmiał, ni przemówić.

Nawykł do posłuszeństwa, nie chciał ustąpić, a jednak wspomnienie tego dziecka, straconego, opłakanego, odzyskanego cudownie i dziś skazanego jak niewolnik na kaźnię okrutną, łamało mu serce. Po nocach łzy zalewały oczy, ale gniew je osuszał.

Ustałby może wreszcie i syna precz odegnał, lecz z jednej strony obawiał się, aby go nie skarżył przed Mieszkiem; z drugiej podzegała go stara Dobrogniewa, upierając się przy tém, iż w końcu Włast wycieńczony, poddać się musi.

Tymczasem biegły dni i tygodnie napróżno, a Włast w tej ciemnicy na modlitwie trwając i w samotności, nawykł niemal do życia pustelniczego i zgadzał się z wolą Bożą. Odzież zbrukana i przejęta wilgocią mało go już od chłodu broniła, padała się nawet kawałkami; barłóg, na który słomy garść litościwa ręka siostry rzuciła, stał się na proch i stęchl przejęty wodą, która się ze ścian sączyła. Włast się nie skarżył, a gdy Jarmierz ubolewał nad nim, odpowiadał mu łagodnie, że miło mu jest cierpieć dla Boga, którego wyznawał, i że ten Bóg zsyłał mu pociechę do serca.

Słyszac to Jarmierz, stawał zdumiony i przelekły, nie mógł pojąć tej siły, która się takim bolem nie wyczerpywała.

Hoża po kilkakroć do nóg padała ojcu prosząc za bratem daremnie, zawsze podejrzliwa stara, która ją szpiegowiała, nadbiegła w porę ze swą kądzią, aby ją oderwać od nóg ojcowskich, a Lubonia nowym gniewem zapalić.

Ten więzień w domu, choć do niego nikomu się zbliżyć nie było wolno, choć wspomnieć się nie godziło, truł jednak spokój i szczęście całe rodziny. Hoża chodziła zapłakana, Jarmierz chmurny, Luboń był chwilami wściekły, a stara Dobrogniewa nikomu pokoju nie dawała.

Przyjechał kto obcy, kłamać było potrzeba i udawać swobodę, a lękać się zawsze, aby ten upór sromotny, ojca upokarzający, się nie wydał.

Jarmierz myślał o jakimś ratunku i nie widział żad-

nego. Chciał dopomóc do uwolnienia Włastowi, lecz zdradaby się wydała i stary Luboń nigdyby mu jęj nie przebaczył, a on w oczy tylko patrzył Hożej i myślał, że mu ją w końcu dadzą.

Złożyło się jednak inaczej wcale niż rachował. Ukrywający się ciągle Wojsław, często do Lubonia zaglądał i narady z nim miewał. Chłop był urodziwy i na dworze pańskim wychowany. On i Hoża spoglądali na siebie mile; czy przemówili kiedy, czy się ułożyli, czy Hożej naprzykrzyło się w domu ze starą Dobrogniewą, która ją kochając męczyła, z ojcem, którego lękała się przemocy, któż to zgadnie?.. jednego poranku wszakże Hożej nie stało.

W domu zawrzało straszliwie, pogoń poszła na wsze strony, tyle się tylko dopytano, że Wojsław ją porwał i w lasy z nią uszedł. Jarmierz się zaklinał, że go ubije.

Straszniejszą jeszcze pustką stał się dwór w Krasnejgórce. Dobrogniewa położyła się trzeciego dnia i zapowiedziała, że jęj życie obrzydło. Na pół z gniewu, w pół z dobrowolnego głodu, w gorączce jakiejś, majacząc, otoczona babami, co ją napróżno ratować usiłowały, w kilka dni skonała stara...

Luboń pozostał sam, zdala spoglądając na tę jamę, w którą syna wrzucił i nie chcąc nawet zbliżyć się do niej.

Na parobków i służbę wywierał złość coraz wzrastającą. Jarmierz niemający już nic do zyskania, nic do stracenia, co dnia się więcej litował nad Włastem. Jednej nocy poszedł tajemnie odchylić wrota, zbudził go i począł naglić, aby uciekał.

— Weźmiemy dwa konie... ubieżyłem w lasy... mnie tu już nic nie trzyma...

Włast mu dziękował.

— Jarmierzu, druhu mój — mówił doń — nie godzi mi się uchodzić od męczeństwa, którym Bóg mój mnie dotknął... Mam zastrugę cierpiąc, stracę ją uciekając...

Jarmierz tego zrozumieć nie mógł. Chwilami zdawało mu się, że biedny Włast chyba oszaleć musiał. Drugiej nocy i następnej nalegał nań nie przestając. Tymczasem Włast, choć mocen na duchu, coraz upadać począł na ciele. Zimnica od wilgoci go napadała i co drugi dzień leżał trzęsąc się, a potem nieprzytomny w gorączce, w której zwykle naprzemiany śpiewał i płakał.

W takim stanie Jarmierz go nareszcie wychudłego, osłabłego, wyniósł z jamy na ramionach, złożył w szopie, okrył, napoił ciepłym miodem, i gdy sen go pokrzepił, zmusił niemal tém, że ojciec na nim mścić się będzie — do ucieczki.

Włast był jednak tak osłabły, że choć go Jarmierz przytrzymał, na koniu długo usiedzieć nie mógł i po godzinie jazdy, gdy już dzień był jasny, musieli w gąszczach stanąć, bo biednego więźnia znowu położyć było potrzeba. Zaledwie ległszy, Włast zasnął.

Nie wiedział dalej co z nim poczynać Jarmierz, lecz domyślał się, że na dworze pańskim znaleźć może jakiś ratunek.

Nie widząc w tém żadnego niebezpieczeństwa, na losy się zresztą zdając, porzucił chorego uszpiętego, a sam przez las popędził do grodu nad Cybinę.

Za stróża przy Właście został stary pies, który poszedł za Jarmierzem, zwano go Kudłą. Temu kazał siedzieć przy koniu i chorym, pan — i pies zrozumiawszy to pozostał. Położył się w nogach Włastowi.

Jarmierz nie zważając już na to, że pochwyconym być mógł, jechał na gród. Pierwszą co mu się tu nastęrczyła, była Srokicha. Była ona też w tém przekonaniu, że Włast z młodą żoną mieszkał na nowosiedlinach, załamała ręce i padła na ziemię, gdy jój chłopak powiedział co się stało... i jak go w lesie zostawił. Widywała ona tego gołąbka swojego z Dobrosławem, doradziła do niego iść. Sama przodem poszła się dobijać.

Zrazu nie mógł zrozumieć nic, wierzył bowiem w to, że Luboń zmusił go do odstępstwa. Stara zwołała Jarmierza, odkryło się wszystko i Dobrosław pobiegł naprzód do knezia, a wprędce potem siadł na konia i popędził w las. Zastali Własta uśpionego jeszcze, osłabłym tak, że mowę był utracił, psa u nóg jego i ciszę wśród lasu. Klął Dobrosław nad nim, obejmując biednego i docuciwszy się, inaczej go do grodu wieźć nie mógł, jak między końmi na rozwieszonych opończach.

Teraz dopiero długie męczarnie, które wytrwał nieszczęśliwy, wywarły swój skutek. Wprawdzie życia iskierka tłała w nim i blada twarz męczennika uśmiechała się łagodnie, lecz siły były wyczerpane.

Gdy na Krasnéjgórze Luboń swą czeladź, posądzoną o współnictwo siec kazał i sam w pogoń potem leciał naoslep, w stronę zupełnie przeciwną, Dobrosław z Jarmierzem bezpiecznie dojechali na zamek i złożyli w izdebce u wrót na dworcu kniehinie Górki chorego, którego Srokicha pilnować i leczyć się obowiązywała. Jarmierz też został przy nim. Stara znała się na ziołach i szczęściem z opisu domyśliwszy się zimnicy, gorzkich mu nagotowała.

Gdy Dobrosław przyszedł oznajmić Mieszkowi o tém co się stało, kneź wysłuchał go, jak zwykle, nie dając żadnej oznaki, ani zdumienia, ani oburzenia. Kazał Własta wziąć na gród i wieczorem namyśliwszy się, komornika wysłał po Lubonia.

Ale tego w domu nie było, biegał po okolicy, szukając śladów, nie przyznając się do niczego więcej, tylko do ucieczki Jarmierza.

Trzeciego dnia dopiero wrócił stary złamany i zrozpaczony. Na progu spotkał go rozkaz, żeby się do knezia stawił natychmiast. Sił miał niewiele, lecz rad nie rad, jechać musiał.

Dano znać Mieszkowi o przybyciu Lubonia, wyszedł doń z twarzą pogodną i pozdrowił na pozór łaskawie.

— Coście to pewnie na szczęście syna waszego patrzeć jeździli? — spytał. — A no? jak mu się tam dzieje?

Stary zabełkotał.

— Miłościwy panie — odparł głosem ochryplym — wiele mnie nędzy spotkało... Zmarła matka, córkę mi porwano... bez wieści, a oto sługa, pies niewierny, uszedł okradłszy mnie, pewno kędyś do Niemców...

— Czasby ci z nowosiedlin syna do domu z niewiastką sprowadzić — odparł Mieszko — mielibyście pociechę. Luboń zmiłkł, dławił go gniew.

— Ja waszego Własta polubiłem, choć do wojny się on nie zdał, ale rozumny człek do rady... i milczeć umie... Żoną się on już nacieszył, poszlijcie poń... bo mi go trzeba... do Czech go wyprawię...

Luboń się zmięszał, spuścił głowę, opadły mu ręce. Szukał w myśli sposobu, jakimby wyszedł z kłamstwa.

Mieszko stał, ze swym zwykłym dumnym uśmiechem.

— Co, wam to nie po myśli? — spytał.

— Miłościwy panie — co mam kłamać dłużej. — Nieszczęście się stało — niemam syna.

Zakrył sobie twarz rękami stary, ale w prędcie odstoniwszy ją, dodał.

— Choćbym go miał — zgubiony on dla mnie... niemcy go ochrczyli... na swoją wiarę. — Znać go nie chcę...

— Wyrzekacie go się! spytał Mieszko.

— Niech, jeśli żyje, do tych idzie, których więcej słucha niż ojca. — Bodaj zczezł...

Kniaź popatrzał nań z uwagą...

— Luboń, rzekł — z dzieckiem macie prawo czynić co chcecie — a to u nas teraz chrześciany się mnożą co dzień... trzeba nam to cierpieć — nie damy rady... Boga mają znać silnego, bo nasze mu się obronić nie mogą...

Wymówiwszy te słowa kneź... głową skinął i wyszedł...

Luboń, który dłużej tu nie myślał pozostać, wysunął się ze dworu, nie wiedząc jak na koń wsiadł i pojechał do krasnego dworu.

Nigdy pono niewiasta do dziecka przywiązana nie była w przykrzejszym położeniu z niem, nad starą, prostą, pocziwą, ale — do swojej wiary przywiązaną Srokichę. Jarmierz, który patrzył na męczeństwo, cierpliwość i stałość Własta, był już na wpół jego przykładem nawrócony. Zaczynał czuć, że ten Bóg co dawał taką siłę, musiał być potężnym... Przed starą więc piastunką nie utaił powodu dla którego Włast uległ takiemu przesładowaniu. Srokicha przeraziła się tém... nie straciła serca dla swojego gołąbka, ale myślała też jak ojciec, że go należało do dawnych Bogów nawrócić... Pomiędzy ludem straszliwe chodziły wieści o téj wierze nowéj, pełnéj surowości, umartwień, poddającéj człowieka najstraszniejszej niewoli...

Srokicha płakała rzewnie nad swym wychowankiem, ale krzątała się około niego skutecznie...

Napój, jadło, powietrze, spoczynek... może dzielniej od jój leków poskutkowały. Włast trzeciego dnia mógł już ukłęknać i modlić się, a pierwszym jego ruchem było dziękczynienie Bogu i rzewna modlitwa.

Jarmierz i stara mamka ujrzawszy go zatopionego w tym zachwycie łzawym, od którego oderwać go nie mogli, przerażeni zostali... Srokicha utrzymywała, że niemcy urok na chłopca rzucili i że go odczynić potrzeba. W duchu postanowiła, sama się nie czując tak bardzo biegłą w téj sztuce, postarać się o najmądrzejszą babę, aby czar i uroki odeгнаła...

Gdy Włast powoli do zdrowia przychodzić zaczął, i ciągle będąc z Jarmierzem wszystek swój czas obracał na nauczanie go i nawracanie, Luboń wróciwszy do domu z gniewem i bolem, zaniemógł i legł złożony chorobą. I tu natychmiast po baby posłano, aby mu radziły...

Lecz stary i nic przyjmować nie chciał i życie miał już w obrzydzeniu. Przystępu prawie nikomu nie dając do siebie, leżał to senny, to nieprzytomny... W domu tymczasem działo się co się zwykle wśród grozą utrzymanej służby dzieje, gdy swobodę uzyska... Parobcy się rozbiegli, rozchwytywano co kto mógł... szalała czeladź puściwszy sobie cugle... Rozeszła się wieść po sąsiedztwie o chorobie starego, ale nikt się nie chciał wdawać w nieswoje. Stary dogorywał otoczony babami, które rozpędzić się nie dając, nakadzały go, kropiły, zamawiały chorobę napróżno... Wreście ktoś z sąsiadów dał znać na gród, że w Krasnejgórze, na bezpiecznym dworze, parobcy rwą całe mienie i dwór niemal roznoszą...

Włast już wstawać zaczynał... gdy Srokicha z tém wpadła...

Nie o mienie szło synowi, ale o obowiązki dziecięcia. Czuł się niemal winnym tego nieszczęścia, które rodzica spotkało i zerwał się na gwałt powracać do Lubonia. Napróżno i Dobrosław i Jarmierz błagali go i strzymywali, chciał wyrwawszy się iść pieszo, dano mu nareście konie. Jarmierz zrazu nie śmiał mu towarzyszyć, potem zawstydzony mężstwem jego, powiedział, że go nie opuści. Siedli więc na konie i pospieszyli do Krasnejgóry...

Już z dala dojeżdżając do dworu można mieć było wyobrażenie co się tam dziać musiało... Stary leżał dogorywając, a czeladź z dziewczętami w lasku poddworem płasy wyprawiała, i śmiechy a śpiewy pijane rozlegały się do koła... W podwórzu poroztwierane wrota, ślady spustoszenia i łupieży, we drzwiach kupa starych bab gwarzących nad kadzią piwa i miskami kaszy a klusek... Wszyscy niemal na pół pijani... spotykali przybywających... Jarmierz został w podwórku, aby natychmiast ład jakiś starać się zaprowadzić, a Włast wszedł do izby...

Na niskim posłaniu leżał stary, wychudły, z osłupiałemi oczyma, z obnażoną piersią, dysząc z trudnością... Chrapliwy oddech ten, ciężki, słyhać było z daleka... Gdy Włast wszedł zdawał się już niewiedzieć nic i nie poznawać go, leżał jęcząc nieruchomy... Syn przyklął przy nim, zlekka ujął rękę i pocałował... Luboń drgnął, oczy stojące nieruchomie poruszyły się, usta otwarły, spojrzął, i pierwszym znakiem oprzytomnienia było, że dłoń wyrwać usiłował...

Słabym głosem, zawołał — pić — Włast znalazł kubek i z troskliwością dziecięcia, przychylił napój do spiekłych ust chorego, który chciwie pić zaczął.

Orzeźwiło go to na chwilę... oczyma powiódł po ścianach i zatrzymał je na synu długo. Zdawał się zdumiony. Zamknął powieki, otworzył je powtórnie, i przymrużył jeszcze...

— Włast! — rzekł pocichu — upiór!

— Syn twój, ojciec mój. —

Luboń nie odpowiedział nic... oczy się przymknęły... usypiał...

Całą noc Włast przesiedział tak u łoża służąc ojcu, który tylko wody żądał i więcej nie mówił nic... Usypiał, przebudzał się i znowu sen go morzył.

Nadniedniem sił mu trochę przybyło, dojrzał siedzącego u

nóg syna i mruknął — Włast. —

— Jestem — ojciec mój...

Starzec niedowierzająco powtórzył raz jeszcze pytanie, usłyszał tę samą odpowiedź i począł się w niego wpatrywać.

— Gdzie byłeś? — zapytał Luboń...

— Leżałem chory, na grodzie...

— I wróciłeś tu?

Włast ukląkł. — Aby cię prosić o przebaczenie za nieposłuszeństwo... ojciec mój — jam musiał posłusznym być Bogu...

— Bogu! Bogu! zamruczał Luboń, jakby myśli zbierał... po chwili rzekł osłabłym głosem.

— Mocny Bóg! wielki Bóg!

— Ojciec mój i dobry to jest Bóg — i łaskawy...

Starzec się zadumał, widać było, że pokora i łagodność syna złamały go wreście... Łzy mu się z powiek potoczyły i oschły na spalonych policzkach...

Długo znowu trwało milczenie, Włast choć słaby sam, służył z troskliwością niezmierną ojcu... Duma poganina nie dozwalała mu powiedzieć dziecku własnemu, ani że czuł się winnym, ni że mu przebaczał, lecz nie okazywał gniewu, gdy Włast po cichu mówiąc starał się go pokrzepić i natchnąć nadzieją, słucał go z chciwą ciekawością. Słowo miłością natchnione działało.

Włast jako chrześcjanin nie mógł się zbliżyć do chorego ojca nie myśląc o jego nawróceniu. Zdało się to niepodobieństwem, lecz Luboń o tym, dawniej nienawistnym Bogu chrześcjan, słucał teraz cierpliwie. Pogodził go z nim ten syn pokorny i miłosierny. Tymczasem uchodziło życie ze złamanego starca... myśl się stawała jaśniejszą, odyskiwał przytomność, ale siły tracił. Napoju przyjmować już nie mógł, oddech się stawał cięższym, usta zaniemiały, oczy tylko świadczyły, że duch pozostał w ciele... W tych godzinach ostatnich Włast o Bogu swym mówić mu zaczął, malując żywemi wyrazami jego potęgę i łaskawość, i cuda jakie czynił, i życie wieczne, które dawał...

Starzec nie spuszczał z niego oczów, a gdy Włast zebrał się na odwagę, zapytał go, czy chciałby wiarę przyjąć — odpowiedział mu skinieniem głowy.

Z niewysłowioną radością Włast wodą pokropił chorego, chrzcząc go w imię Boga jedynego... któremu dziękował za to, że pierwszym owocem apostołstwa był najbliższy mu krwią, rodzic jego. Odmówił potem modlitwę, której konający słucał z wyteżoną uwagą, był to Ojciec nasz słowiański... Z ostatnim Amen, jak do snu zamknęły się powieki Lubonia i ręka, którą syn trzymał w dłoniach, stygnąć zaczęła...

Włast z piersi własnej zdjął krzyżyk i położył go umarłemu w rękach, które stężały objawszy ten znak zbawienia... klęknął potem i modlić się zaczął.

Na modlitwie zastał go Jarmierz, który w ciągu tego czasu ład na nowo zaprowadzał w zburzonym domu i czeladź grozą do posłuszeństwa przymusił.

Szło teraz o pogrzebanie zwłok starca chrześcjanским obrzędem. Naówczas już obyczaj palenia zwłok, chociaż się utrzymywał, nie był obowiązującym. Wielu przy-

kładem sąsiednich chrześcian, woleli mniej kosztownie grzebać zwłoki. Składano je wszakże na uroczyskach, zgłiszczach i polach wśród lasów, gdzie dawniej były żalniki... Włast nie mógł pogrzebu uczynić uroczystym, boby musiał zachować przy nim stare obrzędy pogańskie; poświęcił więc część lasu za domem jako „rolę Bożą“ dla przyszłych chrześcian, i tam w cichości jednego Dobrosława tylko uprosiwszy, przy modlitwie, którą sam odprawił, pogrzebał zwłoki ojca. Działo się to potajemnie, z obawą, i nie bez przeczucia następstw jakie ściągnąć miało to postępowanie, które ludzie sobie inaczej tłumaczyć mogli.

W istocie wszystek tłum, który rachował na stypę, uczył i przyjęcie, zawiedziony w nadziei, począł szemrać, że syn mszcząc się na ojcu, jak psa go po cichu rzucił gdzieś w dół, nie uczyniwszy ofiary i nie sprawiwszy tryzny.

Od czeladzi dworskiej począwszy szemrali wszyscy, na Własta patrząc mściwie, a przyjaciele starego Lubonia odwracali się od niego, znać go niechcąc i odgrażając się.

Część téj niechęci spadła nawet na Jarmierza, który Włastowi był posłusznym i okazywał mu uszanowanie.

Nazajutrz po cichym pogrzebie tym, pusto i smutno było na dworze w Krasnejgórze... Jarmierz chodził z głową zwieszoną i źle jakoś wróżył o przyszłości... Czeladź wprawdzie musiała być posłuszną, lecz posępni oczyma patrzyła na nowego pana, którego między sobą palcami jako zdrajcę i odstępcę wskazywali. Nie strwożyło to Własta, który postanowił w miejscu pozostać, i nie bardzo się tając z wiarą nową, starać się o jój rozszerzenie.

## II.

Niepokój szerzył się po kraju, chociaż nic go jeszcze nie usprawiedliwiała. Po lasach i osadach powtarzano sobie cicho, że Mieszko starą wiarę chce zagubić — ale kneź nie czynił nic przeciwko niej jawnie.

Wszystko po dawnemu zostało, kontyny, chramy, kamienie, słupy z głowami bożyszcz, ofiarne ołtarze, stały nienaruszone. Geślarze z pieśniami jak przedtém chodzili, i uroczystości odbywały się, jak lud odprawiać je nawykł był od wieków. Nie zagrażano nikomu, nie zakazywano — a jednak strach jakiś owładnął wszystkimi. Spoglądano na gród nad Cybiną z trwogą i niepokojem.

Na dworze zjawili się ludzie jacyś nieznanymi, podejrzani, którzy się z kneziem zamykali, naradzali, przychodzili i znikali znowu... Mieszko zaczynał się swoich ulubieniec pozbywać, kilka z nich naprzód wyswatano wojskowym, którzy je z dobrém wianem pozabierali, reszcie pozostałej kneź dozwolił szukać sobie mężów lub odejść do rodziny.

Stara Różana, która nie miała tego co dawniej kłopotu z podwładnemi, stękała teraz widząc, że się niepotrzebną stanie. Lilia płakała w kątku, inne chodziły strwożone, niewiedząc co począć z sobą. Dwór tymczasem na

nowo a wspaniale urządzać kazano i rzemieślnicy w nim pracowali. Choć nie mówił nikt i nie tłumaczył co to oznaczać miało, domyślali się wszyscy. Mówiono półgłosem o prędkiem przybyciu czeskiej kniehini.

Sydbór tymczasem z polecenia Mieszka ludzi ściągał, zbroił i siłę gotował jakby do wojny, choć na granicy dosyć było spokojnie. Starzy głowami potrzęsali rozumiejąc może, iż ta siła wielka nie przeciw nieprzyjacielowi się sposobiała, ale dla bezpieczeństwa w domu.

Warga téż i inni wróżbici radzili pokorę i czajenie się, aby nadaremnie co lepszego z ludu nie ginęło. Po lasach nocami trwały ciągle narady, wiedzano co się na zamku działo, lecz nikt nie mógł z pewnością powiedzieć co i kiedy tam czynić zamierzano — bo Mieszko się nikomu nie zwierzał i nie zmieniał postępowania swojego.

Jednego dnia tylko z chramu Jessego na grodzie, wszystek skarb wojenny, który tam był złożony i stanice z bóstwami, sam Mieszko poszedłszy do gaju świętego, przy sobie zabrać kazał do dworu i zanieść do swojego skarbcza. W chrampie pozostał tylko stary posąg, i to co przy nim zawieszane było.

Dla czego to uczyniono, nikt nie wiedział... Starzy stróże świątyni stali patrząc, mówić nic nie śmieli. Koszami ogromnemi wynoszono naczynia, sztaby, blachy, kruszec wszelki i oręż. Gdy na rozkaz knezia komornicy jego wzięli stojące za posągiem stanice święte, gdy i te na dworzec poniesiono, oczy starych wróżbitów zasły łzami, ścigali je wzrokiem aż póki pod dach wniesione nie znikły.

Z tych co byli na straży u chramu żaden się odezwać nie śmiał — żaden zapytać? Obawiano się Mieszka. Lecz stłumiony gniew gorszym był może od jawnego. Gdyby wybuchnął, kneźby go w pierwszej chwili poskromił — wolałby był widzieć płomień i zalewać je, niż czuć pożar podziemny, który niewiedzieć gdzie i kiedy mógł nagle zaświecić łuną.

Pomiędzy narodem wrzenie było wielkie, Warga i inni uśmierzali je i czekać kazali — mówili — nie czas... ludzi ma nadto, gotowych na wszystko — przyjdzie godzina...

Zwolna co było potajemnie chrześciańskiem w kraju, co się dawniej z tém kryło, teraz poczynało coraz jawniej występować. Ochrczeni śmieliej podnosili głowy — omijano ich, lecz nikt nie śmiał się przeciw nim porywać. Wiedzieli wszyscy, że Włast na Krasnejgórze, w komorze téj, w której zmarł ojciec jego, urządził był ołtarz i rodzaj kaplicy. Była ona zamkniętą i niedopuszczano do niej tylko tych, co już chrzest przyjęli, a do progu tych, co się do niego przysposabiali — lecz służba ciekawa przez szpary zbadała, że tam stał nakryty stół z krzyżem, dwoma świecznikami i kielichem w pośrodku... naczynie miedziane z wodą i rozmaite przybory, których użytku nie rozumiano. Złocistą deskę na ołtarzu pokazywano jako Boga, do którego się chrześcianie modlili.

W pewne dni, zjeżdżali się różni ludzie z daleka i odprawiało się tu coś tajemniczego, bo choć Jarmierz stał na straży i zbliżyć się nie dozwalał czeladzi — podłuchano śpiewy zdala...

Ukryci w krzakach starzy dziadowie wróżbici, zapamiętywali twarze i nazwiska tych, co tu przychodzili i przyjeżdżali, na przyszłą zemstę ich znacząc...

Nie porywano się jeszcze na nich jawnie, lecz wszyscy ci nowi chrześcianie na śmierć skazani byli, a dwory na spalenie.

Jedna z rodzin najdawniej nawróconych, Pomianów straciła już była najstarszego, głowę domu, którego w lesie niewiadoma ręka dościgła. Znalezione go z włócznią w piersi martwego na rozdrożu, a włócznia w pierś krzyżyk mu wbiła. Dwa razy pod dwór podłożony ogień, ledwie zawczasu ugasić zdołano.

Dobrosławowi zgorzały jego stodoły i szopy, a nikt nie umiał powiedzieć, z kąd w nich ogień powstał... Jarmierz nocy niedosypiał, lękając się o Krasną-górę.

Widocznie złośliwe ręce jakieś podrzucały płomień, poiły bydło wodą zatrutą, wyrządzano szkody w polach... Lecz winowajcy znaleźć było niepodobna.

Tak z jednej strony Mieszko wydał potajemnie wojnę stariej wierze, a ona z pokorą pozorną broniła się nie podnosząc głowy.

Na grodzie nad Cybiną, w Gnieźnie i po innych zamkach lud orężny zbierano, a po uroczyskach, w puszczech, na osamotnionych horodyszczach schodzili się nocami wróżbici i gęślarze na ciche narady... Nikt jawnie nikomu nie wypowiadał jeszcze wojny, a wszyscy czuli ją i sposobili się do niej.

Jednego dnia komornik wezwał Własta do knezia... Porzuciwszy dwór swój na opiece Jarmierza, pojechał posłuszny. Na wstępie Dobrosław go powitał i poprowadził do swjej komory, z twarzą wesołą prawie.

— Mój ojczy — rzekł — cieszcie się — nadchodzi i dla nas godzina wyzwolenia. Mieszko — walczy jeszcze z sobą i ze starém w sobie pogaństwem, ale nareszcie ulegnie. Dubrawka przybywa wkrótce.

Tu wskazał ręką ku gajowi świętemu i chramowi.

— Tam gdzie dziś bałwanom jeszcze się lud kłania — stanie świątynia prawdziwego Boga — Mieszko zwleka, skłania się sercem i żal mu starego nałogu, wyuzdania i swobody, w jakiej żył, jednego dnia naszym już jest, drugiego poganinem znowu — przecie zwycięża w nim dobra wola. Reszty wpływ kniehinii dokona.

Nie chce on jawnie wystąpić przeciwko starym błędom, lecz daje nam swobodę nawracania.

Was jednego mało... więcej duchownych nam potrzeba... z kąd ich weźmiemy? Niemców naród nie cierpi, choćby mu zbawienie przynosili — to z ich rąk je odepchnie. Czesi w domu mają dosyć do czynienia...

Trzeba nam męża, coby powagą, wiekiem, nauką, świętobliwością i kneziowi i nam przodował, a wiódł; męża doświadczenia i ducha wielkiego.

Dobrosław złożył ręce, jakby w zwątpieniu... Włast, a raczej ojciec Matia, milczał pokornie.

— Byliście długo między niemcami, którzy ze słowiany graniczą, są tam kapłani naszego języka świadomi?

Kneź, który was wezwał, nic wam nie powie, tylko byście na zwiady nad granicę jechali, i języka się starali dostać — a ja mówię wam, przyprowadźcie z sobą kapłana,

któryby owczarni przyszłej mógł być pasterzem.

— Ciężkie brzemie wkładacie na moje słabe ramiona — odezwał się Ojciec Matja — pocieszam się tém tylko, że nie ja, niegodny sługa Boży, ale Duch święty wybierać będzie tego, którego zechce postawić na świeczniku. Gdybym do ziemi latyńskiej mógł iść, a! z tamąd z Rawenny lub Rzymu, przywiódłbym apostoła, lecz za długo nań czekaćbyście musieli.

Szeptali jeszcze, gdy Dobrosław pozwano do knezia, a ten z sobą Własta poprowadził, Mieszko się go znać spodziewał i łaskawie mu się uśmiechnął.

— Potrzebny nam jesteś — odezwał się — od granicy coś się rusza... Gero czy jego zastępca gotuje się na nas. Trzeba wypatrzeć co oni tam sposobią, abyśmy w gotowości byli. Jedźcie, patrzcie i wracajcie. Język i obyczaj ich znacie.

Włast się do kolan mu skłonił.

— Miłościwy panie — rzekł — spełnię rozkazanie wasze — ile sił starczy.

— A w podróż ludzi i co potrzeba Dobrosław wam dostarczy ze skarbcu mojego — dodał Mieszko.

Nie dano Włastowi czasu tyle, by do domu mógł powrócić — ludzi i konie, szaty i zapasy, kazano wydać skarbowe. Tak niespodzianie znalazł się młody kapłan przed podróżą, która niebezpieczeństwy groziła — choć kilką godzinami wprzód, wcale o niej nie myślał. Lecz, że sprawa wiary się z nią łączyła, nie zawahał się na chwilę. Nazajutrz dodnia musiał wyruszyć.

Wieczorem Srokicha, dowiedziawszy się o jego przybyciu, pospieszyła do swojego gołąbka — chociaż od czasu, jak się w nim domyślała chrześciana, mniej dlań była czułą i z pewną doń przystępywała obawą. Miłość dla dziecka walczyła z odrazą do chrześcijaństwa. Stara splotkała się mówiąc o losach Hoży, Lubonia, a nawet Dobrogiewy, której teraz żałowała, choć za życia niegdyś ciężką dla niej była.

Włast pytany nie przyznał się jęć dokąd jedzie, nie mogąc zdradzać tajemnicy — ale we dworze wiedzieli wszyscy, iż się w jakąś podróż wybiera.

Ani zbyt licznym, ni zbyt szczupłym poczem, nie mógł wyruszyć nad Łabę, czterech ludzi, którzy z niemcami nieraz się już widzieli i u nich byli w niewoli lub na szpiegach, dobrano mu do orszaku. Na czele ich stał Rudy Sulin, najprzebieglejszy z ludzi na usługach dworu — umiejący być w razie potrzeby niemcem, serbem, wilkiem, pomorcem, czechem, bo wszystkimi mowy jakby własną władał, a obyczaj wszelaki znał, jakby się w nim zrodził i chował.

Sulina postawa nawet mieniła się jak mu było potrzeba, i jak zwier co na zimę wdziewa futro białe, aby go nie zdradziła szerść w śniegu, tak on umiał przybierać pozór, jakiego mu było potrzeba. Nie trwożyło go też nic i wesoła myśl trzymała się, choć miecz wisiał nieraz nad karkiem. U niemców w niewoli umiał się z pęt rozplątać, z jamy wyleść, z murów spuścić, stróżów złudzić, i z rąk im wysliznąć; z pomorców i wilków najgrawał się jawnie. Snu niepotrzebował, jadło mu byle jakie starczyło... i drogi człowiek był na te czasy. Dobrosław

mu też drogiego sobie Własta powierzył.

Rudy Sulin zarówno jak Włast znał ścieżki wszystkie, przejścia i przesmyki, brody na rzekach — niebezpieczne kąty, gdzie się rabusie zasiadali i chody, którymi przemknąć się było najłatwiej.

Trzej inni ludzie mający towarzyszyć im, byli jak potrzeba: niemi, posłuszni, silni i czujni. Z innemi też się przedzierać na pogranicze nie byłoby podobna, bo i od słowian i od Niemców groziło niebezpieczeństwo.

W czasie niewoli swój Włast przebywał dosyć długo u niemieckiego wojaka, który tu z Frankonii przywędrowawszy, osiadł na zamczku nad Łabą i rycerstwem, a raczej łupieństwem na słowianach się zabawiał. Była to prawa ręka Gerona, owego strasznego Serbom i Polanom markgraфа, który tyle krwi przelał niewinnej — a zwano go Gozbertem.

Takich jak Gero i Gozbert ludzi potrzebowali cesarze niemieccy do tej walki zjadłej z poganą, którą wiodli, chcąc zawładnąć ich ziemią, do czego im nawracanie za pozór dobry służyło.

Starym już dziś był ów Gozbert, ale rzemiosła nie rzucił, i wiodł życie, do którego nawykł, na przemiany w swoim burgu uczując i używając lub na łowy przeciw dziczy wyjeżdżając, z garścią swych ludzi. Ten to Gozbert niegdy Własta był cesarzowi wraz z sokołem darował, a gdy później ochrzczony i uwolniony wracał do domu, kapłanem, zjechał mu się pokłonić i przypomnieć, a był jako duchowny dosyć miłościwie przyjęty. Teraz też zamyślał znowu udać się do niego, z kąd łatwiejby mu już było do Quedlinburga jechać, szukając kapłana a pasterza...

Zameczek Gozberta sterczał na samej granicy. Było to gniazdo, z którego drapieżna garść wypadła za Łabę, łupy doń znosząc i jeńców. Jeżeli stary rabuś i żołnierz nie był w pochodzie, wesołe życie pędził na swym gródku. Wybaczano mu wiele, bo pogańskiej krwi na obmycie swoich grzechów nie szczędził. On i jego pacholkiwowie dokazywali straszliwie, znęcali się okrutnie, rozpustowali ohydnie, lecz zwało się to nawracaniem, człowiek dziczał w takich zapasach, a codzień narażając życie, płacił sobie za to używając go bez miary.

Dla tych wojaków wyuzdanych duchowieństwo też było powolnym i musiało ich rozgrzeszać, bo powstrzymać od grzechu nie było podobna. Stary Gozbert był dwa razy żonatym, ale mu obie jego małżonki pomarły, miał dwu synów, wychowanych na następców tego rzemiosła, dwór liczny płci obojg i skarbiec dobrze naładowany. Na zamczku też, gdy był w domu niczego sobie nie żałowano... Z postrzyżonymi głowy, wychudły i wynędzniały niewolnik słowiański, służył tej butnej czeredzie, która go na równi niemal ze zwierzęty stawiała. Choć posiwały w ciągłych bojach, Gozbert trzymał się jeszcze prosto i siłę zachował dawniejszą, ociążał tylko nieco od otyłości, którą obzarstwo i opilstwo sprawiło.

Burg Gozbertów na cyplu między dwiema rzekami wystawiony, szczupły dosyć, ale uchodzący za niezdobyt, zwał się po słowiańsku Uścim, Niemiec go przerobił na Adlerburg. Do koła tego Gródka<sup>[1]</sup>, wyjąwszy osadę u

stóp wzgórza rozciągniętą, z samych Niemców złożoną, pustynia była szeroka. Niktby w sąsiedztwie Gozberta i jego hałastry nie wytrwał, nie mogąc ani mienia, ani życia, ani dzieci, ni sług być pewnym.

Pachołkom pańskim czasu pokoju tak wszystko było wolno, jak czasu wojny. Nie poszanowali własności niczyjej, ani żadnego prawa... Sam stary pan i jego synowie Dodo i Berto, z trudnością mogli ich w karbach utrzymać.

Bywały wypadki, że dla przykładu i wieszać i ścinać musiano, dawszy się tylko wypowiedzieć, aby na tamtym świecie rachunek znaleźli skończony. Trafiało się, że ci apostołowie po drodze rabowali przez omyłkę kościoły, i w klasztorach zakonnicy nie szanowali klauzury. Gdy publiczna pokuta w kościele, i bosa pochód ze stryczkiem na szyi nie pomógł raz i drugi, musiano w końcu uciec się do miecza... Gozbertowi ludzie sławni byli na okolicę, a w bitwach, dobrze zbrojni i wdrożeni okrutną rzeź sprawiali, jednakże woleli zawsze napadać na bezbronne osady, w których swobodniej mogli dokazywać.

Pomimo rodzaju życia jaki wiodł sam pan i jego słudzy, on i oni nadzwyczaj byli pobożni. W tych czasach im kto więcej grzeszył, tym czuł się do większej obowiązany gorliwości i surowości względem drugich i siebie. Gozbert też dla duchownych był z poszanowaniem wielkim, a święta, posty i kościelne uroczystości z nadzwyczajną surowością obchodził sam i dopilnowywał by je wszyscy szanowali. Nieraz w wigilję dnia najstrasniejszej rzezi i rozpusty, rano wszyscy spowiadali się pobożnie, słuchali mszy, i dopiero wzięwszy błogosławieństwo, szli na łupieżę i morderstwa...

Wierząc w to poszanowanie Gozberta dla duchownych, Włast jechał wprost do niego, ubezpieczała go znajomość, kapłańska szata, a wreszcie to, że konie i ludzie jakich miał z sobą, niepozorni byli, i chciwości obudzać nie mogli...

Podróż do Adlerburga nużąca była i długa, bo musieli wymijać osady, często kryć się, aby dać przejść oddziałom kraj przebiegającym, wlec się więcej nocami i rankami niż dniami. Jesień też zaczynała być słotna, strumienie wzbierały, drogi się stawały błotniste, a na brody nie wiele rachować było można.

O kilka mil od burgu, zbliżając się ku Łabie, znaleźli się wśród kraju opuszczonego, w którym tylko stare zgliszcza wiosek, porośłe chwastami, o dawnym ich istnieniu świadczyły. Gdzieniedzie mogiła zielona, i pogańskie cmentarzysko pamiątką lepszych czasów pozostały. Teraz ludzi tu już widać nie było.

Zdała gniazdo Gozbertowe, nie bardzo było okazałe, dwie małe wieżyczki, przysadziste i nieforemne sterczały nad nim, a wyżej jeszcze za niemi gruby stołb odwieczny bez dachu. Wzgórze było łyse, w murach też zieloności żadnej niedostrzegło oko... ściany do koła obejmowały i zastaniały budowy, tak, że dachów ich nawet nie widać prawie było nad niemi.

Rankiem wyjechawszy z lasów, przed południem zbliżyli się ku burgowi, u którego stóp pokazała się nędzna miejscina, prawie cała z drewnianych domków złożona. Po



nad nią wyżej nieco wznosił się kościelny dach spiczasty z krzyżykiem. Na drodze krytej wiodącej do zamku, widać było zwijających się ludzi konnych i pieszych, co Włastowi czyniło nadzieję, że Gozberta zastanie spoczywającego w gnieździe. Byli jeszcze o staji kilkoro od wzgórza, gdy trzech konnych puściło się ku nim ze psami. Byli to Dodo i Berto synowie pańscy, swawolący sobie i dokazujący z końmi, których ciekawość wzięła dotrzeć do przybywającego orszaku nieznanymi ludźmi.

Dodo, który był jednego wieku z Włastem i pamiętał go jeszcze z tych czasów, gdy się nad nim jak nad niewolnikiem znechał, poznał zaraz dawnego towarzysza i wielkim go przywitał okrzykiem. Zsiadł z konia Włast, chcąc go sobie ująć grzecznością, lecz Dodo przypomniał w nim duchownego i z poszanowaniem pewnym sam zbliżył się do niego...

— Jakżeś ty tu się u zabłąkał, ojczy Matjo? — zapytał zawsze śmiejący się, gruby już i otyły niemal jak ojciec młody Dodo... Czy cię twoi poganie precz wygnali?

— Jeszcze nie, miłościwy grafie — odparł Włast — przybyłem z dobrej woli, wam i miłościwemu ojcu waszemu, grafowi Gozbertowi się pokłonić...

— Jedźcież ze mną, rad wam pewnie będzie. Właśnie u nas dnia jutrzejszego w kościele nabożeństwo, duchownych kilku sprowadzono na nie, zdacie się i wy ze mszą świętą — dodał Dodo... Ojciec teraz z panami duchownymi obiadaje wesoło, chociaż to dzień postny — ale przy rybach miód i wino potrzebne...

Dodo i Berto konie swe powściągnawszy, jechali tak rozmawiając na zamek, razem z Włastem, ale na stromą drogę wiodącą do bramy dostawszy się, nie wytrzymali wolnego kroku i rzuciwszy podróżnych, na zmęczonych wierzchowcach, sami w cwał, na wypródki puścili się na górę... Nie rychło po nich, gdy już posiadali, Włast wdrapał się do pierwszych wrót, które na podwórzec, stajniami i szopami otoczony prowadziły.

Zewnętrzny ten dziedziniec, pełen koni, wozów, stosów drzewa i wszelkiego łomu, kup gnoju, trzody chlewniej i ptastwa, pastuchów i posługaczy, nie bardzo dobrze o zamku uprzedzał. Wśród tej ciasnoty i wrzawy, ryku i krzyku, przedarłszy się z trudnością, dostali się do bramy i mostu zwodzonego, który do właściwego wnętrza burgo prowadził. Tu stała straż zbrojna, więcej dla zwyczaju niż z potrzeby, a w pobocznych sieniach, leżeli pacholkiwie porozdziewani spoczywając... Drugi podwórzec lepiej wyglądał, otoczony budowlami murowanymi do koła i zakończony w głębi wysokim stołbem, który staonwił<sup>[2]</sup> w razie oblężenia, ostatnią obronę i schronienie. I tu jednak gospodarstwo Gozbertowe widać było, bo około studni w pośrodku pacholków téż, swobodnie się wylegających, rozlegały się śmiechy i głosy...

Na prawo i lewo wążkie drzwi, wiodły do komnat pańskich, których rozporządzenie z dawniejszych czasów dobrze Włastowi znanym było. Tu on zsiadłszy z konia<sup>[3]</sup> i kilka słów Sulinowi szepnąwszy, udał się w prawo, aby starego grafę pozdrowić...

Poprzedzili go już z oznajmieniem dwaj synowie... Na pierwszym piętze, na które wiodły wążkie i ciemne

wschody, w nie zbyt obszernej salce, której strop z olbrzymich poczeriałych, rzeźbionych belek był złożony, za stołem zastawionym cynowami kubkami i dzbanami, siedział właśnie stary graf, otoczony gośćmi swojemi. Obiad był już skończony, a kości od ryb pozostałe na miskach świadczyły, iż post ściśle zachowano... po twarzy Gozberta zarumienionej poznać téż było można, iż do dzbanka zaglądał.

Z prawej strony siedział w czarnej sukni duchowny z włosiem siwym i twarzą poważną a surową, za nim drugi młodszy od niego, w którego oczach rozum i życie połyskiwało, jeszcze walką niewyczerpane... Oba na łańcuchach krzyże złociste mieli na piersi... Opoдал nieco młodzieuchny w sukni także kapłańskiej, z twarzyczką jeszcze zaledwie rozkwitłą, z oczyma spuszczonej skromnie, pokornie małe miejsce zajmował, jakby jak najmniej chciał być widocznym...

Po lewej ręce Gozberta, rozparty butnie, na pół leżąc na stole, w kaftanie skórzanym, z ogromnym wąsem, z włosiem czarnym najeżonym, z dumą na czole i w oczach, siedział rycerz, jakby tylko co ze zbroi rozdzielony, spoglądając po towarzyszach swych z lekceważeniem. Za nim jeszcze podobna mu ale pokorniejsza postać wojaka, tuliła się w cieniu pod ścianą... Dwaj synowie grafu, stali, tylko co powróciwszy, przy ojcu...

Przez ciasne okna z zabudowanego podwórza światło mało co wpadało do izby, która wyglądała smutnie. W głębi jej niezgrabny, szeroki, nadzwyczajnych rozmiarów komin, od jesiennego chłodu nałożonym ogniem obraniał. Pod jego kapturem kilku rycerzy takich pomieścić się mogło wygodnie... para kłód suchych dogorywała w jego głębi... Na jednej ze ścian komnaty widać było olbrzymi krucyfiks drewniany, odziany do kolan białą koszulą, którego włosy rzeźbiarz zwątpiwszy o dłuć, zastąpił ludzkiemi... Straszna ta postać nieforemnie wycięta, w istocie bolesne czyniła wrażenie. Na innych ścianach pomalowane były, z niewielkim kunsztem ja-skrawe kwiaty i liście, wśród których zaledwie dostrzedz się dawały ludzkie jakieś postacie... Pod ścianami stały ciężkie ławy stare, z dębu wyciosane i skrzynie do siedzenia zamczyste. Na nich porzucone płaszcze, pozdejmowane świeżo stroje, odpasane miecze się walały... Kilka psów leżało i chodziło szukając napróżno po podłodze, zwykle im rzucanych kości.

Przez otwarte drzwi do drugiej izby dostrzedz było można, na czterech słupkach z podniebieniem drewnianym, stojące łóże, i sypialnię znać grafu Gozberta... Ciężkie powietrze przesycone wonią piwa, wina korzeniami zaprawnego i jadła stanowiło atmosferę izby tej, na zamku najobszerniejszej i najzodobniejszej pono. Mieszkańcy zamkowi więcej téż w polu niż tu przebywali, a gdy się chronili dla spoczynku, wszystko im było dobrém...

Gdy Włast przystąpił z pokornym ukłonem do grafu, stary zwrócił się ku niemu swą czerwoną twarzą i uśmiechnął, potem miejscę około duchownych wskazując mu na ławie, zawołał.

— Będziesz O. Matja, między swojemi... siadaj, a jeżeliś głodny, każ cobie<sup>[4]</sup> co dać — boć się jeszcze może

znajdzie, a nim co będzie — napij się... Na czczo to zdrowo... po jedzeniu zdrowo, wśród jedzenia zdrowo... i nigdy nie szkodzi.

To mówiąc, nalał w kubek ze dzbanka i prawie gwałtem wcisnął go Włastowi, który szepnąwszy cicho, że pije za zdrowie i pomyślność grafa, poszedł z nim zabrać najniższe miejsce za młodym duchownym...

Oczy dwóch dostojników siedzących wyżej u stołu, ciekawie się ku niemu zwróciły... Pokornie siadłszy, miał czas spocząć i rozpatrzyć się, gdyż rozparty na stole wojak, który na chwilę przerwał był jakieś opowiadanie, natychmiast począł ciągnąć je dalej. Głos jego z głębi szerokich piersi jak z więzienia wychodzący, brzmiał dziwnie ostro i zdawał się przejęty goryczą jakąś i boleścią. Twarz też wyrażała i dumę i zniechęcenie razem...

### III.

Rozmowa między gośćmi grafa Gozbert'a, gospodarzem, duchownymi toczyła się dalej, nieprzerwana przybyciem Własta, który ustronne miejsce zajmąwszy, cicho się jej przysłuchiwał.

Odbijało się w niej co podówczas najmocniej Niemców zajmowało, szczęście i wielkie wyniesienie się Sasów, losy Ottona i wspomnienie ojca jego Henryka.

Rozparty ów rycerz z twarzą dumną zdawał się lepiej od innych uwiadomiony o wszystkich przygodach cesarskiego domu, do którego krwią i powinowactwem należał, choć wnosząc z mowy i szyderskich przycinków, niebardzo mu był życzliwym.

— Wy może i nie słyszeliście — mówił sparty na stole — o pierwszej żonie króla Henryka, bo świętobliwa Matylda pamięć tamtej zatarła, ale ludzie wiedzą i pamiętają piękną Hateburgę! Niezawsze nasz cesarski ród tak był kościołowi posłuszny i świętobliwy, jak teraz. Było to wówczas, gdy się Henryk wślawił podbiciem Głomaczów i zawojowaniem ich ziemi nad Łabą... W Merseburgu na starém mieście żył niejaki Erwin, do którego prawie ono całe należało... Miał tylko dwie córki, z których jedna Hateburga, słynna z piękności, owdowiawszy młodo... zakonną zasłoną się przyodziała... Przecież gdy urodziwy Henryk się do niej zgłosił, wołała go za męża wziąć niż ślubu dotrzymać. Gdy się o tém przewielebny Zygmunt biskup halberszadzki dowiedział, zwłaszcza że Hateburgi wiano znaczne klasztorowi odpadało, pozwał nieprawych małżonków przed synod i kłutwą im zagroził... Ledwie się Henryk wyprosił u cesarza, że sprawę do jego przybycia odłożono. Zwlekła się ona, a tymczasem Henrykowi się Tammo narodził... Żyli z piękną Hateburgą, póki Henryk młodziej i ponętniejszej Matyldy nie poznał... Dopiero gdy go ta ujęła za serce, równie wdziękami jak bogactwami, przypomniał sobie pan, że ono pierwsze jego małżeństwo grzeszném było i nieprawém, więc starszą Hateburgę rzuciwszy, ku młodej przystał Matyldzie, która jest matką dziś panującego Ottona.

— Nie jest to żadną tajemnicą — odezwał się starszy z duchownych poważnie — boć ludzka rzecz błędzić... a gdy się kto choć późno poprawi, zawsze lepiej, niżby w grzechu pozostał... Świętobliwej zaś pani Matyldy...

— Skłaniam i ja przed tą panią głowę — odparł Wigman — ale gdy sławia cnoty Henryka, czemuż i lekkości jego nie miał przypomnieć?

— Lekkości ludzkie lepiej — rzekł duchowny — milczeniem przysłaniać, aby drugich do popełniania ich nie ośmielały.

— Dostojny ojczy — odezwał się Wigman — ani milczenie pomoże, ni gadanie zaszkodzi, ludzie ludźmi będą i krewkami... A nasz dzisiejszy cesarz jest li wolen także od wszelkiego zarzutu?..

Na to ze śmiechem rzucone pytanie zamilkli wszyscy, gospodarz spojrzął na cesarskiego powinowatego i mruknął.

— A cóż mu zarzucicie?

— Alboż wdowy po Longobardzkim Ludwiku, którą sobie Berengary przeznaczał, nie zachciało mu się na sam odgłos o jej piękności?.. albo mu jej skrycie i podstępnie nie odmówił?..

— Jako odmówił?.. — przerwał Gozbert. — Berengary Adelaidę posadził do więzienia, głodem i musem męczył ją, chcąc sobie pozyskać. Litością zdjęty pan nasz... po drodze do Rzymu wstąpił, by ją oswobodzić... a gdy mu sprzyjała, czemu się z nią nie miał połączyć?..

— Jak ojciec tak syn — zawołał Wigman szydersko — szczególny do wdów pięknych a bogatych smak mieli... O mało potem nie przypłacił za piękną Adelaidę drogę, boć mu się syn własny zbuntował, bojąc, aby z nowego małżeństwa dzieci mu nie odebrały części dziedzictwa... — Czemuż o tém nie mówicie raczej — odezwał się duchowny — jako ten pan nasz wielki, bohaterski, mężny, jakiemu równego cnotą i odwagą nie mieliśmy, potrafił zmódrzyć zbuntowanego syna, zwyciężyć Berengarego i złamać wszystkich nieprzyjaciół swych, a precz odziedz Ugrów i państwa granice rozszerzyć i nad Rzymem, stolicą świata, zapanowawszy, cesarską uwieńczyć się koroną...

— Mój ojczy — zawołał Wigman — póki człek żyje, sprawa to nieskończona... Miłościwy cesarz dwa razy do Rzymu chodzić musiał robić porządek, jednych ze stolicy apostolskiej zrzucić, a drugich na niej sadzać... Kto wie, co jeszcze będzie?

— Niech nas Bóg uchwata, by gorzej lub inaczej być miało! — zawołał graf Gozbert.

Wigman się uśmiechnął chytrze.

— Tu jeszcze na wschodniej granicy dużo do roboty zostało — rzekł. — Czeski Bolko wprowadzie nam na Ugrów pomógł, ale to jego była sprawa tak dobrze jak nasza, a kto wie, z kim jutro trzymać może?.. Nie przysiągłbym, że z Ugrami na nas pójdzie... Ze Słowianami też, ile ich jest, roboty dosyć i na długo...

Gozbert się uśmiechnął.

— Nie bojemy się ich! nie bojemy!.. Jakeśmy Bolka czeskiego wzięli, tak z pomocą Bożą i Mieszka polańskiego zmożemy...

Wigman się rozśmiał.

— Cny grafie, gospodarzu mój — rzekł — nie godzi się to, abym ja chleb wasz jedząc, wam ościami oczy wykalał... ale ci Słowianie, Polanie, Wilki, Milżyńcy i jak oni się tam zowią, to dla nas dobra rzecz... Są oni jak staw, w którym się ryba rodzi. Gdy Geronowi lub wam szczupaka na stół potrzeba, siedzicie na konie i jedzicie na rybołówkę na pewno... Trzeba wam niewiast, nabierzecie ich sobie do wyboru, trzeba parobków, i tych dostarczą lasy i osady... tak samo jak bydła i owiec i miodu i wszelkiego łupu...

Gozbert się nieznacznie uśmiechał, a Wigman mówił dalej.

— Mnie się widzi, miłościwy grafie, że gdyby ze Słowian i Polanami pokój nastał, gdyby się oni pochrzcili i przyszli z pokojem, uczyniliby wam krzywdę niemałą...

— Dałby to Bóg — przerwał starszy z duchownych — aby wiarę świętą przyjęli!..

— Ale cóżby naówczas robił Gero na wschodniej granicy, coby poczynił cny Gozbert, nie mając nic do roboty?... a naostatek może i takiemu jak ja, odrąconemu od pańskiego oblicza Wigmanowi, oni Słowianie na co się przydali...

Gozbert popił z kubka, węża pokręcając zadumany.

— Co się tyczy Słowian wszystkich — rzekł — nie troskajcie się, do przyjęcia wiary przez nich daleko... W Czechach, gdzie na gwałt kościoły budują, po lasach tak ofiary sprawiają jak dawniej, lud stoi przy swoich drewnianych bożyszczach i niełacno je porzuci...

Włast, który milczał dotąd, nie mógł się powstrzymać, by nie rzec cicho.

— Da Bóg, że się to odmieni...

Spojrzeli nań duchowni i Gozbert, a z pogardą zdala oczyma zmierzył Wigman, lekce go sobie ważąc widocznie.

— A jakże się to ma zmienić?... — zapytał Gozbert.

— Nie jest to już tajemnicą żadną, że kneź Mieszko żeni się z córką Bolka czeskiego Dubrawką, która chrześcianką jest... Z nią, przy pomocy Bożej, wiara Chrystusowa do nas zawita i rozkrzewi się.

Gdy Włast wyrzekł te słowa — do nas — z uwagą większą poczęli nań spoglądać wszyscy. Wigman w niego wlepił oczy.

— Kapłanów nam tylko mężnych a gorliwych potrzeba...

— dodał Włast — szczególnież coby język ludu rozumieli i przemawiać doń mogli.

— Sto lat upłynie, sta kapłanów zginą... — począł Wigman — a wy, z waszą dziczą ślepą nie przejrzyście... Słowianin jak szczenię ślepo się rodzi, ale pies prędko przeziera, a on nazawsze ślepy zostaje!..

Na te uwłaczające narodowi wyrazy, Włast zarumieniwszy się zrazu odpowiedzieć nie umiał cesarskiemu powinowatemu, który z własnego porównania śmiał się sam, bo mu jakoś nie wtórowali drudzy.

— Duchownym jestem — odezwał się Włast w końcu — nie przystoi mi nic innego, tylko obelgę znieść i przebaczyć... Miłościwy panie — dodał jakby natchniony — jako od duchownego przyjmijcie to życzenie, aby

was Bóg nie pokarał i nie upokorzył, a oreża wam przed owymi ślepcami składać nie zmusił...

Słyszac tę odpowiedź dumny Wigman, z oczyma zaiskrzonymi i pięścią zaciśniętą zwrócił się do Własta.

— Milcz ty klecho jakiś — zawołał — a dziękuj swój sukni i gościnie téj, że ci na wieki pyska wszetecznego za to życzenie zamknąć nie każe... Wigman ani przed cesarzem, bratem swym nie upokorzy się nigdy... cóż dopiero przed parszywymi jak wy poganami...

Mowa ta gwałtowna, nieprzystojna, a niezasłużona, znać się nikomu z przytomnych nie podobała, bo wszyscy umilkli, duchowni zaś na Własta spojrzeli, jakby chcąc się przekonać, co uczyni i jak się znajdzie.

— Dziękuję wam, miłościwy panie — odezwał się Włast, iż mnie cierpliwości uczyć raczycie, a przypomnacie naukę Zbawiciela, która uderzonemu w policzek drugi nastawiać każe. Najędźniejszy i niegodny sługa Boży szczęśliwy jestem, gdy cierpieć mogę...

Wigman już prawie odpowiedzi téj nie słuchał, że dzbana nalał sobie miodu i pić go zaczął chciwie, plecami się potem zwróciwszy do Własta, spał tak na rękę, by na niego nie patrzył i mógł nawet o przytomności jego zapomnieć.

Czas jakiś panowało milczenie, duchowni wszyscy z pewną ciekawością i poszanowaniem spoglądali na Własta, który już zupełnie ochłonawszy i pobladłszy, spokojnie na swém miejscu siedział. Gozbert parę razy nań spojrzął tak, jakby téż z odpowiedzi, którą za zuchwałą uważał, nie bardzo rad był.

Wigman zaś unikając nowój zaczepki i przedmiot rozmowy chcąc zwrócić ku czemu innemu, począł mrucząc opowiadać, wedle powszechnej w owym czasie wiary, iż mu ojca jego duch często się nocami okazywał, co on miał za sprawę jakąś i pokusę szatańską.

Starszy z duchownych na te słowa odezwał się.

— A dłaczegóżby w istocie duch ojca waszego nie miał przybyć do syna żądając od niego pomocy?

— Boć — zawołał Wigman — włóczyć się duchom umarłym po ziemi, na której już nic do czynienia nie mają, pewnie pan Bóg nie dopuszcza...

Mówił to szydersko, gdy starszy z duchownych wysłuchawszy go, począł:

— Jest rzeczą jednak pewną i mnogimi przykładami wiarogodnych osób stwierdzoną, iż duchom zmarłych częstokroć bywa dozwoloném ukazywać się na ziemi.<sup>[5]</sup> Gdy świętej pamięci król Henryk, ojciec miłościwego pana cesarza naszego Ottona, wielką mocą podbił Czechów, Dalemilców, Obodrytów, Wilków, Hawłów i Redarów, a przywiódł ich do posuszeństwa, dzięki te plemiona udając uległość i pokorę zrazu dań składały i siedziały spokojnie. Lecz nie potrwało to długo, gdyż ze zwykłym sobie uporem wnet potem, korzystając z tego, iż król Henryk gdzieindziej był zajęty, powstały nagle i wielkimi tłumami napadły miasto nasze Walislewo, szturmem je opanowały i rzeź sprawiwszy straszną, z dymem je puściły. Aliści nie dał im się Henryk długo cieszyć owocem zdrady i pomścił na ich grodzie Łencynie krzywdę swoją. Walislewo zaś nanowo odbudowano.

Tu nowo ustanowiony pleban, pobożny człek, zwykł był zawsze o pierwszym brzasku zorzy iść do kościoła na jutrznię.

Raz gdy doń tak zmierzał i wszedł na cmentarz, zdumiał się mocno i osłupiał widząc zgromadzony ogromny tłum ludzi, cisnących się do nieznanego kapłana stojącego we drzwiach kościoła i przynoszących mu ofiary... Zrazu tak był widokiem tym przerażony, iż naprzód kroku postąpić nie śmiał... Nabrawszy jednak mężstwa, począł się przez tłum ów przeciskać z podziwieniem nie widząc między ludźmi ani jednej znajomej twarzy. Szedł tak ku drzwiom kościelnym, gdy na drodze spostrzegł niewiastę przed tygodniem zmarłą, która go spytała, czego by on tu żądał?.. A gdy jej opowiedział, iż modlić się szedł, odparła mu, że już modlitwy i bez niego odprawione zostały, dodając — a ty też niedługo na tym świecie żyć będziesz.

Zamilkli wszyscy i Wigman też, który cierpliwie słuchał, gdy drugi kapłan dodał, iż w Magdeburgu nocą w kościele kupców coś podobnego widywano, że się tam dusze zmarłe nocą, zapalwszy świece na ołtarzu, zbierały i odprawiały psalm 99, jutrznię i laudes, a gdy brzask dnia nastawał, wszystko to znikało...

Zaczem i najmłodszy kleryk, nieśmiałym głosem, zapytawszy ojca duchownego o pozwolenie, dodał ku temu, jako z ust szanownego starca słyszał, iż za biskupstwa czcigodnego Baldryka, który na Utrechtskiej siedział stolicy, w mieście Doventer, kościół bardzo stary i napół rozwalony, podniesiono i nanowo poświęcono. Ustanowiony pleban, jednego dnia rano bardzo przybywszy cicho do kościoła, ujrzał go pełnym nieboszczyków, przy światłach zapalonych, odśpiewujących pieśni kościelne. Natychmiast o tém doniósłszy biskupowi, otrzymał rozkaz od niego, aby następnej nocy sam się w kościele na straży spać położył... Tak się też stało... aliści ledwie usnął, gdy go zbudził hałas i porwany przez zmarłych wraz z pościelą precz z kościoła wyrzuconym został. Biskup ścierpieć tego nie mogąc, surowo mu polecił, wzięwszy z sobą relikwie święte i pokropiwszy wodą święconą, stać na straży kościoła... Spełnił rozkaz jego pleban, lecz oka zmrużyć nie mógł i modlił się... Aliści o godzinie zwykłej tłum nieboszczyków znowu wtargnął do kościoła i z miejsca pochwycając kapłana, złożyli go przed wielkim ołtarzem, tu go na wolnym ogniu paląc, aż zgorzał... Poczem biskup post trzydniowy i nabożeństwo za dusze zmarłych nakazał.

Gdy młody duchowny skończył, najstarszy z nich potwierdził to opowiadanie i wszyscy zamilkli. Średni zaś siedzący za nim, dodał:

— Nie godzi się nam śmiertelnym wiedzieć więcej, a jak św. Paweł upomina: „Każdy ma rozumieć wedle swęj miary, jaką mu Bóg wydzielił.“

— Moja zaś miara tak jest maluczka — dodał Wigman — iż ja niewiele z tego wszystkiego rozumiem.

Zgorszono się tém powiedzeniem wielce, ale krewniakowi cesarskiemu zmilczano.

Już też i on i Gozbert, zmęczeni tą rozmową i kuflami, ziewali, wyciągali się i szukali innego przedmiotu, a

że nieszpornego nabożeństwa nadchodziła godzina, starszy z kapłanów wstał, prosząc, aby ich do zamkowej prowadzono kaplicy.

Syn grafa Gozberta Dodo, ze ściany wzięwszy klucze, począł iść wiodąc ich za sobą.

Włast też im towarzyszył. Zeszli z pierwszego piętra znowu w podwórze zamkowe i aż do końca jego pod stołb się dostawszy, tu gdy drzwi mocne dębowe Dodo otworzył, znaleźli się w niskiej i ciemnej izdebce za kaplicę służącą. Jedno okno oświecało ją z głębi, naprzeciw którego ołtarz stał skromny, a przy ścianach ławy i siedzenia dębowe. Taż sama prostota jak w mieszkaniu, panowała w domku Bożym, który świeczniki miał drewniane tylko i wszystek niemal sprzęt takiż. Chrystus też podobny wiszący na krzyżu, okryty koszulką, z włosami na głowie, ścianę jedną zajmował. Najstarszy z duchownych rozpoczął nieszpory, a inni mu wszyscy odpowiadali. Nabożeństwu temu jednak z zamkowej gawiedzi nikt nie był przytomnym, nawet młody graf Dodo do ojca powrócił.

Już słońce było nad zachodem, gdy wszyscy czterej kapłani z kaplicy wyszedłszy, a przykrząc sobie znać towarzystwem dumnego Wigmana i zaduszném izby powietrzem, na ławie kamiennnej w podwórku naprzeciw studni usiedli dla rozmowy.

Włast szczególnie obudzał ciekawość ich i radzi byli dowiedzieć się o losach jego a przygodach.

On też tajenia się z niemi przyczyny nie miał i na zapytania odpowiadając, całą im swojego żywota historię opowiedział. Naostatek gdy do podróży téj przyszło i jej celu, rozgrzany nadzieją uczynienia czegoś dla kraju, powstał Włast z ławy i złożywszy ręce, jął mówić do starszych kapłanów.

— Ojcowie i panowie moi, do was zwracam teraz mowę moją serdeczną. Ażali nie lepiej i nie zgodniej z nauką Zbawiciela kraj nasz nawrócić niż burzyć go i niszczyć... Pragniemy wiary i wołamy apostołów...

Z niebezpieczeństwem życia dostałem się tu ufając, iż dla nowej owczarni, dziś szczupłej jeszcze i maluczkiej, pasterza tu znajde. Dajcie mi go...

Wysłuchawszy téj mowy starszy mu odparł, że sam podobne apostołstwo między świeżo ledwie nawróconemi pogany mając w Mysznach, choćby pragnął, oddalić się nie może. Zarazem jednak ku towarzyszowi średnich lat, śmialego oblicza i pogodnej twarzy się obrócił.

— Ojczy Jordanie — rzekł — językaście Słowian i obyczaju a zabobonów ich świadomi... ażali wam, miasto spokojnej plebanii, wojownicze pasterstwo, gdzie nieustannie wilki odganiać trzeba, się nie uśmiecha?

Zamilkł ks. Jordan i zadumał się.

— Więc bym miał moje owieczki opuścić na polu, a szukać obcych i nieznanych? — zapytał z uśmiechem po chwili.

— Mój ojczy — odparł Włast — owieczki te wasze już drogę z pola do owczarni znają i pasterz dla nich się rychlej znajdzie, niż dla tych naszych zdziczałych, które wilcy chwytają na pustyni...

Wprawdzie kneź nasz Mieszko ani sam chrztu jeszcze nie

przyjął, ani mógł ludowi wiarę nową ogłosić. Cierpliwym to jest pan i rozumny, a choć w nim stary poganin się odzywa... i walczy z rodzącym się neofitą, w Bogu nadzieję mamy, iż zwycięży ostatni... Przez niewiastę przyszedł grzech na świat — dodał Włast — ale też przez niewiastę przyszło na świat odkupienie i przez niewiasty wszędzie, jak owe co balsam niosły, wchodzić będzie wiara między narody... I nam ją przyniesie Dubrawka, pani wielkiego męztwa, która się nie lęka nieochrzczonego rękę podać kneziowi, aby go do chrztu przywiodła.

Ks. Jordan wysłuchawszy mówiącego Własta, ujął go rękami obiema i pocałunek dał mu braterski, wołając.

— A wieluż was tam jest takich jak wy... ojczyźnie Matja?

Wstydem zapłonęło oblicze młodego duchownego, spuścił oczy i dodał.

— Ojczyźnie mój, takich jak ja znajdzie się pewnie wielu, a lepszych życzę i spodziewam się... Nabierzcie tylko ochoty do apostołstwa i jedźcie ze mną... jedźcie ze mną. To mówiąc ukląkł i za nogi go uściśnął, a powstawszy mówił dalej.

— Ojczyźnie mój! niewymowną miłością kocham tych moich braci zostających w ciemnościach, ten kraj mój odcięty od świata, który wy dzikim zowiecie i pogańskim. Tak... czci on bałwany i światła nie zna, bo mu go nie ukazano... ale, wierzcie mi, żadne plemię może tak usposobionem nie było do poznania i umiłowania prawdziwego Boga... Pradziadowie nasi nie znali też tylko jedno Bóstwo najwyższe, wszechmogące, zabobon natworzył duchy pomniejszych, ojcowie nie znali wielożęstwa... niewiasty nasze niepokalaną sławiły się czystością, mężowie gościnnością dla swoich zarówno i obcych... Gdy słowo Boże padnie na tę rolę żyzną, wierzajcie mi, zrodzi ono owoce złote...

— Tak, mój synu — odparł starszy duchowny — chcę wierzyć, że cię nie zaślepią miłość ku swoim, lecz rola ta żyzna chwastem od wieków zarosła i krwią ją polewać trzeba...

— A cóż czynili apostołowie, po odejściu Chrystusa pana? ażali im nie polecono nawracać narody i nieść światło w najodleglejsze światła końca? rzekł Włast.

Tak rozmawiając a ożywiając się nieznacznie wyszli z podwórca i przeszli bramę, w której straż stała, znaleźli się prawie sami niewiedząc jak, w pierwszym podwórku zewnętrznym, w którym większy jeszcze ruch i wrzawa panowała niż zrana. Tłum zamkowy do bramy pierwszej się cisnął, w którą właśnie kupa ludzi zbrojnych, wracając z wyprawy jakiejś, wjeżdżała... Okrzykami witano tych bohaterów licho zbrojnych w ładajackie blachy kawałki, oszarpanych, obłoconych, pokrwawionych i pijanych...

Konie na których jechali ludzie grafa Gozberta, ledwie się na nogach trzymały i robiły bokami, obciążone przez jeźdźców i sakwy łupami wyładowane. Na czele gromadki jechał wielce do pana swego podobny, otyły brzuchacz osiwały w tych wyprawach i rozbestwiony niemi, z brodą szarą, umazany na rękach krwią, z wargami sinymi i oczyma czerwonymi... Ująwszy się w bok spoglądał dumnie po za siebie na jadących pachotków.

Ci do koła opasywali razem z trzodą pomieszanych ludzi, po większej części rannych, sińcami okrytych, z głowy odkrytymi, z rękami w tył powiązanymi. Pomiedzy niemi szły i kobiety młode, prawie nagie, z włosami rozpuszczonymi, zapłakane, niosące dzieci na rękach lub tulące twarz i piersi ze wstydu...

Mało było starców — niewiele dzieci... Te których płacz im dokuczał, niemcy po drodze o drzewa im głowy roztrzaskując, poporzucali... okropny widok wystawiała ta gromada jeńców, a jednak serca chrześcijan tych nie poruszały się litością, śmiano się i radowano dziko z tej niewoli pogan... których nie wyżej od bydła ceniono...

Rycerze grafa Gozberta stojący na zamku, zbiegli się wszyscy przypatrzeć niewolnikom, szukając między niemi nad kimby się zwierzęco znęcać mogli. Oprócz ludzi prowadził ów Moryc dowódzca oddziału, stado owiec tłustych i kilkadziesiąt bydła sztuk... witanych okrzykami przez załogę...

Hałas i wrzawa w dziedzińcu i wesele było tak wielkie, że siedzący dotąd z Wigmanem u stołu Gozbert, któremu syn doniósł o powrocie Moryca, wyszedł się też pocieszyć widokiem łowów szczęśliwych.

Były one w istocie pomyślniejsze jeszcze niż się na oko zdawało... W liczbie jeńców, których Moryc wiodł za sobą, był skrepowany dwakroć powrozami sławny wódz słowian Samo, który napadał od dawna niemieckie osady i neliłościwie je plądrował. Nie miał on litości nad niemcami i od nich się też jęć nie spodziewał... Nie ujeli by oni Samona, gdyby nie zdrada. Inny Wend imieniem Zmiej, który się z nim zadarł, naprowadził nań niemców, i śpiącego dał im w ręce. Samo się bronił wściekle, ale jeden cóż mógł przeciw dwudziestu... — Przeszyty kilką strzałami, z głową roztrzaskaną, pokaleczony, związany nareście, włókł się tu milczący, wiedząc, iż na śmierć idzie... W sercach innych ludzi byłby obudził politowanie, tak mężnie i dumnie niósł niedolę swoją.

Człowiek był żubrzej siły i rozrostu, ogromny, ponurego wejrzenia i twarzy spalonej. W tej chwili spływająca po niej krew nie dozwalała rysów dopatrzeć, białka oczów tylko świeciły na twarzy oblanej zczerniałą posoką. Ani jęk, ani słowo nie wyrwało się z ust jego... oczu prawie nie raczył zwrócić na katów. Patrzył w ziemię i na tych co szli razem z nim w niewolę pędzeni. Smagano go biczem, rzucały dzieci kamieniami, nie drgnął nawet... Uragano mu się, nie słuchał...

Włast, któremu ten człowiek przypominał tylu podobnych braci, spojrzął nań z politowaniem. Towarzysze jego duchowni patrzali ze zgrozą. W tłumie opowiadano o tém co Samo wyrządzał niemcom...

W tej chwili wyszedł graf Gozbert, a Moryc zsiadłszy z konia, do nóg mu się pokłonił wskazując zdobywcę, którym był dumny...

Graf poklepał go po ramieniu.

— Samona waszej miłości przywiodłem! zawołał dowódzca — mogę się pochwalić tą zdobywcą. Dziewcząt młodych jest ze sześć, niewiast kilka niczego, ludzi do roboty zdatnych tylko braliśmy, starców pozabijano. Dzieci kilkoro dla księdza przyprowadziłem, aby je

pochrzcił. Małych bardzo nie było co żywić, bo ktoby tam je chował te gadziny...

Graf Gozbert opatrywał łupy... rad był widocznie...

— Cóż z Samonem, wasza miłość uczynić każe? — zapytał Moryc...

— Powiesić! i to zaraz! — odparł graf krótko — jutro święto jest... nie warto go psuć taką robotą.

— Powiesić pod ręce, aby się męczył dłużej — dodał Moryc — bo jużci tak krótką, łagodną śmiercią tego zwierza się pozbyć nie godzi... zasłużył na to, aby się z nim pobawiono... Naszym wydzierał wnętrzności...

— Zróbcie z nim co chcecie — mruknął graf, byle do jutra było skończonym...

Jutrzejszy dzień chcę poświęcić nabożeństwu cały...

Obszedłszy do koła owo stado ludzi i zwierząt, z którego widoku się radował, tu Gozbert jeszcze raz oświadczył swe zadowolenie dowódcy, obiecał mu nagrodę i poszepnął coś do ucha... a sam ku pierwszemu podwórzu się zawrócił.

We wrotach stali duchowni, oprócz może ks. Jordana i Własta, spoglądający zimnym okiem na męczarnie nieszczęśliwych jeńców, którzy już na ziemię padli odrętwieli znużeniem... Depcząc po nich, chodzili pacholankowie, i wybierali a dzielili ich, gdzie który miał być zapędzony... Jęków ni skarg słyszeć nie było... dzieci tylko płakały...

Uprzedzając noc i spełniając rozkazy grafy, Moryc kazał wywlec Samona za mury, opatrywszy miejsce, gdzie być miał powieszony... Samo spędzony wstał i wleczony sznurami, wyszedł znikając z oczów przytomnym...

Mrok padał gdy duchownych wezwano na wieczerzę do grafy... Zastali tu zastawiony stół rybami i mleczymem, ponalewane dzbany, a Wigmana przed ogniem wyciągniętego na ławie... Wszyscy jak zrana pozajmowali miejsca swoje. Starszy kapłan odmówił Benedicite... i biesiada poczęła się zrazu milcząca... Pierwsi do misy sięgnęli Wigman i grafowie, potem duchowni, naostatek szary koniec, Włast i młody kleryk przy nim siedzący...

Rozmowa nie była jak zrana poważną, Gozbert unikając tego, nastroił ją wesoło, a choć miał u stołu kapłanów, nie wahał się dopuszczać żartów cynicznych. Wigman wszakże nie dał się niemi rozbudzić z odrętwienia, jakie go napadło, mówił mało, zdawał się drzemającym i pogrążonym. Zamknął się cały w sobie, jak gdyby osnuwał coś potajemnie...

Gdy Gozbert doń mówił, zdawał się nie słuchać.

Tak, mimo usiłowań gospodarza wieczerza dosyć upłynęła smutnie... Wigman tylko, gdy się psy pod stołem gryźć zaczęły o skorupy od jaj, ości od ryby i resztki jadła, które im rzucano... ozwał się, jak sam do siebie.

— I pies ma pamięć krzywdy, a pragnienie zemsty... jakżeby człowiek miał ją zapomnieć?

A gdy na mówiącego patrzano, dodał.

— Byłem raz u krewniaka mojego Arnolfa, który nad Bawarią miał władzę, siedzieliśmy u stołu z wielu innymi, gdy do człowieka jednego nagle poskoczył pies, ugryzł go i uciekł.

A że nikomu innemu nic złego nie uczynił, zdziwiło

to nad miarę wszystkich... I postrzeżliśmy, że człowiek ów drżał cały pomieszany, którego gdy naglić poczęto, ozwał się głośno. Pies ten wiedział co uczynił — pana jego spotkawszy śpiącego w lesie ubiłem...

Naówczas on próżno obronić się go starał, dziś mnie obwinia i zemstę wywiera... i widzę to, że lub tu, lub na przyszym sądzie, wszelki winowajca nie uniknie kary.<sup>[6]</sup>

Skończywszy opowiadanie, Wigman dodał głośno...

— Chociażby był cesarzem!!

Wychylił potem kubek i dodał jeszcze — a Wigman, choćby psem miał zostać, pomści się i ukąsi...

Nierad tej mowie, Gozbert popatrzał groźnie na Wigmana, ale dumny krewniak cesarski, nie zważając na to bynajmniej, zamyslił się znowu i tak do końca wieczerzy, na gospodarza już ani patrząc, ani doń mówiąc słowa, pozostał...

W milczeniu pijących porzucili duchowni, i przed północą, dla jutrzejszych mszy, udali się na spoczynek...

Gdy Włast izby swój górnej, w której mu posłano wraz z klerykiem, okno otworzył, ujrzał w świetle księżycy, na belce z muru wystającej, zawieszona ciało Samona, którego głowa opadła na piersi, koniec męczarni zdawała się zwiastować... Okropny ten widok łzy mu na powieki wycisnął...

Na jedno oka mgnienie, błysnęła mu wątpliwość — czy chrześciance ci prawdziwymi są synami Bożymi, i wnet, jako grzech odpychając ją, padł na kolana, aby się modlić.

#### IV.

W kilka dni później Włast już ze swój wycieczki powracał — uspokojony tém, że nie jechał sam.

Obok niego po prawej ręce, w milczeniu odmawiając pacierze kapłańskie, ks. Jordan rozpatrywał się po kraju, w którego granice już wkroczyli...

Ten sam to był kapłan, którego opatrność mu nastreczyła na Adlerburgu, u grafy Gozberta. Z niemałą trudnością udało mu się go nakłonić.

Nie miał nic, czemu go mógł pociągnąć i zachęcić, nie ofiarował mu nic oprócz apostołstwa, widoku walki a może męczeństwa.

Lecz obok poczwarnych istot, które wieki te rodziły — religia chrześcijańska ile kroć padła na serca czyste, na umysły wielkie, na wybranych — tworzyła z nich ludzi poświęcenia i świętych.

Ks. Jordan był kapłanem już z apostołstwem obeznanym, od młodości w tej pracy zahartowanym. Opowiadał on ewangelię i po dzikich zakątkach, kędy się promień światła nie wcisnął nigdy jeszcze, i tym możliwym na pół nawróconym, co światło czyste obracali na swój użytek, czyniąc z niego przewrotnego sługę... Wiedział już jak mówić było potrzeba do tych, co nigdy nie słyszeli, i do tych co słyszane źle zrozumieli.

Mąż był cierpliwości niezmordowanej i niewyczerpanej, mocy ducha niezmożonej — wesela przytém wewnętr-

nego pełen i spokoju...

Wielka prostota i dobroć łączyły się w nim z rozumem jasnym... Wiedział on, że oddając się na usługi Mieszkowi i krajowi do dawniej wiary przywiązaniem, będzie miał wiele trudności do zwyciężenia, nie nagłych a przechodzących, ale powracających i upartych. Uśmiechało mu się to jednak być pasterzem trzody nowej i przez siebie samego stworzonej. A po drodze nim na gród przybyć mieli, starał się zawczasu objaśnić o ludziach i związku tego, co go tam oczekiwało.

Mieszka rad był odgadnąć, a o tém właśnie i Włast mu najmniej umiał powiedzieć. Domyślali się go ci, co żyli z nim, nikt powiedzieć nie mógł, by go znał.

Od granicy już Włast, któremu jego kraj najpiękniejszym się w świecie wydawał, ukazywał go ks. Jordanowi wychwalając.

Kapłan znajdował go smutnym...

Przerażała go niezmierna ilość kamieni słupów Tryglówowi i Światowidowi poświęconych, źródeł, miejsc ofiarnych, dębów i gajów, w których ślady objat i obrzędów pogańskich napotykali. Świadczyły one o przywiązaniu ludu do swęj wiary, przepowiadały niezmierną pracę, jaka tu apostołów czekała.

Lecz Włast szeptał, że gdy wszystkie te miejsca jak w Czechach, poznaczone zostaną krzyżami i niejako ochrzczone, będą służyć téż ku opamiętaniu i nawracaniu...

Ks. Jordan musiał zrzucić swą suknię duchowną, wdziąc odzież używaną w kraju, a że języka był świadom, mógł uchodzić prawie za krajowca. Już w drodze rozmawiając z Włastem i Sulinem starał się swoją serbszczyznę nałamywać na język polański, mniej naówczas daleko od niej różny, niż później się wyrobił...

Powierzchność nawet przyszłego pasterza, choć wojskową i rycerską nie była, nie raziała niczém nadzwyczajném, a odznaczała się powagą, pozwalającą go brać za zamożnego władkę.

W ciągu drogi im dłużej obcował z nim Włast, im poznawał go bliżej, tém się więcej rozmiłował w nim, a przekonywał, iż go nie traf ślepy, ale opatrność wybrała sama, na trudny obowiązek pierwszego apostoła — i pasterza.

Ponieważ oba drogą znużeni byli, a mało zbaczając mogli się wprzód dostać do Krasnej-góry, niż nad Cybinę, Włast postanowił naprzód do siebie zawieść ks. Jordana, dać mu tam spocząć, i dopiero drugiego albo trzeciego dnia wybrać się z nim na dwór książęcy.

Przyjął tę myśl podróżny, rad będąc, że lepiej pozna kraj, i już zdążali ku Krasnej-górze, o której Włast myślał nie bez tęsknoty i miłości. Wyrzucał sobie nawet to przywiązanie zbytne do miejsc, w których przebył dzieciństwo, prawie je grzeszném uważając.

Droga wiodła lasami, już po trosze z liści jesienią ogołconemi. Z niecierpliwością pewną Włast wyglądał dworu i cieszył się, że pocziwego Jarmierza zobaczy... Wjechali wreszcie w ten gaj, który dwór z boku osłaniał. Włast nie mógł pojąć już dla czego dworu widać nie było... gdy nagle pobladł i konia wstrzymał, takie go

opanovało wzruszenie. Całej siły ducha użyć musiał, aby się zdobyć na wyrazy.

— Bądź wola twoja!

Stary dwór w Krasnej-górze był zgłiszczem tylko. Sterczały z niego pozostałe niedopalone belki... ogniska kamienne, obalone ściany. Z budowli nie pozostało nic. Pogorzelsko straszny widok przedstawiało... Kilku ludzi błąkało się około niego, a Jarmierza teraz dopiero ujrzał Włast leżące na ziemi w opalonej odzieży..

Pożar nie musiał być dawny, gdyż, choć wygasło wszystko, gdzieniegdzie dymiły węgle jeszcze. Za dworem, ze spalonych szop wypędzone stały trzody, a przy nich siedzieli ludzie spoglądając ku miejscu, przez które przeszło zniszczenie.

Włast skoczył z konia, a Jarmierz podniósł się z ziemi powoli, podchodząc ku niemu z załamanemi rękami. Zbliżył się téż i ks. Jordan...

— Mój Jarmierzu — zawołał Włast — jakże się to stało? Co było przyczyną? odezwał się Włast widząc nieme go chłopaka, któremu rozpacz niedozwalała ust otworzyć.

Jarmierz obejrzał się ostrożnie.

— Nie wiem... nic nie wiem — rzekł trwożliwie — w nocy ogień się wziął ze czterech rogów zagrody — i nie było ratunku. Ocaliliśmy co się wynieść dało.

Włast nie śmiał spytać o kaplicę... Jarmierz wskazał mu tylko leżące na kupie sprzęty, zapasy, odzież i broń, między którymi i najdroższy kielich ofiarny się znajdował.

W lasku na prędce sklecony szałas, dozwolił spocząć przynajmniej, bo noc nadchodząca do grodu przybycie utrudniała. Resztką zapasów starczyła dla niewymagającego ks. Jordana i gospodarza. Siedzieli milczący spoglądając na spalony dom rodzicielski, którego ruina Włastowi z oczów łyż wyciskała. Jarmierz upokorzony był i znękany tém, że pod jego opieką zostawione domostwo taki los spotkał. Pocichu zaczął opowiadać, że przed wieczorem dnia tego widziano kilku w okolicy kręcących się dziadów, Wargę i dwóch jego towarzyszy, że przed parobkami od kilku dni odgrażano się puścić z dymem dwór, w którym chrześcianie się schadzali i swoje składali ofiary. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż mściwa ręka podłożyła ogień, a parobcy podmówieni ratować nie chcieli, wcześniej jakoś swoje mienie wyniosłszy.

Włast wprędce opłakał swą stratę, i złożył ją jako jedną więcej ofiarę dla wiary, którą przyjął... Należało myśleć o odbudowaniu.

Jarmierz już nie czekając przybycia pana, wysłał z siekierami do lasu... Lecz, taż sama ręka nie mogłaż zrzucić żagwi, i zniszczyć nowego domostwa?

Na to nie zważając Włast budować rozkazał, postanowiwszy w duchu pierwszą izbę dokończoną poświęcić jako kaplicę Bogu — i uczynić ją domem modlitwy...

Smutny był nocleg ten pod szałasem, na modlitwie w części i na cichej rozmowie z Jarmierzem spędzony. Od niego dowiedział się Włast, że gdy płomień buchnęło, i łuna od niego nad całą okolicą rozgorzała, którą i nad Cybiną widać było, przypadli komornicy wysłani od

Mieszka na zwiady, i pomagali do ratunku. Kneź więc zawiadomionym był o stracie jaka spotkała Własta.

Nad rankiem odprawivszy pacierze, dwaj duchowni ruszyli z tych zgłiszczów ku Poznaniowi, i stanęli na grodzie właśnie, gdy Sydbór i Mieszko ludzi nowo zaciężnych opatrywali i liczyli. Wszystko się tu zdawało przysposabiać jakby do wojny...

Ruch był na zamku wielki.

Oddziały jedne nie uzbrojone jeszcze przyciągały, drugie z dowódcami odchodziły. Broń dobywano ze skarbców, liczono się z jęj zapasami w Gnieźnie, nad Cybiną, po innych gródkach Mieszkowych.

Zdała już bystre oko pańskie poznało przybywającego Własta, i mały orszak jego, policzyło znać ludzi i postrzegło nieznanego w tęg kupce. Zaledwie z koni zsiąść czas mieli, gdy Mieszko nadszedł z twarzą, jak zawsze spokojną i wesolą. Nie spojrział nawet na ks. Jordana, jak gdyby go widzieć nie chciał, i ozwał się zdała do syna Lubonia.

— Dobrze się stało, że starego dworu pozbyliście się — na pół był już spruchniały. Musicie już wiedzieć o tęg.

— Tak, miłościwy panie.

— Nie frasujcież się, stanie nowy... idźcie do Dobrosława...

Skinął ręką, a sam do Sydbora powrócił. Ks. Jordan pilno mu się przypatrujący, nie rzekł słowa i poszedł za swym przewodnikiem. Dobrosław tęg najrzawszy ich, spieszył naprzeciw i zabrał z sobą do izby, gdzie się swobodnie rozmówić mogli.

Gdy weszli do niej, a drzwi się za nimi zamknęły, Dobrosław rękę ks. Jordana ucałował i posadził na pierwszym miejscu, a sam zwrócił się do Własta z ubolewaniem.

— Kneziowscy ludzie — rzekł cicho — wysłani z tęg na łunę, w powrocie z Krasnejgóry pochwycili w lesie dwu dziadów, którzy się podłożeniem ognia przechwalali. Przyciągnięto ich tu na gród i posadzono do ciemnicy... a kneź choć się waha i wzdraga, pono dla przykładu da ich obwiesić obu... Lecz że lud ich szanuje, a narodu drażnić nie chce... nie wie sam jeszcze, jak postąpi...

Obawiając się, aby z jego przyczyny krew się nie lała, Włast posłyszawszy to, natychmiast pobiegł do Mieszka i spotkawszy go wracającego do dworu, do nóg mu padł, prosząc o przebaczenie dla dziadów.

Mieszko zdziwił się mocno.

— Oni ci przecie szkodę wyrządzili... i zemsta ci należy!

— Miłościwy panie — odezwał się Włast — chrześciance zemsty nie znają... nauka nasza nieprzyjaciołom nakazuje przebaczać i kochać ich... Błagam was...

Mieszko rad był może, iż się od narażenia narodowi w chwili tęg uwolni, więc gdy Włast prośby powtarzał, ręką skinął i rzekł mu.

— Czyńże z niemi co sam chcesz...

Nie tracąc chwili, Włast poszedł do ciemnicy, w której Wargę i towarzysza jego zamknęto. Gdy mu wrota do tego lochu w wałach wygrzebanego otworzono, ujrzał dwu dziadów leżących na ziemi, którzy go wzrokiem dzikim powitali milczący. Warga go poznał i nie wątpił, że wydany na pomstę Włastowi dozna straszego losu.

Nie ruszył się więc nawet, na wszystko będąc gotowym. Włast się zbliżył.

— Za cóżeście pod moje domostwo ogień podłożyli? — zapytał.

Starcy dwaj popatrzyli długo na siebie, jakby się oczyma radzili, co odpowiedzieć mają. Po chwili Warga zamruczał.

— Co się pytasz? rób swoje...

— Nic wam złego nie uczyniłem — odezwał się Włast — ślepi jesteście i nie wiecie, co robicie, ani za co mnie prześladowacie... Wy uczyniliście mi krzywdę — dodał — ja wam za nią płacę dobrém i wyprosiłem u knezia, że mam prawo wypuścić was na wolę... Idźcie i uchodźcie... a pomnijcie, że ta wiara co uczy dobrém płacić za złe, lepszą jest...

Warga słuchając z pewnym rodzajem wzgardy, uśmiechał się, a gdy Włast dokończył, ruszył się wnet biorąc za kij i dając znaki towarzyszowi, by za nim pospieszał.

— Wasza wiara — mruknął — głupia jest... bo ty mnie puszczasz wolno, a ja z ciebie się śmieję i co w sercu mam, to zachowam...

Nie spojrzawszy na Własta wychodził już z lochu, potem zwrócił się ode drzwi.

— Nie śmiecie Wardze nic uczynić — zawołał — nie śmiecie! wiecie że on silny... i że za niego mścić się będą, dlatego puszczacie wolno... Nie bójcie się, drugi raz w ręce wam nie popadniemy, a dostaniecie się wy w nasze...

Dokończył śmiechem dzikim i poszedł.

Włast stał, zawrzał w nim gniew na chwilę, ale nowy chrześciance był wiernym nauce swojej i kłamu jęg zadać nie chciał, zniósł więc to urągowisko i pogróżki, zwyciężył się i dał ujść obu dziadom, którzy natychmiast pobiegli ukryć się mu z przed oczów, znajomemi sobie drożynami przemykając się ku gajowi i świątyni.

Nauka, jaką im Włast dać chciał, była straconą, ale on w sumieniu swoim spokojnym pozostał.

Gdy Dobrosław oznajmił Mieszkowi o towarzyszu, którego z sobą Włast przywiózł, kneź nic mu nie odpowiedział. Zdało się, jakby znowu ulegając jakiemuś wpływowi czy obawie, cofnął swe postanowienie wcześniejsze, nie zapytał więcj o niego i zostawił Dobrosławowi wolę rozporządzenia się i działania jak chciał.

Ks. Jordan więc za poradą jego został z nim razem, oczekując zręczności, by mógł przemawiać, nauczać i kierować. Na oko nic żadnej nie zwiastowało zmiany, z Czech tylko zapowiadano przybycie kniehini Dubrawki, ale i to pokryte było jakąś tajemnicą. Kneź małomówny na zapytania odpowiadał niejasno. Na zamku wszystko było w gotowości.

Jednego poranka Włastowi kazano jechać do Pragi, dodano mu tych samych ludzi, którzy towarzyszyli w pierwszej wycieczce, a gdy o cel podróży zapytał, Mieszko mu rzekł.

— Pokłońcie się odemnie...

Rad że się do chrześciancego kraju dostanie, Włast był posłusznym, pożegnał ks. Jordana i pojechał.



Na zamku znowu to samo stare życie się wiodło bez zmiany, tylko nowy apostoł, któremu jego bezczynność dolegała, nie pytając nikogo, z kijem w ręku, począł szukać owieczek. Często po całych dniach go na grodzie nie było, a gdy Dobrosław już miał wysyłać szukać go niespokojny, wracał nagle, wesół i rozpromieniony, zapewniając go, że Opatrzność bozka nad nim czuwa i nic mu się złego stać nie może. Niezmiernie prędko rozpatrzył się ks. Jordan w kraju i jego stosunkach, a zetknąwszy się z kilku ochrzczoneymi dawniej, przez nich, jak po nici, trafił do innych, lub tam gdzie siane ziarno zejść mogło.

Okolo niego potajemnie skupiać się zaczęli wszyscy dotąd rozpierchli, nabierając otuchy.

Mieszko widywał go i o nic nigdy nie pytał, udając, iż o niczym nie wie. Jednego dnia z nim i Dobrosławem poszedł wiodąc ich do gaju i świątyni, jakby to miejsce chciał im ukazać, ale nie rzekł nic. W kilka dni radził obu z Sydbórem jechać do Gniezna i obejrzeć Lechową górę a ostrów na jeziorze, gdzie stały świątynie pogańskie.

Wśród tego spokoju, który usypiał pogan, tłumaczących go sobie jak Warga, obawą; nagle, jednego dnia, Mieszko nadzwyczajnie począł czynić przygotowania.

Dwóchset ludzi dobrano z przybocznego orszaku co najdorodniejszych i wydano dla nich odzież paradną, oręż drogi, i konie ze stad najpiękniejsze. Ze skarbcza podobywano naczynia najdroższe i przeniesiono do izb na dole, gdzie biesiady się odbywały. Mieszko ostatnią swą ulubienicę z wianem bogatym odprawił do rodziny, stara Różana została w niewieścim dworcu sama jedna, i płakała z obawy, aby i jój, niemającej już tu co czynić, nie oddalono. Mieszko kazał ją przywołać do siebie, weszła smutna, choć zawsze strojna i niżej niż zwykle do nóg mu się skłoniła.

— Masz wiedzieć — rzekł kneź — że żonę biorę z wielkiego domu, kniehinę sławną... Jak strzegłaś tamtych, tak i tej służyć będziesz, nad jój dworem mając dozór... Pilnujże, byś na jój łaski zasłużyła... a rozkazy spełniała...

Różana pokłoniła się raz jeszcze, chcąc coś pomówić, bo do mówienia zawsze niepomierną miała ochotę, lecz Mieszko nakazał milczenie i poszedł niewieści dwór i izby oglądać. Stały komnaty puste, smutne, ale z przepychem pańskim przygotowane na przyjęcie gościa wielkiego, aby czego tylko kniehini zapragnąć mogła, znalazło się pod ręką. Cienkie tkaniny, kobierce wschodnie, złote i srebrne naczynia, misy, nalewki, dzbany, świeczniki świeciły porostawiane wszędzie. Śpiżarnie pełne były łakoci, piwnice napojów, a kwiaty, na jakie się jesień zdobyć mogła i wonne zioła porozrzucano wszędzie.

Gdzie dawniej wrzawa niespokojnych niewiast po całych dniach się rozlegała, teraz cicho już było jak w grobie. Jedną z najpokaźniejszych izb w głębi dworca kneź kazał zostawić pustą, nie mówiąc o jój przeznaczeniu.

Tegoż wieczora Mieszko poszedł do siostry.

Domyślano się tam zawczasu, co się na zamku gotowało, a Górka nie bardzo była może rada nowój pani i nowemu

porządkowi, nie wiedząc, jak się zgodzi z nieznaną bratową. Podejrzliwém okiem spoglądała na brata i przyjęła go z należnym poszanowaniem, ale milcząco.

Kneź usiadł zadumany i począł się jój przypatrywać.

— Nie juźci téż, Górka... zamążpójście na myśl nie przychodzi? — zapytał nagle.

Siostra się zarumieniła mocno, bo po wiek wieków żadna niezamężna dziewica nigdy się przyznawać nie zwykła, by sobie stan zmienić życzyła. Zawsze się to uważa za nieprzyzwoite pożądać czepca. I Górka téż z dumą pańską odpowiedziała bratu, po chwili namysłu.

— Miłościwy panie, być może, iż wam się mnie pozbyć chce z domu, alem ja nie zatęskniła w nim nigdy...

— A przecie — odezwał się kneź — tak tu wiecznie nie możesz pozostać. Szkodaby krasy i młodości... Ale to moja rzecz męża wyszukać, wiano dać i sprawić wesele... Górka się zarumieniła mocniej jeszcze, kneź spojrział z ukosa.

— Nie bój się — rzekł — znajdę ci takiego, co będzie godnym pięknej jak ty kniehini... Ty wiesz, że ja Bolkową córkę biorę, abym jedną nogą w Czechach stał, czekając, póki dwoma nie będę mógł stąpić... Ona chrześcianka idzie za mnie... ty téż chrześcianką zostać musisz, a poniesiesz z sobą tę wiarę do Ugrów, którym rękę podamy, aby Czechów trzymać zawsze grozą i nie dać się<sup>[7]</sup> im uciskać... Dziki to naród, wojowniczy, ale straszny... Musieli się na nich wszyscy niemcy zebrać do kupy nad Lechą, aby zwyciężyć... a w domu oni niezwy- cieżeni... Tobie tam panować przystało i królować...

Górka nie odpowiedziała nic, bo niewieście naówczas, choćby rodu pańskiego, swojej woli mieć się nie godziło. Mieszko mówił napół do niej wpół do siebie, uśmiechając się myśli swój.

— Nie obawiaj się, brat ci krzywdy uczynić nie da, a jeśli z domu jego wyjdiesz, nie pożałujesz zamiany... Od tej wiary nowój, którą niemcy swoją zowią, nie obronimy się już. Zewsząd nas ogarnia... panuje wszędzie... wojować z nią nie można... ale przyjąwszy ją, nią wojować będziemy choćby z cesarzem...

W sprawie wiary Górka nie miała pono tak samo woli, jak w sprawie własnego losu; słuchała wiedząc, że uczynić będzie musiała co każą. Westchnęła tylko, bo ją straszono surowością chrześciaństwa.

— Wiara to straszna!.. — wymówiła pocichu.

Brat nie odpowiedział długo.

— Gdyby w istocie taką była, czyżby ją tylu ludzi mogło wyznawać?.. — rzekł po namyśle.

Zamyślił się i westchnął, może mu na pamięć przyszły dawne gody i swoboda, lecz nie rzekł nic.

Siostrę pogłaskał po twarzy i zwolna wysunął się z dworu.

## V.

Nazajutrz rano świetnie przybrany dwór, starszyzna, stolnicy, ceśnicy, służba, pachołkowie, rycerstwo, Sydbór, który przywdział zbroję świecącą, naostatek Mieszko sam w płaszczu bramowanym złotem, wyjeżdżali z

grodu nad Cybiną. Nikt nie wiedział dokąd i na jak długo. Na zamku gotowano się na przyjęcie mnogich gości. Kogo? domyślać się tylko było można. Mieszko nie miał zwyczaju tłumaczyć się nikomu.

Dobrosław został w grodzie mając dozór nad przygotowaniem.

Tegoż samego dnia ks. Jordan potajemnie wyszedł zamknąć się w izbie przy dworcu przyszlęj kniehini zostawionéj. On i Dobrosław przez cały dzień znosili tam naczynia i szaty, nie wzywając nikogo do pomocy i nie biorąc z sobą ludzi.

W izbie téj, której okno zewnątrz napół przysłonięte było, tak że zajrzeć do niej nikt nie mógł, ks. Jordan urządzał kaplicę, z tą radością i przejęciem, jakiego może doznawać kapłan, pierwszy ołtarz stawiając w kraju pozbawionym prawdziwéj wiary. Lice jego promieniało, trzęsły się ręce, gdy sam zaścielał ten stół ofiarny białemi ręczniki, ustawiał na nim świeczniki, ubierał go i przyozdabiał, gdy błogosławił modląc się i krzyż na nim wznosił, przed którym on i Dobrosław odmówili przęjętą modlitwę.

Pierwsza kaplica zamkowa nie wyglądała wspaniale, był to ołtarz jakby obozowy tego wojska, które tu za wiarę walczyć miało. Gromadka, co się u stóp jego zbierać mogła, szczupłą jeszcze była i izba ta aż nadto dla niej starczyła.

Tu w obecności jednego Dobrosława pierwszą mszę odprawił przyszły pasterz owczarni rozpierchłéj i zmuszonéj ukrywać się długo jeszcze.

Mieszko o swoim nawróceniu nie mówił nic; Dobrosław kilka razy rzucał pytania i nie otrzymał odpowiedzi.

Orszak, który z kneziem na czele wyruszył z zamku nad Cybinę<sup>[8]</sup>, pociągnął ku granicy zwykłą drogą. Jesienna pogoda powolnemu pochodowi sprzyjała. Dni wyrachowane być musiały.

Wieczorem położono się w lesie u saméj rubieży na uroczysku, które się zwało Zawite. Rozbito namioty, postawiono szałas, rozpalono ognie, wysłano dokoła straże i noc upłynęła cała niemal na czuwaniu.

Nazajutrz kazał kneź obóz zwinąć, lecz z miejsca nie ruszył.

Słońce ku południowi wybiło się po nad mgły i świeciło letnim blaskiem, gdy rogi słyszeć się dały zdala i straż nadbiegła oznajmując o zbliżającym się orszaku czeskim.

Siadł Mieszko na koń, a dwór jego cały ustawił się w porządku.

Zdala już widać było okazały orszak, który kniehinie prowadził. Towarzyszył jéj wedle obyczaju brat, mnoga liczba panów i dworu ojcowskiego, poczet wojskowy i nieporachowany sznur wozów, które szły jedne za drugimi, strzeżone przez zbrojnych ludzi. Oddział pancernych zamykał w końcu wspaniały ten pochód, któremu przygrywali na trąbach i rogach gęźbierze.

Kniehini jechała na pięknym koniu obok brata, w suknie złocistą przybrana, w płaszczu na ramiona zarzuconym, złotemi blaszkami naszywanym. Na widok Mieszka zarumieniła się mężka jéj twarz i oczy śmiało nań

spojrzały.

Nie było to trwożliwe dziewczę, ale towarzyska pańska i niewiasta czująca się królową.

Bolko młodszy o kilka kroków ją wyprzedził, witając Mieszka, poczem oba z koni zsiadłszy, szli do Dubrawki, która téż z wierzchowca się spuściwszy, lekkim ukłonem pozdrowiła męża swojego. Ale Mieszko inaczej ją chciał witać... i śmiejąc się objawszy w pół, całe pogańskim obyczajem, zarumienioną w twarz pocałował. Podano sobie ręce. Wesele malowało się na licach.

— Jesteście miłościwa pani — zawołał Mieszko — już na moję, a razem na swéj ziemi, gdzie ja gospodarzem... Przystało tę dobrą godzinę uczcić dobrą myślą...

To mówiąc skinał na stolników swych i rękę jedną Dubrawce, drugą podawszy Bolkowi, powiódł ich pod dęby nade drogą, gdzie rozestane było sukno i naczynia stały z jadłem i napojami. Dla obu téż orszaków beczki były pogotowiu. Tymczasem gęźbierze grali wesoło na trąbach i rogach i lica się śmiały wszystkim. Dwa dwory czeski i polski po raz pierwszy zbliżyły się ku sobie przyjacielsko podając sobie dłonie i próbując języka, który obu posługiwał zarówno, prawie będąc jednakim.

Z kniehiną mnogi lud jechał, niewiasty, usługa, dworacy, duchowni, panowie... lecz na przyjęcie było pogotowiu wszystko na drodze i starczyłoby dla liczniejszój jeszcze drużyny.

Wmieszany w ten dwór stał Włast w towarzystwie kilku duchownych, między którymi surowa twarz i uboga suknia O. Prokopa zwracały oczy Mieszkowego orszaku. Dziwnie wydawał się im ten człowiek stary, w odzieży prostéj, w obuwiu wyszarzaném, z głową postrzyżoną, podobny do żebraka, a śmiało obracający się wśród świetnego orszaku panów, który mu okazywał uszanowanie.

Nie biesiadowano tu długo, gdy oba kneziowie powstawszy dali znak dalszego pochodu. Przyprowadzono konie i Mieszko stanął na swoim obok Dubrawki, której lice nie zdradzało najmniejszój obawy, uśmiechając się owszem weselem i ciekawością.

Od granicy poczynał się ten kraj nieochrzczony jeszcze, pełen jawnych oznak pogańskiego bałwochwalstwa, na którego widok lica duchownych pochmurniały. Dubrawka jednak nie ulękła się stojących na rozdrożach bałwanów i zdawała na nie uwagi nie zwracać. Wesołemi żarty skracano podróż, którą z nadzwyczajnym odbywano pospiechem.

Gdy na drugim przystanku spocząc koniom było potrzeba, Mieszko ujrzawszy Włast, zawołał go ku sobie i łaskawie pozdrowił.

— Weź kilku ludzi i lepsze konie — rzekł — pojedźcie przodem o nas oznajmić, aby wszystko było pogotowiu. Tak więc choć znużony drogą, Włast musiał natychmiast, nie spoczywając, przodować orszakowi. Ostrożność ta była zbyteczna, gdyż na grodzie dzień i noc stał lud mnogi, gotów na przyjęcie kniehini, i starszyzna, żupanowie, władcy, kmiecie już byli zgromadzeni. Oni i orszaki ich napelniały nie tylko gród, ale zalegały pola nad Cybiną i Wartą. Mnogie téż tłumy ciekawych z

uczuciami różnemi zbiegły się patrzeć na przybywającą panią.

Roiło się dokoła ludem, nad drogą wszędzie stały szeregami ciżby niezliczone w oczekiwaniu na to widowisko, którego następstwa napełniały trwogą...

Z tą panią nową jechała wiara nowa, rozpoczynało się życie jakieś nowe, którego przeczucia niepokoiły. Niewiasty płakały, mężowie stali sparci na kijach, zadumani... Starcy przebiegali tłumy z pieśnią żalną. Czuli wszyscy, iż dzień ten zapowiadał życie odmienne. Jakie? nikt nie śnił naówczas, wiedzieli tylko, że ze starém rozbrat wziąć było potrzeba, a z niem zrosło się wszystko, co najdroższém było.

Pośrodkiem tych gromad milczących, które mogły mniej śmiała niż Dubrawka niewiastę przejąć trwogą, przesuwiał się orszak Mieszków i czeszy rycerze a panowie. Już o mil kilka od Poznania drogi były nabite ludem, ale zarazem poczty wojenne stały na nich, siłę Mieszkową ukazując obcym.

Nie ustępowały one pokażnością Czechom, ani urodą, ani orężem. Minęły te czasy, gdy Polanie nasiekiwanemi pałkami i smolonemi oszczepami walczyć musieli, mało mając kruszcu i oręża. Za Ziomomysła już zdobyto i zakupiono dosyć zbroi i mieczów też nie brakło... Żelaza miano obficie i łatwiej nabywać je było, w nadworskich<sup>[9]</sup> miastach handlowych. Wojny z Niemcami dostarczały go także...

Skarbiec Mieszków nieustępował najzasobniejszym, i niewyczerpywał się ale powiększał... Na Czechach widać wprawdzie było ogładę jaką im ściślejsze z cesarstwem i zachodem stosunki przyniosły, ale w wojsku Mieszka więcej było starego słowiańskiego ducha i resztek tego tajemniczego świata, który też w sobie miał wyrobione długimi wiekami życie...

Wśród wrzawy trąb, rogów, okrzyków i śpiewów, wjeżdżała na nową swoją stolicę Dubrawka, tak niewzruszonym umysłem i ciekawemi oczyma mierząc ją, jak owego wieczora nad Wełtawą nieznanego jój jeszcze przybysza, który za męża był dla niej przeznaczony.

Z okna swojego dworca, oczyma zazdrosnemi może i zażawionemi przypatrywała się Górka tej nowej pani... przeciw której wyjść nie śmiała... U drzwi dworu zsiadłszy Mieszko podał rękę żonie i wprowadził ją do wielkiej izby biesiadnej. Tu stali panowie jego, poważne starce z siwemi brody i dorodni mężowie pokłonami witając panią, z góry spoglądającą na nowych poddanych swoich...

Skromny dworzec drewniany ubogo się musiał wydać kniehinie, do murowanych ścian nawykłej, nie było tu nic coby chrześcijaństwo przypominało, lecz drewniana chata Mieszka świeciła nagromadzonemi bogactwami, które nawet panów czeskich zdziwiły... Stoły się uginały pod ciężarem kowanych sreber... wystawionych więcej na pokaz i zdumienie niż z potrzeby... Przyjąwszy cześć i powitanie dworu, który wykrzykiwał wesoło, Dubrawka zwróciła się do Mieszka.

— Panie miłościwy, rzekła — nie uczuję się ja tu ani żoną twą, ani gospodynią, dopóki nas duchowny nie

pobłogosławi...

Mieszko trochę się zmarszczył...

— Kniehini moja — rzekł — obejrzyjcie się po komnatach i podwórzach — policzcie tych ludzi co nas otaczają... to są, jak ja, poganie wszyscy.. Gdybym ja dziś waszemu się Bogu pokłonił, kto wie coby mnie czekało jutro... Dajcie mi czas... a pracujcie ze mną.

— Lecz żyć z wami nie mogę inaczej — odpowiedziała Dubrawka.

Niech ślub zostanie potajemnym, a przecie on dopełnić się musi.

Przystąpił Bolko z naleganiem. Mieszko stał jakby w niepewności co miał począć. Nie położono mu wprzód warunków tego, ani się spodziewał by uleż musiał, a dnia tego zasmucać nie chciał waśnią. Nie rzekł nic — obrócił się patrząc po przytomnych, czy oczyma znak dał komu, czy szepnął słowo... nikt nie dopatrzył, lecz wnet odezwał się do Bolka i Dubrawki — iż im dworce swe i izby wszystkie i komnaty dla żony zgotowane chce okazać... Szli więc zwolna... Mieszko wiedząc kniehinę, Bolko jeszcze jako stał we zbroi i rynsztunku podróżnym, Dobrosław jako przełożony nad dworem.

Czeszy i polscy panowie zostali stojąc w biesiadnej izbie i czekając na powrót pana. Trzy złotogłowem okryte krzesła u osobnego stołu, zgotowane dla nich były...

Przez izby i podsienia Mieszko z pierwszego dworu, skierował się ku mieszkaniom królowej. Tu już niewieście towarzyszki, służbę pani i jój dworaków przyjmowała Różana, która się bogaciej i wykwintniej niż kiedykolwiek przybrała.

Dubrawka przeszła szereg izb, komór, składów pełnych bogactw... nie spoglądając prawie na nie... ostatnie drzwi stały zamknięte przed niemi... W chwili, gdy się do nich zbliżyli, jakby czarodziejską siłą, otworzyły się ze wnętrza i za niemi dała się widzieć światłami płonąca kaplica... U ołtarza bogato obwieszzonego stał ks. Jordan, mając przy sobie O. Matję i O. Prokopa...

Mieszko szedł widocznie chmurny i prawie gniewny, lecz milczący i posłuszny...

Dubrawce oczy się śmiały...

Za niemi wnet zatrzaśły się drzwi i w obliczu kilku tylko świadków, ks. Jordan pokropił naprzód wodą chrztu knezia milczącego... a potem szybko obrzęd ślubu dopełnił... W tych obrządkach musiano ze względu na szczególne położenie, na ważność ich, odstąpić od wielu warunków, zapomnieć o wielu ceremonjach, dopuścić się umyślnie zaniedbań... Szło o to, aby chrześcijańska przysięga związała przyszłych małżonków... Drżącym głosem pobłogosławił im ks. Jordan... i związał dłonie... Dubrawka dopomagała małżonkowi, aby wykonał to, co dla ważności obrzędu koniecznym było. Na twarzy Mieszka malował się niepokój ciągły i zniecierpliwienie, które trwało dopóki nie wyszli z kaplicy i nie wrócili do oglądania komnat z drugiej strony dworca położonych.

Z twarzą weselszą jeszcze Dubrawka z mężem i bratem wróciła do biesiadnej izby... aby zasiąść w wianku dziewiczym, którego, jak mówiła, nigdy zrzucić nie chciała na przygotowanym siedzeniu obok męża i brata...

Polańscy panowie mogli się teraz przypatrzeć kniehini, którą każdy ciekaw był nietylko zobaczyć, lecz odgadnąć. Nie zdawało się to trudnym. Na pierwsze wejście Dubrawka, nadto będąc dumną by się ukrywała z czémkolwiek, wydawała się z wesołem usposobieniem, z odwagą i męzkim niemal charakterem. Mieszko przy niej zdał się daleko do odgadnięcia trudniejszym... Śmiała się ochoczo i głośno, wyzywała żarty i oświadczała wręcz, że zabawy i płasy lubiła bardzo...

Polańskim panom nawykłym do bojaźliwych niewolnic zahukanych, kniehini wydała się jakby nową całe istotą. Dla dzikich nieco ludzi miała urok ta śmiałość czeskiej niewiasty... stającą od razu niemal na równi z mężczyznami, okiem, mową i odwagą...

Mieszko śmiał się z nią razem, łagodnie i dobrotliwie, zdawał niemal uległym, przecież kniehini czuła w duszy, że nie łatwo go pokonać i podbić potrafi.

Instykt mógł ją tego nauczyć.

Śmiałość i samowola z jaką się Dubrawka ciągle okazywała jawnie, słabego człowieka byłyby uczyniły niepewnym siebie i chmurnym. Mieszko brał to lekko, wtórował śmiechowi i wesołości, jakby je w dziecku spotykał.

Pod koniec uczy, przeciągającej się długo, goście, wedle zwyczaju, zaczęli nowo zaślubionym, składać podarki... i u nóg młodej pani zebrała się góra cała osobliwszych rzeczy, które o zamożności starych rodów świadczyły...

Dziękował Mieszko; śmiało i wymownie, jakby stara znajoma, dziękowała młoda pani. Dziwowali się jej wszyscy, że tak od razu przystała do ludzi, do domu, do nowej ziemi i nowych poddanych. Mieszko też poglądał niekiedy z ciekawością na ożywioną jej twarz i jasne oczy, w których najmniejszego wahania się i niepewności widać nie było...

Po uczcie, która się przeciągnęła, nastąpiły płasy i tany, ale kniehini, choć im poklaskiwała, okazując, że nie są obojętne, tego dnia nie chciała iść z drugimi, i pozostała przy mężu. Wkrótce też Bolko ją odprowadził do dworca, a Mieszko znikł także, zostawując Sydbóra w zastępstwie swém, by gości uraczał, nie dając im się oddalić.

Weselne ucztowanie musiało trwać dni kilka bez przerwy w każdym domu, tém bardziej w książęcym...

Nazajutrz też od rana stoły były pozastawiane wewnątrz dworca, i w podwórcach karmiono poczty wojenne polskie i czeskie, które się zabawiały wyścigami, rzucaniem pocisków i strzelaniem... Jak poprzedzającego dnia tak tego tłumu ludu okrywały wały przypatrując się widowisku i biesiadzie...

Szczęściem surowy dozór zapobiegł by wśród tego rozochocenia, chrześcianie z poganami, polacy z Czechami nie powasnili się o lada co. Czeski dwór czując wyższość swoją, lekce czasem sobie cenił i prześmiewał polan, a w tych niecierpliwa krew wrzała, i hamować było trzeba nieustannie, aby z małej sprzeczki duża bójka nie urosła. Chodziła też starszyna naglądając i ładząc natychmiast, gdziekolwiek głośniejszy krzyk usłyszała lub zaognione postrzegła lica.

Ludzie z pocztów kneziowskich i do dworu należący, już przygotowani i oswojeni z wielą nawyknięciami chrześcijańskimi, godzili się z niemi, słuchali opowiadań i poufale przestawali. Wewnątrz grodu wesoło szło i ochoczo, lecz gromady, które stały zdala na wałach wpatrując się w igrzyska te, i kupa starców, wyglądających ze świętego gaju groźną i smutną miała postawę.

O. Prokop nawykły do swobodnego obracania się w Czechach, wiedząc, że i tu już wiara miała opiekę i obronę, wcale nie czuł potrzeby zachowywania pewnych ostrożności i ukrywania się z sobą. Zaraz też drugiego dnia, z innym duchownym, wybrał się, zastyszawszy coś widać o zakładaniu kościoła, aby miejsce nań przeznaczone obejrzyć. Jak wszędzie tak i tu duchowieństwo na poświęconych czci bałwanów uroczyskach, na posadach świątyń i słupów, stawiało kościoły i krzyże, i tu więc, gaj i świątynia zdała się przyszłej pierwszej katedry polańskiej miejscem koniecznym. O. Prokop ze spokojem i odwagą, niepostrzeżony wyszedłszy ze dworca, przesunął się przez tłumy na podwórcach zebrane i posunął ku gajowi...

Przystęp do niego dla obcych był wzbronionym, jakby na straży stała tu kupka dziadów i wróżbitów, którą kapłan pominawszy wszedł pod drzewa, kierując się wprost do kontyny.

Lecz zaledwie kilkanaście postąpił kroków, gdy straż na znak jakiś dany jej przez jednego ze starszych, pobięła za nim. Zdała patrzący na to Dobrosław, ujrzawszy ją z podniesionymi kijami, lecących z wściekłością za O. Prokopem, miotających przekleństwa i rozjadłych, natychmiast pobiegł na ratunek. Nim miał czas dojść na miejsce, już starcy pochwycili byli kapłana i targając go, bijąc, ciągnęli z sobą ku chramowi... O. Prokop ani mógł się bronić przeciw rozjuszonej zgrai, podarto na nim suknie... niesiono go niemal na rękach, gdy krzyk naprzód Dobrosława dał się słyszeć, a wnet on sam napadł na zuchwałych wróżbitów. Wściekłość ich była tak wielka, że nawet Dobrosławowi z trudnością przyszło wyrwać im z rąk czeskiego księdza...

Nie śmiał zaś wołać na pomoc ludzi, ani zajęcia tego czynić widoczniejszym, bo łatwo i lud z wałów i pijani wojacy mogli się wmieszać a powszechny zamęt i bójkę wywołać. Ulękli się wreście i uspokoili owi stróże świątyni, i O. Prokop, choć oszarpany i potłuczony mógł się z pomocą obrońcy ze szpon zajadłych starców oswobodzić.

Co najprędzej wyciągnął go z sobą z gaju Dobrosław, tłumacząc mu, że jeszcze tu żadnych środków do wprowadzenia publicznego wiary przedsięwziąć nie było czasu i że póki sam kneź ich nie obmyśli, dawne zwyczaje pozostać muszą w swój sile...

Tak szczęśliwie wypadek, który mógł grozić zamieszaniem, przeszedł prawie niepostrzeżony i O. Prokop wrócił do dworca, mało co wzruszony niebezpieczeństwem własnym, lecz niespokojny o przyszłość swą kniehini i kraju, tak nieprzygotowanego do nawrócenia. Na dworcu tymczasem i sama kniehini i towarzyski jej wyprawiały wesołe płasy, nuciły śpiewy... a polańscy

panowie podziwiali te niewiasty, jakim podobnych nie widzieli. Dubrawka zyskiwała sobie serca uprzejmością swą i niecierpliwa równie jak O. Prokop, nie wahała się coraz rzucić słowo o nowój wierze.

Dziwnie się to apostołowanie mogło wydawać wśród zabawy, lecz młoda pani przejęta była swém posłannictwem i w środkach spełnienia nie przebiegała; panowie téż czescy naśladowali ją w tém porywczém apostołowaniu, i pod koniec dnia pochmurniały twarze, między czechami a Polanami zaczynało się dawać czuć oziębienie, rozdział jakiś, coraz widoczniejszy. Mieszko zdala patrzył, milczał, nie mówił nic, ale chmurniejszym był...

Trzeciego dnia nie ustawały stoły pańskie i zabawa, lecz nie szła ona jak z razu. Poprzedzającego dnia bójek na grodzie było kilka, lud warczał jakoś na przybyszów...

Czwartego rana sam na sam naradzał się kneź z Sydbórem i Dobrosławem, gdy śpiewając, z wesołą swą twarzą i pańskiem wejrzeniem weszła Dubrawka. Na widok jój pogodniejsze téż oblicze przybrał Mieszko, a oczyma swoim towarzyszom wskazał, aby ich samych zostawili.

— Mieszku, ozwała się widząc ich ustępujących Dubrawka — weseliliśmy się ochoczo trzy dni całe, czas przystępować do dzieła!

Mieszko popatrzył trochę zdumiony...

— Duchowni czekają... nie ma co zwlekać i nawracanie o chrzest rozpocząć należy.

— Piękna kniehini moja — rzekł Mieszko — ieśli<sup>[10]</sup> niewiasty twojego dworu zechcecie nawracać — czyńcie, proszę, ale co do mojego narodu — zostawcie mnie staranie. Jedyne to sposób byłby, żeby nic nie uczynić lub głową nałożyć — gdybyśmy się porwali nagle i nie przygotowawszy...

To mówiąc wstał, pocałował żonę śmiejąc się i rzekł do niej...

— To moja sprawa...

Stała jeszcze zdumiona i trochę zmieszana Dubrawka, gdy kneź dodał.

— Jeden z tych, których wyście z sobą przywieźli, wczoraj o mało życiem nie przypłacił nieopatrności... bo go ledwie z rąk zajadłych ludzi wyrwano. Twoi Czesi nie zdali się do nawracania bo nas nie znają. Miłościwa pani, damy im podarki bogate, ale ich ztąd odprawim do domu...

Dubrawka, która najwięcej liczyła na swój dwór, zasmuciła się bardzo, lecz Mieszkowi się przeciwieć nie było sposobu... Z twarzy mu patrzyło, że choć śmiał się, ale żelazną miał wolę...

— Nie zleknieciez się zostać tu wśród nas pogan, samój?

— dodał Mieszko. Dubrawka, choć może w istocie czuła trwożę, okazać się jój wstydzila. Mężka jój dusza brzydziła się nią.

— Z wami przecież zostanę — obawiać się nie mam czego...

Mieszko się jój dziękczynnie uśmiechnął.

— Ja, rzekł, znajduję duchownych, wyszukam ludzi — godzinę naznaczę, a gdy ta przyjdzie i powiem, że chrzest muszą przyjmować — przyjmą... Kto się oprze —

zginie. Lecz nim się to stanie, mój dwór i moje wojsko, mojm być musi, aby mi naród nie był groźnym... W jednym dniu odmieni się twarz téj ziemi... a no, dzień ten ja jeden wiem...

Miłościwa moja — ja sam poganinem jeszcze jestem... nawróćcie wprzódy mnie i nauczcie... słucham was często i nie rozumiem. Co u nas cnotą było, u was jest występkiem; co u was się zowie pięknem, nam się wydawało złem.

Ruszył ramionami.

— Mięsa mi zakazują jeść... a zkądże ja wezmę siłę?

Zemsta zbronią, a któż się mnie będzie lękał?

Dubrawka słuchała go... i zwolna może przekonała się, że to nawrócenie, które się jój tak łatwem wydawało... było dziełem nie jednego słowa...

Musiła spuścić głowę i zamilknąć. Mieszko ujął ją pod rękę.

— Tymczasem chodźmy a weselmy się, a wy, kniehini moja, zabawiajcie się ze swojemi, których pożegnać musicie.

Czechów odprawić trzeba i dlatego, aby naród nie rzekł, że ja ich dla wprowadzenia nowój wiary potrzebowałem...

Wyszli milczący i skierowali się ku dworowi, w którym pomieszane głosy gędźby, śpiewy, wrzawę i śmiechy słycać było...

Grali czesi na rogach i piszczałkach, kilku gęslarzy u drzwi śpiewało, za stołami piła starszyzna i pokrzykiwała... inni nucili pieśni razem aż się rozlegało. Wszystko to umilkło, gdy kneź się ukazał z żoną, ale natychmiast skinął, aby byli myśli... wesołej...

I znowu huczało a brzmiało do koła...

Tego wieczora Włast, wyprosił się u knezia, aby mu było wolno do Krasnejgóry zbiec na godzinę. Skinął mu głową przyzwalająco, i O. Matja, któremu wrzawa weselna przykrą była, natychmiast dosiadł konia, biegnąc na swoje zgorzelisko...

Mrok już padał, gdy się znowu znalazł na skraju lasu, i jak za pierwszym razem, zastawszy tu spalony dwór, teraz znowu uląkł się i stanął osłupiały.

Nie mniej go zdziwiło to co tu ujrział... bo mu się téż cudem niemal wydało. W miejscu zgłiszcza stał już nowy dworzec, daleko obszerniejszy od pierwszego, gotowy, dokończony, pokryty, ogrodzony tynami... odbudowany cały do najmniejszej szopki...

Oczom zrazu wierzyć nie chcąc, Włast podjechał pod wrota, i miał zsiadać, gdy z drugiej strony nadbiegł Jarmierz, a za nim kilku parobków. Ze zdumienia niewiedząc co mówić, Włast wprost poszedł do dworu... Jarmierz mu towarzyszył. Gdy się sami znaleźli w progu, odwrócił się ku niemu Włast i spytał.

— Jak to być mogło, ażeby dwór stanął tak rychło?

— Z rozkazu knezia, ludzi gromada naszła wielka, odezwał się Jarmierz. Jam z mojemi patrzył tylko z założonemi rękami...

Dworzec nowy pobudowany był podobnie do starego, lecz wyższy od niego, okazańszy i obszerniejszy... W miejscu komory, w której zmarł Luboń i gdzie była kaplica... staraniem Dobrosława nowy ołtarz stanął ze

wszelkim do służby Bożej przyborem.

Tu naprzód, na kolana padłszy Włast, zalany łzami, modlił się długo...

Wstawał jeszcze poruszony i przejęty cały, gdy w progu ujrzał postać niewieścią... Nie mógł on poznać jęj zrazu, osłonioną miała twarz i głowę czepcem zameżnych niewiast... dopiero zbliżywszy się do nięj... gdy mu się do kolan kłaniała, ujrzał w nięj siostrę swą Hożę...

— A zkądże ty tutaj?— zapytał... jakim sposobem?

Hoża poczęła od rzewnego płaczu... zaszła się, tuląc twarz w chustach i nie mogła mówić długo...

— Gdzie mąż twój? — zapytał Włast...

Po nowych łzach i płaczu domyśleć się mógł brat, iż jakiś los nieszczęśliwy spotkać musiał Wojśława; nie chciał już naglić o odpowiedź... bo Hoża coraz nowemi zalewała się łzami.

Jarmierz, który za nią stał, szepnął mu na ucho, że dziesiątnicy Mieszkowi długo się za nim z jego rozkazu uganiiali, nocą go napadli w chacie leśnej, związanego wzięli na gród, a tam nazajutrz Mieszko obwiesić go kazał...

Hoża oplakując męża, niewiedząc co począć ze swém sieroctwem, i wdowieństwem, pieszo przywlokła się do rodzicielskiego domu... w którym musiała szukać przytułku.

Upewnił ją Włast, że pozostać może, i mieszkać jak u rodzica, pocieszając zasmuconą. Zdziwiło go tylko, że kneź, który go widywał ciągle i mawiał z nim prawie co dnia, ani o odbudowaniu dworu, ani o sprawiedliwości domierzonej nad Wojśławem, nie wspomniął nigdy.

Pan był milczący i zamknięty.

Tak, w nowo odbudowanym dworze, pierwszy wieczór spędził Włast, któremu siostra po staremu usługiwać chciała... Nie dopuścił jednak tego, rozkazując jęj usiąść razem do stołu, przy którym i Jarmierz zajął miejsce... Radowało się serce jego myślą tą, że opatrność zesłała mu siostrę, aby jak ojciec, nawróconą została. Zdało mu się téż, że i Jarmierza, już przygotowanego, łatwo do przyjęcia nowęj wiary skłonić potrafi...

Ale pierwszego tego wieczora zaraz, gdy z niecierpliwych ust wyrwały mu się już wyrazy natchnione, przekonać się mógł, jak daleko stały pojęcia tych biednych ludzi w nieświadomości wychowanych, wykarmionych życiem inném, od chrześciańskich wyobrażeń...

Hoża wprawdzie słuchała go chętnie, lecz więcej ją zdumiewało to co mówił, niż przekonywało...

Włast postanowił, cierpliwie, powolnie, wytrwale poświęcić się zyskaniu tych dusz... W myśli jego było połączenie siostry z Jarmierzem i oddanie im po ojcu majątności. Sam on dla siebie nie potrzebował nic, chciał wymówić tylko kaplicę i w tym domu pierwszych chrześcian gromadzić. Bliskość zamku, położenie w lesie i na ustroni czyniło miejsce dogodném... Zdawało mu się, że ci, co z dymem raz dwór puścili, drugi już raz ważyć się nań i porwać nie będą śmieli. Najpiękniejszymi marzeniami kołysany, po długiej wieczornęj u domowego ołtarza modlitwie, Włast legł spocząć... nazajutrz do dnia chcąc powrócić do zamku, w którym

spodziewał się zastać więcej ciszy i spokoju... Rano przy drzwiach zamkniętych odprawiwszy tu pierwszą ofiarę za duszę ojca, pomodliwszy się na grobie jego, pożegnawszy czule siostrę, przeprowadzany długo przez Jarmierza, Włast na duchu spokojny i szczęśliwy, na zamek nad Cybiną powracał...

Zawiodł się tylko, sądząc, iż tu już pokój panował, teraz bowiem po przyjęciu Czechów, następowało huczne ich pożegnanie.

## VI.

Po odprawieniu poczestném czechów, których Mieszko obdarzonych sowicie, wkrótce do granicy odesłał — cisza znowu na zamek wróciła, i na pozór nic się w nim nie zmieniło.

Nie poruszono ani chramu w Gnieźnie na górze Lecha, ani staręj na grodzie nad Cybiną świątyni — kapłani chrześciańscy nie odprawiali jawnie nowęj wiary obrządków, żadnemi oznakami nie objawiała się ona na zewnątrz.

Ks. Jordan odprawiał pocichu mszę świętą w zamkowęj kaplicy, ale na nią Dubrawka z trudnością mogła męża przyciągnąć — nowo i dawnięj nawróceni gromadzili się po cichu na Krasnégórze. Gdy następowały dni, które kościół zwykł uroczyscie obchodzić — drogami różnemi zewsząd ściągali się ludzie do dworu Luboniów, i zbierali się w małej kapliczce. Częstokroć przebywali tu po dwa i trzy dni, przyjmowani przez Własta spędzając większą część godzin na nabożeństwie.

Śpiewy dawały się słyszeć coraz śmielęj, i choć się na pozór jeszcze ukrywano, z każdym dniem odwaga rosła w wyznawcach Chrystusowych. Dodawało jęj to co się działo na zamku kneziowskim, a nikomu to tajem nie było.

Jarmierz, z obawy napaści jakięj pilno około dworu stróżował, nie wpuszczano do zagrody tylko znajomych ludzi. Zdawało się téż, iż wróżbici i gorliwsi obrońcy bałwochwalstwa, choć się uparcie przy niém trzymali, cofali się w głąb lasów i ukrywać starali. Można było sądzić, że stracili odwagę do dalszych wystąpień.

Około dworu, choć się czasem niepostrzeżeni snuli różni ludzie, na tych nie zwracano uwagi, gdy się zdala trzymali — parobcy i czeladź mająca stosunki podejrzone, zrzęcznie się ukrywała z niemi.

Jarmierz był już ochrzczony, gorliwie uczył się swych obowiązków chrześcianina; Hoża téż nieopierając się woli brata, słuchała go i zdawała nauki brać do serca.

Na zamku, choć Mieszko na pozór nie czynił nic, robiło się bardzo wiele. Ks. Jordan był duszą wszystkiego, choć niemiec pochodzeniem, był prawdziwym chrześcianinem i przywiązał się dawno do słowian, teraz do polan, których stał się bratem serdecznym. Pan Bóg go stworzył do tego posłannictwa, dając mu anielską cierpliwość, wesele a przytomność ducha, nieopuszczające go nigdy.

Na grodzie zbierały się ciągle kupy wojska, wśród którego ks. Jordan prawie nieustannie się krzątał. Dawał się

spoufalać z sobą, zyskiwał ludzi przysługami i datkami, a potem, na proste umysły, umiał działać bardzo też prostymi środkami. Toż samo, na inny sposób Dobrosław robił u dworu.

Nie upłynął tydzień, ażeby w kaplicy książęcej nie ochrzczono kogoś potajemnie — a każdy neofita stawał się natychmiast narzędziem do nawracania towarzyszków. Z władków i żupanów kilkunastu już dało się skłonić do przyjęcia chrztu, ci w domach swych tygodniami ugaszczali ks. Jordana. Wiara chrześcijańska miała dla nich, oprócz tego uroku, jaki jęj tylko jest właściwym — potęgę jakąś wyższości, siły, która<sup>[11]</sup> z sobą niosła, mającej kraj podnieść i odrodzić, postawić go na stopniu równym innym. Moźniejsi wiedzieli jak stały naówczas chrześcijańskie narody, zamożnością, obfitością wszystkiego, umiejętnością życia w pokoju i wojnie. Przykład Mieszka połączonego z żoną chrześcianką, gotowego do przyjęcia uroczystego tęg wiary (z czego nie czyniono tajemnicy), skłaniał moźniejszych do naśladowania.

Dubrawka otwarcie ich do tego namawiała i nagliła o pospiech. Chociaż wszystko na pozór niby jakaś osłaniała tajemnica — lud, który stał przy swych starych bogach, wróżbici i gęślarze — starszyzna, ofiarnicy — wiedzieli dobrze co się po dworach działo, co na zamku gotowano w milczeniu. Obawiając się jawny stawić opór, zbiegali starowiercy w głębie lasów, knowali i przemyślali nad zemstą, grozili nią, ale na nic się porywać nie śmieli. Starszyzna czekać kazała pomyślniejszég doby, wojny lub zawikłania. Szukano wodza i znaleźć go było trudno.

Mieszko choć milczący i nieczynny — znali go — był im strasznym. Wiedzano, że to co go otacza, dwór, wojsko, urzędnicy będą mu ślepo posłuszni. Nie było zresztą pozorów do poruszenia ludu, bo jawnie kneź nic nie czynił przeciwko staremu obyczajowi.

Z każdym dniem tymczasem rosło a mnożyło się chrześcijaństwo — najmniej jednak między ludem, który trzymał się tego, do czego nawykł od wieków.

Na oko więc spokój był największy, ale kneź wiedział przez swych ludzi, że po lasach wrzało i opór się przysposabiał. Dlatego może, chcąc być pewniejszym zwycięstwa, zwlekał kroki stanowcze... W ciszy uroczystég przyspasabiało się to dzieło, które o przyszłości narodu stanowić miało.

Wśród tego niewidomego trudu, ucierano się na granicy z Geronem i jego namiestnikami, Mieszko wychodził sam, wysyłał Sydbóra — walczył ze szczęściem różném. Nadchodziły wielkanocne święta.

Ks. Jordan wielkie ponosił utrapienie z kneziem, do postu go nie mogąc nałamać, w czém i Dubrawka mało pomogła. Mieszko wcale ich słuchać nie chciał, mięso na stół przynosić kazał, żonę do jedzenia go zmuszał i lekce to sobie ważył. Miał się już ów czterdziestodniowy post ku końcowi, gdy jednego dnia, nagle, zapowiedziano podróż jakąś.

Śmiejąc się Dubrawka, spytała go, czyliby od tęg nakazanej wstrzeźliwości uciekał? Rozciągała się ona bowiem, jak widzimy z opowiadań Dytmara, nietylko do użycia mięsa, ale do wszelkich innych przyjemności

cielesnych, od których się czasu postu powściągać musiano.

Mieszko jakoś na te przestrogi i namowy był głuchym dotąd — i pytanie Dubrawki, zbył dwuznaczném głowy ruszeniem.

Badała go więc dokąd jechał — ale śmiechem i milczeniem odpowiedział — próbowała się dowiedzieć czy zabawi długo — rzekł obojętnie, że tego naprzód obrachować nie może.

Coś tajemniczego, niezwyčajnego podróż ta zapowiadała. Książę wyruszał zwykle w licznym poczcie, teraz zaledwie kilkunastu wyznaczył ludzi. Między innymi, co było najdziwniejsza, i ks. Jordan miał mu towarzyszyć. Suknie i konie, z których baczna Dubrawka odgadnąć coś chciała, wybrane były tak, jakby kneź się ze swém dostojęstwem nie bardzo chciał objawiać. Orszak też ani zbyt lichym być miał, ani nadto okazałym...

Trwoga jakaś ogarnęła żonę.

Znając mężtwo męża, mogła się obawiać, że się zuchwale z garścią tą gdzieś rzucić może. Probowała ks. Jordana o cel wycieczki, kapłan jęj słowem swém zaręczył, że nie zna go, nie wie o niczém, a wezwany posłusznym być musi.

Jednég nocy, dobrze przed ranem, nim się reszta dworu przebudziła, kneź siadł na koń i z tą szczupłą garstką zniknął z grodu. Nie wiedziano nawet w którą się udał stronę.

Stara Różana, która usiłowała sobie zaskarbić łaski nowég pani, tegoż dnia szepnęła jęj po cichu, iż od szatnego się dowiedziała, jakoby Mieszko w podróż szaty i stroje pobrał na krój niemiecki — a ludzi też kazał tak poodziewać, aby ich nie łatwo poznać można, do kogo należeli. Zdawało się więc to dowodzić że się udać musiał do Niemiec, co i towarzystwo ks. Jordana potwierdzało. Wiedziała Dubrawka o tęg, że sąsiadując, a nieustannie mając do czynienia z niemcami, Mieszko od dzieciństwa, języka ich dobrze się wyuczył. Mógł więc przekraść się niepostrzeżony, ale trwogą myśl tęg wyprawy, napełniała serce Dubrawki — bo z twarzy mógł go łatwo poznać niejeden nieprzyjaciel, co go widział z bliska na polu bitwy, lub przy zjazdach i umowach na granicy.

W istocie — Mieszko, nikomu się nie zwierzywszy z tego, dążył ku granicy niemieckieg do Sasów.

Na pół drogi, zjechał się z nim Chotek nawrócony dawnieg wódz Lutyków, z którym stosunki były częste, choć tajemne. Mieszko połączył się z nim, przybrał imię Wrotka knezia, krewniaka jego, i w podwojonym orszaku wkroczyli na niemieckie ziemie.

Nie lękał się od nikogo zdrady, gdyż najmniejszég po sobie nie okazując obawy — jechał jako sprzymierzeniec cesarski — przerynając się ku Quedlinburgowi, gdzie zwykłym swym obyczajem, cesarz Otto, święta miał przepędzać.

Znając dotąd tylko z postuchów kraje niemieckie, Mieszko po raz pierwszy mógł się im przypatrzeć z bliska, a przekonać o wielkieg różnicy między nimi a ziemiami słowiańskimi.

Przejeżdżali miasta, osady, mijali zamki, świadczące o urzędzeniu kraju zupełnie różnym, i na pozór silnym — tak, że wojna nigdy go całkiem spustoszyć nie mogła... Ludzie tu trzymali się spójnie i karnie, wszędzie nad sobą mając władzę surową.

Podróż szła powoli — a w drodze było się czemu przypatrywać. Kościoły i klasztory stojące po wszystkich znaczniejszych osadach, wyglądały wspaniale; dwa razy ks. Jordan zapukał do wrót gościnnych opactw i monasterów, i zgromadzeniom tym, a kunsztom, które one uprawiały, Mieszko się przyglądał ze zdumieniem. W owej epoce przepisywanie ozdobne rękopismów, malowanie, rzeźba, złotnictwo, szczególnie dla potrzeb kościoła i klasztorów, były w rękach zakonników. Oni kuli sprzęty ze srebra, złota i brązu, i okrywali je świetnymi barwami.

Duchowieństwo świeckie i zakonne, nietylko w tém, we wszystkiém przodowało. Tryb życia i porządek był tu całé inny. Siła, która wcale nie istniała u słowian — bo tam kapłanami byli naczelnicy rodzin, starszyzna, kneziowie, wróżbici; siła osobnego stanu kapłańskiego — występująca obok i na równi z władzą świecką, podpierająca ją, kierująca nią zarazem — tu się objawiała Mieszkowi, jako nowa i nieznaną.

W obecnej chwili cesarska potęga Ottona była tak wielką, że sobie przywłaszczała zwierzchnictwo i nad duchowieństwem, właśnie był cesarz zrzucił Jana XII, a Leona VIII na stolicy osadził, zapewniając dla swych następców prawo ustanawiania głowy kościoła — a jednak cesarz ten sam, ulegać musiał duchowieństwu, i w niczém sprzeciwić mu się nie mógł. Otaczało go ono czcią — ale stało na straży prawa i sumienia, wskazywało drogi, broniło fałszywych, groziło karami, rzucało anathemy...

Była to siła nieznaną słowiańskiemu panu — a téj poddać się i on musiał. Stała ona ponad wszystkiém, cesarz kłonił przed nią głową.

Po drodze ustępować musieli z drogi orszakom biskupów, świetniejszym niż świeckich hrabiów i książąt, potężnie zbrojnym, ciągnącym z bogatemi dwory, okazałością i powagą — a choć edykta zakazywały zbroi i hełmu duchownym (wyrzucano ich używanie Janowi XIII), wielu prałatów jechało przy mieczach i w zbroi.

Ks. Jordan opowiadał ciągle, ile to ziem i osad należało do kościołów, ile szlachty wpisało się w ich opiekę i poddaństwo... On mu był tłumaczem wielu zagadkowych rzeczy, które poganinowi, na pierwszy rzut oka, zrozumieć było trudno. Uderzały one silnie człowieka nieobezanego z tym światem nowym, z jego hierarchią i porządkami, ale Mieszko umiał tak pokrywać swe zdziwienie, iż się z niémi nie wydał wcale...

Nie unikali spotkań i znajomości, Chotek towarzyszący Mieszkowi znał tu wodzów i grafów wielu, przed którymi pokornym był sługą, choć w duszy ich nie nawidził — wdawano się więc w rozmowy, i ciekawych spraw nasłuchać się było można. Kneź, z którego twarzy biła buta nieposkromiona, jak mógł pokornego Lutyka udawał... Ten i ów pytał ich, po co i z czém jechali — Mieszko

mruczał, że z pokłonem i ciekawością jedzie, aby tak możnego władzcę jak cesarz Otto zobaczyć. Nikogo to nie dziwiło, ciągnęli również, jak wiedziano, posłowie od Ugrów, Bułgarów, od Duńczyków i Greków.

Było to w wielkim tygodniu, wiosna acz wczesna, niestała była i przemienna, deszcz i śnieg ze słońcem walczyły, drogi kałużami stały, rzeki były wezbrane, i podróż uprzykrzona szła powoli. A tuż ku Quedlinburgowi się zbliżając, coraz było tłumniej na gościńcach.

Wzgórzystsza coraz okolica, piękna dla oka, jeszcze się w zieloną trawę nie była całkiem przybrała, łąki tylko już młodą trawą się okryły... Tu oczów od najrozmaitszych widowisk oderwać było trudno.

Tłumami płynęły ku miastu poczty książąt, grafów, markgrafów, biskupów i wszelkiego ludu. Wśród nich i słowiańskie książątka zawojowane, spotykały się ciągnące z żalami i prośbami do cesarza. Konne te poczty, zbrojne różnie, każdy odziany inaczej, mówiące językami najrozmaitszemi, spoglądały na siebie ciekawie, często nie bardzo przyjaźnie, szydersko nawet i wzgardliwie. Grekom śmiesznie wydawały się obciste frankijskie stroje, bułgarom saskie okrycia głów słomiane, a tym co z odkrytymi włosami jechali, czapki włochów zdały się próżnym ciężarem. Mieszko choć pańsko wyglądał z lica, z małym swym, niepokaźnym orszakiem, ginął w téj powodzi. Było mu to może na rękę, gdyż więcej widzieć pragnął, niżeli być widzianym.

Wiodło mu się też bardzo szczęśliwie, i nie zwracał oczów na siebie, aż o pół dnia drogi do miejsca, ku któremu dążyli — gdy tu — całé niespodzianie, o mało bez niczyjéj winy, zdradzonym nie został... Z rana spuszczać się z góry, natrafili na liczny i okazały poczet, który zdała ciekawość knezia obudził. Dla dognania go konie puszczono klusem i, w chwili gdy się mijać mieli, obróciwszy się Mieszko poznał na przedzie jadącego, szwagra swojego, młodego Bolka czeskiego.

On téż przez niego postrzeżonym został i poznanym, nie pozostało mu więc nic, jeno zatrzymawszy konia, przyznać się do potajemnej wycieczki pod cudzém imieniem.

— Spodziewam się — rzekł Mieszko — że ani wy, ani ludzie wasi, nie zechcecie wydać mnie, kim jestem. Jadę, abym się przypatrzył oczyma własnymi temu, o czém mi ludzie opowiadali — ale nie chcę, aby o mnie wiedziano. Bolko nietylko zgodził się na to chętnie, ale dla bezpieczeństwa większego zaprosił, aby się Mieszko z nim połączył, by jadąc w jego orszaku, mniej jeszcze oczów zwracał na siebie. Tak się téż stało i skromnie w poczet Czechów się wniósłszy z ludźmi swojemi, chętnie zgodził się kneź na podrzędne stanowisko, Bolkowi dając pierwszeństwo.

Chociaż w tym roku, napływ na dwór cesarski mniejszym był może, niż w innych latach, zawsze jeszcze był dość znacznym, aby dać pojęcie o potędze cesarza Ottona. W murach miasta, na zamku, cesarz zaledwie i najbliżsi go z rodziny i dworu, a najdostojniejsi z duchowieństwa, arcybiskupi książęta Kolonii, Krewiru, Moguncyi, pomieścić się mogli — reszta gospody sobie pod namiotami w polu



szukać musiała nad obu ramionami Body.

Poczty pańskie, niemal wszystkie do koła, na równinie i stokach wzgórzów otaczających, rozkładały się obozami, a namioty różnobarwne, szałas i budy, wielką już przestrzeń zajmowały... Gdzieniedzie po nad niemi powiewały małe chorągiewki z przeróżnymi znakami. Wśród ciżby wojskowych i ciurów, tłum najróżnorodniejszych handlarzy, kupców, kuglarzy i posługaczy roił się wykrzykując i nawołując. Bliżej bramy miasta, przy wozach okrytych, kupcy z Wenecyi i Amalfi dobijali się wnijsia dla sprzedaży... Na tysiące liczyć było można poczty panów, które już Bolka i Mieszka poprzedziły, tak, że chcąc sobie dogodnie i niezbyt odległe znaleźć miejsce na obozowisko, musieli szukać długo, dobierać, a potem się o nie prawie z orężem w ręku dobijać jeszcze.

Z samego miasta, mocnymi mury i wieżami obwarowanego, widoczniejszymi były niż pałac cesarski, klasztory i kościoły, niedawno jeszcze z wielką wspaniałością wzniesione i obdarowane. Cesarskiej krwi niewiasty pobożne pierwszemi tu były opactwa przeoryszami; w zamkowym kościele grób sascy panowie wystawili dla siebie, tu spoczął Henryk ojciec Ottona i matka jego. Kopuły i krzyże kościelne wysoko panowały nad grodem.

Zaledwie spoczawszy na wytkniętym obozowisku, które Bolko znamieniem swym na włóczni osadzone naznaczyć kazał, wdziawszy suknie i przypasawszy miecze, Bolko i Mieszko razem poszli do kościoła. Na nieszpornym nabożeństwie najłatwiej mogli ujrzeć zdala pobożnego pana, którego oba oglądać byli ciekawi.

Z niemi i za niemi szedł tłum mnogi z obozu ku kościołom, wśród którego różne narodowości rozpoznać lub domyślać się ich mogli.

Frankijskich strojów prostota mieszała się już z grecką, ze wschodu przywiezioną wykwinnością, krótkie opończe niemieckie ocierały o płaszcze dalmackie fałdziste; szli giermkowie dwubarwni, których odzież napoły była żółta i niebieska, obok rycerzy zbrojnych jakby do wojny z dzidami w ręku, tarczami, nożami u pasa i mieczami. Jedni z długimi włosy i odkrytymi głowami, drudzy w skórzanych, blachami obciążanych hełmach, inni w słomianych kapeluszach i czapkach futrzanych... Wprawniejsze oko mogło rozeznaczyć sasków, bawarczyków, franków i szwabów, włochoń i duńczyków, greków i ugrów w dziwnych strojach przybranych bogato. Fryzyjskie płaszcze, greckie okrycia, jedwab i wełna, składały się na ubiory pstre i jaskrawe, a błyskotkami nawieszane. Dawna prostota franków już ustępowała obyczajowi nowemu. Przepych dworu saskiego i byzancyjskiego odbijał się w hołdownikach Ottona, który Rzym i Włochy zagarnawszy, z nich miłość do wystawności i błyskotek przyniósł z sobą.

Do kościoła zaledwie się już mogli docisnąć. Mieszko po raz pierwszy oglądał zbliżoną budowę z takim kunsztem i okazałością, jakby nie ludzką ręką wzniesioną. Kamiennie jęj ściany wyniosłe, sklepienia wiszące w powietrzu, ozdoby, oświecenie, bogactwo ołtarzów, choć teraz na

wpół zasłonami żałobnymi okrytych, szaty duchownych, naczynia ofiarne, postacie ukrzyżowanego, gołąb złocisty nad ołtarzem zdający się ulatywać w powietrzu, skrzydlate anioły, olbrzymie posągi przejmujące grozą, surowe i straszne, odgłos śpiewów pełnych boleści, uroczysty spokój świątyni i pokora wszystkich w niej znajdujących się, uczyniły wrażenie jakiejś trwogi i niepokoju na mieszkańcach i panu krajów, żyjących w pierwotnych wiekach prostocie.

Trony — cesarski i biskupi, stojące naprzeciw siebie, zwróciły naprzód jego oczy. Na jednym z nich siedział w czapce ze złocistym kołem i przepaską kamieniami sadzoną, mąż surowej twarzy, z brodą ciemną, niestrzyżoną, z pochylonym czołem, zamyślony i smutny. Twarz to była rycerza, pana, człowieka nawykłego walczyć z losem i przełamywać co stało na drodze, poorana marszczkami, fałdami porznięta, ogorzała, zmęczona... Domyśleć się było można w nim ojca, co musiał walczyć z synem, z bratem, z papieżem, z cesarzem byzantyjskim, z saraceni i ugrami, ze słowianami i własnym narodem, który zwyciężył wszystkich i teraz spoczywał w swjej sile, marząc o połączeniu może dwóch koron cesarskich na jednej skroni, przez Teofanię dla syna wyswataną. Odziany płaszczem purpurowym, obszytym klejnotami, spiętym kłamrą iskrzącą na piersi, w przepasanej kosztownym pasem od miecza tunice, w szkarłatnym obuwiu, Otto siedział na tronie złotym, którego dwie lwie paszczki z pod fałdów płaszcza wyglądały. Zamyślony słuchał pieśni, która się lała powoli jak krew z rany. Nie rozumiejąc słów jęj, czuć było jęk, jakby konających z rozpaczem...

Tuż przy tronie, na stopniach aż do dołu i posadzki, ustawieni byli, jak posągi nieruchome, cesarscy urzędnicy, wedle dostojenstwa, dzierżący miecze, laski, tarcze pańskie i godła władzy... Z odkrytymi głowami, ze wzrokiem spuszczone, obwieszani łańcuchami, okryci płaszczami bogatymi... czuwali na straży przy panu.

Naprzeciw na drugim tronie, niższym, ale wspaniałym jak cesarki<sup>[12]</sup>, pod baldachymem także, siedział starzec z brodą siwą, z głową okrytą czapką dwurozną złocistą, od której dwa końce szyte spadały, w płaszczu bogatym, ze złotą laską pasterską w ręku. Otaczał go równie prawie liczny orszak duchowieństwa, przyklękającego przed nim, przynoszącego mu światło i kadzidło... podtrzymującego księgi w złotych okładzinach, rękami ich gołymi dotknąć nie śmiejąc.

Przed nimi obu i nad nimi wznosił się ołtarz, a wśród niego na prostym krzyżu z ledwie ociosanego drzewa umęczony Zbawiciel, ranami okryty, konający, odarty, w cierniowej koronie, królował wyżej purpury i złota, w majestacie boleści.

Mieszko, duchem poganin jeszcze, nie rozumiał tego Boga, ale drżał przed nim...

Niżej stał tłum ogromny, w żelazo okuci rycerze, cali w łuskowych kaftanach, niektórzy z tarczami krągłymi, po których duńczyków poznać było można, inni z owalnymi rzymskimi, inni z ogromnymi puklerzami gockimi, z mieczami u nasadzonych pasów złotych, w blachach,

w okryciach jasnych, w strojach najrozmaitszych, longobardowie, włochy, skandynawy, grecy, dalmaci, bulgarowie, francuzi...

Na każdej z tych twarzy czarnych, białych, śniadych, czerwonych, żółtych, napiętnowanej pochodzeniem odmienne, inny charakter, inne ludzkie tryskało uczucie i myśl, to rozbudzona, to na pół uśpiona, to w pieluchach dziecięcych drzemiąca...

Wszystkie te sprzeczności, niesworności, zapaśnictwa, w milczącej czci łączyła jedność wiary i jedna karna władzy podległość.

Potęga tego Boga i pana chrześcian, który w jego imieniu sprawiał rządy nad światem, nigdzie się wyraźniej odmalować nie mogła, jak tu i w tej chwili. Na skinienie z tych dwu tronów, w najodleglejsze krańce ziemi gotowe były biedz te hufce i ćmy zbrojne.

Mógłże Mieszko walczyć z tą siłą, jak fale wezbranego morza wylewającą się na ziemię?

Stał on wpatrzony, zamyślony, a w głowie jego zarazem przesuwało się wspomnienie o wszystkich ziemiach jednej mowy, rozdzielonych, rozproszonych, rozbitych, które on mógł w imię tej samej Bożej potęgi zjednoczyć. Mieszko czy Bolko, ktokolwiekby miał rozum i siłę, nie miałżeby państwa od granic Byzancjum aż po rubieżę Ottona?

Upokorzenie, uczucie słabości, jakiego doznał na chwilę, ustąpiło dumie pewnej i nadziei.

Sascy książęta w swém gnieździe nad Łabą byliż dawniej potężniejsi od niego?..

Ażeby dorosnąć do tej potęgi, potrzeba było tylko tych dwu tronów siłę uśpić, sprzymierzyć się z nią, pokłonić ję, cierpieć, milczeć, unżyć się, by podnieść — może dopiero w spadku pokoleniom zostawić owoc tego upokorzenia i ofiary.

Gdy w chórze brzmiały żałobne pieśni kościelne, Mieszko stał myśląc o sobie, o przyszłości rodu i narodu swojego, okiem trwożliwem badał tę twarz cesarską, niepojętą dlań, bo widział na niej teraz pokorę tylko i smutek.

Tak pokornym musiał on być, aby pozyskać siłę...

Ściśnięci wśród mnóstwa napelniającego świątynię stali aż do końca długich modłów i śpiewów. Umilkły wreszcie i cesarz przyklękawszy, ruszył ze swojego tronu, przeprowadzany przez biskupa i duchowieństwo. Niesiono przed nim światło i kadzono mu jak bóstwu. Szeregiem przed nim postępowali dostojnicy dzierżący miecze, tarcze, łaski, rozgarniający tłum, strzegący, aby się suknia pańska nie otarła o cizbę poślednią. W tym orszaku szedł Billung saski i Otto król syn cesarski i Luitgarda i książęta bawarscy i mnodzy inni. We drzwiach świątyni znikają powoli widzenie, kościół ciemniał, mrok i cisza zalegała go, lampy płonęły tylko u grobu Chrystusa...

Bolko i Mieszko stali długo przypatrując się się<sup>[13]</sup> odpływającym tłumom, które po ulicach miasta, w podwórcach pałacu i drzwiach domostw znikają.

I im wreszcie pora była odchodzić do obozu, gdyż do oblicza cesarskiego nie przystępował nawet z daleka, kto

chciał. Poszli więc w milczeniu, nie mówiąc nawet do siebie, i dostawszy się do bramy, znaleźli się na obozowisku. Tu paliły się latarnie, gdzieniegdzie pobrzękiwała muzyka i mimo żaloby odzywały się śpiewki, rżały konie, a okolica przypominała przeddzień bitwy, gdy się wojsko położy napół, wpół czuwa, aby nazajutrz do boju gotowem było.

Mieszko ścisnąwszy szwagra, nie mówiąc słowa o tém, co widział, pod swoim namiotem legł na spoczynek.

## VII.

Pierwszego dnia Wielkiej Nocy cesarz Otto, po nabożeństwie dawał posłuchanie zdala przybyłym posłom, panom i książętom.

Bolkowi też czeskiemu dzień ten do złożenia hołdu był wyznaczony. Każdy z książąt szedł z poczem swoim, który w pierwszej izbie zwykle pozostawał. Przystęp do cesarza nie był łatwym, otaczał go dwór wielki, ogarniali proszący, skarżący się, domagający posiłków i pomocy, przybyli zdaleka. Wielu odsyłał pan do swych kanclerzy, pisarzy i starszyny licznej nad miarę, z niektórymi wymieniał słowo dobre, innych całkiem przypuścić nie dozwalał. Stali ci co gniew na siebie ściągali, po trzy dni w podwórcach, a w końcu czasem wyniesiono im odpowiedź, aby na rok następny przybyli.<sup>[14]</sup> Dla Bolka cesarz, jako świeżego sprzymierzeńca, mając w pamięci Ugrów może i Lechowe pole, łaskawszym się okazał.

Wpuszczono go dla pokłonu, a Mieszko wmięszawszy się między poczet szwagra, zdala się tylko przypatrzeć mógł majestatowi cesarskiemu. Otto siedział na złocistém krześle, okrytém poduszkami szkarłatnemi, w jedwabnej sukni lekkiej, perłami obszywanęj. Po za nim stał dwór cały w łańcuchach, szkarłatach, drogich futrach i pasach kamieniami sadzonych. Niedaleko tronu srebrny stół pozłocisty, na którym widać było wyryty wizerunek stolicy Byzancjum, zastawiony kubki i naczyniami złocistemi, okryty tuwalniami szytemi, błyszczał jak ołtarz kościelny. Obok starego Ottona stał syn w złotogłowie i jedwabiach, sparty na wielkim mieczu, którego pochwa iskrzyła się od szmaragdów i rubinów. Bogactwa nagromadzone dokoła zdawały się umyślnie, aby olśnić tych, co cesarzowi pokłonić się przychodzili. Wszystko, na co ówczesna sztuka grecka, handel wschodu, zręczność włochów i gallów zdobyć się mogła, otaczało cesarza. Szkarłaty, o które się tak dobijał Luitprand dla Ottona, jak o rękę Teofanii dla syna jego, rozlegały się wszędzie. Podłogę wyścielały kobierce, ściany okrywały szyte królowej Matyldy i Edyty córki Luitgardy i Matyldy ręką, opony wzorzyste. Wszystko to jednak najmniej Mieszka zdumiewało, w swym skarbcu, w drewnianym dworze nad Cybiną, miał może tyleż drogiego kruszcu co Otto, zazdrościł mu nie złota i jedwabiu, ale powagi i siły, tych zjednoczonych ludów, podbitych narodów, szerokich granic i mnogości hołdowników. Zdala spozjrzał na cesarza, na syna, jakby badał myśl ich i ducha... Bolka przyjął Otto łaskawie, o

ojca starego zapytał o Ugrów, których posłowie przybyli, zagadnął... skinął i odprawił...

Tegoż dnia Bolko z poczem jego przedniejszym wezwano do pańskiego stołu, i mieli cześć obiadować z niemieckimi książętami, poglądającymi na ochrzczonych słowian jak na stworzenia, co ledwie ludźmi nazwać się mogły. Mieszko słuchał, jak się na niego odgrażano i jak mu wrócono zagładę. Napróżno Bolko oznajmił, iż wkrótce wiara chrześcijańska ogłoszoną zostanie u polan, szydzono z tego i naśmiewano się.

Któryś z markgrafów ozwał się, że jeden tylko Gero chrzci skutecznie słowian, przypominając tę ucztę, na którą zaprosiwszy kilkudziesięciu wodzów słowiańskich, margraf ich wszystkich w pień wyrznąć kazał.

Już ku końcowi utrapionej biesiady świadkami im być przyszło niespodzianego wcale wypadku.

W podwórzu wrzawliwe zaczęły się odzywać głosy, mianowicie jeden górujący zuchwale nad innymi. Poskoczyła więc pospiesznie służba cesarska, aby uśmierzyć wrzawę, gdyż Ottona brwi groźnie się marszczyć zaczynały.

W drugiej komnacie, do której drzwi były odsłonięte, siedział cesarz u srebrnego stołu z córkami i synem.

Dano mu znać, iż gwałtownie i natarczywie dobijał się przypuszczenia Wigman grafa Lunenburski. Był to ten krewniak cesarski, którego Włast spotkał na zamku grafa Gozberta, niespokojny duch, któremu się zdało może, że jak Ludolf i Thankmar potrafi zmusić Ottona do dania mu jakiejś Marchii nad granicą lub księstwa wewnątrz Niemiec. Znano go wszakże zbyt dobrze, aby mu zaufać miano. Wigman miewał sobie poruczone zlecenia i dowództwa, a nigdy z żadnej sprawy nie wyszedł inaczej, jak z waśnią i bójką. Dostyc było imienia Wigmana, by cesarzowi popuścić biesiadę i myśl wesołą, wysłał natychmiast przeciw niemu podkomorzego, czekać mu w podwórzu rozkazując.

Wigmanowi, który się mianował jakimś siostrzeńcem Ottonowym, w podwórzu między gawiedzią, wystawionemu na pośmiewisko, stać się nie chciało. Odparł więc hardo, że czekać będzie, ale nie z pachółkami, tylko w cesarskich komnatach i wszedł gwałtem prawie do pierwszej z nich, gdzie właśnie między innymi książętami i grafami Bolko z Mieszkiem siedzieli. A że niejedyn już raz kneź się z nim oko w oko w bitwach spotykał i dobrze się znali, uląkł się przeto Mieszko, aby nie był przezeń wskazanym i podparłszy się na stole, twarz sobie w części zasłonił. Gdyby Wigman go publicznie po imieniu nazwał, a podstępne przybycie na dwór cesarski odkryło się, wiedział Mieszko, iż mu to groziło niebezpieczeństwem, bo nie będąc jeszcze sprzymierzeńcem Ottona, za szpiega wypatrującego mógłby być wzięty.

Szczęściem dla niego, Wigman wszedł jeszcze cały oburzony i gniewny za doznane zrazu przyjęcie obelżywe i niewiele widział, co się wkoło niego działo. Stanąwszy naprzeciwko drzwi i stołu cesarskiego, wlepił oczy w Ottona i już ich z niego nie spuścił. Cesarz zaś, który i widział go pewnie i słyszał, i przez podkomorzego był o nim zawiadomiony, choć siedział naprzeciw, ani

nań spojrzął, ani okazał, że się on bynajmniej troszczy. Śmiał się i rozmawiał umyślnie niby objawiając, że go to nic nie obchodzi, a przeciągał siedzenie u stołu, aby zuchwałego człowieka upokorzyć.

Wigman, któremu pewnie stało na to, aby wystąpił przed cesarzem, jak dla niego przystało, ubrał się ubogo, odarto, niemal brudno, we zbroję porwaną, w chodaki poszarpane, miecz na ladajakim pasku... aby okazał, jak krewniaka w nędzy opuszczono. Lecz mimo to duma biła mu z zasepionej twarzy i strój jeszcze wybitnie podnosił butę człowieka, który się równym krwią z Ottonem sądził.

Wszyscy książęta siedzący u stołu widząc, na co się tu zanosi, radzi byli doczekać końca sprawy, a spodziewać się było można, że i cesarz publicznie doznawszy napaści hałaśliwej, która jego dostojęństwu uwłaczała, zechce ją powetować tak, aby wszyscy byli świadkami upokorzenia dumnego panka.

Gdy się to przedłużało, Mieszko ciągle twarz musiał odwracać i ukrywać, aby przypadkiem w oko nie wpaść nieprzyjacielowi.

Naostatek, gdy misy srebrne z przed cesarza zdjęto i obrusy szyte, a uczta była skończoną, wyszedł podkomorzony cesarski, dając znak, ażeby się przybliżył.

Jakby od niechcenia zwolna począł iść Wigman, niby pyszniąc się swą odartą odzieżą i we drzwiach naprzeciwko Ottona stanąwszy, ledwie głowę przed nim skłonił.

Dopiero teraz cesarz z groźnym obliczem, zmierzwiwszy go oczyma, potarł gęstą i długą brodę i stłumionym głosem zapytał go, czego chce?

— Czego ja chcę, miłościwy panie — ochryplym i gniewnym tonem ozwał się Wigman — łatwo to odgadnąć spojrzawszy na mnie i przypomniawszy kto jestem. Wszyscy ci nawet, co wojowali z cesarzem i miecz na niego podnieśli, wyposażeni są, a Wigman nie ma nic... Czas, ażeby się to skończyło.

Otto słuchał nie patrząc nań.

— I Wigman — rzekł — wyposażony był przez cesarza... a wypłacił mu się nieposłuszeństwem i zdradą... niechże cierpi...

— Cesarskiemu domowi nie przynosi to zaszczytu — mruknął Wigman — gdy się krew jego wala nie mając przytułku... i jak płatny ciura służyć musi...

— Gdy krew zła, to ją z żyły puszczają — odparł Otto.

Wigman się cynicznie rozśmiał.

— Nie przyszedłem prosić o łaskę, ale o sprawiedliwość... — rzekł — na to was Bóg posadził na tej stolicy, abyście ją sprawiali...

— I pełnię ją — odparł Otto groźnie — z większym miłosierdziem niż surowością... Jeżeli zaprawdę zgrzeszył, to chyba łaskawością względem tych, którzy się nigdy opamiętać i nigdy poprawić nie umieją, nawet gdy się im czas daje do pokuty.

— Spojrzcież na mnie — począł podnosząc głos Wigman — spojrzcie, a może wyrozumiecie, iż mam słuszność przychodzić tu z żalem i skargą. Przystałoż mi tém być, czemeście mnie uczynili?

To mówiąc i śmiejąc się szydersko, pokazał na poszar-

paną odzież i zbroję.

— Nie myśmy z was uczynili takiego nędzarza, ale wy sami — zawołał cesarz. — Zamiast siedzieć na waszém hrabstwie, kumaliście się ze wszystkimi buntownikami, próbowaliście słowian zbierać przeciwko nam, wskazywaliście im drogi, chodziliście z nimi...

— Tak samo syn rodzony wasz chodził przeciw ojca, gdy mu się niesprawiedliwość stała... Prawda, szukałem obrony u słowian, nie mogąc sprawiedliwości znaleźć u ciebie.

— Idźcie i dziś do nich, niech ci pomogą! — odparł popędliwie Otto, wskazując ku drzwiom.

Wigman stał patrząc dumnie i szydersko.

— To ostatnie cesarskie słowo? — zapytał.

— Proście Boga, aby ono było ostatniém — zawołał Otto — bo po niém mogłoby z ust moich wyjść jeszcze inne, któreby na wieki sprawę między mną a tobą rozstrzygnęło.

Wigman posłyszawszy to nie zmienił postawy, nie ułakł się i nie ruszył.

— Dobrze jest — rzekł ponuro — iż tego wyroku, groźby i przyjęcia licznych mam świadków. Nie powiedzą ludzie, że Wigman się nie upokorzył przed swym panem, nie prosił... i że został odepchnięty.

Cesarz odwrócił twarz, syn i córki stały w milczeniu, nieco się cofnąwszy, widocznie strwożeni. Świadkowie téż mimowolnie w pierwszej izbie z zajęciem oczekiwali końca téj rozprawy, która mogła się albo więzieniem rozstrzygnąć lub wygnaniem. Otto wszakże ścierpiał tę dumę krewniaka, a gdy ten stał ciągle nieruchomy, dodał.

— Jedźcie gdzie wam nakazano być, pod rozkazy Gerona, czynicie co on poleci... a po upływie roku, gdy nic wam do zarzucenia nie będzie, zobaczymy, co wam sprawić będziemy mogli.

— Pod rozkazy Gerona? ja? pod jego zwierzchnictwo?..

— krzyknął Wigman — jaby to ścierpiał, aby mi jeden taki prosty człek przewodził? aby mnie upokarzał i wysługiwał się?..

Cesarz nie chciał już odpowiadać, Wigman zaczekawszy i widząc, że zmiany wyprosić nie potrafi, ruszył się nareszcie.

— Niech więc się stanie co przeznaczono — rzekł. — Nie z ręki waszój, miłościwy panie, ale z ręki Boga przyjmuję na co mnie skazujecie... będę wiedział, co mam czynić. A jakiegokolwiek następstwa z tego wynikną, niech spadną na tego, co je wywołał... Wigman jest nędznym, ubogim wojakiem, niemającym przyjaciela ani sprzymierzeńca... — dodał — ale Bóg wielki... znajdą się może co go poratują i siłę mu dadzą...

Ta odgródka rozgniewała Ottona, który się zwrócił do swojego dworu.

— Dziękuj Bogu, zuchwały człecze — zawołał — iż dnia Zmartwychwstania Pańskiego, dnia tryumfu i wesela nie chcę surowością pokalać... Oddał się natychmiast!

Na drzwi powtórnie ukazał Otto.

Zaczynali się ruszać przybocznicy jego i Wigman, zapewne obawiając się, aby zuchwalszy który ręki na nim nie

położył, z twarzą gniewem zmienioną cofać się począł. Milczenie straszne w obu komnatach towarzyszyło temu powolnemu pochodowi. Jakby obawiając się napaści Wigman na mieczu położył dłoń i nie ma wątpliwości, że gdyby był naówczas kto przystąpił doń, bezkarnieby mu to nie uszło.

Cesarz zdala oczyma śledził każdy krok zuchwałego krewniaka, który nareszcie zwolna i jakby umyślnie mierzył kroki, doszedł do progu pierwszej komnaty, ztąd jeszcze groźny wzrok odwrócił na cesarza, popatrzył nań wyzywająco i tak samo, nie spiesząc, aby nie okazać bojaźni, wyszedł z pałacu.

Jakkolwiek cesarz moc swą i powagę okazał, nieprzyjemne po sobie wrażenie zostawiło to spotkanie.

Nikt nie śmiał słowa rzec, ani podnieść oczów. Jeden z podkomorzycy wyjrzał za odchodzącym i śledził go w dziedzińcu. Tu Wigman dosiadł konia i w towarzystwie dwóch tylko ludzi, z których jeden wioził tarczę jego, drugi ogromny miecz jednosieczny bez pochwy, z podwórca zamkowego wyjechał.

Łacno się było domyśleć po tém rozstaniu z cesarzem, że Wigman, który już podobnego używał środka, uda się do Słowian i burzyć będzie na granicach plemiona, które najmniejszą nadzieją polechtać się dawały i nakłonić do buntu. Otto wszakże dosyć był teraz mocen na granicy, dzięki Geronowi i przymierzu z Czechami, by się warchoła jak Wigman nie lękać, mogąc raczej spodziewać, iż Słowianie sami w końcu go pochwyćą i albo wydadzą lub zamordują. Nie kazano go więc zatrzymywać, ani się go starano ułagodzić i przejednać, puszczać wolno na losy, jakie go spotkać mogły.

Mieszko w czasie téj rozmowy przysłuchiwał się jój z nadzwyczajną uwagą, pierwszy raz słysząc cesarza, z głosu i mowy usiłował go odgadnąć. Posłużył mu Wigman więcej do poznania Ottona, niż cały pobyt w Quedlinburgu.

Dnia tego przed wieczorem jeszcze na podwórzach młodzież rodzaj gonitwy rycerskiej odprawiała, której sam cesarz z wysokiego ganku się przypatrywał, poczem z duchownymi i panami przybocznymi na radę poszedł i na niój do późna pozostał. Niemniej jednak podkomorzowie i stolnicy, przy ciągle zastawionych stołach, gości cesarskich przyjmowali. Tak upływały na nabożeństwach, turniejach, biesiadach, radach i posłuchaniach dni następne, w czasie których, ośmielony tém, iż go nikt nie poznawał, Mieszko korzystał z pobytu, aby się całemu porządkowi dworu cesarskiego i jego wspaniałościom przypatrzeć. Ciągłe w orszaku Bolka, jako jego powinowaty skromnie się zachowując, sądził Mieszko, iż nań wcale oczów nie zwracano i nikt o nim wiedzieć nie mógł. Nieodstępny będąc przy Bolku, jego o wydanie tajemnicy wcale posądzać nie myślał, ani się go obawiał.

Nadeszły wreszcie dni ostatnie, gdyż cesarz, jak zwykle, zaledwie święta odprawiwszy, w podróż się nazad do Włoch wybierał, których posiadanie więcej go może obchodziło, niż sprawy niemieckie. Dlatego tu gotów był łągodzić, jednać i uspokajać, ażeby tam całą siłę móz

obrócić.

Ostatniego dnia uroczyste żegnali przybyli cesarza i każdy, wedle stopnia i stanu swojego był obdarzony. Dary te składały się z kosztownych naczyń, pasów i mieczów rycerskich dla przedniejszych osób, bogatych futer i płaszczów jedwabnych, a dla ostatnich z sukien wełnianych, futer zwykłych i odzieży rozmaitej. Wymagał tego i obyczaj i cześć cesarza, aby nikt ztąd nie odszedł z próżnymi rękami. Na to ostatnie posłuchanie dopuszczano każdy poczet i każdego z książąt i panów osobno, aby cesarz mógł ustnie wypowiedzieć im, czego nadal po nich wymagał. Niektórym z nich dawał zlecenia poufne, które na osobności powierzone być musiały. Przyszła więc kolej na Bolka, a temu też bacność na Ugrów poleconą być miała, i szedł on do cesarza, gdy Mieszko, który podarku chciał uwłaczającego sobie uniknąć, zażądał, aby mu dał zostać.

Działo się to w obecności podkomorzego cesarskiego i Mieszko na ucho się zwierzał z żądaniem swém szwagrowi, który nie wiedział co począć, gdy urzędnik znać się domyślając może, o co szło, wyraził życzenie cesarza, by Bolko swoich towarzyszków poprowadził, nie odpuszczając. Nie chcąc podejrzenia wzbudzić jakiegos, Mieszko przodem puściwszy Sławnika, szedł starając się jak najmniej być na widoku.

Otto przyjmował wszystkich siedząc na krześle tronowém, takim jakie wprzód stało w kościele. Miał też na sobie płaszcz purpurowy i sandały szkarłatne ze złotem. Gdy wchodzący pokłonili mu się, a Bolko przystąpił naprzód, wielce to zmięszało Mieszka, iż Otto zamiast na czechów zwrócić uwagę, pilno mu się przypatrywać zaczął. Kilka słowy potem pozdrowić kazawszy starego Bolesława, podać kazał cesarz kubek złoty, roboty misterniej, sadzony perłami i kamieniami, i prosił, by na pamiątkę go przyjął. Innym też dostały się szuby i płaszcze, i Mieszko już się bezpiecznym sądził, gdy cesarz znowu nań pilno bardzo wzrok skierował. Szepnął coś do ucha podskarbiemu swojemu, a ten mu przyniósł miecz z pasem nadzwyczaj wytwornej roboty a ceny wysokiej. Poglądali wszyscy zdziwieni, komuby go cesarz chciał dać, gdyż już nikogo tak dostojnego nie było, aby tak drogocenna rzecz dostać mu się mogła.

Ująwszy miecz w rękę, Otto skinął ku Mieszkowi i odezwał się z uśmiechem.

— Nie znam was, miły kneziu... nie wiem nawet kto jesteście... Dostyc mi tego, że ze sprzymierzeńcem moim i dobrym przyjacielem przybywacie... Chciałbym, abyście i wy też byli mi przyjaznym, przyjmijcie ten miecz z życzeniem, abyście go nigdy przeciwko mnie nie podnieśli, a raczej z nim w pomoc mi przyszli w potrzebie, tak jak ja gotów będę was wesprzeć, gdybyście żądali...

Mieszko nie mógł nie przyjąć cesarskiego daru, lecz zarazem uląkł się mocno domyślając, że był poznany i zdradzonym. Na twarzy Ottona malowało się raczej zadowolenie i radość, niż gniew lub podejrzenie. Bolko poblądł w obawie, by nie został posądzonym o wydanie tajemnicy. Nastąpiło krótkie milczenie, a cesarz dodał

jeszcze uśmiechając się.

— Na mieczu tym krzyż jest wryty... niech wam przypomni, iż on jedynie jest znamię zwycięstwa... i że tam, gdzie on nie panuje, ani pokój ni szczęście panować nigdy nie mogą...

Wszyscy zatem jeszcze raz się pokłoniwszy cesarzowi odchodzili, a Mieszko, który miecz swój niósł, nie mogąc go ani przypasać, ani ukryć, ściągnął na siebie oczy całego dworu. Oczywistą było rzeczą, iż Otto w nim poznał, lub był uwiadomiony o księciu polańskim. Inni domyślali się jeszcze więcej i inaczej niż było. Szeptano spoglądając ciekawie na obdarzonego.

Zaledwie w podwórzu wyszli, gdy Bolko się zwrócił do szwagra, poprzysięgając mu, iż nie zdradził on, ani żaden z jego ludzi, ale inny ktoś chyba poznać i ukazać go musiał. Mieszko łatwo temu uwierzył, chociaż niepojętém się to zdawało, a podarunek miecza tak bogatego omyłką żadną być nie mógł.

Tém prędzej teraz, obawiając się, aby wieść o nim się nie rozeszła, Mieszko chciał odjeżdżać; posłano po ks. Jordana, który przez cały ten czas u księży przy kościele św. Wiperta bawił. Padało nań podejrzenie najmocniejsze, że on przed duchownymi mógł się wydać z tajemnicą, a jeden z nich do cesarza ją zaniósł. Ks. Jordan jednak nie przyznawał się do tego.

Natychmiast obóz zwiąca poczęto i do drogi się sposobić. Inni też goście wyjeżdżali każdy w swą stronę, kupcy z bud i szafasów towary na wozy pakowali, ruszając dalej w głąb kraju. Okolica miasta ludna i życia pełna, co godzina puściejszą się stawała. Cesarz wkrótce także Quedlinburg miał opuścić i wojsko towarzyszące mu już stało pogotowiu.

Nie wszyscy równie wesoło opuszczali gród cesarski, wielu jak Wigman groźbami odprawionych zostało, inni czego chcieli nie dopięli, duchowieństwo tylko całe pobożnością i dobroczynnością pana wzruszone, opiewało chwałę jego.

Część drogi mając razem ze szwagrem odbywać, Bolko starał się wyrozumieć z niego, jakie dwór cesarski i potęga jego uczyniła na nim wrażenie, nie potrafił jednak dobyć zeń nic jasnego. Mieszko uśmiechał się, dobrej był myśli, rad z podróży, potakiwał bratu, ale tego co czuł, nie wydawał.

Rozstali się ku granicy już, tam gdzie się wprzód spotkali i Mieszko z małym orszakiem swoim puścił się ku Poznaniowi. Następnego dnia o Wigmanie dostał języka Chotek, który towarzyszył kneziowi, jakoby z Wolinami się związał i coś na pograniczu zamierzał, lub przeciwko polanom, albo nawet Ottonowi, lub obojgu razem. Tém też spieszniej ku domowi dążyć było potrzeba. Chotek wyprawiony został, aby miał oko na swoich i w razie potrzeby z Mieszkim się łączył.

Domyślano się, że Wigman lub cesarzowi się chcąc zasłużyć, rzucił się do podbojów za Odrę, albo — bo i to być mogło, obrócić się przeciw niemu, ze Słowian sobie groźny zastęp tworząc, by go zastraszył i wyjednał sobie czego pragnął. Na jednej i drugiej stronie widywano już tego człowieka, który się łatwo przerzucał, gdzie widział

korzyść swą lub rozgłos mógł zyskać.

Jeszcze z nim trzymali nieraz nadgraniczni markgrafowie, gdy już na nich wiązał się z nieprzyjacioły. Dla Słowian taki człowiek jak on był pożądanym sprzymierzeńcem, gdyż wojować umiał, odwagę miał, niemców znał dobrze, a nigdy nieuspokojonego ducha, ciągle coś knuł nowego, nie spoczywając na chwilę.

Tak jak był nocą i niemal pokryjomu z grodu swojego zniknął Mieszko, jednej znowu wiosennej nocy, gdy go się nie spodziewano, zjawił się tu po cichu i poszedł Dubrawkę powitać.

Nie powiedział jój kędy był, przywiózł tylko pozdrowienie od brata i podarek, co do myślenia dawało, że w Czechach mógł bawić, bo Dubrawka o podróży Bolka nie wiedziała.

Tegoż samego dnia do Sydbóra posłano do Gniezna, aby wojska miał pogotowiu i na dany znak ściągał z niemi.

Na zamku ruch się wziął wielki, posłańcy i szpiegi wyprawiono na granicę, ludzi zewsząd spędzano i w przyborach tych do wojny na czatach stojąc niemal, Mieszko pogodniejszej doczekał się wiosny.

### VIII.

Chodzące po kraju groźne wieści, które przez gadatliwy dwór Dubrawki mogły być puszczane, kazały się co chwila spodziewać obalenia świątyń pogańskich i powołania ludu do chrztu, tak jak się to w Czechach stało... Niemal codzień i co godzina wyczekiwano rozkazu, któremu jawnie się opierać nie było sposobu... Mieszko miał z sobą i przy sobie najdzielniejszą młodzież, ludzi do boju wciągniętych i zupełnie sobie oddanych, a z temi tłum walczyć nie czuł się na siłach...

W szeregach ich znajdowało się już chrześcian wielu, liczba ich rosła, starszyzna nawracała się jawnie, cała ludność, bliższa Poznania i Gniezna, powoli już się dzieliła na dwa obozy, stroniąc od siebie i tając przed sobą. Chrześcianie coraz śmielszymi się stawiali, bałwochwálcy coraz bojaźliwsi...

Nie w jednej rodzinie ojciec taił się przed synem, brat przed bratem...

Duszą oporu byli starcy, dziadowie, wróżbici, śpiewacy, stróże przy chramach i lud zamieszkały w głębi kraju... Apostołowie jeszcze tam nie byli doszli, i żadnej nie czując zmiany, ani z góry nakazu, pochlebiali sobie mieszkańcy osad odleglejszych, że Mieszko nie będzie miał odwagi rzucić się na starą swą wiarę...

Przedłużone milczenie, obojętność knezia pozorna, rozmaicie go sobie tłumaczyć dozwalały. Było i takich wielu, którzy sądzili, że Mieszko uwodzi chrześcian, aby im tém większą zadał klęskę...

Stary Warga wedle potrzeby, raz przeciwko niemu jątrzył, to znowu w nim kazał pokładać nadzieję. Przybycie Dubrawki zrazu zdawało się zwiastować chwilę stanowczą, lecz gdy miesiące upływały, a nic nie przedsiębrano i kontyny stały całe, różnie myślić poczęto.

Warga i jego towarzysze, co lud się jątrzyć starali i do oporu przygotowywać, gdy nie było dłużej powodu żadnego do wystąpienia, stracili wpływ i zaufanie. Wzdychano z niemi, pojono ich, ale nie wiązano się słowem żadnym. Na zbiorowiskach w dnie uroczyste, gdzie się dawniej tłumy zbiegały, teraz coraz puściiej było.

Wypadek niespodziany, na nowo ostygłe te uczucia przywiązania do dawnych obyczajów, rozbudził. O mil dwie od Warty i Cybiny, w głąb kraju, w lasach, było jedno z miejsc najwięcej czczonych i jak świątynia szanowanych. Uroczysko zwało się Białem, rzeczka co je przebiegała Białka, lub Świętą. Wody jój w chorobach miały cudowną siłę leczącą, gaj otaczający wzgórze za poświęcony i nietykalny się uważał. W pośrodku jego wznosiła się od dawna wystawiona nieforemna postać jakiegoś bóstwa, które Bielem nazwano. Ogromny kamień służył mu za podstawę, a bałwan był z drzewa sękowatego niezgrabnie i grubo wyciosany i przedstawiał niby tułub z głową czapką okrytą; bez rąk, bez nóg, z wyrościami, które piersi uwydatniały. Obok Biela dwa inne żłobkowato wyrobione, jak misy kamienie przeznaczone były na składanie w nich ofiar... Po za gajem przy dwóch dębach w szałasie mieszkał tu zawsze wróżbit stary, który przybywającym pielgrzymom rady dawał, wskazywał jak i gdzie wody świętej użyć mieli, wróżył im z ziemi i ognia, i żywił się z ich datków...

Jednego dnia przybywające z dala niewiasty, znalazły starego Złogę w szałasie niby uśpionym, a w istocie umarłym... Nic nie okazywało ażeby ktoś na nim gwałt popełnił. Złoga był niezmiernie stary, najstarsi gospodarze, przypominali go sobie niemłodym już siwym. Nie było więc nic dziwnego, że nareście usnąć musiał, gdy się siły wyczerpały...

Dano znać do najbliższej osady o śmierci Złogi, zebrali się pokrewni jego do palenia ciała i pogrzebu, zbiegło się dosyć dziadów i bab, szło o zajęcie miejsca po nim, które było łakome. — Wszczęły się o to spory, bo wielu rościło do tego prawa, nikt nie chciał współzawodnika dopuścić, odgrażali się jedni i drudzy, a skończyło się na tém, iż szałas zburzono, i na Białem nie było nikogo. Miało się to rozstrzygać na jakimś wiecu na kupałę, tymczasem Biel został bez stróża sam jeden...

Jednego dnia przybyły baby z zimnicą do strumienia i przestraszyły się, ujrzawszy, że bałwan został obalony, kamienie poroztaczane, a ręka złośliwa, co tego dokonała, podłożyła suchych gałęzi pod kłodę i na pół ją spaliła. Ponieważ Biel powszechnie był czczony i za bóstwo opiekuńcze okolicy uważany, lament i płacz, narzekanie i oburzenie wstrząsnęło całą ludnością. Wszyscy biegali oglądać spustoszone uroczyska, łamali ręce, płakali. Naturalnie, nikogo o takie porwanie się na stary posąg posądzać nawet nie było można, tylko chrześcian. Obejrzano się po okolicy, zaczęto dowiadywać o przejeżdżających w tych dniach, o widzianych w bliskości, ale śladu winowajcy nie było.

Warga, który nadbiegł na miejsce, skorzystał z rozdrażnienia i począł namawiać do wystąpienia nocą, w

umówiony dzień przeciw wszystkim dworom i chatom, które posądzano o odstępstwo. Dwory miały być popalone, chrześcijanie zamordowani. Gdy się to stanie — mówi — Mieszko zdrzy i nie będzie śmiał się porywać! W pierwszej chwili wszyscy mu potakiwali<sup>[15]</sup> gniew i pragnienie zemsty było wielkie, lecz drugiego dnia, jakiś dziad wpadł na myśl inną, i zdaniem wielu, rozumniejszą jeszcze.

— Dobrze — rzekł — niechaj tak będzie, ale wprzód popróbować trzeba. Pójdziemy wszyscy, choćby w tysiąc ludzi na skargę do Mieszka, że nam się stała krzywda, która nieszczęście, grad, pioruny, głód na okolicę spowodzi, zobaczymy co powie.

Warga śmiał się — ale inni jakoś przystali. — Uchwalono gromadą iść z podarkiem i skargą do miłościwego pana. Nim się jednak ludzie zmówili i zebrali — drugiego dnia dano znać z okolicy na Dąbrowach, że słup kamienny, który tam też stał od niepamiętnych czasów, nocą ręka jakaś zuchwała obaliła, a staczając się z pagórka, bóg na kawały się rozpadł. Ludzie na nowo zapalili się gniewem i od Biela pobiegli na Dąbrowę płakać nad okruchami zwałonego słupa. Tu znaleziono ślady koni kilku pod dębami i dowody, że ludzi musiało być wielu, boby też temu jeden nie podołał. Warga wołał o zemstę i wskazywał dwory podejrzane, ale ludzie się uparli gromadami iść do knezia.

Upieczono kołaczki, przygotowano szyte ręczniki, kury i jaja, bo bez ofiary jakiegokolwiek nie szło się naówczas z prośbą, ani z żalem, ani o sprawiedliwość. Gromady zwołały się na dzień oznaczony, kilku starszych wystąpiło na czele i wszyscy pociągnęli nad Cybinę.

Pochód ten w pewnym porządku, odbywał się powoli, po drodze łączyli się z nim, dla powiększenia tłumu ludzie dobrej woli, nie tajono się wcale z czem szli i Mieszko, na pół dnia prawie wprzód uwiadomiony był o wszystkim. Wierni przyszedli dać znać zawczasu — nie odpowiedział nic.

Na grodzie nie ruszył się nikt nawet. Gromada przed wałami się ustawiwszy, wyznaczyła kto mówić miał i w milczeniu ciągnęła przed dworzec pański, a przybywszy tu, stanęła w porządku i milczeniu uroczystém. Mieszko, który widział wszystko z za okiennicy, wysłał stolnika swego spytać — czegoby chcieli?

Temu opowiedzieli starsi jak się rzecz miała. Kazano czekać, na ostatek Mieszko wyszedł, a starszyzna przysłała i podarki złożyć i do kolan mu upaść.

Kneź miał jakoś oblicze wesole.

Mówić zaczęto, a jak to zwykle bywa, prawiono szeroko, poprawiał jeden drugiego, przerywał, powtarzano szczegóły, powieść przeciągnęła się bardzo długo. Siedząc na ławie w przedsieniu Mieszko słuchał z uwagą.

Gdy się w końcu przebrało opowiadania i jedni drugich zaczęli skłaniać do milczenia, aby też posłuchać, co pan zawyrokuje — zapytał kneź — kto był sprawcą?

Na to pytanie długo odpowiedzi zabrakło. Ten i ów się zbierał na nią — ale w istocie nikt nie znał sprawcy, ani się go domyślał. Obwiniać chrześcijan nie było powodu ni dowodu. Mruczano, potrząsano ramionami, a Mieszko

powtarzał pytanie — kto to uczynił? Starszy i śmielszy, ubogi kmieć Drzewica, ozwał się wreście.

— Miłościwy panie, gdybyśmy wiedzieli, kto winien, samibyśmy go karali, bo za nasze bogi ując się musimy — wy, miłościwy kneziu, wiecie wszystko, kaźcie śledzić i ukarźcie — pomóżcie nam...

— Słuchaj Drzewico — odrzekł Mieszko — a mocne to były Bogi?

Gromada wołać zaczęła, że pioruny i grad i pomór na bydło i głód mogły zesać.

— Za cóż na was mścić się mają, kiedyście wy niewinni?

— rzekł Mieszko. — A jeżeli potęgę i siłę mają, to się same nią obronią i pomszczą?

Wszczął się szmer, bo nie dobrze rozumiano jeszcze, Mieszko powtórzył toż samo, na ostatek dodał, że winowajcy nie ma, sprawiedliwości więc być nie może, a Bogom trzeba zostawić pomstę za siebie. Mają pioruny, zabijają winnego.

W tém z cizby rozpychając ją, wybił się gwałtem Warga z włosom rozczochranym, zapalony, jak w gorączce. Zaledwie się skłoniwszy kneziowi, krzyknął podniesionym głosem.

— Co tu szukać winnego? albo to my nie wiemy kto przeciw nam i bogom starym powstaje? Palcami pokazać łatwo tych, co niemiecką wiarę do nas prowadzą! Namnożyło się tego nasienia, jest go dosyć wszędzie. Nie kto winien tylko oni, ich karać, gubić i wypędzić. My sobie krzywdy wyrządźcie nie damy, a nie uzyskamy sprawiedliwości, sami ją zrobimy.

Mieszko się popatrzał na mówiącego i skinął na swoich komorników, aby go wzięli. Tłum oniemiał.

— Ja cię znam stary — rzekł — tyś raz już dwór na Krasnejgórze podpalił. Puszczono się na wolność, teraz sprawiedliwość chcesz sobie sam znów mierzyć. Sprawiedliwość należy do mnie...

Gdy komornicy zabrali się go z tłumu wziąć, zamruczała gromada. Starsi prosić zaczęli za Wargą, on sam zmilkł błądy. Mieszko kazał go puścić, ale tak groźnie nań spojrział, że dziad słowa nie rzekłszy, znikł gdzieś w tłumie.

— Sprawiedliwości wam nie dam, bo nie ma na kim jej spełnić — dokończył kneź. Bogi są mocne, chronią się same.

Było u nas z wieków wieka tak, że każdy czcił Boga jakiego chciał, i nikt mu nic nie mówił. Przynieśli jedni Trygława, drudzy Radegasta, trzeci Światowida, inni Wołosa, stawili ich i kłaniali się im. Od Redarów, od Wilków, od Lutyków, od Wolinów, od Dulebów przynoszono bóstwa, nikt się temu nie przeciwiał. Tak ma być i nadal. Niech ci, co chrześcijańskiego Boga wyznają, czczą go w spokoju, a kto się na nich dopuści gwałtu — tego ukarzę ja!

Rzekłszy to, wstał Mieszko, popatrzał na milczącą gromadę i skinieniem ręki ją odprawił. — Pokłoniła się starszyzna i w głębokim milczeniu odchodzić zaczęła. Warga tak się ukrywać umiał i tak go zasłaniano, że dopóki za wały nie wyszli, widać go wcale nie było. Lękał się, aby go jeszcze nie wzięto.

Próba więc nie powiodła się wcale. Długi czas szli wszyscy z głowy pospuszczanemi, milczący, smutni, pogrążeni, nikt słowa odezwać się nie śmiał. Opodal od zamku zmęczeni położyli się na łące nad Wartą.

Tu dopiero powoli usta się rozwiązywać zaczęły, do narzekań i utyskiwania. Śmielsi szemrali, drudzy z obawą patrząc na nich, milczeli, bojąc się niemal słuchać. Warga długo siedział ponury i gniewny.

— U nich sprawiedliwości prosić! — zawołał w końcu — u nich! kiedy tam pełen dwór chrześcian i oni nie kto przewodzi. Co tu pytać? po co prosić? Nie było nic u nas, póki Lubonia syn nie wrócił zakażony niemiecką wiarą! Spaliliśmy mu dwór... tak! nie dosyć. Jego z nim spalić trzeba. Przez niego weszło wszystko. Do niego się oni schodzą, z nim radzą...

Ale drugi raz nie wezmą mnie już... bo mnie tu nie będzie.

Nikt na tę pogroźkę nie odpowiedział, a Warga też nie zdawał się dbać wiele o to, mrucał sam do siebie mówiąc, z oczyma wlepionymi w ziemię, miotał się, krzyczał to głośniej, to ciszej i długo nie mógł uspokoić. Z nikogo jednak nie wywołał potakiwania, nikt mu się w pomoc nie ofiarował, owszem Drzewica się odezwał, że kneź miał słusność, że nikt nikomu nigdy nie bronił Boga sobie wybierać jakiego chciał — że chrześcianie od dawna się pokazywali tu i owdzie, a nikt ich nie przesładował i za ojca kneziowego i za dziada.

Drudzy też, dla miłego spokoju może, staremu choć głowami potakiwali, Warga zmiłkł i długo siedział zadumany, wstał potem nie obejrzawszy się na nikogo, nie rzekłszy już nic i poszedł przez pole bez drogi, gdzie go oczy niosły. Nikt go nie zawrócił i nie strzymał. Niektórzy gorliwsi byli tego zdania, że i Biela i słup na Dąbrowach, należało postawić na nowo. Na to się godzili wszyscy i gorąco zaraz rozebrali między siebie robotę.

Tegoż wieczora wiedziano o tém na Krasnejgórce, przybiegł ktoś z grodu i doniósł o skardze gromady — o danej jój odpowiedzi, a nawet o Wargi odgrózkach. Jarmierz nie powiedział nic Włastowi, ale strażę około dworu ustawił, i przez całą noc czuwać im kazał.

Mieszko tymczasem, zamiast ociągania się i obawy, tegoż dnia pilnie zajął się przygotowaniami do publicznego przyjęcia chrześcijańskiej wiary... Wysłano do Czech po kilku duchownych w pomoc ks. Jordanowi; żądając też od Bolka, aby ludzi dał coby z kamienia budować wedle obyczaju chrześcijańskiego umieli kościoły, i wszelkiego rzemieślnika do przygotowania sprzętu, jaki był do ofiar i urządzenia nowych świątyń potrzebnym.

Znowu w tę podróż musiał być wyprawionym Włast, który służył chętnie we wszystkim, co nawrócenie zupełne przyspieszyć mogło. Tym czasem, nie objawiając na co, wozic kazano kamień na zamki w Gnieźnie i Poznaniu.

Wielkie przygotowania działy się po grodach, choć o ich celu nie ogłaszano ludowi... Ks. Jordan tylko chodził przysposabiając kogo mógł do przyjęcia chrztu, zarazem objawiając o wielkich darach, jakie kneź miał dla chętnych czynić... Białe szaty z płótna i sukna szyto

secinami na zamku u Górki i Dubrawki, i składano je stosami.

Jordan opowiadając ewangelię, zarazem zwiastował, że ona wszystkich uczyni braćmi w Chrystusie, połączy i porówna, że kneź stanie się dla nowo nawróconych ojcem zarazem i bratem.

Pomimo wzburzenia umysłów, jakie obalenie Biela i słupa na Dąbrowach wywołało — nie było prawie nocy, aby gdzieś posąg na rozdrożu lub uroczysku nie upadł i nie został zniszczony. Zdawało się, że je niewidzialna jakaś ręka wywraca, bo nigdzie sprawcy, ani nawet śladu dojść nie było podobna...

Czekano kary Bogów na próżno — nie broniły się już stare bogi...

Resztę ich, które stały po domach i zapadłych kątach, chowali pobożni i kryć się zaczęli z niemi.

Warga, który usiłował do czynnego i rozpaczliwego skłonić oporu, zaledwie nieznaczną garstkę w koło siebie zgromadził, i ukrywać się z nią musiał.

Smutek padł na kraj cały... Nigdy bez bólu nawet do lepszego stanu nie przechodzi człowiek, a stokroć trudniejszym jest odrodzenie się społeczeństwa, które zwichnięte w biegu, nie łatwo odzyskuje ruch bezpieczny i stały. Chwile przesilenia i gorączki są zawsze dołą nieładu i rozprężenia. Żli korzystają ze swobody, jaką daje nieposzanowanie praw, które się walą, uwalniając zarazem od poszanowania tych, których znać jeszcze nie mogą. Toż co zawsze i wszędzie objawiało się u Polan teraz, ale silna dłoń Mieszka nie dopuściła, aby zamęt ten wyrodził się w całkowite starganie wszystkich węzłów.

Gdy się to gotowało z wolna, bo pośpiech w wykonaniu codziennym się okazywał trudniejszym, bo przygotowania olbrzymie być musiały, Mieszko odłożył znowu uroczyste ogłoszenie wiary do następnego roku.

Trzeba było tymczasem zwiększyć gromadkę przysposobionych do chrztu i z myślą nowego znamienia pogodzić kraj, który swych dawnych bogów opłakiwał.

Gdy się to działo, Mieszko szukał sposobności do jakiegoś wystąpienia, któreby mu przymierze konieczne z cesarzem Ottonem ułatwiło... Los mu je nastęrczył.

Już w Quedlinburgu mogli się wszyscy domyślać, że dumny Wigman, odprawiony niemal z pogardą przez cesarza, szukać będzie sposobności wojowania przeciwko niemu. Miano nań oko, ale znikł pomiędzy słowiańskimi książątkami, u nich szukając schronienia.

Wszczął się był spór o pograniczne posiadłości między obodryckim wodzem Mstiwujem a Zeliborem wagijskim. Oba oni już zawojowani, radzi nie radzi zależeli od saskiego markgraфа Hermana.

Spór miał rozstrzygnąć Herman i Zelibora uznawszy winnym napaści i gwałtu, skazał go na wydziedziczenie i odebranie mu władzy.

Zelibor nie myśląc się poddać, powołał Wigmana do siebie. Oba więc porwali się do broni. Zaledwie to się stało i nim przysposobić się mogli, Mstiwój z Hermanem naszli na osadę i gród Zelibora, wzięli je prawie bez oporu, a oba wodze ucieczką ratować się musieli. Do tych waśni Mieszko się mięszać nie myślał wcale, lecz



pilno się im przypatrywał, mając tam ludzi zawsze i dostając łatwo języka.

Zbiegły Wigman siedział teraz u Wolińców nad Odrą, a że spokojnie wytrwać nie mógł, z nimi razem napadał już kilkakrotnie na ziemię Mieszkowe... Teraz więc był czas, broniąc własnych posiadłości, razem cesarzowi uczynić przysługę i uwolnić go od niespokojnego krewniaka.

Włast jadąc do Pragi, zaniósł tam także do Bolka prośbę, aby parę ufców zbrojnych dobrze w pomoc Mieszkwowi przybywało...

I gdy z jednej strony chrztem się zajmować zdawali wszyscy, kneź, któremu dolegał spoczynek, gotował się do wystąpienia przeciwko Wigmanowi.

Jednego wieczora, powracający Włast, przywiódł z sobą i gromadkę duchownych i kupkę rzemieślników a kunsztmistrzów i dwa świetne piękne oddziały czeskiej jazdy. Wszystko się z zamku wyroiło ujrawszy ten dosyć mnogi lud napływający do grodu.

Wybiegła i Dubrawka z niezmierną radością witając swych Czechów, szczególnież duchownych, co jej do przysposobienia wielkiego dzieła pomocą być mieli.

Ona w istocie duszą jego była i przynaglała aby corychłej spełnić się mogło. Dając jej czynić co chciała, Mieszko zawsze jeszcze milczał i zwlekał.

Teraz chwila już zdawała się być blizką.

Na powitanie Czechów, wyszedł i Mieszko sam, dowódców dwu oddziałów zapraszając na dworzec, razem z duchownymi.

Resztę przybyłych wnet rozmieszczono na grodzie, gdzie dla nich wszystko było przygotowanym. Omyliła się wszakże Dubrawka sądząc, że poczty czeskie przybyły, aby uroczystości wielkiej więcej dodać świetności. Kilka dni pozwolono im spoczywać. Rzemieślnikom natychmiast wyznaczono pomoc, schronienie i usługę, a Mieszko rozporządziwszy wszystkim i księży zdawszy ks. Jordanowi, sam — zaczął się przysposabiać do wycieczki jakiegóż.

Wszystka piechota, a téj było najwięcej jeszcze, wyruszyła cicho na granicę ku Odrze, drugiego dnia ujrano Czechów, występujących w tę stronę, trzeciego rano sam kneź, pożegnawszy żonę, siadał na konia i wraz z Sydbórem ruszał w pole...

Już trudno było cierpliwiej Dubrawce na nową tę patrzeć zwłokę, na pół ze łzami, wpół gniewna, gdy Mieszko miecz sobie ów cesarski przypasywać kazał, zapytała go, coby to znaczyć miało.

— Kniehini ty moja — odezwał się Mieszko spokojnie — dajcie mi mojemu sprawę rozrządzać wedle myśli mojej... Ja wrzeczona nie tykam, ani was prąść myślę uczyć, dopuścież mi wojować jako wiem i umiem.

— Ale po cóż nową rozpoczynać wojnę, wprzódy nie uczyniwszy w domu co najpilniejsza, aby na nią Boże mieć błogosławieństwo? — przerwała Dubrawka.

I na to pytanie rozśmiał się nieco Mieszko — ręką tylko w powietrzu zamachnąwszy, jakby mieczem...

— Na wszystko będzie pora, miłościwa a niecierpliwa pani moja — rzekł. — Ludzie się tymczasem lepiej

przysposobią, oswoją i obejdą z tém co ich czeka... Księża jeszcze wiele z mojemu i ze mną mieć będą do czynienia, nim nas na chrześcian przemienią.

Gdy ujrzę, że czas potemu, nie zwlekę... a teraz w pole trzeba, na łowy... i bywajcie mi zdrową miłościwa pani.

Miłościwa pani smutnie przyjęła rozkazy, lecz nauczyła się już w pożyciu z mężem, iż go powolnie tylko przekonać i skłaniać było można. Trwał przy swoim twardo i nie łatwo obrócić się dawał, gdy powziął postanowienie.

Wyciągnął więc i tym razem w pole, nie rzekłszy nawet dokąd, a na zamku zostali apostołowie pod kierunkiem ks. Jordana pracujący, w Krasnejgórze zaś Włast na swą rękę zwołujący do winnicy...

A pod grodem w chałupach siedzieli sprowadzeni rzemieślnicy kując srebro, lejąc spiżę, wyrzynając drzewo, ucząc obrabiać kamienie a palić wapno... Przy nich już parobcy tutejsi przypatrując się im, otwierali oczy, i sposobili ręce do roboty, która dla nich miała urok nowości...

Od pługa i miecza, do młota i dłuta, przejście łatwym nie było....

## IX.

W obozie nad Odrą, jednego wieczora cesarski krewniak, nie tak jakeśmy go widzieli w Quedlinburgu odarty i opuszczony, ale we zbroi lśniącój, na koniu dzielnym, w hełmie skórzanym łuskami żelaznymi naszywanym z kitą czerwoną, w płaszczu niebieskim na ramionach, opatrywał nowych swych przyjaciół szeregi.

Sam jeden tu był wśród tego ludu, do którego i on nie przystawał, i orszak co go otaczał, jakby cudzy przy nim wyglądał. Dziwnie zaprawdę wydawał się ten niemiecki rycerz, przygodami osobliewi ze dworu najświetniejszego w Europie wygnany, pomiędzy lud na pół surowy i do innego należący świata. Między tym wodzem a jego ludźmi, trudno było powinowactwa dopatrzyć. Ziemko i Hłaska, dwaj naczelnicy wolińców, jechali przy zbrojnym Niemcu, także niby z niemiecka przyodziani, ale dziwacznie. Mieli oba po kawałku zbroi... Ziemko na głowie skórzaną czapkę, na krzyż żelaznymi opasaną prętami, mieczyk u boku, pióro u hełmu, jaskrawy płaszcz na ramionach, ale na nogach po staremu chodaki sznurowane wytarte, i spodnie z grubego płótna. Nie lepiej wyglądał Hłaska, który też między Niemcami bywał, i przyodziaćby się był rad, aby wstydu Wigmanowi nie czynił. Krótki tułubek frankijski, paskiem obszyty miał czerwono, pod szyją spiżowe spięcie, na ramionach stare kolce mosiężne, wszystko to z sobą nie dobrze szło, ale Hłaska uczynił co mógł.

Dwaj wolińcy, w rozpaczy, dla wybicia się z jarzma niemieckiego, Niemca się chwycili... Zdało się im, że ten cesarski krewny, a sławiony rycerz najlepiej mógł ich poprowadzić. Nim jednak na Niemców napaść mieli, chcieli się na polanach spróbować i łupem się opatrzysz, a jak im się zdało, pobiwszy może — większą siłą

występować dla wyswobodzenia, na markgrafów. Na Mieszku próba tylko uczynioną być miała. Wigman się zabawiał z wolińcami, Ziemko i Hłaska w oczy mu patrząc jak wyroczeni go słuchali... Świetne mieli nadzieje... Naprzód polan zwojować i albo ich zmódrzyć a złupić, lub z sobą na markgrafa pociągnąć. Zdawało się to łatwem — urok niemieckiego wodza oślepił biednych słowian, a stare waśnie graniczne kazały zapominać, że mieli walczyć z pobratymcami. Pycha Wigmana, który się bezmiernie wśród tych prostodusznych ludzi czynił wielkim, a pewnym siebie, wiarę w nich wlewała... Czynił ten wódz nowy z niemi co chciał, ufali mu jako zbawcy, a przyszłej wielkości swój założycielowi...

Niemiecki Comes tymczasem objeżdżając szeregi tego ludu, dziwnie jakoś nań poglądał. Nie było to wojsko — ale tłum mężny i bitny, ochoczy do walki, a niesworny. Na kilka oddziałów podzieleni wolińce, leżeli obozem nad rzeczką, na wysokim brzegu, a było ich tak sporo, że jak okiem zajrzeć w dolinę, łąka ludźmi była usłana. Starszyzna tylko miała parę namiotów szarych, na tykach rozpiętych. Dla Wigmana na wzgórzu paradniejszy ustawiono; reszta pod gołem niebem i w małych szałasach koczowała przy ogniskach.

Nie wiele jazdy i to dosyć niepokaznej udało się Ziemkowi zgromadzić. Na małych konikach, siedzieli więksi stosunkowo od nich wojownicy w prostych sukmanach, z łukami na plecach, z młotami i siekierami u siodła, z dzidami różnych rozmiarów w dłoni. Z twarzy tych ludzi, którym włosy długie i gęste starczyły za nakrycia głowy po większej części, widać było dzikie i nieustraszone męztwo — lecz nie to co się powodować umie i łączyć spójnie w gromadę, ale rachujące samo na siebie tylko i niedające ni pokierować sobą, ni powstrzymać.

Jak konie rwały się i wierzgały a kasały, w kupie ustać nie mogąc, tak ludzie ucierali się, łajali i przechwalali głośno.

Po niemieckich pocztach milczących i posłusznych, ta butna ciżba Wigmanowi osobliwą wydawać się musiała. Poglądał na nią oczyma zdumionemi, a Ziemko i Hłaska, jadąc tuż, w jego oczach usiłowali czytać, co myślał o ich drużynie, której oni siłą i męstwem byli pewni.

Comes liczył tylko ile ich było, bo na nic innego jak na lik znać rachować nie mógł.

To Ziemko to Hłaska po bokach jadąc, zagadywali go, wskazując na swych ludzi, rycerz niemiecki tylko głową potrząsał i ramionami ruszał.

Tak przepatrzywszy jednych, u których żelaznego okrycia ledwie można było gdzie dopatrzeć, ruszyli ku pieszemu ludowi, którego daleko więcej było. Kazano leżącym i spoczywającym wstawać, a zbijać się w rzędy, aby i tych okazać, czém byli.

Dosyć nieochoczo ruszył się tłum mruczając, i wstali jak dęby ogromni, szerokich ramion, niezbyt odziani, na pół bosi wojacy, u których oszczepów i pałek więcej było, niż innej broni. Za to niemal wszyscy mieli tarcze, tak jak i polanie, z desek cienkich drewnianych pospajane, dwa i trzy razy obciągnięte skórą, gdzieniegdzie gwoźdźmi

nabijane i sztabkami.

Z gwarem na nogi wstając wolińcy stawali kupami, każdy chwyciwszy broń jaką miał.

Wigman pomyślał w duchu, iż gdyby oręż a wprawa nie nie ważyła, straszneby były te gromady ludzi silnych, nielekających się śmierci, chciwych boju dla niego samego, dla krwi i gorączki, jaką walka daje. I znowu z konia siedząc niemiec liczył sobie tych ludzi, na mnogości ich pokładając nadzieję.

Lecz na Mieszka, który niewiele może lepszego miał żołnierza, zdawało się to dostatecznym, gdy taki wódz prowadził.

Dwaj wodzowie jak najlepszą mieli otuchę, czy ją Wigman podzielał, odgadnąć było trudno. Objechawszy szeregi, zawrócił nazad ku wzgórkowi i namiotowi. Naglili go Ziemko i Hłaska, aby im co rzekł; powiedział im tylko, że lud piękny...

Czegoś mu na duszy smętno było, popatrzywszy gdzie, z kim był, i komu miał dowodzić. Przed namiotem zsiadli z koni, jeszcze raz pytać go zaczęli, odpowiedział im mało, pozdrowił dumnie ręką i wszedł opłotek uchylwszy do wnętrza.

Jeden stary jak pan sługa, niemiec Hatton, czekał tu na niego. Ten jeden nie opuścił go i nie zdradził, a choć wstręt miał iść przeciw cesarzowi z poganami razem wojować, Wigmana nie rzucił. Był to człowiek przykuty do comesa, który porzuciwszy go, nie wiedziałby zaprawdę co uczynić z sobą. Mały, krępy, posiwiały pacholek, milczące stworzenie i posłuszne, stworzone było aby przy kimś wisiało. Los mu nastęrczył Wigmana. Z nim i świetne przeżył lata i teraz gorzkiemi truł się dniami.

Gdy Wigman pod namiot wszedł, zerwał się stary Hatton, aby mu zbroję zdjąć, i wnet począł swą usługę. Milczący comes dawał mu czynić z sobą co chciał, był zadumany i ponury.

— Hattonie! co mówisz na to? — począł ponuro niemiec — z Quedlinburga do obozu wolińców? z gościny u tego Ottona do Ziemka? he? dobrześmy padli?..

Hatton ramionami ruszył. Milczał długo.

— Miłościwy grafie — rzekł w końcu — a nie lepsze to, jak los Eryka, Bakki, Hermana, Wiryna i Ezeryna?..

— Pewnie... ależ ci omal Hilliwarda biskupa nie zabili, przeto ich Otto w Quedlinburgu pościć kazał... a ja?.. ja tylko swojego broniełem gardła...

Hatton mruczał.

— Mów ty mruku głośniej, chceszli, by cię zrozumiał! — krzyknął Wigman.

— Broniliście miłościwy panie gardła, nie trzeba było pleców żałować... — odparł giermek.

— Krzyże mam twarde! to nieszczęście moje... — zawołał Wigman — w żyłach moich krew Ottonów płynie...

Hatton głową skinął potakująco. Rozpinał mu kaftan łuską wyszywany, pod którym drugi skórzany widać było. (Noszono ich po kilka na sobie.)

— U nich... u nas... — mówił dalej Wigman — wszystko pod humor i od fantazyi... Gdybym na Ottona dobrego trafił, dobrzeby mi było, los mój chciał, abym na złęgo

padł...

Pamiętasz Hattonie — dodał — Gintera ratysbońskiego biskupa? I co mu dało biskupią dostojność?..

Hatton milczący głową pokiwał.

— Otto szedł rano na mszę w Ratysbonie do klasztoru świętego Emmerama. Po drodze powiedział sobie: Stołek biskupi wakuje... komu go dać? komu?.. niechaj los wybiera... Pierwszy duchowny, którego spotkam, biskupem będzie... U furty klasztoru ubogi Ginter mu otwiera... Co mi dasz za biskupią infułę? pyta Otton. — Miłościwy panie, śmiejąc się odparł biedny księżyna, nie mam nic swojego oprócz podartych na nogach chodaków... I został biskupem... — dorzucił Wigman.

— Tak samo ja w dobrą godzinę mógłbym być saskim księciem w miejsce Hermana...

Hatton ostatni kawał zbroi odczepiał i znowu mruczał coś niezrozumiale.

— A coby ci po tém przyszło miłościwy panie — rzekł chmurno. — Albo w łaskach będący Herman nie wywołał na się gniewu cesarskiego za to, że go w Magdeburgu przy biciu w dzwony i oświeconym kościele przyjmowano, że śmiał tam spać w łóżku cesarskim i u cesarskiego siedzieć stołu? Albo go nie wyklął biskup Bruno tego szczęśliwego Hermana, któremu zazdrościcie...

— Wolałbym być jednak wyklętym przez Brunona — zawołał Wigman — niż odepchniętym przez cesarza... Ale łaska familii niestała rzecz... Wolałbym być jego bękartem niż krewniakiem...

Hatto<sup>[16]</sup> rękami poruszył jakby zaprzeczał tym rozpaczliwym oświadczeniom.

— Pewnie — potwierdził Wigman wzdychając — alboż nie wiesz, że bękartu swojego z niewolnicy, ze słowianki, z prostej dziewczki narodzonego, Wilhelma, uczynił Otto arcybiskupem mogunckim?.. Jego synom, jego córkom, jego nieprawemu potomstwu wszystko było wolno... a nam, biednym, milczeć tylko i cierpieć... Wilhelm został arcybiskupem, a wdowa po Konradzie frankońskim, choć Kononowi potajemnie ślubowała, wyparła się go i Burchard wystąpił w jej obronie, a rękę mu obciął, co zawysoko sięgała!..

Mówił tak Wigman z bólem wielkim, aż zamilkł wreszcie, głos coraz był smutniejszym i siła a duma w tej chwili zdawały złamane. Gdy Hatton mu zbroję zdjął i odstąpił, Wigman na stole ujrzawszy krzyż, kląkł się modlić.

Z pokorą i skruczą załamał dłonie przed Chrystusem i na głos począł odmawiać modlitwy, Hatton, który w kącie stał, jakby mimowolnie też ręce złożył i za panem je powtarzał. Modlił się tak długo, a wśród szmeru modłów tych okrzyki obozu wolińców dolatywały dzikie, jakby szydziły z ich nabożeństwa.

Wigman leżał wreszcie na pościel przygotowaną, ale do snu mu było daleko, oczy miał otwarte, sparty na dłoni, dumął może o cesarzu, o sobie i dziwnych losach swoich. Zaczynało zmierzchać, gdy sykanie słyszeć się dało przed namiotem. Hatton zerwał się i wyszedł, Wigman głowę zwróciwszy czekał.

Po chwili wprowadził giermek Ziemka.

Szedł on pospiesznie bardzo i z ożywioną twarzą i wzrokiem.

— O Mieszku wieść przyniesiono — rzekł szybko.

— Rad ję będę... Gdzież on jest?

— Stoi o pół dnia drogi od nas, pewnie się niczego nie spodziewając... co pocniemy? Mamyli czekać na niego czy następować?

Wigman wstał z łoża i siadł.

— Liczyż ma poczet z sobą?.. gdzie się położył?..

Na to Ziemko odpowiedzieć nie umiał, przywołano tego, który przyszedł z wieścią. Był to stary człek, o kiju, w koszuli, w sakwach przez plecy, bosy, trochę przelekleły a bardzo niespokojny. Ziemko badać go począł. Widział on tylko piechotę w obozie, a zapytany ręczył, że ję pewnie i połowy nie było tej, jaką wolińce mieli. Obóz był na łące, wśród zarośli i gajów, rozłożony bezpiecznie, jakby się sąsiedztwa niczyjego nie spodziewał.

Ziemko patrzył w oczy niemcowi, który się wahał długo.

— Jeżeli swoim ufacie, czemu byśmy naprzeciw nich iść nie mieli? — rzekł Wigman — zawsze ten przewagę ma, kto pierwszy naciera...

— Więc ruszmy jutro o świcie...

Comes ani zaprzeczał, ni zachęcał, położył się znów skinawszy głowę i w myślach swych zatopił.

Nazajutrz jako dzień ruszyło się wszystko z obozowiska, ustawiać zaczęło, siedli wodzowie na konie, Wigman znowu opięty kaftanem łuskowym, wyjechał z Hattonem, który małą tarczę i zapaśny miecz wiozł za nim.

Dzień obiecywał się skwarny.

Oddziały wyruszały powoli, każdy poprzedzany stanicą swą, na których orły, ptaki i potworne stworzenia grubo były wyrzeżane. Stanica Ziemka wystawiała wołu białego.

Ruszając z noclegu zanucili pieśń jakąś dziwnie brzmiącą w uszach Wigmana, który pocichu modlitwy odmawiał.

W obozie Mieszka, on, Sydbór i dwaj czescy dowódcy stali od rana pogotowiu. Wiedziano tu o Wigmanie, o wolińcach, o ich sile i kneż rano wstawszy, czechów jazdę z dwu stron na boki wyprawił, poleciwszy ję, by się dopiero na skinienie i hasło ruszyły.

Na wysokości sośnie posadzone pacholę czatowało, by dać znać gdy się wolińcy spodziewani ukażą. Równy prawie z hasłem przez chłopaka danem zdala i śpiewy usłyszano. Mieszkowy lud niecierpliwy był, ale mu się ruszać nie kazano. Stać tak mieli, aży na nich naszedł nieprzyjaciel.

Gdy się w dali kupy owe ukazały, Mieszko i Sydbór skoczyli na koniach przodem, postali im na widoku trochę i puścili nazad spiesznie, a wnet i ludziom niby popłoszonym zwolna się cofać nakazano.

Ujrzawszy to Wigman i Ziemko, którzy przodem szli, z okrzykiem gromadom swoim dali znak, aby się na nieprzyjaciela rzuciły.

Stał się w obozie Mieszka jakby zamęt umyślny i oddziały jego jedne po drugich za gajami znikać zaczęły.

W pogoń się puścili wolińcy, z okrzykiem coraz głośniejszym, że wrzawą i zapałem niezmiernym. Wigman

na koniu przed niemi.

Mieszkowi ustępowali, lecz tak zwolna, że się dogonić dali... ustępowali głębiej między gaje, i jakby się ułękli wolińców, nawet im nie stawili czoła.

Tém silniej nacierali Ziemko i Hłaska, tém gwałtowniej zagrzewać począł Wigman.

Już byli kilkoro staj od nieprzyjaciela, gdy na dany znak piechota Mieszkowa odwróciła się na wolińców i do bitwy stanęła. Z obu stron rzucono się na siebie z porywcznością wielką.

Cały zastęp wolińców bez porządku wysypał się, wylał, rzucił na polan. Podniesiono tarcze i pałki walić o nie zaczęły. Świsnęły strzały... posypały się pociski...

W tej chwili, gdy jeszcze wolińcy pewni byli prawie zwycięstwa, z lewej i prawej strony na tyłach, na odgłos trąbki Sydbóra, wystąpiły ukryte w zaroślach dwa czeskiej jazdy oddziały.

Zatętniała ziemia pod kopytami i nim kupy niesforne wycofać się mogły, wzięte były z obu stron jak w kleszcze, między Mieszkową piechotą a konnicą Sławnika; już czesi im siedzieli na karkach. Z drugiej strony oddział Sydbóra piechoty, ludzie dobrani i wprawni do boju, kładł trupem wolińców, zaczynających się rozsypywać i w ucieczce szukać ratunku.

Ziemko i Hłaska widząc się w położeniu rozpaczliwém, poszli naprzód, aby ratować swoich, albo ginąć z nimi. Wigman z konia swego na wzgórzu stojąc już widział, że bitwa była przegrana.

Siły piesze Mieszka niewiększe były może niż wolińców, lecz ujęte w porządniejsze szeregi; jazdy nie mieli prawie sprzymierzeńcy Wigmana, a czeska była wyborna i uzbrojona jak niemiecka. Chwilę comes patrzył na tę rzeź, z której ratować się już nie było nadziei, wreszcie z pogardą i dumą zawrócił konia i wolnym krokiem ustępować począł. Jedynym ratunkiem była ucieczka... Serce się krwawiło na myśl sromotnego uchodzenia przed nieprzyjacielem, Wigman nie spieszył, gdy przypadłszy doń Hatton, zaklinać go zaczął, aby uchodził.

Czas jeszcze było się cofnąć i ująć czechów pogoni, zajętych rozpraszaniem gromady, która po gajach szukała bezpieczniejszego schronienia.

Wigman już konia miał uderzyć, gdy z zaiskrzonemi oczyma, w porwanej sukni, z krwawą twarzą dopędził go Ziemko i za cugle konia pochwycił. Rozpacz malowała się na jego obliczu.

— Ha! — zawołał — dobrze wam było nas wprowadzić w zasadzkę, oddać na rzeź i zgubę, samemu będąc pewnym, że was dobry koń ztąd wyniesie?

Wigman zaczerwieniwał od tej wymówki jak policzek mu ciśniętej; można było sądzić, że mieczem, który trzymał w ręku, przebiję zuchwałego śmiałka. Powstrzymał się jednak, drgnął cały i z konia zeskoczył.

Z dobytym mieczem, nie odpowiadając słowa, poszedł gdzie wrzała bitwa.

Koń rzucony nie dając się pochwycić Hattonowi, który chciał cugle porwać, spłoszony krzykiem, rzucił się cwałem w pole.

Wigman w ciężkiej zbroi został pieszo. Około niego

łamiąc ręce i przeklinając dzień i godzinę nieszczęśliwą szedł Ziemko, ale na przekleństwa i wymówki jego nie odwracał się nawet Wigman. Oskoczyła ich wnet kupa Mieszkowej piechoty. Starszyzna wolińców i Wigman z nią musieli się począć cofać odcinając. Comes milczący szedł nie okazując wściekłości, ale ilekroć się odwrócił, płałał straszliwie napastników. Od żelaznych łusk jego kaftana odskakiwały miecze<sup>[17]</sup> kruszyły się na nim oszczepy. Ziemko i Hłaska bronili się też z rozpaczą ludzi, którzy wiedząc, że nie obronią życia, drogo je przynajmniej chcą kazać opłacić wrogowi.

W dolinie wkrótce nie było już wojsk walczących z sobą, tylko kupki przelękłych, unoszących życie ludzi, które ścigali zwycięzcy. Tam gdzie się starły pierwsze szeregi, leżały wałem trupy pobite i przez czechów posiekane. W krzakach i zaroślach tulili się ranni. Zielona łąka stratomana, zkrwawiona, potrzaskanemi usypana pociskami, była jakby straszném śmietniskiem grobowém. W prawo i lewo wśród lasów słycać było wycie i jęki. Uciekali jedni, gonili drudzy na wszystkie strony.

Jeden oddział z Sydbórem puścił się ścigać Wigmana, o którym wiadano, że prowadził wolińców. Mieszko nie chciał mu dać ująć i byłby go sam pędził, gdyby mu fałszywie inną kupki nie wskazano, w której się miał comes znajdować. Pogoń ta rozpoczęta około południa, przeciągnęła się do wieczora. Następowali polanie na Wigmana i tych co przy nim byli, ale go ująć ani zabić nie mogli. Zmniejszała się gromadka jego towarzyszków, wołano nań, aby się poddał, krew mu z ran ciekła, lecz krewniak cesarski z dumą swojego rodu ginąć wolał, niż temu tłumowi zdać oreż i życie na łaskę... Krok w krok szli za nim zmęczeni jak on, ale równie chciwi pochwylenia go jak on ocalenia, napastnicy; łajano się wzajem po słowiańsku i niemiecku... i mrok padał, a końca tej walce upartej nie było. Wigmanowi udało się nieco oddalić od pogoni, pomogły mu gąszcze w lesie, zdawało się, że ująć potrafi. Ziemko już był zginął. Hłaska się odbił w pochodzie, został on sam, a z nim Hatton tylko, który go i tu nie chciał opuścić.

Nadeszła noc i ciemność...

Jeszcze w prawo i w lewo słyszeli przedzierających się tych co ich ścigali, ale wkrótce ucichły głosy, i Wigman padł na ziemię napół żywy. Ostrza włóczni kilku tkwiły w jego kaftanie i krew się z pod nich sączyła.

Z niecierpliwością wyrwać je począł Wigman, choć nowiej przyczyniał boleści. Ranny Hatton przywłókł się chcąc go ratować, lecz siły już sam nie miał, upadł u nóg jego i ducha wyzionął.

Wigman popatrzył nań jakby na wiernego psa ubitego na łowach, w oku mu się zakręciła łza, drżącą rękę przyłożył do jego czoła. Oblane było potem, ale już zimne, stygło bardziej pod jego dłonią.

Został sam, ranny, z poszczerbionym mieczem, nie wiedząc gdzie był i co miał począć z sobą. Umierać tak w lesie, na pustkowiu, czy usiłować się jeszcze ocalić? Dokoła cicho było, las tylko szumiał i czasem niezrozumiały krzyk ptaka, jakby czémś zbudzonego, przerywał głuche milczenie.

Wigman pozostał tak długo patrząc na trupa sługi, rozciągniętego u nóg swoich, to na niebo, które gdzieś-niegdzie z między gałęzi świeciło gwiazdami. Sam nie wiedział, jak długo tak leżał, aż gdy powstać zapragnął, uczył się złamanym i bezsilnym. Uśmiech mu usta blade wykrzywił; zmógł się na ostatek mocy i poruszył, oparłszy na mieczu. Powolnym krokiem począł się sunąć, nie wiedząc dokąd go doprowadzi dalsza nocna ucieczka. Bojowe krzyki, hasła, nawoływania, wszystko ucichło. Las tylko szumiał mu nad głową i wiatr czasami przerywał się przez gałęzie, jakby duchy w polocie uderzyły o nie.

Wigman już nie miał ocalenia życia nadziei, ale cześć swą rycerską ocalił, miecza nie pozbył, z ran płynęła krew, lecz do niewoli się nie dostał. Chciał pomodlić się i skonać gdzieś spokojnie, chciał... sam już nie wiedział czego. Instynkt jakiś kazał mu szukać przytułku. Wlókł się więc lasem, trzymając skraj jego, podpierając na skrwawionym mieczu, myśląc o Hattonie, którego ciało zostało bez chrześcijańskiego pogrzebu.

Myśliwy i wojak, trochę znał niebo i gwiazdy, bo się po nocach nieraz przez puszcze przedzierał. Na niebie wóz północny wskazywał mu zbliżanie się poranku, ku wschodowi błada luna poprzedzająca dzień już się zarysowywała. Nie wiedząc dokąd, szedł dalej Wigman, niekiedy odpoczywając przy drzewach, gdy w dali na wybrzeżu lasu zdało mu się, że ujrzał zagrodę. Zbliżając się rozpoznał w istocie wysokie ostrokoły, które ją otaczały, dach okryty dranicami, drewniany dymnik i żuraw studni.

Pragnienie go paliło.

Okolo chaty cisza panowała i nierychło, gdy się ku niej zbliżał, psy ujadać zaczęły. Głos ten był mu prawie miłym, zwiastował ludzi... mógł się ktoś znaleźć litościwy.

Wigman stanął u wrót zamkniętych, z których drugiej strony zebrane psy wrzawę nań ogromną podniosły. Skrzypnęły drzwi chaty i wyszedł człowiek. Dniało już, mógł więc dojrzeć tę postać olbrzymią, która się wnijsia dopraszała milcząc.

Chata była słowiańskiego ubogiego ziemianina, jak wszystkie stojące otworem dla każdego proszącego o schronienie. Gościnność była u słowian prawem, z którego i wroga nie wyjmowano.

Z siermięgą narzuconą na plecy wyszedł milczący gospodarz otworzyć wrota. Spojrzał na okrwawionego rycerza, poznał w nim Niemca i nic nie mówiąc poprowadził za sobą. Psy zdala idąc za nim ujadały i wyły.

Słaniając się przywłókł Wigman do wnętrza chaty, gdzie już od węgla w ognisku zapalono łuczywo, obejrzał tylko i rzucił na ławę. Krew po nim ciekła, wyglądał straszno i gospodarz ujrzawszy go, ręce załamał.

Podparty na stole niemiec spoczywał, ręką tylko wskazał, że ma pragnienie. Przyniesiono mu wody.

Gdy się to działo w chacie, a psy się jeszcze uspokoić nie mogły, na podwórku wrzawa powstała.

Wigman usłyszawszy ją, słabą ręką porwał za miecz, który przy sobie postawił; chciał wstać, ale sił już nie miał.

W tém w progu chaty zjawili się ścigający niedobitków po lesie Mieszkowi ludzie, kilku prostych ciurów. Od progu też dał się słyszeć krzyk radosny; mieli go nakoniec w rękę.

Z podniesionymi pałkami i oszczepami poczęli się cisnąć otaczając Wigmana, który miecz podniósłszy z za stołu, groził im jeszcze.

Naczelnik wołał, aby się poddał.

— Ja? wam?.. nigdy!.. niech tu przyjdzie wasz kneź sam, tylko jemu jednemu miecz oddam... a nie, bronić się będę do ostatniego tchu i kropli krwi... Precz, ha!astro!.. Na chwilę wstrzymali się ludzie, lecz wnet poczęli znowu naciskać, i jeden z nich pałką się na Wigmana zamierzył który oburącz miecz chwyciwszy i pałkę odbił i rękę zakrwawił.

Ta rozpaczliwa obrona wstrzymała napaść. Nie było potrzeby nieszczęśliwego dobijać, który cały krwią był okryty i chwał się na nogach; poczęto szukać starszego i słać za Sydbórem, który był blisko. Mieszkowi żołnierze zostali tak w pewnym oddaleniu, szanując nieszczęście w człowieku, którego chwile były policzone.

Wigman słabł widocznie, lecz oczy mu jeszcze świeciły groźnie i twarzą zdawał się napastnikom uragać.

Trwało to chwilę, gdy Sydbór nadbiegł spiesźnie, przebił się przez kupkę ludzi i stanął naprzeci<sup>[18]</sup> Wigmana.

— Poddaj się, lub zginiesz!..

— Ktoś ty? — zapytał comes.

— Brat Mieszka.

Nastąpiło milczenie. Wigman popatrzył na swój miecz obłany krwią, chwycił go za ostrze i rękojeścią wyciągnął do Sydbóra. Oczy mu znowu zapałały dziko i wargi się zatrzęsły.

— Oddaj ten miecz zwyciężonego Wigmana panu swojemu — rzekł — i powiedz mu, niech go odeśle przyjacielowi swojemu cesarzowi, Otto wdzięczny mu będzie za to... i wynagrodzi go pewnie...

Gdy Sydbór wpatrując się w niego ciekawie stał miecz biorąc, Wigman szepnął.

— Dajże mi umrzeć spokojnie...

I jak stał za stołem, posunawszy go jeszcze, padł na kolana na ziemię, złożył ręce i głośno po niemiecku modlić się zaczął.

W tej przedśmiertnej modlitwie było coś tak przejmującego, że ludzie wszyscy ustąpili się z trwogą i poszanowaniem od niego. On nie widział już ich i nikogo, modlił się gorąco... Ze krwią razem płynęły mu łzy, a z ust dobywały się niezrozumiałe wyrazy i głębokie westchnienia; kilkakrotnie dłonią okrwawioną uderzył się w piersi, potem czoło sparł na skrzyżowanych dłoniach, zasłonił oczy, jak ci rzymscy gladiatorowie, co rzucali na twarz kraj szaty, aby się nie wydać z bólu wyrazem... nie widać było nic, tylko drżące dłonie i zbiełałe czoło. Zsunął się powoli na ławę i skonał.

Tam gdzie siedział i klęczał, stała kałuża krwi skrzepłej. Sydbór i wszyscy świadkowie tej śmierci długo stali, wpatrując się w nieszczęśliwego. Dzień się robił coraz jaśniejszy i do chaty zaglądał już, gdy zatętniło i kneź Mieszko z drużyną podjechał pod zagrodę. Wybiegł

Sydbór miecz Wigmana niosąc i wieszając mu zwycięstwa.

Wolińcy byli na głowę pobici, poszli w rozsypkę i mnogim trupem ustalili pobożowisko, najniebezpieczniejszy z nieprzyjaciół, Wigman, nie żył.

Mieszko wszedł spojrzeć tylko na trupa, zmierzył oczyma tę dumną, nawet w chwili zgonu postać i nie rzekłszy słowa, chatę opuścił, nakazując pogrzeb przystojny nieprzyjacielowi.

Wkrótce około zagrody zbierać się zaczęły rozproszone oddziały, które przez całą noc ściagały uchodzących. Ziemko i Hłaska polegli oba, zwycięstwo było zupełne i na długo trwogą napełnić mogło nad-odrzańców.

Czesi i polany zebrali się tu znowu, znosząc łupy i obliczając swe straty, które bardzo szczupłe były. Zdobywszy nie wzięto wielkiej, oprócz silnego niewolnika a niewiele wartego uzbrojenia.

Tu odpocząwszy nieco kneź zdał dowództwo Sydbórowi, napowrót ciągnąc mu każąc do Poznania, a sam w kilkanaście koni tylko puścił się przodem, zabrawszy z sobą Wigmanów miecz, jako zwycięstwa swojego pamiątkę.

Tak skończył niespokojny ów warchoł, który z Geronem razem napadał naprzód polan, potem na nich wiódł wolińców, wojował za cesarza i przeciw niemu, ze słowianami i na słowian... i nigdzie nie znalazłszy spokoju, musiał umrzeć, aby przestać mącić go drugim.

Naprzeciw zagrody słowiańskiej usypano mogiłę comesowi, na której krzyża nie było komu postawić.

Cesarz dowiedziawszy się o tym z pogranicza, nie rzekł nic, żal mu go było może.

Nazajutrz w Regensburgu uroczyste za duszę grafa odprawiono nabożeństwo.

## X.

Jak niegdyś ojciec Własta przyjmował na Krasnejgórce swych powinowatych i sąsiadów, gdy mu syn powrócił — teraz jesienią O. Matja na dzień Wszystkich Świętych, zaprosił chrześcian nawróconych do siebie, aby z nim razem nabożeństwo i skromną odprawili biesiadę, nie potrzebował się on tacić ze swą wiarą, która codzien jawniej po całym kraju występowała; ustały nawet nadzwyczajne ostrożności, gdyż nie zdawało się, ażeby gorliwi bałwochwalstwa wyznawcy, śmieli się porwać na chrześcian, do których kniehinie, znaczna część dworu jawnie, a kneź też, choć nie ogłaszając się z tym, należał. Bałwochwalstwo ustępowało milczące; strwożone, ale się tuliło uparte tam, gdzie je dosięgnąć było najtrudniej... w lasy i niedostępne uroczyska.

Tu, kto z nowych apostołów śmiał się puścić, niosąc krzyż i ewangelię, znajdował opór tak groźny, iż życie unosząc, uchodzić musiał. Gdy w pobliżu grodów, już wszystkie na drogach bałwany, oznaki pogaństwa, poobalano — dalej w lasach strzeżone były pilnie i żadna ich ręka nie tknęła.

Gromady starców, bab, parobków w pałki pouzbra-

janych, obsiadły brzegi świętych strumieni, rozdroża, dęby, i przystępu do nich broniły.

W lasach między Gniezmem a Poznaniem — na miejscu wywróconych bogów, kryjomo stawiano krzyże, ale nazajutrz znajdowano je połamane i popalone.

Nigdzie do tej walki nie występowano jawnie, a jednak nie ustawała ona ciągnąc się nieprzerwanie... Chrześcijaństwo zyskiwało wyznawców — bałwochwalcy coraz się do rozpaczliwszej pobudzali obrony...

Dom Własta, do którego oprócz nowych chrześcian, nikt prawie nie zaglądał, przybrał postać nową i wszystkie oznaki, jakie mieszkania chrześcian na zachodzie odróżniały.

Znikły dawne uzbrojenia, rynsztunki, łuki i tarcze, które Jarmierz pochował do komor.

O. Matia uczynił klasztor niemal ze swojego dworu. Sam teraz przywdział ciemną suknię podobną do tych, które nosili synowie Św. Benedykta na Monte Cassino, u których czas jakiś przebywał — a izby przybrał jak cele klasztorne w wizerunki zbawiciela, w bizantyskie obrazki matki jego, w krzyże i godła wiary swojej. U każdych drzwi wisiała przybita kropielnica... a kaplica coraz nowymi z bogacana nabytkami, świeciła kosztownym sprzętem i bogatymi aparatami. Ołtarz umajały kwiaty... zmieniane codzień. Przed nim O. Matia, modlił się za duszę ojca i za nawrócenie kraju, którego miłość była dlań pobudką nieustannego apostołstwa.

On i ks. Jordan, kilku czechów, którzy im pomagali, nauczali codziennie gromady tych, co już chrzest przyjąwszy, na pół jeszcze bałwochwalcami pozostali. Wielu tu wiarę jak szatę nową wdziewało obojętnie, a żyło starym obyczajem, usiłując z sobą pogodzić nieodżałowaną przeszłość, z nieuniknioną przyszłością.

Hoża już także z rąk brata przyjęła chrzest i zwała się Hanną, Jarmierz wziął imię Andrzeja, ślub połączył tę parę, którą Włast uczynił u siebie gospodarzami; lecz i z temi najbliższymi też same miał trudności O. Matia co z obcymi. Powoli krzewiła się wiara, nie łatwo przyswajano jej obowiązki.

Jesień już późna, na uroczysty ten dzień wszystkich świętych, obdarzyła niezwykłym ciepłem i pogodą. Pajęczyny jedwabne rozścielały się po polach, na drzewach ostatki liści pożółkłych jeszcze się trzymały, zasiane żyta już zdawały się wiosny obietnicą, tak zieleniały bujno.

Lekki przymrozek posrebrzył je tego rana.

We dworze już przed brzaskiem było wszystko w ruchu, pieczono i warzono dla gości, ustawiano stoły po izbach i w szopce... bo się spodziewano wielu. Włast z dawnych tradycji, która się dobrze godziła z chrześcijańską nauką, zachował gościnność polarską dla wszystkich. Każdy kto do drzwi jego zapukał, przyjętym był, choćby zresztą i do chrześcian nie należał. Jałmużnę rozdawano obficie.

Rano, razem z gośćmi dalszemi, przybył ks. Jordan z zamku, i dwaj czescy kapłani... przysposabiano się do mszy, a tymczasem coraz ktoś nadciągał nowy. Byli to po większej części nawróceni żupani i kmiecie, ale i uboższego ludu przychodziły nieśmiałe gromadki. Większa część przybywszy, jako znak na piersiach

zawieszała krzyżyk przy chrzcie dany, który najczęściej jedną był w nich chrześcijaństwa cechą.

Mała kapliczka nie mogła pomieścić przychodzących, lecz ołtarz stał naprzeciw otwartego okna, tak, że z podwórza przy nim widzieć było można kapłana, i tu ustawiały się też szeregi. Tymczasem Jarmierz ze służbą przysposabiał stoły, chleb i przyjęcie.

Chrześcijańska ta nowa społeczność powierzchownie się jeszcze nie różniła niczym od dawniej pogańskiej; szaty, oręż, wszystko zostało toż same, tylko łagodniejsze już widać było oblicza, i ciszej sprawiali się zbrojni goście. Przed południem, gdy już i podwórko i izby pełne były, samych prawie mężczyzn, ks. Jordan z dwoma duchownymi, wyszedł przed ołtarz ubogi ze mszą świętą. Cisza uroczysta zaległa do koła. Większa część tych chrześcijan nie wiele modlitw umiała... modlono się duchem tylko, dopiero gdy po ofierze rozpoczęto litanią, cała gromadka powtarzać zaczęła głośno — zmiłuj się i módl się za nami.

Może, jak opowiada o innych słowianach Dytmar, że — kiryeeljeson — przez nieświadomość przekreślali na — Ukra-olsza (u krzaku olszyna), tak i tu niejeden słów nie rozumiał, lub odmienił, lecz sama chęć starczyła ubogim na duchu za modlitwę.

Nabożeństwo odbyło się wśród ciszy poważnie i musiało radować apostołów, widzących już owoce swojego trudu. Z promieniejącą twarzą pomodliwszy się u ołtarza, O. Matia zdejmował białą komżę i miał spieszyć do gości, gdy Jarmierz wpadł dając mu znać, że od Poznania widać ciągnący orszak, w którym się domyślano knezia... Wyszędłszy przed wrota, w istocie ujrzał Włast kilkanaście koni, które się zwolna ku dworowi zbliżały, a na ich czele mężczyznę, i dorodną niewiastę... Za nimi szły psy, a chłopak obok niósł na rękę sokoła.

Wyjechali więc na łowy, a Krasnagóra znalazła się na drodze — wypadkiem — czy do niej zбочyli umyślnie?? Włast został przy wrotach, aby na wypadek odwiedzin pańskich powitać go z czczołbitnością należną...

Gdy się jadący zbliżyli, łatwo już było rozpoznać wesołe knezia oblicze i swobodną zawsze twarz Dubrawki, która dotąd wianka dziewiczego zrzucić nie chciała, i teraz też w nim jechała uśmiechając się to mężowi, to wesołej okolicy. Zdąła już kneź skinąć na Własta i podjechawszy do wrót, stanął.

— Dziwne sprawy — zawołał — u was zawsze widzę gody! Zastałem je niegdy tu u ojca waszego, a oto i syn także biesiaduje i gości ściąga.

Kneź popatrzył na stojących w podwórzu, którzy mu się nisko kłaniali. Dubrawka rozglądając się też, dostrzegła przez otwarte okno ołtarz i krzyż i przeżegnała pokornie. — Co to u was dziś — wesele czy urodziny? spytał Kneź. — Święto — odparł duchowny ks. Jordan — pamiątka tych wszystkich, co za wiarę cierpieli, i co się dla niej zasłużyli — a jutro, obchodzić będziemy dzień zmarłych. Kneź głową pokiwał tylko, jakby o tém mowy unikał, był bowiem nie bardzo jeszcze świadom obyczaju nowego i z ks. Jordanem często odzywając się, miewał o to spory... bo mu się trafiały dziwne sądy i pytania. Przy ludziach

więc Mieszko wołał nie mówić, aby się na poprawki nieubłaganego kapłana nie narażać.

Włast ośmielił się poprosić, aby kneź i kniehini zsiadli i odpoczęli.

— Nie mam ja czasu — rzekł kneź - ze psy i sokoły, jedziemy sobie do Gniezna. Zamiast tu pozostać, ja gościa jeszcze zabiorę... Ks. Jordan mi potrzebny, pojedzie ze mną — ale kubek miodu mi dajcie — wypiję.

I tak na koniu siedząc, Mieszko rozglądając się ciągle, miód podany wychylił — kniehini też drugi przyniesiono, i nie odtrąciła go. Śmiejąc się, przyłożyła do ust rumianych. Tymczasem już dla ks. Jordana konia wyprowadzano, i cały ten orszak, jak przybył zwolna, tak odciągnął nie spiesząc ku lasom. Ludzie stojąc długo za nim patrzali.

Ks. Jordan w orszaku pańskim jechał milczący modlił się, nie wiedząc spełna na co był w podróży i Gnieźnie potrzebny, lecz wszędzie i zawsze miał wiele do czynienia. Parę razy puszczono psy, raz czy dwa razy sokół się zerwał, ale łowy nie szły, co ks. Jordan świętecznemu dniowi przypisywał, ale dla nowo nawróconych w wielu rzeczach trzeba było być pobłażającym.

Przez cały dzień, polami i lasami podróż do nocy się przeciągnęła i już dobrze zmierzchało, gdy osada nad jeziorem z grodem na Lechowój górze się ukazała. Znaczną przestrzeń zalegało miasteczko nad brzegiem, z drzewa pobudowane całe, ale czyste i zamożne. Dworki świeciły ścianami malowanymi, i wyrzynanymi słupkami.

Rzemieślników było tu prawie tyle co w Poznaniu i tyleż wojska... w części na grodzie, i w chatkach około niego pomieszczonego. Na górze opasany wałem, a z jednej strony wodą oblany stał gród książęcy stary, drewniany jak wszystkie ówczesne słowian, jak większa część budowli w niemczech nawet. Wśród niego widać było szarą, na wysokich słupach stojącą kontynę pogańską, z dachem czerwono malowanym. Na najwyższym jęj szczycie, wycięty z drzewa potwór jakiś się unosił.

Tuż były domostwa książęce obszerne, podobne do tych, co stały nad Cybiną, starsze od nich może, w tenże sposób przyozdobione.

Ale tu krasne malowania i dawne barwy wypelzły i słupy a ściany jednak szaro wyglądały a posępnie. Sydbór wyszedł pieszo do bramy naprzeciw brata, ciesząc się z jego przybycia. Musiał się go spodziewać, bo nietylko stoły czekały nakryte, ale gromada ziemian w podwórzu z odkrytymi głowami. Pomiedzy dworem a kontyną leżały stosy kamieni zwiezionych świeżo. Za starszą u ściany widać było ludzi obcych twarzy, którzy też zdawali się tu oczekiwać na Mieszka i ciekawie mu się przypatrywali.

I on i Dubrawka zsiadli z koni pokłonami witani aż do ziemi — lecz zamiast iść do dworu, Mieszko poszedł z ks. Jordanem ku kontynie, dokoła ją okrążył, obejrzał się po podworcach, nic nie rzekł, i wszedł wróciwszy do izby biesiadnej.

Mieszkanie to było niskie, okopcone, proste i niczym nie ozdobne, tak jak z Piastowych czasów zostało... Ławy do koła, stoły na krzyżowych podporach, podłoga z opół-

ków, zielonym kosaćcem posypana. Przez pootwierane drzwi, widać było izby dalsze, do pierwszej podobne.

Mieszko się obejrzał z pewnym uszanowaniem po dworze. U głównego stołu stały już gotowe dwa siedzenia, a przed nimi naczynia srebrne... i misy, lecz nie siadł kneź jeszcze i rzekł do żony...

— Pokłonić się nam trzeba wprzód... duchowi tego gospodarza, co tu pierwszy ze krwi naszej gościł.

I szedł potem prowadząc żonę, a Sydbór jakby domyśliwszy się, poprzedał ich przez izby i komory. I obesli tak całą połać jedną grodu, aż do drzwi, które stały zaparte. Sydbór je otworzył...

Komora była niewielka, podobna do świetlicy w ubogiej chacie. Ława i stół w niej tylko... Naprzeciw wnijścia na ścianie, oponą bogatą, jak królewska szata, wisiało coś osłoniętego.

Mieszko widocznie wzruszony kołpak zdjął z głowy, a Sydbór na dany znak, przystąpiwszy do ściany, oponę zwolna odgarnął.

Spodziewała się może kniehini ujrzyć jakieś bogactwa, lub coś nadzwyczajnego... U ściany wisiała prosta szara siermięga, lipowe kurpie i kobiałka, a pod nimi stał ul pusty.

— Miłościwa pani — odezwał się Mieszko — Piastowa to pradziadowa kmieca odzież, od której go wzięto na stolicę... Nam ją wnukom zostawił, abyśmy nasz początek i wyjście pomnieli.

To mówiąc, ujął w ręce kraj stariej szaty i pocałował ją kneź, a za nim Sydbór — Dubrawka stała nieco opodał.

— Nie zachowali my na Hradzynie Przemysławowego pługa — miły panie, ale Piastowa siermięga i ul na równi z nim w pamięci wnuków zostaną.

Sydbór zasłonę ściągnął — Mieszko wyszedł smutny. To wspomnienie przeszłości było dlań może wyrzutem w chwili, gdy mu się zdawało, że ją zdradził, i że się jęj wyrzekął. Zawahał się czując chwilę stanowczą nadchodzącą.

Dubrawka zdawała się myśli odgadywać, i gdy do izby dochodzili, w której starszyzna czekała, zaledwie mruczając po cichu — odezwała się do knezia...

— Szkoda żeście z sobą do tej komory, nie wzięli ks. Jordana — niechby ową siermięgę święconą wodą pokropił — a lżejby na sercu wam było...

Wchodzili już do izby, witani znowu pokłonami niskimi... a że mrok był, pacholeta wniosły pochodnie i ucza się rozpoczęła.

Nie było niewiasty nad Dubrawkę miłszėj, gdy gościmi otoczona, wesele w nich i dobrą myśl dostrzegła. Naówczas śmiały się jęj usta i oczy, i pobudzała drugich, wyzywała, a ochoty dodawała. Nikt u niej czoła pochmurnego nie widział, ani ponuręj twarzy, przez co i drudzy się też ożywiali i ośmielali.

Umiał kto pieśni, kazała spiewać, proszono ją, chętnie nuciła swoje czeskie stare, w których ludzie, jakby zapomniane swoje własne znajdowali. Czyniły one takie wrażenie u polan — jak gdyby je kiedyś w dzieciństwie — czy na drugim świecie jakimś słyszeli... a teraz je dopiero sobie przypominali. Gdy nad Wełtawą pieśń

przezimowała ciężkie lata i z wiosną się obudziła — tu — nad Wartą i Wisłą, zmroził ją jakiś podmuch — czy wyżęgła wojna...

W wielkiej izbie wesoło było dziwnie... ale Mieszko siedział smutny... czy mu na oczach stała Piastowa siermięga, czy Wigmanowa śmierć — czy to co jutro przyjsć miało.

Przez otwarte okna coraz to się dawał słyszeć trzask jakiś dziwny, na który nikt może nie zważał, oprócz Mieszka. Ile razy doszedł uszu jego, kneź się wstrząsnął, popijał, a oczyma wodził jakby przestraszonymi.

Gdy tu biesiadowano wesoło, w podworcu działo się, na co ludzie stojący na wałach dokoła, z przerażeniem patrzali.

Kupka obcych jakichś, którą kneź wysłał przodem, przystąpiła do stariej kontyny. — We drzwiach jęj stało dwu dziadów na kijach opartych. Starszyzna jakiś odezwał się do nich.

— Idźcie sobie starzy, nie macie tu już co robić, ni czego strzedz. Skarb wzięty na dworzec, a chramowi przyszła ostatnia godzina.

Dwaj dziadowie posłuchali jakby nie rozumieli, spojrzeli potem po sobie, i milcząc, weszli do środka. Za zasłonami stał stary drewniany kloc, podobny do jakiejś nieforemnej człowieczej postaci, obwieszany blachami i kawałkami zbroi. Z jednej strony przymocowana była dzida, z drugiej tarcza bogata. U nóg posągu stały ofiarne naczynia.

Dziadowie przyszli do stóp posągu i posiadali na ziemi. Człowiek, który ustąpić im kazał, poszedł powoli w ślad za nimi.

— Ustąpić! — zawołał — rozkaz knezia, idźcie ztąd, nie macie tu nic już do roboty.

Starcy ze spuszczonej głowy, nie odezwali się z żadną odpowiedzią. Ten, co ich chciał wygnać ztąd, poczekawszy nieco, zniecierpliwiony jednego z nich za ramię chwycił i szarpnął. Dziad się pochylił, starał oprzeć, obalił, podniósł i siadł znowu. Łajanie, groźby, nie pomagało nic. Musiał wyjść i ludzi zawołać, którzy do starych się zbliżywszy, gdy inaczej wyprzeć ich ztąd nie było podobna, musieli za bary pochwycić i mimo oporu wyrzucić za drzwi kontyny. Lecz zaledwie wypchnięci, oba wrócili i pokładali się przy posągu. Wyciągnięto ich raz jeszcze i związanych zaprowadzono gdzieś za dworzec. Na wałach jak mur stali ludzie milczący, patrzali mimo ciemnej nocy i ktoby był usłyszeć mógł głosy, co z tamtąd płynąc, z wrzawą biesiadną się mieszały, rozeznałyby w nich jęki i płacze, ale ciche i stłumione...

Co się działo wewnątrz kontyny, nie widział nikt, wynoszono z niej, wytaczano, zabierano sprzętu resztę. Słychać było jak się darły zasłony i słupy nagie stanęły, a na przestrzał pod dachem, szopa pusta. W tém głuche uderzenia siekier słyszeć się dały, a każde z nich odezwało się w sercach tych, co tam na wałach stali. I były siekiery długo, podrębywały do koła, a na niebie czarny dach chramu zdało się zadrzął, chylił, chwiał — po tém, odskoczyli ludzie, cała budowa stara z trzaskiem wielkim runęła na ziemię. Głośniejszy jeszcze od niego



był jęk, który przebiegł po wałach. Świat się to walił stary. Ludzie oczy pozakrywali i płakali.

Ze dworca, mimo łomu tego i wrzawy, nikt nie wyszedł, pacholkiwie z zewnątrz zasuwali okiennice. Została kupa rumowiska, w której gdzieniegdzie jeszcze coś chrupnęło, obsunęło się głębiej i zapadło.

Ludzie długo nie przystępowali do téj ruiny, lecz wskazał starszy z boku i rozpoczęła się szybka robota. Chwymano i wyciągano belki, rozrąbano krokwie, wleczono słupy, oczyszczano miejsce na którym stała kontyna. Parobcy zwołani dźwigali to i składali na kupę pod wałami, które gromady ludu zalegały. Nie ruszał się nikt zrazu, po tém w mroku jak mrówki zaczęli się tłumem spuszczać ludzie z okopów i unosić te szczątki. Ledwie się to rozpoczęło, w mgnieniu oka posypali się z innych stron drudzy, i belki, słupy, resztki dachu, wszystko co zostało, nikło. Tysiące rąk podawało sobie te pokruszone części chramu, które gdzieś w ciemnościach nocy tonęły. Tylko na wałach, w cichych gromadach ruch się wziął jakiś, pospieszny, gorączkowy, nieustanny. Jedni na dół się spuszczały, drudzy pędzili do góry, mijając się w milczeniu. Straż i ci, co znosili drzewo, chcieli się opierać téj kradzieży. — Tłum ich milczący nacisnął, otoczył, skupił się, objął tak, że z trudnością wyzwolić się potrafili. Z wałów stoczyli się ludzie ci niemi, ku rumowisku i wprost z niego chwyтали unosząc co leżało jeszcze. Wyparci obcy, którzy obalili chram, musieli milczący i bezczynni pozostać na boku, nie śmiejąc się już ruszyć. Z rąk im wyrywano drzewo odpychając, krzycząc i wołać pomocy nie chcieli, ustąpili więc, czekając aż rabunek się skończy.

Stos się zmniejszał w mgnieniu oka, najcięższe kłody wysuwały się w ciemności gdzieś i przepadały w nich. Została kupka kamieni tylko i te potoczyły się ku wałom, nareszcie poruszona ziemia, węgle i trzaski okrywały plac i tłum z wałów odpływać począł.

Małe kupki gdzieniegdzie widać było zdala, po tém nikogo więcej. Stary chram zniknął bez śladu.

Gdy po długiej uczcie wyszła starszyzna z dworca, rozgrzana miódem i rozradowana przyjęciem, wszyscy stanęli oniemieli na widok pustej przestrzeni, gdzie przed niewielką godzinami jeszcze stał chram stary. Spojrzeli po sobie długo, milcząc i cicho rozchodząc się zaczęli.

Po wałach czuwały zbrojne straże i wszystek lud wojenny gotowy był jakby nazajutrz wybierano się na wyprawę. Noc przeszła na czuwaniu w grodzie i mieście, tylko Mieszko legł spać, nie troszcząc się o nic. Do dnia, już był na nogach. Ze dworca wychodził on, Dubrawka, Sydbór i ks. Jordan w białej sukience, włożonej na czarną, którą zwykle nosił. Za nim chłopak dźwigał naczynie z wodą spiżową.

Mieszko wyszedłszy z dworca, oczyma potoczył do koła. Świątyni dawniej nie było ani szczątki, znikło nawet to z czego była zbudowana. — Noc, jakby cudem uprzętnęła miejsce, zmiotła okruchy nawet, tylko świeżo ruszona ziemia znaczyła plac, gdzie niegdyś stał chram Jessego. Wolnym krokiem zbliżyli się wszyscy ku miejscu, które już ks. Jordan przodem pospieszając, kropił wodą

święconą. Kneź się obejrzał do koła. Na grodzie nie było nikogo, prócz zbrojnych ludzi i dworu.

Obcy człek z odkrytą głową zbliżył się pokornie, w rękę trzymając miarę. Za nim postępowało kilku pomocników. Razem z ks. Jordanem poszli odmierzać plac i zakreślili na nim wielki krzyż, który białymi kołkami wytknięty, zdala był widoczny.

Godło zbawienia leżało w rozmiarach olbrzymich, na poświęconém miejscu, a Dubrawka przeżegnawszy się, wskazała środek krzyża.

— Tu będzie mój grób! — rzekła.

Mieszko milczał.

Odstąpili wracając ku dworowi, gdy do knezia zbliżył się jeden z jego komorników.

— Miłościwy panie — odezwał się cicho<sup>[19]</sup> — Dwaj starzy od chramu leżą powiązani, co zrobić każecie z niemi. Wczoraj bronili przystępu, nie można było ich odegnąć.

Kneź milczał, zniżył głos, obejrzał się ku księdzu i żonie, jakby się lękał, aby go nie posłyszeli...

— Weźmijcie ich na wóz! nakryjcie słomą, wywieźcie gdzie do lasu na uroczysko i wyrzućcie. Odwrócił się szybko, nie wesoło mu z oczów patrzyło.

Dubrawka przysłała i rękę położyła na ramieniu.

— Panie mój miłościwy — radować się i cieszyć macie, boście wielkiego dokonali dzieła.

— Nie dokonaliśmy go jeszcze — szepnął Mieszko — nie dokonali a już boli, cóż będzie, gdy się spełni.

— Wówczas boleć przestanie — dodała Dubrawka śmiało — a im prędzej to uczynicie, będzie lepiej.

Kneź swoim zwyczajem nie odpowiadając nic, na Sydbóra spojrzął, który także stał na pół wystraszony, pół smutny, weszli obaj do dworca.

Na owym rozpiętym krzyżu, który wodą pokropił święconą, klęczał ks. Jordan i modlił się. Nie obchodziło go to wcale, iż ludzie, poganie w wielkiej części, patrzali nań z podziwem i zabobonną trwogą. Ta modlitwa dziękczynna była potrzebą jego duszy, od której się powstrzymać nie mógł. Z rękami zaciśniętymi, oczyma wlepionymi w ziemię na której klęczał, modlił się płacząc, jakby chciał wszelkie nieszczęścia od tego poświęconego przez się miejsca odegnąć i sprowadzić nań błogosławieństwo Boże, po wiek wieków.

Tymczasem obcy ludzie co mierzyli i wytykali jakby zagrzani jakimś zapałem, ruszyli się ku stosom przygotowanych kamieni, drudzy już z łopatami stali, gotowi kopać. Ks. Jordan klęczał jeszcze. Gdy wstał i pobłogosławił na cztery strony plac, dano znak i dokoła posypała się ziemia. Mieszko i Dubrawka już odjeżdżali, ks. Jordan też z niemi, Sydbór przeprowadzał brata.

## XI.

Tak się przygotowywało wprowadzenie wiary chrześcijańskiej do kraju i Dubrawka co chwila się spodziewała, że nareszcie krzyż zatknięty zostanie na dachu pierwszego kościoła. Im bardziej jednak zbliżała się ta

chwila, tém Mieszko dziwniej ociągał się z nią i odkładał krok stanowczy. Ile razy wyruszył na łowy, spotkał w drodze lud, popatrzał na chmurne twarze, pomówił z ziemianami, którzy od wpływu dworu byli dalecy, wracał jakby niepewny i wahający się znowu, a gdy kniehini pytała go o chrzest ów zapowiedziany, uroczysty, nie odpowiadał jój nic.

Ks. Jordan wzywany do narady, życzył czekać i nie nalegać — zdało mu się, że sama potrzeba zasłonięcia się od niemiec i przymierza z cesarzem zmusi do chrztu i otwartego krzewienia wiary. Wprawdzie nie ukrywano się z nią, opiekowano nawróconemi, odprawiano nabożeństwa, ale sam kneź nie był już ani poganinem, ani chrześcianinem jeszcze. Wielu rzeczom się opierał, a bardzo wielu rozumieć i słuchać nie chciał. Samowola, do której nawykł przez całe życie, poddanie się prawu czyniła dlań nieznośnym. — W duszy może nieraz lepiej rozumiał opór ludu, dla którego był pobłażającym, niż przymus jaki nań wywierano.

Ks. Jordan był cierpliwy. Dubrawka, mimo postanowienia coraz się więcej zżymała na męża, zwłaszcza, że z Czech szły ciągle zapytania o chrzest i ślub uroczysty, o ogłoszenie chrześciańskiej wiary głośne i jawne, na które nie wiedziała już co odpowiedzieć. Jój staraniem tymczasem nawróconą została Górka, a za nią poszedł niemal cały dwór jój, oprócz starej Srokichy, która uciekła naprzód na Krasnągórze do wychowanka, a tam znalazłszy wszystko do niepoznania zmienionem, płacząc schroniła się gdzieś do lasu.

Napróżno Włast usiłował ją wstrzymać, wyrwała mu się jednego ranka i więcej już nie powróciła.

Przez całą zimę trwało to naleganie ze strony kniehini i milczenie uparte samego pana.

Dubrawka, niecierpliwa i żywa z trudnością znosiła upór mężowski, nie mogła nawet odgadnąć jego myśli. Nieprzeciwiał się nawracaniu, czasem karał tych, co chrześcianom krzywdy wyrządzali, lecz niekiedy bronił naglonych do przyjęcia chrztu i niepodzielał wcale gorliwości córki Bolesława, która w tym pogańskim jeszcze świecie, nieustannie myślała, tylko aby wszystko dawne obalić. Gdy Mieszko obojętnie jakoś czekał i przeciągał, jój wysłańcy pokryjomu obalali posągi, palili kontyny i po nocach zatykali krzyże napróżno.

Po nowym roku, raz jeszcze kniehini poczęła prosić męża, aby jój dotrzymał słowa. Mieszko znowu zmilczał, a gdy naciskać zaczęła nań, wyszedł nic nie przyrzekłszy. Kneź był dobrym mężem, ale niewieście nie przyznawał prawa rozporządzania się w domu. — Gdy go nagliła bardzo, miał zwyczaj żartobliwie odsyłać ją do wrzeciona i krosien.

Zima była ostra w tym roku, dzień po dniu jednak jeżdżono na łowy, Mieszko wyruszał często przededniem, bawił długo i ledwie wróciwszy, wybierał się znowu.

Raz gdy z takich łowów wrócił na zamek późną nocą, a kilkoro sań przywiozło za nim zwierzynę, w komorze do której wszedł, znalazł na siebie oczekującego Dobrosława.

Zaczął mu opowiadać o łowach i o ostatnim dziku,

którego ludzie żywcem wzięli, gdy spojrzawszy na twarz swojemu słudze, postrzegł na niej oznaki jakiegoś niepokoju. Nie nawykły do milczenia, spytał zaraz — czy się co we dworze nie stało?

Dobrosław zwlekał z odpowiedzią.

— Miłościwy kneziu — rzekł wreszcie skinąwszy wprzód na komorników, aby odeszli — nasza kniehini się wybiera w drogę...

— Dokąd? kiedy? — spytał kneź.

— Przyjechał z Pragi poseł... nie wiem co przywiózł z sobą, kazano wszystko do podróży sposobić...

Ponieważ noc była późna, Mieszko nie pytając ani dowiadując się więcej, legł na spoczynek.

Nazajutrz raniiej niż zwykle był na nogach. W istocie w dworcu Dubrawki ładowano juki i skrzynie i wynoszono je w podwórze, widać było ludzi spieszenie się uwijających i ruch niezwykły. Posłał Mieszko natychmiast po Różanę.

Zdaje się, że stara pani już się tego spodziewała, bo mimo pory ranej weszła ubrana starannie, we wszystkie błyskotki, które lubiła.

— Co się u was dzieje? — zapytał kneź.

— A! miłościwy panie! miłościwy panie... — do nóg się kłaniając i przystępując blisko, jak do poufnego zwierzenia Różana — co się u nas dzieje!.. tracę głowę! sama nie wiem... Zamęt... Wczoraj przybyli czechy do miłościwej pani, mówiła z nimi długo na osobności. Nie mam tego zwyczaju, żebym podsłuchiwała... nie wiem nawet, co mówili... Ale cicho szeptano długo, długo, a potem wyszła miłościwa pani i kazała wszystko swoje co przywiozła z Pragi ładować i wiązać... wszystko... wszystko... Któż może zgadnąć, co to znaczy? Ja stoję i patrzę... kniehini ma swoje niewiasty czeski, którym się zwierza... na mnie ledwie rzuci okiem... Nigdy nic nie wiem!..

Różana załamała ręce.

Mieszko popatrzał na nią i skinieniem ją odprawił. Czekając na to, aby mu Dubrawka sama przysłała wytłumaczyć, co znaczył ten wybór w drogę; godzina upłynęła jeszcze. Naostatek Dubrawka weszła. Ale nie jak zwykle z twarzą wesołą i obliczem rozpromienionem — niespokojna, smutna i widocznie poruszona.

Mieszko ręką jój wskazał w podwórze, jakby zapytywał — Co to jest?

Dubrawka popatrzała nań.

— Posłałam do Pragi, aby po mnie ojcowscy ludzie przybyli... wróć do rodzicielskiego domu. Dłużej tu nie mogę zostać...

Strzymała się nieco i ciągnęła dalej patrząc na męża.

— Wstyd mi... widzicie że noszę wianek dziewiczy na głowie, bo uroczystego chrztu i zaślubin nie było. Nie mogę powiedzieć, że żoną twoją... Wobec chrześcian córka Bolesława jest tylko twoją ulubienicą, jak te dawne Lilje i Luby... a córka Bolesława Lutego, wnuczka Przemysławów, nie może nią być i nie będzie. Wolę powrócić do domu, niż dłużej to cierpieć i sromać się przed mojemu pogaństwa a takiego życia. Pojadę do domu! — powtórzyła.

Stał Mieszko zdziwiony i niemy — Dubrawka też prawie płakała... ale nie chciała dać poznać po sobie, że na łzy się ję zbierało.

— Nie pojedziecie — odparł Mieszko — musieliby po was całe czeskie wojsko przysłać, inaczej ja nie puszcze.  
— Ucieknę — a tak w grzechu i wstydzie żyć nie będę — dodała Dubrawka.

Kneź ramionami ruszywszy siadł na łożu i zadumał się.

— Słowo dałem i strzymam — odezwał się — wiem co czynię.

— Miłościwy panie i ja wiem czego żądam... czekałam z pokorą... czas albo mnie nazwać żoną, lub opuścić ze wstydem.

Wstał kneź z wolna, zadumał się — przystąpił do płaczącej i rzekł.

— Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa, upadnie resztę chramów i w Gnieźnie krzyż zatknijemy. Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa — powtórzyl.

Dubrawka plasnęła w ręce i oczy jej zaświeciły...

— Na nowego Boga twojego, na Chrystusa, który wiarołomnych karze, przysięgnij mi — zawołała — i z szyi zdejmując krzyżyk, podała mu go — przysięgnij.

— Przysięgam — rzekł Mieszko...

Dubrawka rzuciła mu się dziękować, kneź siadł chmurny, nie mówiąc więcej.

Od tego dnia rozpoczęły się jawne przygotowania do większej uroczystości.

Posłowie czescy odprawieni nazad do Pragi, mieli jeszcze raz przybyć ze skowronkiem razem... wioząc z sobą świętobliwego kapłana Bohowida, który chrzest uroczysty Mieszka miał dopełnić.

W Gnieźnie nad częścią już wznoszącego się nowego kościoła, na przedce dach kazano ukończyć, aby w tej pierwszej świątyni, odbyć się mógł obrzęd chrztu. Ks. Jordan, O. Matja i inni duchowni zbierali tymczasem przygotowujących się neofitów, ażeby razem z kneziem jak największa ich liczba do chrztu stanąć mogła.

Na zamek gnieźnieński wieziono białe szaty i wszystko co do świetnej uroczystości tej było potrzebnem. W tym samym dniu po całej ziemi, oznaki bałwochwalstwa, posągi, słupy, kamienie wywrócone i zniszczone być miały.

Na grodzie poznańskim, gdzie dawno już stary chrám stał pustkami, obalono go jednego dnia, w obec wszystkich, nie znajdując żadnego oporu, bo dwór i wojsko już wcześniej całe prawie do przyjęcia chrztu było przygotowane.

Tegoż dnia poświęcił ks. Jordan pierwszy kamień kościoła, który miał się wnieść na jej miejscu. Działo się to jawnie, bezkarnie, o starych wróżbitach i gęslarzach słychać nawet nie było, znikli gdzieś i niepokazywali się więcej. Kraj był spokojny, lud milczący... księża przebiegali go bezpiecznie, ale u możniejszych tylko znajdowali gościnę i posłuch chętny — osadnicy ubożsi milcząc i obojętnie dawali im mówić nieodpowiadając wcale. Pomiędzy niemi nawrócenia były rzadkie.

Z pierwszym skowronkiem, po roztopach wiosennych przybyło czeskie poselstwo i Bohowid staruszek, który

dawne czasy pamiętał.

Dubrawka wyszła pieszo przeciwko niemu; Mieszko przyjął ze czcią należną. Dwór, wojsko, co było chrześcian i tych, którzy niemi zostać mieli, wszystko pierwszych dni marca pociągnęło do Gniezna.

Pochód był uroczysty, powolny i wspaniały, lecz drogi, któremi ciągnął puste. Gdziekolwiek został jeszcze ślad pogaństwa, zatykano krzyże białe po drodze, które księża poświęcali.

Na wszystkich rozstajach, u źródeł, gdzie dawniej składano ofiary, wznoszono znamiona wiary. Nigdzie i nikt nie śmiał stanąć w obronie dawnych bogów. Na widok tego orszaku, któremu towarzyszyły czeskie poczty — ludzie z pół uciekali i kryli się po lasach, głuche milczenie szło za nim.

Na zamku w Gnieźnie wały i dworce pomieścić nie mogły natłoku. Tu zbiegło się wszystko co pragnęło pod nową zaciągnąć się chorągiew, ziemianie, władcy i żupanowie, wojsko całe, wręście z ludu namówieni i zjednani. Tym od rana rozdawano szaty białe poszyte umyślnie, które kładli jako oznakę odrodzenia i oczyszczenia.

Gromadami stojących do koła grodu kapłani kropili wodą i dawali imiona nowe. Dostojniejszych czesi i Dubrawka we dworcu do chrztu trzymali. Naostatek przed świeżo wzniesionym ołtarzem w nowej jeszcze i nieskończonej świątyni, dla której relikwie z Pragi przywiózł Bohowid... Mieszko ochrzczonym został przez niego i pobłogosławionym wraz z Dubrawką... Sydbór i Górka także przyjęli chrzest, razem z niemi. Wspaniała uczta zakończyła ten dzień wielki, a nad dachem świątyni nowej jaśniał wysoko wzniesiony krzyż który odtąd dziejom tej ziemi miał przyświecać.

Zdawać się mogło obcym patrzącym na ten spokój i ciszę, wśród których się odbył chrzest całego narodu, że nigdy może z większą uległością nie zmieniła się wiara od wieków wszczepiona na nową i nieznaną. Cieszyli się czescy kapłani i prorokowali przyszłość szczęśliwą, jeden Mieszko tylko wiedział, co znaczyło milczenie, to zaparcie tchu i zbieganie osadników w niedostępne lasy. Ponieważ w głąb kraju dosięgnąć dla obalenia kontyn po lasach i bałwanów na polach a wzgórzach niełatwo było, nazajutrz zaraz wyznaczono oddziały zbrojne, które z duchownymi i przygotowanymi krzyżami wyruszyć miały, dotrzeć do znanych zakątków i tam wnieść godła wiary.

Właśc z chęcią ofiarował się do jednej z tych apostołskich wycieczek za przewodnika. Pragnąc się na nią wybrać jednak, natychmiast z Gniezna wyjechał do Krasnejgóry, dokąd po niego przybyć mieli ci, którym mu towarzyszyć kazano.

Przed wieczorem jeszcze, przebiegłszy całą przestrzeń, którą wczoraj pochód książęcy przybrał w krzyże nowe, O. Matja ze smutkiem mógł się przekonać, co znaczyło owo pokorne tłumów milczenie. Wszystkie krzyże leżały podruzgotane, popalone i zbezczeszczone; nie został żaden na swoim miejscu. Ludzie się nie pokazywali nigdzie.

Z bolesnym duszy wrażeniem przybył Włost do dworu. Wieczór był chłodny wiosenny, w progu domostwa zastał siedzących Hannę i Andrzeja.

Wyszli oboje na jego spotkanie dowiadując się, co się w Gnieźnie i jak odbyło. Włost smutnie napół, w pół radośnie począł im opowiadać, jak świetnie chrzest się spełnił, jak mnogo ludu wdziało białe szaty, a jak podstępnie potem i sprośnie krzyże wystawione pozrucano i zbezczeszczono w nocy.

— Ojciec mój — odezwał się nawykły tym imieniem go nazywać Jarmierz — początek to dopiero... wszystkiego się jeszcze spodziewać można, i nie dziś tylko, ale przez długie lata... Kto wie, co nas wszystkich czeka?..

O. Matja chwycił go za ręce.

— A! nie... — zawołał — teraz, gdy mamy prawo do tego, pojedziemy nauczać, objaśniać, nawracać, ludziom się serca i oczy otworzyć muszą, tak jak się one wam otwarły na światło...

Jarmierz spuścił głowę i nic już nie odpowiedział.

Weszli do dworu, O. Matja najprzód do ołtarza spieszył, aby się przy nim pomodlić. Hanna zastawiała skromną wieczerzę. Zasiadli do niej właśnie, gdy Jarmierz wstał jeszcze, aby pójść obejrzyć wkoło dwór i zobaczyć, gdzie byli parobcy i stróże.

Obchodził je tak zwykle co wieczora.

Tym razem dłużej go nie było z powrotem i Hanna poszła zobaczyć, gdzie się zabawiał tak długo.

Włost pozostał sam. Weszli nareszcie z powrotem, ale bledzi i strwożeni tak, że podniósłszy na nich oczy, brat spytał, co ich tak niepokoiło.

Jarmierz odzyskawszy przytomność, zawołał tylko.

— Uciekaj!..

Nie zrozumiał tego zrazu Włost.

— Dwór otaczają ogromne ludzi gromady, które z lasu ciągną w milczeniu... Parobcy uszli wszyscy, nie ma nikogo do obrony!.. Uchodzić trzeba, jeśli można...

Przeżegnawszy się, spokojnie O. Matja wstał z za stołu i wyszedł razem z Jarmierzem na podwórze.

Ztąd już widać było i od strony lasu i od pola jak mur w milczeniu stojące tłumy ludu, w którego pierwszych szeregach rozeznac mogli starych dziadów. W jednej gromadzie Warga dowodził.

Ucieczka już była niepodobierstwem. Z tyłu, z przodu i po bokach, wszędzie opasywały ich te zastępy, o których zły woli wątpić nie było można.

Włost uściśnął siostrę i Jarmierza.

— Uchodźcie — wyrzekł — ratujcie się, wam przebaczą i nie uczynią nic... Mnie co ma spotkać z woli Bożej, przyjmę jako nagrodę. Idźcie...

Hanna płakała. Jarmierz zaklął się, iż nie odstąpi brata.

Głuchy szmer, jakby warczenie dalekiej burzy, dochodził ich uszów. Stali w przedsienu naprzeciwko wrót, na których oparty pokazał się Warga z rozczochranym włosem. Zobaczywszy go Jarmierz, podbiegł ku niemu, lecz nim się zbliżył, starzec podniósł kij i krzyknął.

— Ubiję!..

Pomimo groźby zbliżył się do niego nieustraszony chłopak.

— Czego chcecie? — zawołał.

— Przyszliśmy na wasze nabożeństwo! — zaryczał stary — a że ciemno, my wam do niego poświecimy...

To mówiąc odstąpił od wrót.

Hanna jak obłąkana wpadła w głąb dworu, chcąc ratować brata i ciągnąc go z sobą. Na przestrzał przebiegli sień domostwa. Z drugiej strony stał taki sam tłum gęsto zbity. Od lasu roiło się ciżbą. Jarmierz próbował się wydobyć przebojem, aby uciekający, sprowadzić pomoc, ludzie go pałkami wpędzili nazad na podwórze.

— Zniszczyć to gniazdo!..

— Z dymem ich puścić!.. — krzyczeli.

O. Matja powstał chwilę, postuchał, jeszcze raz uściśnął siostrę i poszedł do kaplicy. Tu klął przed ołtarzem czekając śmierci. Jarmierz biegał jeszcze próbując, ażali mu się wykupić lub wyprosić nie uda u ludzi, lecz odpychano go wszędzie, mówić nawet nie dając.

Niedługo potem z kilku stron dworu błysnęła ogień i dym zaczęło być czuć w powietrzu.

Podpalone dachy, popodkładane głównie pod ściany gorzały coraz większym płomieniem.

W chwili tej, gdy już żadnego nie było ratunku, Jarmierz przypomniał sobie jamę, w której niegdyś ojciec trzymał nieszczęśliwego Włosta. Została ona przy odbudowywaniu dworu pokryta dachem i mało komu była znana. Zdawało mu się, że do niej schroniwszy się, mogą ująć płomieni i śmierci, bo nawet gdyby lekki daszek zgorzawszy padł na nią, mogli się w wyżłobieniu pod ścianą przechować, pókiby tłuszczka ta nie odciągnęła, a ci, co na ich życie czyhali, sądzić mogli, że zginęli w płomieniach. Z tą myślą pobiegł do Włosta.

Trudno było modlącego się oderwać od miejsca, na którym chciał zginąć, aby dać wierze swój świadectwo. Nareszcie zaklęcia i prośby wymogły na Włostie, że się dał odciągnąć i uprowadzić.

Wszystko więc troje, niepostrzeżeni, bo lud nie napadł dworu nic z niego tknąć nie chcąc, tylko żywcem spalić swe ofiary, spuścili się z wolna do tej kryjówki, tak Włostowi pamiętnej.

Los jego prowadził go znowu w to samo miejsce, na śmierć czy ocalenie... któż mógł przewidzieć?

Gdy Jarmierz narzuciwszy mokrej słomy i mierzwy na wrota, zapuścił je na jamę, starając się ją ukryć przed oczyma napastników, w ciemności tej i zamknięciu zrazu nie słyszeli, nie widzieli nic... wpadli jakby w grób...

Włost do modlitwy zachęcał. Klękli wszyscy i powtarzali za nim wyrazy, które wymawiał powoli.

Napróżne było nasłuchiwanie.

Głos żaden nie dochodził tutaj.

Zdawało się im, że wiek trwało to okropne milczenie śmierci, gdy nareszcie szelest jakiś i jakby szum dobiegł ich uszu.

Jarmierz poznał głos ognia, który się zbliżał. Gorzały dachy.

Ile razy ciesząc się swym łatwym zwycięstwem, tłum ogromnym dzikim odezwał się krzykiem, echo jego głucho odbijało się pod ziemią. Gdy belki padać zaczęły z góry, ziemia się kilkakrotnie wstrząsła. Zażętniało potem,

jakby ciżba wpadła na pogorzelsko. Na wrota jamy, które tylko zgorzały dach mógł ocalić okrywając je, jeszcze się nic nie zważyło.

Powietrze robiło się duszne i ciężkie; Hanna z płaczu i trwogi mdlała, trwoga jej napowrót przytomność wracała. Włast się modlił. Jarmierz do wrót się przyczepiwszy starał się śledzić postępowanie pożaru. Przez szpary przeciskało się światło i dym wlokący po ziemi dusić zaczynał.

Śmierć szybko zmienili tylko na powolną męczarnię. Włast myślał o duszy już nie o ocaleniu, rozgrzeszał siostrę, brata i modlił się za nich i siebie.

Jak deszcz ognisty naprzód z dachu posypały się iskry, potem kilka krokwi przepalonych upadło na wrota, wreszcie część dachu, pod którą się znajdowały, runęła z łoskotem i przysypała je ognistymi węglami.

Śmierć zdawała się nieuchronną, gdyż oddychać już nie mieli czém... powietrza ubywało... gorąco dawało się czuć straszliwe...

Zdała słychać było walenie się ostatnich belek i kawałów pokrycia, a każdemu runięciu ich towarzyszyły okrzyki. Włast z czołem opartym o ziemię stracił wreszcie przytomność. Hanna leżała bez zmysłów.

Zrozpaczony Jarmierz barkami podniósł nieco wrota, aby wpuścić powietrze. Zamiast niego wpadł gryzący dym do jamy.

Trzymając tak ten ciężar nad sobą Jarmierz mógł się przysłuchiwać.

Krzyki zdawały się oddalać.

Nie chciał zrazu uszom wierzyć i cudowi... czekał jeszcze.

Głosu żadnego nie słyszał już, oprócz trzaskania dopalających się belek i szumiącego wiatru, w którym deszcz razem rześisty rozpoznać było można. Dym rozszedł się nieco, powietrze weszło do lochu, aby ocucić pomdłonych.

Jarmierz odważył się odsunawszy nieco wrota na pół wydobyć z ukrycia. Noc była czarna, czerwona łuna pożaru świeciła tylko, nikogo dokoła nie dojrzał, pusto było i cicho...

Dwór cały leżał w węglach, gdziegdzie tlił się słup, którego płomień deszcz z jednej strony przygaszał... Jarmierz wyskoczył całkiem nad loch i pełzając starał się rozpatrzeć dokoła. Tłumy rozbiegły się po lasach, pewne, że zamknięci we dworze zginąć musieli w płomieniach. Istotnym cudem męczennicy zostali ocaleni. Lecz mogliż się uważać już za bezpiecznych?

Na pogorzelsko łatwo ludzie powrócić mogli, uchodzić z niego do lasu groziło dostaniem się w ich ręce.

Wstawszy z ziemi, nie widząc nikogo dokoła, Jarmierz wahał się czy ma wydobyć Własta i żonę, czy dłużej ich zostawić w tej kryjówce. Pełznąć aby nie być postrzeżonym, jeśli by kto jeszcze stał na straży, dostał się do studni w podwórku, przy której znalazł wiadro wody pełne. Z niem nazad pospieszył do Hanny i Własta. Ale ci już byli powrócili do życia, gdy wrota powietrze świeże dopuściły.

Włast odmawiał stojąc hymn dziękczynny, ze złożonymi rękami, z głową podniesioną, i wołał.

— Cud uczyniłeś Panie, abyś nawrócił niewiernych, abyś zawstydził złych... Cud uczyniłeś Panie, nie dla niegodnych cudu, ale dla wielkiego imienia Twojego...

I Hanna widziała w tym cud, i Jarmierz, który drżał z radości, chociaż na myśl o tych tłumach, gdzieś w pobliżu będących, nowa go trwoga ogarniała...

Nie wiedział jeszcze co począć, gdy z ogromnym tententem koni i wrzawą przypadła gromada jezdnych i u pogorzelska stanęła.

Nie wiedząc kto przybywał, Jarmierz padł zrazu na ziemię, lecz wkrótce z mowy, która go dochodziła, poznał oddział ludzi z grodu nad Cybiną, wysłany gdy łuna pożar zwiastowała. Co prędzej więc powstawszy począł biedz ku nim. Na widok jego rzucili się, aby go pochwycić... i nie rychło mógł się im dać poznać. Ludzie zsiadłszy zaraz z koni, pomogli mu do wydobycia Własta i Hanny napół żywych, lecz ocalonych.

Deszcz ustawał, resztki stosu tego ofiarnego gorejąc oświecały rumowisko. Jakież było podziwienie Własta i wszystkich, gdy otoczony głowniami gorejącymi dokoła ujrzeli ołtarz kapliczny całym i na nim krzyż nieobalony, świecący zdaleka... Zaiste był to cud równie wielki, jak ocalenie tych ludzi, skazanych na śmierć w płomieniach. Własta żadna siła powstrzymać nie mogła, aby nie pobiegł ukłęknąć przed tym ołtarzem, do którego z sobą pociągnął siostrę i brata, równie jak on tym cudem przejętych. Gromadka ludzi z zamku przybyłych, świeżo nawróconych także, klękła zdjęta trwogą i modliła się razem z nimi.

Widok tego znamienia nowej wiary, ocalonego z płomieni, przejmował wszystkich, jak dowód potęgi nowego Boga.

Po skończonej modlitwie, ujawszy z ołtarza krzyż i resztę kościelnego sprzętu, okrytą węglami a nie zgorzałą, Włast musiał razem z ludźmi co go ocalili udać się na zamek nad Cybiną.

Dniało już gdy w las wjechali wszyscy, Włast na danym mu koniu przodem ze świecącym krzyżem w dłoni, za nim Jarmierz i Hanna.

Zaledwie stai parę oddaliwszy się od pogorzelska, z przestachem i zdziwieniem postrzegli w lesie koczującą, na ziemi rozłożoną gromadę ludzi, która się schroniła tu przed ulewą po pożarze, którego pilnowała.

Na widok jadących popodnosili głowy, Warga postrzegł pierwszy i poznał Własta ocalonego, z krzyżem w ręku. Stary wróżbita oniemiał z przerażenia. Był pewnym jego śmierci... strzeżono dokoła dworu, aby się nikt z niego wymknąć nie mógł. Jak na widok upiora wstałego z grobu, starzec krzyknął i dłońmi zakrywając sobie oczy, porwał się natychmiast z ziemi pędem uciekając w las, za nim tłum copędzej zrywać się też zaczął i uciekać z wrzaskiem... Ludzie padali na ziemię przestraszeni. Orszak wiodący O. Matję przeciągnął powoli w milczeniu i znikł na drodze do grodu.

W roku 973, w kilka lat po opisanych wypadkach, cesarz Otto z cesarżową Adelajdą — opowiadają współczesne kroniki — z Włoch znowu dążąc na święta wielkanocne

do Quedlinburga, gdzie w niedawno założonym klasztorze, córka jego ksienią była — na kwietnią niedzielę stanął w Magdeburgu.

Pan to był wielce pobożny, więc jak skoro ujrzał krzyże kościelne, a posłyszał dzwony <sup>[20]</sup> witające go wesołemi odgłosy, zsiadł z konia natychmiast...

Naprzeciw niego szło z zapalonymi świecami i pochodniami duchowieństwo, arcybiskupi Geron i Adalbert, prałaci, zakonnicy niosący relikwiarze, krzyże, obrazy i kadzielnice... Zatrzymawszy się cesarz ucałował podaną mu ewangelię i relikwie — i przy odgłosie pieśni szedł dalej na czele duchowieństwa do kościoła, w którym drogie nie dawno otrzymane relikwie św. Maurycego złożone były.

Nazajutrz, opisują ciż kronikarze, cesarz niezmiernymi darami ubogacił kościół, biskupstwo, księży i samo miasto.

Między innymi były tam księgi naówczas rzadkie, przedziwnie pisane i malowane, jakimi niewiele świątyni pochłubić się mogło...

W tym samym czasie Mieszko także w poczcie wspaniałym, zdążył do Quedlinburga, dla powitania sprzymierzeńca swego cesarza, niosąc mu bogate dary.

Wśród orszaku książęcego, obudzający po drodze podziw ludzi i zdumienie, szedł ogromny wielbłąd czerwona kapą okryty, przeznaczony w ofierze dla Ottona. Tym razem zmieniło się zupełnie położenie Mieszka, stosunki jego, siła i znaczenie. Pomiedzy nim a szwagrem Bolesławem, panowała niechęć i wojna, o Szlązk i Chorbacyą, którą oba posiadać chcieli... Mieczysław pochlebił już sobie, że zawładnie słowiańszczyzną całą, tąż samą myślą żył Bolko... Oba szukali przymierza z cesarstwem dla tego tylko, aby móżdż całą siłę na zwiększenie państwa swojego obrócić — oba rozumieli to, że kraje jednej mowy, musiały albo się znaleźć w jednym ręku, lub stać się łupem cesarskich markgrafów. Lecz Otto starzał, myślą i sercem mieszkiał za Alpami — tu chciał czémkolwiek bądź okupionego pokoju...

W tym roku zjazd do Quedlinburga, był liczniejszy daleko, niż lat dawnych, przybywali posłowie upokorzonych greków, co się nie dawno z potęgi Ottona naśmiewali, posła jego lekceważąc w Byzancium. Szli posłowie Benewentu, jechali wysłańcy Ghezy księcia ugrów; bulgarowie, duńczycy i liczni kneziowie słowiańscy, na których czele Mieszko polański i Bolko czeski.

Dwór Mieszków świetniejszym był nad wszystkie, a kneż ochrzczony stał tuż na równi z najdosłojniejszymi dukami, kłaniał się jeszcze potędze cesarskiej, ale dla tego tylko, aby się od niej i wszelkiej innéj wyzwolić. Na obliczu téż księcia widać było ufność w swą siłę, i spokój — które choć się okrywały pokorą, tryskały z pod niej jak rumieniec z białych policzków, gdy je duma zagrzeje lub gniew...

Przodem przed panem poszły do Quedlinburga obozy, ludzie i konie, zajęły miejsce najlepsze, a kneż znalazł namiot rozbity i dwór gotowy na przyjęcie. Tłumy skupiały się około wysoko nad ludzi i konie podnoszącego głowę potworną wielbłąda.

Zaledwie przybył Mieszko... przyszli mu się pokłonić słowiańscy wodzowie... czuli w nim pana, a szanowali wojownika, który nigdy oręża nie składał i nieustannie był czynnym.

Gdy drugiego dnia świąt wielkanocnych, posłuchanie miał Mieszko otrzymać, jechał na nie z całym orszakiem swym, przypasawszy miecz niegdyś przez Ottona mu dany. Za nim strojni z włóczniami do turniejów wojownicy, pacholeta niosący tarcze i miecze, konie powodne... Na grzbiecie wielbłąda sznurami purpurowemi związane, sukmem fryzyjskiem okryte, jechały dary dla Ottona.

Kilka lat walk i życia posrebrzyły włosy i brodę cesarza, poorwały mu twarz, smutkiem jakimś, jakby przecuciem grobowém okryły czoło. Zdawał się przewidywać, że ciężkie berło, które w dłoni dźwigał rychło mu śmierć wydrze.

Gdy z pokłonem wszedł Mieszko... Otto go jak znajomego powitał mile — i do tronu na którym siedział, ręką bliżej zawezwał.

— Wiele się zmieniło w krótkim czasie przeciągu — rzekł patrząc nań — wyście dzięki Bogu i sami prawdziwą wiarę przyjęli i kraj swój do kościoła przyłączyli... szczęściło się wam z nieprzyjaciół, błogosławieństwa doświadczyliście mnogiego, a ufam, iż ono was nie odstąpi.

Tu westchnął. Nie bojujcie tu, a nie walczcie z sobą — ani z mojemu... Wiele bez tego do czynienia macie. Pogan zostało mnogo, kościołów jest mało — duchowieństwa wam braknie... chrzcić i nawracać, a chrztem podbijać możecie ludów wiele.

Wy, Bolko i moi markgrafowie idźcie razem na wytopienie pogaństwa.

Westchnął Otto — a Mieszko odrzekł — iż rad był żyć ze wszystkimi w pokoju, ale swoich ziem, do których ma słuszne prawa, nikomu sobie wydrzeć nie dozwoli.

Nic na to nie rzekł Otto — a po chwili znowu — pokój z Czechami życzył. Mieszko zamilkł ostrożnie.

Święta to były pamiętne z wielu różnych obrzędów i wypadków.

Dnia 1. kwietnia nagle zmarł Herman, książę saski, którego ciało cesarz uczcił, gdy je syn wyprowadzał do rodzinnego grobu do Lunenburga, którego niegdy Wigman pokonany przez Mieszka, tak mu zazdrościł.

Za życia jeszcze Henryk poważniejszy się z Brunonem, biskupem ferdeńskim, wyklętym był przez niego.

Gdy zwłoki prowadzono, syn Bernard zaklinał mściwego nieprzyjaciela, aby z nieboszczyka przynajmniej zdjął kłatwę i dozwolił go w poświęconej ziemi pochować.

Bruno był nieubłagany.

Mieszko obdarowany przez cesarza nawzajem, powrócił już był do domu, sposobiąc się do nowéj walki z bratem żony, gdy cesarz, który na wiebowstąpieniu znajdował się w Merseburgu, wyjechałszy ztąd we wtorek przed Zielonemi Świątami, spoczął w Miminlewie. Tu siedł jeszcze wesół do stołu — rozmawiał z przybocznymi, ale w czasie niesporów nagle słabnąć począł... Pochwycono go i przeniesiono na łożo — otoczyło duchowieństwo modląc się... Nazajutrz Otto cesarz nie żył. Następcą już

koronowany, obejmował po nim rządy.

W tych samych stosunkach ostrożnego przymierza i warunkowej przyjaźni, która napadać na granice i ścierać się często nie przeszkadzała — pozostał polański książę z Ottonem drugim. Sascy cesarze nadto marzyli o Włochach i Rzymie, aby spokoju granic swych, choćby ofiarami nie okupywali. Czeszy i polańscy książęta temu może byli winni, że gdzieindziej odwrócona potęga cesarstwa, im rosnąć, skupiać się i zagarniać kraje słowiańskie pod panowanie swe dozwalała.

Spytacie może o losy O. Matji? czyli Własta syna Lubonia. Milczą o nich dzieje nasze. Pierwszy kapłan i apostoł nie dobijał się żadnego stanowiska w hierarchii kościelnej, ani sławy i rozgłosu pomiędzy ludźmi — cicho przeszedł po świecie tym, kryjąc się z sobą i okrywając pokorą. Imienia jego nie wzmiankują kroniki, nie zapisują rocznikarze, nie znają martyrologi.

Całą majątność swoją rozległą oddawszy siostrze i jęj mężowi, Włast wymówił sobie to miejsce, na którym stał dwór ojcowski, aby na niem wystawić kościół... Miał myśl też, zakonników z Monte Cassino, u których przebył lat parę, sprowadzić i klasztor im pobudować. Trudności jakie naówczas przedstawiały podróże, zajęcia apostołskie u boku pierwszego biskupa poznańskiego Jordana, nie dozwoliły mu do Włoch się udać, i dawnych braci tu sprowadzić.

Ks. Jordan, on, kapłani czescy i kilku włochów wiele mieli u polan do czynienia. Kraj milczał i ścierpiał w pierwszej chwili narzuconą sobie wiarę, ale wytrwał tajemnie przy dawniej. Przez długie wieki pozostały jęj ślady i szczątki, w pieśniach, obrzędach, w kryjomo obchodzonych świętach i mnóstwie zwyczajów, które niezrozumiałe już były pokoleniom następnym, ale im do serca przyrosły.

Mieszko i jego poddani, co się ochrzczili nawet, długo bardzo nie mogli nawyknąć do nowych obowiązków. Dubrawka przez lat kilka nie zachowywała sama postu, aby zwolna do poszanowania go męża nakłonić. Później już sam przez żonę pokonany, Mieszko z surowością sobie zwyczajną, kazał nie szanującym postów — jak piszą, zęby wybijać...

Tak samo zakazywano śpiewać stare pieśni, zbierać się na Kupalę, nocne odbywać płąsy i zabobonne gusa, zabraniano grzebać ciała po rozdrożach i uroczyskach, jak to dawniej bywało we zwyczaju z tryznami, obiatami, stypami trwającymi po dni kilka. Ludzie przywiązani do odwiecznych tych obrzędów, uciekali w głąb lasów, kryli się, ale przez długie wieki pamięć dawniej wiary przechować umieli.

Nie było sposobu od tych strumieni, kamieni, słupów, dębów i gajów ich odzwyczajai i duchowieństwo stawilo na nich krzyże. Z dawnych bóstw imion czyniono świętych, dni uroczyste u pogan zastosowywano do obchodów i pamiątek kościelnych.

Tak te resztki wiekowej spuścizny zmieszaly się, zlały, dziwnie częstokroć, z legendami chrześcijańskimi.

Dzień 7 marca, który był naznaczonym do zburzenia

wszędzie, gdziekolwiek się znajdowały, resztek pogańskich bałwanów, na długo został pamiętnym. Długosz powiada, że w niektórych wioskach w Polsce, w czwartą niedzielę postu, zatykano na długich żerdziach (stanice dawne) wizerunki Dziewanny i Marzanny, a potem je rzucano i topiono w bagnach.

Pobożny O. Matja przeżywszy panowanie Mieszka, które było jakby wstępnią pieśnią bohaterskiego poematu Bolesława Wielkiego, pozostał przy kościele głównym w Poznaniu, z kąd mu łatwiej było i swój nowo założony odwiedzać.

Nieopodał od niego stał nowy dwór Hanny i Andrzeja w miejscu, które się pono nazwało później Głuszynem (tak jak bardzo być może, iż z Krasnejgóry Górczyn mógł powstać). Tu O. Matja przybywał błogosławić małym dziatkom siostry swęj i w młodociane główki wpajając pierwsze, mające w nich się krzewić pojęcia. Tu on, otoczony tą gromadką, napół dzikich, ledwie odzianych, puszcanych swobodnie, wedle dawnego obyczaju dzieci, stawał się dla nich sam dzieckiem prawie i wedle nauki Chrystusa przywabiał je do siebie.

Wiele lat upłynęło od opisanych wypadków, potęga Mieszka wzrosła, państwo rozszerzyło granice, kościoły stawały liczne po całej ziemi polan, przebiegali ją kapłani dla połowu dusz zbłąkanych. O. Matja był wszędzie z nimi, gdziekolwiek groziło niebezpieczeństwo, trudności były do przełamania, a językiem rodzonym i sercem braterskim przemówić było trzeba do ludu.

Z uśmiechem, gdy mu kto chciał wrazić obawę, mawiał, że się po dwu w życiu niebezpieczeństwach, z jakich go Bóg ocalił, już żadnego się nie lęka. Znano go, i najzapaleńsi nawet starowiercy szanowali w nim nieustraszone męztwo i niezmożoną niczém cierpliwość a niewyczerpaną dobroczynność.

W ubogiej swęj sukni czarnej, z kijem w ręku mógł bezpiecznie przebiegać najodleglejsze, najzapadlejsze kraju zakątki, gdzie się nikt inny dojsć nie ważył.

W ręku przy lasce, na której się podpierał, miał zwykłe siekierkę małą, nie dla obrony od napaści, ale aby móc naprędcie wyciosać krzyżyk i postawić go wszędzie, gdziekolwiek znalazł jakiś znak dawnego bałwochwaltwa. Nie zrażało go to, gdy drugi raz na to miejsce przychodząc, pierwszej swęj pracy nie znalazł śladu. Siedział ciosać krzyż swój nanowo i wbijał go w tém samém miejscu. Czasem po dwa i trzy razy musiał podnosić to znamię, nim się ono nareszcie ostało. Zabobonny lud przypisywał cudowi to powracanie krzyża, a cudem była tylko święta cierpliwość nieznużonego apostoła.

W miejscu gdzie był dwór i kaplica spalona, O. Matja pobudował mały kościółek, a tam gdzie była owa jama, w której naprzód ojciec go więził, później czasu pożaru Jarmierz zdołał go ukrytego ocalić, wymurował sobie za życia grób, do którego często zaglądał.

Do tego kościoła chodził z Poznania pieszo, często w nim długie spędzając godziny. Stroił go, ubierał, zbogacał, opatrywał we wszystko, jak najulubieńsze dzieło swoje. Często gdy go nie znajdowano w Poznaniu u św. Jana jerozolimskiego, wiedziano gdzie go szukać. Trwał na

modlitwie w swoim kościółku, albo z miotłą w rękę oczyszczał go, obmywał i utrzymywał w nim porządek. Obcój ręce nie dawał się tu prawie dotknąć niczego.

Jednego wiosennego dnia około Wniebowstąpienia, gdy słowiki śpiewały najgłośniej a czeremchy rozkwitały wonią napełniając powietrze, szukano napróżno O. Matji w Poznaniu. Izdebka jego, którą zawsze zostawiał otworem, stała pustą, nie było go dni kilka. Ponieważ przy szczupłej liczbie ówczesnego duchowieństwa, był pilno biskupowi Jordanowi potrzebnym, wysłano za nim do siostry do Głuszyna, ale ztąd wrócił posłaniec oznajmiając, iż go tu także od kilku już tygodni nie widziano. Bardzo być mogło, iż wyszedł na jedną z pielgrzymek swych, które często pieszo odbywał. Lecz zbliżało się Wniebowstąpienie, a na wielkie uroczystości wracał zwykle do Poznania. W wigilję tego dnia, gdy po raz wtóry nadbiegł posłaniec do Głuszyna, trochę niespokojny Jarmierz z Hanną udali się do kościółka na Krasnejgórze, bo im na myśl przyszło, a raczej przeczucie jakieś mieli, iż tam go znaleźć mogą.

W istocie zbliżywszy się do kościółka, drzwi znaleźli niezamknięte, a uchylwszy je, spostrzegli brata krzyżem leżącego przed ołtarzem, na którym świece się dawno powypalały. Wszedłszy pokłękli zrazu oczekując, ażali modlitwy skończywszy, O. Matja nie wstanie ku nim.

Upłynął jednak czas dość długi, a modlący się nie poruszył wcale.

Gdy już zmierzchało, Hanna podeszła ku niemu i pokłękawszy w rękę go chciała pocałować, aby dać znać o sobie.

Ręka była jak kamień zimna.

O. Matja nie żył.

Skończył życie wśród modlitwy, leżąc krzyżem właśnie na tym kamieniu, który pokrywał wnijście do zamurowanego grobu.

Na krzyk bolesny Hanny nadbiegł Jarmierz, podniesiono zlekka ciało już zupełnie ostygłe, bo nieboszczyk od dwóch pewno dni już żyć przestał. Na twarzy jego bladój wyraz słodkiego uszczęśliwienia panował, usta zamknięte uśmiechały się spokojem.

Wielki był żal wszystkich po człowieku pobożnym, cichym a tak potrzebnym kościołowi, kapłanie, którego nikt nie mógł zastąpić.

Dano zaraz znać do Poznania, naznaczono dzień pogrzebu i przy wielkim nacisku pobożnych, na trzeci dzień w prostej trumience, jak przykazał, złożono ciało jego w grobowcu pod ołtarzem.

Cóż dziwnego, że potem w kilkanaście, kilkadziesiąt lat nikt już imienia pobożnego kapłana nie pamiętał, że w sto lat nie było śladu kościoła i grobowca, a we dwieście miejsce zmieniło imię i rodzina wygasła. Tak wszystko na ziemi przemija i ginie...

KONIEC.

1. ↑ Najprawdopodobniej winno być *gródka*.
2. ↑ Błąd w druku; powinno być – *stanowił*.

3. ↑ Błąd w druku; powinno być – *konia*.
4. ↑ Błąd w druku; powinno być – *sobie*.
5. ↑ Z Kroniki Ditmara.
6. ↑ Ditmar.
7. ↑ Błąd w druku; powinno być – *się*.
8. ↑ Błąd w druku; powinno być – *Cybina*.
9. ↑ Błąd w druku; powinno być – *nadmorskich*.
10. ↑ Błąd w druku; powinno być – *jesli*.
11. ↑ Błąd w druku; powinno być – *którą*.
12. ↑ Błąd w druku; powinno być – *cesarski*.
13. ↑ Błąd w druku; dwa razy *się*.
14. ↑ Ditmar.
15. ↑ Błąd w druku; brak przecinka.
16. ↑ Błąd w druku; powinno być – *Hatton*.
17. ↑ Błąd w druku; brak przecinka.
18. ↑ Błąd w druku; powinno być – *naprzeciw*.
19. ↑ Błąd w druku; brak kropki lub następny wyraz (*Dwaj*) winien być małą literą.
20. ↑ Dzwony w Magdeburgu wspomina już Dytmar. Były one zapewne kute z blach spizowych lub żelaznych.

## 1 Przypisy



Tekst jest **własnością publiczną (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: *Józef Ignacy Kraszewski*.



## 2 Text and image sources, contributors, and licenses

### 2.1 Text

- **Lubonie/całość** *Źródło:* <https://pl.wikisource.org/wiki/Lubonie/ca%C5%82o%C5%9B%C4%87?oldid=550299> *Autorzy:* Ankry

### 2.2 Images

- **Plik:PD-icon.svg** *Źródło:* <https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/6/62/PD-icon.svg> *Licencja:* Public domain *Autorzy:* Created by uploader. Based on similar symbols. *Artysta:* Various. See log. (Original SVG was based on File:PD-icon.png by Duesentrieb, which was based on Image:Red copyright.png by Rfl.)
- **Plik:PL\_Józef Ignacy Kraszewski-Lubonie\_tom\_I\_007.jpeg** *Źródło:* [https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/9/98/PL\\_J%C3%B3zef\\_Ignacy\\_Kraszewski-Lubonie\\_tom\\_I\\_007.jpeg](https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/9/98/PL_J%C3%B3zef_Ignacy_Kraszewski-Lubonie_tom_I_007.jpeg) *Licencja:* Public domain *Autorzy:* Cyfrowa Biblioteka Narodowa *Artysta:* Józef Ignacy Kraszewski
- **Plik:Wikipedia-logo.svg** *Źródło:* <https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/8/80/Wikipedia-logo-v2.svg> *Licencja:* CC BY-SA 3.0 *Autorzy:* File:Wikipedia-logo.svg as of 2010-05-14T23:16:42 *Artysta:* version 1 by Nohat (concept by Paullusmagnus); Wikimedia.

### 2.3 Content license

- Creative Commons Attribution-Share Alike 3.0